



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>





1



1



MICHAŁ ROLLE



Z MINIONYCH STULECI

SZKICE HISTORYCZNE I LITERACKIE



LWÓW

W NAKLADZIE KSIĘGARNI
GUBRYKOWICZA I SCHMIDTA

1908



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



PRZEZACNEMU PANU

BOHDANOWI ŻEBROWSKIEMU,
KTÓREGO DWÓR NA PODNIESTRZU SNUJE DALEJ
NIĆ NAJPIĘKNIEJSZYCH TRADYCYJ DAWNYCH
DWORÓW KRESOWYCH.

Autor.



SEWERYN MALINOWSKI

KARTKA Z DZIEJÓW SOBNY POLSKIEJ NA KRESACH WSCHODNICH



Z MINIONYCH STULECI

oczy śmiało patrzą przed siebie, ręka bawi się rąbkiem fantastycznie narzuconej chusteczki... Wszystko to są w znacznej części dzieła dwóch wzmiankowanych mistrzów pendzla, bardzo na kresach popularnych. Obok nich znajdzie się od czasu do czasu malarz zagraniczny, Moraczyński, lub wreszcie Chojnacki, lecz to tylko w zamkniętszych dworach, nazywanych często szumnie: pałacami; pod strzechę szlachecką, albo w progi sławetnych — w grosz zasobniejszych — mieszczan kamienieckich zawita częściej Horodnicki, Łomnicki, Ciszewski, Ignacy Hanicki i paru innych. Byli to portreciści różnej miary i niejednocześnie pracujący, ale też i my powyższą wstępną notatkę rozciągnęliśmy na szerokie nader ramy.

Nie samych tylko ziemian malował Baccelli. Oto przed nami wisi portret artysty, co długich lat szereg szerzył zamilowanie do swojskiej literatury dramatycznej i narodowego języka, czyli mówiąc krótko: cywilizował kresowe głuche prowincye.

Twarz starannie wygolona, wzrok bystry, czoło wysokie, nos ostry, włosy do góry zaczesane, strój nieco fantastyczny, kołnierz głęboko wcięty, pierś lekko odsłonięta, arkusz przepisanej roli w ręce — taką jest podobizna dyrektora teatru kamienieckiego, Seweryna Malinowskiego.

* * *

Biedna ta dola aktorska. Już sam ich zawód jest tego rodzaju, że żadnych namacalnych nie zostawia po sobie śladów. Budowniczego przypominają potomnym wzniesione przezeń budowle, rzeźbiarza i malarza dzieła ich dłuta lub pendzla, pisarza — mniej lub więcej liczne tomy prac jego; każdą broszurkę, każdy druk ulotny zanotuje skrzętny bibliograf, a artysta dramatyczny, choćby w swoim czasie największe porywał tłumy, choćby działalność jego istotne wydała owoce, zbyt rychło ginie w fali zapomnienia.



Ta okoliczność skłania nas właśnie do poświęcenia dłuższej wzmianki Malinowskiemu, on bowiem zasłużył na nią w całym znaczeniu słowa, a mimo to zupełnie jest dzisiejszemu pokoleniu obcy, bo też już pięćdziesiąt siedm lat nad jego zapomnianą przemknęło mogiłą.

Dyrektor sceny kamienieckiej i żytomierskiej spoczął snem wiecznym na zacisznym cmentarzu kamienieckim. Dobrze mu tam chyba. Otaczają go dokoła dawni jego znajomi, wypróbowani przyjaciele, otacza cała rzesza tych, co go niejednokrotnie podziwiali i oklaskiwali na scenie.

Na grobie Malinowskiego wznosił jego młodszy kolega, na podstawie czworogrannej kolumnę z ciosu, umieszczając na niej następujący napis: »Sewerynowi Malinowskiemu, zmarłemu w 73 roku życia, dnia 17 maja 1850 r., artyście i dyrektorowi sceny ojczyściej, Jan Piekarski, dyrektor teatru w Kamieńcu.

Drogą cierniów żywot krwawy
Dla narodu wiodłeś zbawy,
Cześć Ci mężu, cześć Twej pracy,
Plon zbierają z niej rodacy.
Imię Twoje w wielkich tłumie
Nie promieni, biedny bracie,
Ale każdy, co czuć umie,
Łzy wylewa po Twej stracie.
Mistrzu sceny! Twej pamięci
Dłoń czciciela głaz ten święci,
Aby naród kiedyś sobie
I o Twoim wspomniał grobie¹⁾.

Komuś, nieobznajomionemu z miejscowymi stosunkami, wydać się łatwo może, że Piekarski przesadził w ocenianiu zasług swego poprzednika. Jeżeli jednak pamiętać zechcemy o tem, że Malinowski działał w epoce porozbiorowej, że namiot swój wędrowny rozbijał pod rosyjskim za-

¹⁾ Dr. Antoni J.: *Zamecki podolskie*.

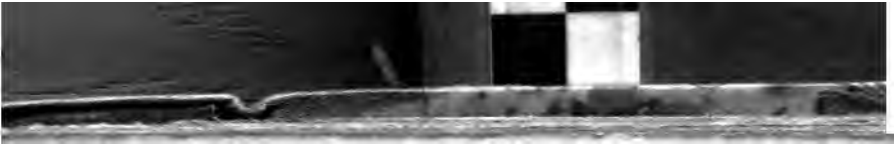
borem, w prowincyi, gdzie jeno z kazalnicy i ze sceny wolno było przemawiać po polsku, że wreszcie nie przemknął się na Zachód za przykładem innych swoich — nawet mniej uzdolnionych — kolegów, ale wytrwał, często o głosie i chłodzie, na wylomie, odtwarzając z młodzieńczym zapalem piękne typy w budynku, w którym w czasie deszczu zawieszać trzeba było przedstawienie — przyznać będziemy musieli nieomal zupełną rację wyrytemu na kamieniu cmentarnym wierszowi.

Jak już z powyżej przytoczonej daty widoczna, przyszły dyrektor scen prowincjonalnych i wcale niepośledni artysta ujrzał światło dzienne jeszcze w ósmnastym wieku (1777 r.). Do życiorysu jego posiadamy nader skromne dane, gdyż nawet Sowiński, autor notatki o Malinowskim, ogłoszonej w *Tygodniku Petersburskim*¹⁾, ogólnikami nas zbywa. Urodził się Malinowski na Podolu, w okolicy Mohylowa; ojciec jego był oficjalistą u Szczęsnego Potockiego, siostra poślubia główno-zarządzającego dobrami Czackich, domyślać się więc mamy prawo, że i na młodego Seweryna starosta nowogrodzki pewien dodatni wpływ wywarł, mógł go bowiem spotykać u swego pełnomocnika. Gdzie Malinowski do szkół uczęszczał? Czy Piarom, czy Bazylianom oddany był na wychowanie? i tego nie wiemy. Ludzie współcześni twierdzą, że należał do wykształconych nad zwykłą miarę, a — zdaniem Sowińskiego, za którym poszedł *Estreicher*²⁾ — gruntowne poznanie tajników dramatycznej sztuki zawdzięczał Kamińskiemu³⁾, który w pierwszych latach ubiegłego stulecia, z członkami amatorskiego teatru Wronowskiego we Lwowie, zaglądał od czasu do czasu nad Śmotrycz, gdzie też znalazł naj-

¹⁾ *Kilka słów o Malinowskim*. 1840, str. 553—554.

²⁾ *Teatra w Polsce*. Kraków, 1873. I, 99.

³⁾ Według dr. Antoniego J. (*Literacka drubyna*) Bogusławskiemu.



zdołniejszego swego ucznia. »Jan N. Kamiński, sam małych zdolności do okazania się korzystnie na scenie, doskonałym był jednak instruktorem. Miał zwyczaj uczyć aktorów, przypuszczając na próby każdego, kto był ciekawy, osobliwie młodzież. Między nimi upatrzył on młodzieńca Seweryna Malinowskiego i odgadnął w nim geniusz, bez którego najlepsza szkoła nie wyda mistrza. Usilnie pracował nad nabytkiem jego dla sceny polskiej. Miał do zwalczenia opiekunów odrazę do scenicznego zawodu, w ich, ba i w powszechnem wówczas mniemaniu, nieszlachetnego. Lecz mu dopomógł żywy umysł młodzieńca, chciwy nauki i oklasków. Zwabiony Malinowski na scenę jako amator, w trudnej roli Franciszka Moor, z żywymi oklaskami od widzów przyjęty został. Odtąd na zawsze teatrowi się poświęcił«¹⁾.

* * *

Listy Malinowskiego, które przytaczamy poniżej, pisane w ostatniej epoce życia artysty, po tylu zawodach i niepowodzeniach, najlepszym są dowodem, jak wielkim musiał być u niego ten święty zapal dla sztuki. Nim jednak do tych czasów z kolei dojdziemy, wypada jeszcze o owych zawiązkach kamienieckiej sceny słów kilka powiedzieć. Sowiński i Estreicher wzmiankują, że Kamiński około r. 1807 teatr nad Smotryczem założył. Naszym obowiązkiem zapisać na tem miejscu nazwisko właściwego założyciela sceny kamienieckiej, którym był szlachcic Antoni Żmijewski, późniejszy niefortunny dyrektor teatru kijowskiego.

Całą wschodnią połać dzisiejszego placu gubernatorskiego w Kamieńcu Podolskim zajmuje długi, jednopiętrowy budynek, mieszczący w sobie bursę dla popow-

¹⁾ Sowiński: *Kilka słów* (j. w.).

czów. W ubiegłych wiekach całe to obejście było własnością unickiego Kościoła; w r. 1796 odbywały się właśnie tutaj pierwsze pod nowym rządem szlacheckie wybory, z kolei domostwo świeciło pustką, z czego korzysta Antoni Żmijewski i podaje na ręce generał-gubernatora hr. Gudowicza prośbę o wynajęcie dlań wzmiankowanego domostwa na urządzenie w jego salach przedstawień teatralnych i redut. Podanie przedsiębiorczego i ruchliwego szlachcica podolskiego zostało załatwionem przychylnie. W dniu 22 września 1798 r., na mocy najwyższego rozporządzenia, oddano Antoniemu Żmijewskiemu po-unickie domy w trzyletnią arendę z warunkiem, że urządzi on tutaj scenę, zapłaci czynsz trzyletni w wysokości 225 rs. i sam na własny rachunek przeprowadzi wszelkie niezbędne przeróbki i poprawki. Dla rozweselenia publiczności przedsiębiorca teatralny urządzać będzie i reduty. Osoby na przedstawieniu obecne, mają temsamem i na nie wstęp wolny; inne wpuszczone zostaną na salę za opłatą dwóch złotych (30 kopiejek); płacą sami mężczyźni. Osoby niskiego stanu i służbę wszelkiego rodzaju, wyklucza koncesya rządowa stanowczo od udziału w omawianych zabawach¹⁾.

Jak z powyższych słów widoczna, nie Kamiński, ale tylko Żmijewski był właściwie ojcem sceny polskiej w stolicy Podola. Przemawiają za tem twierdzeniem cyfry i urzędowe dokumenty, wobec których wszelkie domysły i przypuszczenia na dalszy plan usunąć się muszą. Z drugiej strony nie ulega jednak wątpliwości, że Żmijewskiemu niezbyt pomyślnie wiodło się w Kamieńcu, a gdy nadto — po upływie trzechletniego kontraktu — archirej podolski wykołatał u rządu oddanie dawnych po-unickich gmachów na seminaryum prawosławne, dyrektor teatru, pozbawiony

¹⁾ N. Jaworowski: *Suszcsestiwjuščsija nymie sdanija Kamieniec. duchown. ucześsacza w ich prośsedšej suđ'bie*. Kamieniec, 1888, str. 11.

dachu nad głową, opuścić musiał Podole, przeniósł się do Tulczyna, potem do Kijowa, jego zaś miejsce zajął przelotnie »Galicjanin« Kamiński.

Były to ponowne świetne zawiązki sceny kamienieckiej. Umiano poruszyć i rozczulić ziemiaństwo podolskie, które też ze swej strony teatr popierać i utrzymać postanawia. Nic dziwnego, że wobec tak dodatnich warunków i znakomici aktorowie trzymali się Kamieńca i Kamińskiego; zdaniem ludzi współczesnych, interesujących się w wysokim stopniu literaturą i sztuką, Hankiewicz, Zbrożek, Lipnicki i Wolkowińska mogli zupełnie bezpiecznie i bez najmniejszej obawy rywalizować z uznanymi powagami warszawskimi. Dla teatru kamienieckiego pisano specjalnie sztuki, a sam jego dyrektor, Kamiński, w r. 1805 odbił w drukarni Mińkowieckiej granego tutaj *Hamleta*¹⁾.

Zwyczajną jednak na tym świecie koleją, splata się złe z dobrem w jeden długi łańcuch bez końca. I to pewna, że liczba niepowodzeń przewyższa zwyczajnie ilość chwil świetlanych. Czyżby teatr kamieniecki miał być wyjątkiem z tej ogólnej reguły? Historia wprost przeciwny sąd wydała; obok przejściowych powodzeń przypadła mu w udziale praca niewdzięczna, nie mogąca nawet zapewnić jego adeptom kawałka chleba, a cóż dopiero mówić o jakichkolwiek — choćby najskromniejszych, najniewinniejszych — zbytkach.

Żeby powstrzymać scenę od upadku, zawiązuje się w Kamieńcu »rada obywatelska«, z okolicznych ziemian zamożniejszych złożona. Po wspólnej dłuższej naradzie puszczono w obieg pewną liczbę akcyj, w wysokości 30 rs. każda, które też natychmiast rozebrano. Był zamiar zgromadzenia pokażnej nietylko na ówczesne stosunki kwoty 30.000 rs.; z nich dwie trzecie przeznaczyć postanowiono

¹⁾ Sowiński, j. w.

na utrzymanie teatru, powierzając kierownictwo tegoż Malinowskiemu.

W którym roku właściwie objął on teatr kamieniecki — dokładnie nie wiadomo; w przybliżeniu czas ten oznaczyć można ze słów Estreichera: »Rada czuwała nad dyrekcją teatru, którą prowadził Seweryn Malinowski, aktor z Warszawy, znany ze swoich występów r. 1818 we Lwowie«. Wielbiciele Werowskiego — są słowa cytowanych już autorów — przyznawali Malinowskiemu wyższość w rolach Cyda, Kaima, Starego Horacyusza, Augusta i w dramatach niemieckich. Sławnie miał on wygłaszać monolog Gustawa w *Dsiadach* Mickiewicza, o czym nietylko dr. Antoni J., Sowiński i Estreicher wspominają, ale i współczesne zapisują listy i raptularze. Mimo to wszystko, nie przypadł artysta kresowy ani Lwowianom, ani Warszawiakom do gustu. Nad Wisłą zarzucała mu szkoła Osińskiego przesadę i krzykliwość. Autor *Kilku słów*¹⁾ nieco obszerniej tę wycieczkę na Zachód opisuje: »Po rozejściu się kompanii Kamińskiego — czytamy w *Tygodniku* — jeździł Malinowski do Petersburga, Warszawy i Lwowa szukać wzorów; w tem ostatniem mieście miał zręczność widywać na scenie znakomitszych artystów niemieckich. Między rodakami znalazł najwznioślejsze wzory: w grze Ledochowskiej w tragediach i Żółkowskiego (ojca) w komedjach. Na teatrze warszawskim długo utrzymać się nie mógł, odpychany od ról znakomitszych, względnością na zasłużonych, chociaż miernych zdolności artystów, trzymających w dożywotnem monopolium raz obrane role. Nadto nie mógł przypaść do smaku szkole Osińskiego, w której poplacała klasyczna śpiewność średniówek i końcówek wiersza i raz przyjęta metoda ruchów, od której odstąpić nie wolno było. Niecierpliwym więzów, opuścił scenę, gdzie siły indywidualnej gry swojej rozwinąć nie

¹⁾ Sowiński, j. w.

mógł. Pod swoją dyrekcją założył teatr w Krzemieńcu, a potem w Kamieńcu.

Później autorowie ocenili bezstronnie występy Malinowskiego na scenie lwowskiej. Tak Estreicher, jak i Peplowski, kreśląc historię sceny polskiej, odzywają się o artyście kresowym w pochlebnych wyrazach. Pierwszy z nich zapisuje¹⁾, że jego popisowa rola, z której w całej Polsce sływał, była: Jaromir w tragedyi *Matka rodu Dobratyńskich*. Pokazał on talent deklamacyjny, podnoszenia, spuszczenia i odmiany głosu stosownie do namiętności. Dobitność w uwydatnianiu wyrazów znaczących w monologach, przenoszenie końcówki do następnego wiersza bez zagubienia harmonii wierszu były dokładne. Umiał stopniować ogień i zapal od sceny do sceny, od aktu do aktu, nie tracąc naraz całego zapasu efektów. Organ głosu atoli za słaby, kształt ciała mały i szczupły, psuł nieco złudzenie, jakie sobie tworzone o bohaterze-rozbójniku. Te jednak usterki nie były rażące. Wszak Iffand szeplecił, a uznawano go za Garricka Niemiec, Kudlicz złą miał wymowę, a jednak świetnie grywał. Malinowski nieco w ruchach swoich był za szorstki, krzyżowanie rąk, pochylanie się naprzód, brak ucharakteryzowania zbyt gładkiej twarzy raziły nieco. W dramacie *Podkanclersy* nie tyle się podobał. Ukostyumowanie było nieodpowiednie.

U Peplowskiego²⁾ znajdujemy obszerniejsze wzmianki o obydwóch wizytach kamienieckiego artysty w stolicy Galicyi. Z końcem kwietnia 1818 r. — pisze on — zjechał do Lwowa Seweryn Malinowski, artysta sceny polskiej w Kamieńcu Podolskim i wystąpił czterokrotnie na tutejszej scenie. Pierwszy jego występ w *Alsirze* Voltaire'a (27 kwietnia) stał się nawet przedmiotem bardziej szczegółowego, niż zazwyczaj we Lwowie, rozbioru. Malinow-

¹⁾ Estreicher (j. w.). T. III, 329.

²⁾ *Teatr polski we Lwowie*, I, 84.

ski grał popisową rolę Zamory i mimo niestosownego kostiumu i akcyi w niektórych miejscach zbyt gwałtownej, zrobił na publiczności bardzo dobre wrażenie«. Wystąpił on nadto w dniach 4, 8 i 15 maja, jako margrabia w *Matceństwie nie według stanu*, Franciszek Moor w *Zbójcach* i wreszcie Noryss w *Henryku VIII*.

Po upływie lat ośmiu przybywa Malinowski powtórnie w gościnę nad Pełtew. »Żywsze zajęcie — czytamy u Pełowskiego¹⁾ — obudziły występy Malinowskiego w końcu maja b. r. Malinowski wystąpił tym razem jako Jaromir w *Matce rodu* i w tytułowej roli dramatu Kratiera *Podkanclerzy*. Rola Jaromira, która była popisową artysty, zyskał Malinowski, mimo braku zewnętrznych warunków (brakło mu postawy), także i we Lwowie należne uznanie; mniej pomyślnie wypadł *Podkanclerzy*«.

Tak brzmi sąd współczesnych o przyszłym dyrektorsze scen prowincjonalnych. Jeżeli w istocie występy jego z podobną spotkały się nad Pełtwią oceną — to pytamy: dlaczego Malinowski tutaj nie został, ale na Wschód, na poniewierkę powrócił? Jak pogodzić tę ocenę z ogólnikowo wypowiedzianem zdaniem, że się Lwowianom nie podobał?

Matka rodu Dobratyńskich najpierw ukazała się w Kamieńcu, by następnie długich lat szereg utrzymać się w repertuarze wszystkich scen polskich, i prowincjonalnych, i stołecznych. Dla wyjaśnienia powyższego faktu, przypomnieć z naszej strony konieczna, że głośną swego czasu i powszechnie znaną tragedję Grillparzera polskiej literaturze przyswoił popularny na Podolu i Wołyniu Stach z Zamiechowa, a właściwie Stanisław hr. Starzeński, i temu też przypisać należy, że pierwsi Podolacy nią się zachwycałi, posiadając w dodatku w swem gronie znakomitego wykonawcę głównej roli.

¹⁾ *Ibid.* I, 124.

Tak więc około r. 1820 obejmuje Malinowski zwierzchnictwo nad kamienieckim towarzystwem dramatycznym i bawi tu po rok 1838, w którym przenosi swoje lary i penaty na Wołyń do Żytomierza, jego zaś miejsce zastępują na Podolu inne »truppy«, walczące stale z brakiem niezbędnej w każdym przedsiębiorstwie gotówki.

* * *

Dr. Antoni J.¹⁾ twierdzi, że Jan N. Kamiński, wygrawszy proces z prawosławnym duchowieństwem cerkwi św. Jana, które pragnęło uzyskać zamknięcie budy teatralnej, gdyż ta oddaloną była nadto mało od świątyni, walczył bezustannie z biedą, zaglądał do Dubna, nawet do Odessy, w końcu zrzekł się dyrektorstwa na rzecz p. Moszyńskiego. Działo się to 1815 r. Miała to być dla teatru epoka najwdzięczniejsza, a mimo to nie robił on świetnych interesów, do czego chyba i gra artystów nie mało się przyczyniała. Konstanty Batiuszkow, chwilowy mieszkaniec Kamieńca, bardzo niepochlebne zostawił o nim wspomnienie. »Jest i teatr, ale jaki? Kiedy deszcz pada, widzowie bez parasolów obejść się nie mogą, wiatr świszczce we wszystkich kątach i wspólnie z pijanymi aktorami, z fałszującą orkiestrą tworzą harmonię nie arcyprzyjemną. Grają tylko tragedye *dans le grand style*, rzadko opery«. Pani Moszyńska, primadonna sceny podolskiej, rozbiła miłościnę na dwa wrogie obozy. Jedni jej nadto schlebiali, drudzy dokuczali i ganili na potęgę, a stan ten nie naturalny skłonił p. Moszyńskiego do ustąpienia miejsca Niedzielskiemu. W tym czasie zamieszkał w dawnej kresowej warowni Stach z Zamiechowa; staremu kawalerowi wpadła w oko i w serce jedna z artystek miejscowych, zbliżył się więc bardziej od innych do teatru i zaintere-

¹⁾ *Literacka drubyma* (Serya V).

sował się jego losem. Reżyserję sceny obejmuje właśnie Malinowski, który później — nie wiemy, jak prędko — zostaje jej właściwym dyrektorem. Na Podole przybywał on już z pewnem doświadczeniem, pierwaj bowiem — między r. 1805 a 1820 — kierował sceną kijowską, objawwszy ją po bankructwie Żmijewskiego, który — jak mówiliśmy wyżej nieco — był od r. 1798 po r. 1801 pierwszym dyrektorem sceny kamienieckiej. W r. 1821 ustąpili artyści polscy miejsca artystom rossyjskim. O Malinowskim wiemy, że mu nad Dnieprem rozmaicie się powodziło ¹⁾.

W Kamieńcu zajął się on z całą energią i z młodzieńczym zapalem teatrem sobie powierzonym. »Melodramaty z pirotechnicznymi sztuczkami usunął, naiwnie tłumacząc się przed publicznością, zamilowaną w szarmytlach tego rodzaju, że czyni to z obawy pożaru. Pierwszy utwory Fredry grywać u nas zaczął« ²⁾). Nie bez pewnej racji utrzymywano podobno, że i Starzeńskiego wpływ dodatnio pod tym względem oddziałał na Malinowskiego; doświadczył on od miłośnika sceny niemało przyjaźni i materyalnego poparcia, a w dodatku dla niego to specjalnie napisał Starzeński cały szereg wesołych krotoczwil, jak np. *Mania do wierszów*, *Cykuta*, *Bumaki przecięte* i t. d. Malinowskiego Kamieńczanie lubili i szanowali. Tak w sferach mieszczańskich notablów, jak i wyższych szlachecko-urzędniczych posiadał dyrektor wiele sympatyj. O uznaniu wyjątkowem świadczyły portrety artysty, które w niejednym dworze szlacheckim spotkać można było. Czas dłuższy mieszkał on u swego przyjaciela, aptekarza Krynickiego, wraz z którym zapisani byli na liście członków loży masonskiej, posiadającej czas dłuższy swoje *locum* przy ulicy Karmelickiej, w domu, należącym z kolei przez lat dwadzieścia do ś. p. dra Antoniego J. Do tej epoki

¹⁾ Estreicher j. w. T. I.

²⁾ Dr. Antoni J.: *Literacka drubyna*. Ser. V, 406.

pożytecznej a żmudnej pracy Malinowskiego na kamienieckiej scenie nie posiadamy wielu szczegółów. W pamięci nielicznych niedobitków z lat tak odległych pozostały jeno rysy ogólne; wspominają oni o Jaromirze, o monologu Gustawa; przechowali w zmęczonym swym umyśle dodatnie nader wrażenie gry kresowego artysty... i na tem koniec. Może niedostępne dla nas na razie zapiski lub pamiętniki coś więcej z czasem o Malinowskim powiedzą; jak dotąd, na ogólnikach poprzestać jesteśmy zmuszeni.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że między r. 1820 a 1838, kiedy właśnie przypadła epoka kamienieckiej działalności naszego artysty, i inne towarzystwa dramatyczne nad Smotrycz zaglądały. I tak np. w r. 1822 i 1826 bawił tu Kamiński, w r. 1829 Lenkowski z Kijowa. Zresztą mogło to mieć miejsce właśnie wtedy, kiedy Malinowski ze swoją drużyną miasto opuszczał. Smutna konieczność nie dozwalała im stale na jednym i temsamem przemieszkwać miejscu, uważając więc placówkę nad Smotryczem za stały punkt oparcia, robili ci biedacy wycieczki na jarmark czerwcowy do Jarmoliniec, gdzie właściciel miasteczka, p. Orłowski, chętnie zawsze witał wędrownych ptaków, umilających w sposób najodpowiedniejszy wieczorne godziny przybyłym ze stron wszystkich ziemianom; zaglądali na kontrakty do Dubna, skąd nawet aż po Kijów sięgali.

Sławne dubieńskie kontrakty już oddawna były kopalnią, jeżeli nie złota, to niechybnie srebra, a w najgorszym wypadku miedzi dla artystów polskich. Początkowo — idąc z duchem czasu — gościli u siebie księstwo Lubomirscy operę włoską; z kolei miejsce jej zastępują Bogusławski, Kamiński, a w końcu Malinowski, o czem we właściwem miejscu obszerniej nieco mówimy.

Dzisiejsze ułatwione środki komunikacyjne, pozwalające przenosić się — choćby najliczniejszym towarzystwom, wraz z garderobą, rekwizytami i dekoracyami — z jednego

końca Europy w drugi, kazały nam zapomnieć o tych nieprawdopodobnych trudnościach i przeszkodach, jakie czekały biednych aktorów w ich wędrówkach po Podolu, Wołyniu i Ukrainie, w pierwszej połowie ubiegłego stulecia. Olbrzymie budy żydowskie — nazywane jeszcze dzisiaj w tamtych stronach szumnie i po europejsku: dyliżansami — wypełnione koszami, pakami i kuframi, na których siedzieli, jak mogli i gdzie mogli biedni cywilizatorowie, wlokły się noga za nogą po znanych błotach podolskich, piaskach wołyńskich, lub przebijały się przez zasy pyłne. Sporo też trzeba było posiadać humoru i fantazyi, by po tem wszystkim odtwarzać typy książąt i królów, opływających w dostatki panów, mniej lub więcej szczęśliwych kochanków, jowialnych totumfackich i t. p. W listach Malinowskiego, które przytaczamy poniżej, przechowały się opisy owych przeżyć ciekawych, niemniej jednak smutnych. Kreślone bezpretensjonalnie, a mimo to z pewnym humorem i dowcipem, zainteresować potrafią dzisiejszych czytelników ¹⁾).

* * *

Pierwszy z nich opatrzony został datą 8 grudnia 1838 r., pisany z Żytomierza, dokąd, jak już wiadomo, Malinowski przeniósł się ze swoją drużyną:

»Donoszę na prędcę, co mogę. Naprzód, że miałem doskonałą sanna drogę do samego Ułanowa, leżącego o cztery mile od Berdyczowa; stamtąd psuć się zaczęło tak dalece, że ledwo mogłem się zawlec do tego ukraińskiego Amsterdamu, lecz jak z niego wyjechać, jak po gołych piaskach dostać się do Żytomierza? Po długiej więc

¹⁾ Listów tych jest cztery. Pierwszy i trzeci są własnością autora; pozostałe pochodzą ze zbiorów p. Władysława Górskiego na Podolu. Wszystkie pisane do regenta Sadowskiego w Kamieńcu.



sesyi ze swoimi berdyczowskimi kolegami, mój furman musiał nieco drogi nałożyć i powlókł mnie na Trojanów samemi lasami; nie koniec na tem... już pod samym Żytomierzem — nie chcąc przejeżdżać rozmarzniętej rzeczki Kamionki dlatego, jak się tłumaczył, aby rzeczy moich nie zamoczył — włóczył mnie jeszcze naokoło miasta po dołach, lasach, wertepach, nakoniec przeprawił się przez jakiś zamarznęty stawek i w ten sposób przeszło 7 wiorst drogi nałożył. Proszę teraz wyobrazić sobie niecierpliwość moją, widzieć miasto przed sobą oddzielone małym strumykiem, mogąc stanąć w domu lada chwilkę, a przeszło godzinę męczyć się niepotrzebną jazdą. Zmęczony podróżą, wpadłem, rozumie się, w zły humor, krzyczałem na furmana, ale to nic nie pomogło, jechał swoją drogą, zatknąwszy uszy na moje hałasy. Stawam wreszcie przed gankiem, wszystkie dziewczęta ze starą kwoką wybiegają naprzeciw mnie z radosną wrzawą, ale kiedy zły humor na nos mi wsiędzie, nielatwo spędzić go można; huknąłem więc groźnie na mego Fiedora, aby mnie wypakował z budy, jak śledzia z beczki, bo trzeba wiedzieć, że tłumok z memi manatkami leżał mi na nogach dla ciepła. Kiedy dziewczęta usłyszały mój głos grzmiący, kiedy zobaczyły pioruny na mojem czole, wszystkie drapnęły nazad, jakby je kto wymiółł; wchodzę do mojej stancyi, znajduję ją zimną, jak lodownia, to pogarsza mój humor, pomnaża gderanie, lecz po długich dąsach i gniewach, widząc, że ciepła nie dodają, zacząłem się nieco uspokajać, rozpląciłem się z furmanem i odprawiłem go do wszystkich dyabłów; potem przetarłszy czoło, żeby trochę gładszem było, poszedłem naprzeciwko do mojej czeredki; przywitania z obu stron były szczerze i przyjazne, a komis względem całuska natychmiast wykonany został, bo nie lubię powierzającym mi interesa robić zawodu, lecz kiedy nazajutrz chciałem tę samą operację powtórzyć, protestując się uroczyście, że mi codzień powtarzać ją za-

lecono, zostałem bardzo grzecznie, z wdzięcznym uśmiechem i delikatnym popchnięciem rączki odtrącony, a tak ukarany za korzyść, którą sobie z mojego kłamstwa obiecywał. Furmani z moimi pakami wlekli się, jak żydzi do ziemi obiecanej; trzeciego dnia po ich wyprawieniu wyjechałem, a napędziłem o dziesięć mil od Żytomierza, i po moim przyjeździe dopiero trzeciego dnia stanęli, przez co wszystkie jabłka moje pomarzęły, bo długo na mrozach były, które, jak na moje udręczenie, codzień się powiększały, lecz nie mogąc furmanom procesu formować za mrozy, zapłaciłem im do grosza. Aktorowie w czasie mojej niebytności dawali widowisko, które bardzo się podobalo; JW. Gubernator, marszałek Iliński i inni przyszli do nich na teatr z oświadczeniem zadowolenia i przyrzeczeniem niezawodnych funduszków na utrzymanie tutejszej sceny, lecz obawiam się, aby to tylko nie była komedia pod nazwiskiem *Pańskie obietnice*, obszedłbym się bez niej, bo mam podobną w mojej bibliotece. To jest wszystko, co na prędce donieść mogłem...«

»P. S. Powlekła się stąd połowa bandy polsko-ruskiej do Kamieńca wyprawiać komedye i znowu jakiego żyjącego poetę gwałtem umorzyć, a nakoniec siebie samych...«

Takiem jest brzmienie listu pierwszego. Wnioskować zeń można, że pod koniec 1838 r. Malinowski zamienia Kamieniec na Żytomierz. Nie wypędziła go na Wołyn z pośród otoczenia, w którym wielu liczył życzliwych i przyjaciół, jakaś fantazya lub zachcianka, nie było to następstwem zwykłej nawyczki do cygańskiej włóczęgi, ale smutna konieczność, najprozaiczniejsza gonitwa za kawałkiem chleba, którego już na Podolu na dobre braknąć zaczynało.

Opieka Starzeńskiego długo podtrzymywała byt sceny; wspomagał ją również gubernator Łubianowski, ale ten zbyt krótko bawił w Kamieńcu, żegnany przez artystów



jscowych kantata, umyślnie na jego cześć przez dyrektora napisaną, a Starzeński znowu musiał wrócić na śródk, by tam interesa uregulować, w dodatku i czasy niekiedy kazały ruchliwszym jednostkom o innych myślnych sprawach.

Malinowski w ciąglej walce o chleb codzienny zgorzał; rachować się z groszem nie umiał, często go więc kowalo, a to wszystko doprowadziło go do wielkiego drażnienia; miał żal do społeczeństwa, do księży, słon do całego otoczenia. Kaznodzieja katedralny, ks. Zamyski, też stanął do walki, wygłosił kazanie o szkodliwici teatru; Malinowski odpowiedział satyrą, a gdy ta pomogła, zwrócił się ze skargami do biskupa, do meolity, a nawet do ministra wyznań, wytaczając równośnie owemu księdzu proces.

Cała ta bezkrwawa, mocno jednak zaogniona wojna, eba nie dawała, długi z dniem każdym rosły, biedny ektor z miejsca ruszyć się nie mógł, poczcziwa więc estra urzęda dla niego amatorskie przedstawienie, re przynosi 7.000 zł. dochodu. Ten fundusik na chwilę egnął biedę. Malinowski zrzeka się dyrektorstwa w Kańcu i rusza w świat szczęścia próbować¹).

Jak można się domyślać z listu, pan dyrektor pchnął locznie przodem swoją gromadkę artystyczną, a sam -- atwiwszy w Kamieńcu ważniejsze interesa, pożegnaw-swoich drogich i kochanych, ugłaskawszy natarczywch wierzycieli — wlażł na sanie żydowskie, przykrył ciepła nogi tłumokiem, otulił się w co mógł i jak zł, i tak uzbrojony przeciw atakom niemilosiernych zów, do Żytomierza pospieszył.

Czy pańskie obietnice nie skończyły się i tym razem obietnicach tylko? może odpowiedzą nam następne listy linowskiego. Zły i skwaszony, odżył dopiero, dostawszy

¹ Dr. Antoni J.: *Literacka drusyma*, j. w.

się między swoje bohaterki, naiwne, charakterystyczne i epizodyczne, którym przywoził od ich kamienieckich wielbicieli ukłony i nietylko ukłony, przypuszczamy bowiem, że Imć pan Regent nie stanowił w danym wypadku unikatku, że inni Podolacy obarczyli również odjeżdżającego dyrektora tak przyjemnymi dlań poleceniami.

* * *

Drugi list Malinowskiego, o wiele obszerniejszy, wysłany został z Żytomierza 12 maja następnego roku:

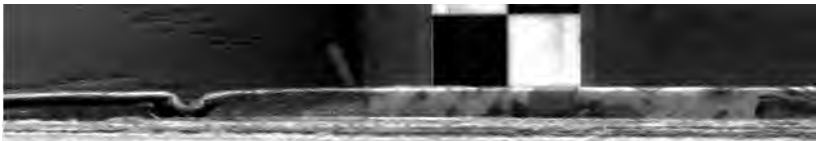
„...Zaczynam androny pisać. Mój teatr idzie jak zegar zrujnowany, a tym, co go podreperować przyrzekli, brak na chęci i funduszach, często więc staję, koła rdza powlekać zaczyna, ledwo się już ruszają. W karnawał szedł lepiej, lecz na wiosnę znowu bałamucić zaczął — w istocie benefisa aktorskie liczne i pieniądze były, ja grałem dla siebie *Piąty akt*¹⁾, dosyć się podobał, jak na żytomierską publiczność, która wcale nie jest literacką i chętniej widzi całą litanię na afiszu, a na scenie tłok cymbałów, niż dobre dzieło w kilka dobranych osób. Nas wszystkiego czterech mężczyzn, prócz suflera, i kobiet. Mieszkamy wszyscy w jednym domu, który śmiało uważać można za dom waryatów, bo trzech moich kolegów: Łukaszewicz, Józefowicz i Pokrasa, rażeni miłości szaleem, dokazują komedye, każdy w swoim guście... Jakoś Bóg miłosierny łaską przenajświętszą zachował mnie dotąd od tej epidemii i drugiego suflera, który będąc z cicha pęk, zbiera tylko wzorki z panów romansowych, a potem do-

¹⁾ J. Korzeniowskiego wspomniany dramat w I akcie ukazał się w druku po raz pierwszy u Zawadzkiego w Wilnie, w dwutomowym wydaniu p. t. *Dramata i komedye mniejsze*, w roku 1845—1846, widocznie więc w Żytomierzu grany był z przepisane go egzemplarza.

skonale ich paroduje, z czego ja z mojemu pannami śmiejemy się do rozpuku; lecz śmiech śmiechem, a w rzeczy samej niekiedy na płacz się zanosi.

»I tak Pokrasa zaszargał się nieborak po uszy w Lucynie, lecz gdy ta obojętnie to przyjmowała, groził jej, że się otruje, pokazywał pannie nawet noszoną przy sobie flaszeczkę z jakimś płynem — zapewne z barszczem — a kiedy i to nie pomogło, przedsięwziął powoli zniszczyć siebie w nadziei, że okrutne serce zmiękczy się, a oczko leżkę uroni. Jakichże do tego używa środków? Oto stara się zamrozić. Osobliwszy pomysł, szczupak zimą zamrożony dla konserwy... bardzo dobrze, ale kochanek zamrożony, wątpię, żeby której przydał się na co. W czasie więc najcięższych mrozów, przeszło 20 gradusów, jakie tu z początku marca panowały, związał się ciągle po mieście, po trzy godzin bawił w kościele i to w jednym surduciku, wiatrem watowanym. Dopusćmy, że nie miał płaszcza, ależ miał wzór ze mnie, który po stracie mojego anim nosa nie wytknął za drzwi. Krótko mówiąc, dostaje pleury, siłą młodości walczy z nią blisko trzech niedziel, mimo srogich kolek w boku; koledzy chcą wezwać doktora, lecz nieszczęsny Werther woli umrzeć, niżli żyć niekochanym; ja, który prawie zaklejstrowany w mojej stancyi siedzę nad książkami, ani wiem, jaki pożar drugą połowę domu pochłania. Wprawdzie to nie bardzo chwalebnie na gospodarza, ależ Bóg żywy! ja nie mam ochoty być gospodarzem waryatów! Niech się więc nikt nie dziwi, że ich zostawił samopas. Trwało to aż do pierwszego dnia Wielkiejnocy; zesłiliśmy się wszyscy do jednej sali dla *Chrestomanija*. Pokrasa, który dosyć był rzeźwy i wesół, raptownie chwieje się, pada, nagle bladość twarz mu okrywa, a krew rzuca się płatami z piersi. Trwoga wszystkich ogarnia, wezwany doktor oświadcza, że chory w najniebezpieczniejszym stanie, lecz bierze się szczerze do leczenia i w kilka dni z wielką naszą radością przyprowadza

go do sił, ale czy koniec na tem? oho, proszę słuchać dalej. W czasie choroby swojej ustawicznie wzdychał i płakał, a taka irytacya tamowała bieg leczenia, wzmówiliśmy więc w biedną dziewczynę, aby dozorowała nad nim, aby choć powierzchownością ugłaskała głupca; jakoż w istocie prawdziwą była dla niego szarytką; bandaże, kataplazmy, leki, mikstury, pigułki, wszystko to pod jej było wydziałem, lecz skoro przyszedł do zdrowia, ta nieszczęsna, prostoduszna, znudzona przybraną maską, zrzuciła ją i w dawnej pokazała się postaci. Cóż ten waryat robi? ledwo z łóżka wylazł, ledwie kra spłynęła, biegnie do rzeki kąpać się... *nb.* miał zamiar utopić się, lecz skończyło się na splukaniu, a gdy mu niedosyc gorąco było, wypija trzy butelki najcieńszego octu i dostaje daleko silniejszego krwotoku, niż pierwszy. Krzyk, hałas, trwoga, tembardziej, że chłopiec z innych względów niewymownie dobry, pracowity, pilny, użyteczny i przy szczupłym towarzystwie nieodbitnie potrzebny — dalej-że więc znowu po doktora... Przybywa, pyta o przyczynę, ukrywamy, aby się nie zrażał, lecz — mimo widoczne nieukontentowanie — bierze się znowu do leczenia i przy pilnej usilności podreperował go na nowo, ale i tu nie koniec. Ledwo oddechany powtarza dawną komedję, bierze się znowu do octu, konfiskują kontrabandę, lecz zapóźno, bo krew już wyrzucać zaczął. Żywo po doktora, przybiega... Chory odwraca się do ściany, gadać z nim nie chce, żadnych leków przyjmować nie myśli i tylko śmierci wzywa. Doktor zmieszany, wszyscy potrwożeni, biedna Lucyna płacze, że jest niewinną przyczyną nieszczęścia, ja hałasuję w drugim pokoju, że moim obowiązkiem gospodarskim oskarżyć go jako samobójcę, lub związać i do szpitala waryatów oddać — wszystko to napróżno, nadzieja stracona... już... już umiera. Niechże kto będzie mądry, zgadnie, co mu duszę na ramieniu prawie zatrzymało? Jedna rola; właśnie następowała sztuka, gdzie miał rolę, do której był zapalony



świadczał, żeby jej nikomu za żadne nie odstąpił piedze. Kobiety ruszają conceptem, radzą mi, abym na ryszłą niedzielę ogłosił tę sztukę i nominował głośno ndydata do roli. Że nie było komu, na prędce pakuj flerowi... bravo! sztuka gotowa, gramy w niedzielę... óżby uwierzył, chłopiec do żywego tknięty, wzywa Zielskiej, porywa jej ręce, skrapia łzami, przeprasza, przyśka więcej głupstw nie robić, lekarstwa przyjmować z najmia, że czuje się na siłach odegrać za parę dni tę ę. Zielińska obiecuje mu, że inny grać jej nie będzie l warunkiem, aby nadal miał więcej rozumu; przyrzekł wprawdzie, lecz wątpię — rozum z miłością, a jeszcze c szaloną, nigdy za pan brat nie bywa. Tak więc biej chłopczyna, co dla kochania chciał umrzeć, dla roli być zapragnął. Pytam się teraz, która mu z nich ęższa?«

»W istocie przyszedł do zdrowia, lecz mocno na siłh osłabiony, a doktor nie czyni nadziei, aby mógł dalej l rok pociągnąć. Pokazuje się stąd, że marzec dobry t dla wyrobu piwa, wódek, wędlin, lecz nie dla aman- r i dlatego to zwykle marcowi kawalerowie, jakkolwiek ni na oko, w gruncie dyabła warci. Cóżkolwiek bądź — zuciwszy żart i romans na stronę — czy jeszcze od- żyysz się mierzyć ze mną w nieszczęściach?... Bo pro- ; ledwo z wielką biedą pozbyłem się takich, co zalewali wódką, lichoz mi nadało takich, co zalewają się octem... tu oszaleć potrzeba«.

»W takie to wśród tutejszych borów popadłem osieki, ędzy którymi — jak niedźwiedź ogłuszony przez cyga- w — ledwo się już obracam, o czym ci, podług życze- . twego, donoszę, a jeśli odretwienie, o którym wspomi- sz, nie zagłuszyło do szczętu uczuć przyjaznych, west- niesz nad przygodami memi i zawołasz wielkim głosem e po cichu): »O głupcze, na coś nas i Podole opuścił!« - sztuk w karnawał odegranych, najlepiej do smaku

przypadła pod nazwiskiem: *Dziesięć lat sycia kobiety* (może kobiety?); w rzeczy samej robi ona większe wrażenie, niż mogłem się spodziewać; w kilka dni musieliśmy ją powtarzać i teatr był, jak wprzód, licznym napelniony widzem. *Tyrolczyków* i *Dożywocia* nie graliśmy dotąd dla braku osób... Graliśmy niedawno *Episa* (?); bardzo się podobał, szczególnie Emilka i Teresia wielki tryumf odniosły.

»Staram się przez przyjaciół o jarmark Jarmoliniecki; radbym tam być, abym uściskać mógł tych, których kocham i szacuję, lecz jeśli dziedzic pozwoli mnie tak obedrzeć, jak przeszłego roku, to mimo najgorętszych chęci, na miejscu kawęczyć wolę. JW-ny Gubernator przy pierwszym widzeniu się ze mną grzecznie się przywitał; wyrzekł, że znowu los w jedno miejsce nas sprowadza, ciągle okazuje się grzecznym dla mnie, nawet oświadczył, że przyłoży starania dla zrobienia mi abonamentu. W ogólności wszyscy są kontenci z niego.

»W pierwszy dzień Zielonych Świąt gram na mój dochód *Andromakę*. Teatr tutejszy, jakkolwiek okazały na oko, wewnątrz szkaradnie zrujnowany, szczególnie co do dekoracyj. Nie lękam się tak bardzo ognia, bo ciągle latem i zimą woda pod teatrem stoi, co go niezmiernie ochładza, odwilża i płomieniom niedostępnym czyni; wreszcie nie mieszkam w nim, a w Kamieńcu szło mi o to najbardziej, abym sam nie zgorzał, bo jakby mi przykro było zgorzeć ogniem pospolitym, kiedy całe życie płonąć romansowym, ocalałem szczęśliwie i choć jeszcze tlą iskierki, lecz bez uszkodzenia. Ale, ale, radziłeś, że jeśli mam co względem siebie sekretne donieść, abym na osobnym karteluszkę pisał, lecz nie chcąc obciążać listu, piszę na jednym papierze. Wszak można zamilczeć to przed drugimi, lub wreszcie ten kawałek nożyczkami wystrzyż. Oto wyznam otwarcie, że nie uszedłem, jak wyżej pisałem, powszechnej w domu naszym zarazie; subretka moich panien zawróciła mi głowę i już nie śartem zacząłem

brać się do niej, ale... różne okoliczności... rozum... zdrowe uwagi... a najbardziej, że... że nie mogłem ujść oczu argusowych, ze wszech stron mnie śledzących... dałem do licha pokój temu utrapieniu. Jednak proszę to mieć w głębokim sekrecie, bo człowiek nierad przyznawać się do niemocy... do niemocy umysłu, chyba tylko przed zaufanym przyjacielem.

»Co do wiadomości gospodarskich, lubo najpożądane mogą być dla wieśniaka, ale ja, mało oswojony z niemi, donoszę tylko, że żyto na targu po zł. 10, pszenica po zł. 20, bułka chleba 15 groszy, jaka w Kamieńcu za 5, słowem wszystko prawie w trójnasób droższe, mimo to jednak wielka między Bożym ludem golizna, a szczególnie nas chwyta się ta zaraza i właśnie w tem podobieństwo ma z cholera, że mocniej uderza na tych, których kanały finansowego życia zawsze są w stanie wysuszenia. Oto są wszystkie wieści, któremi zasilić mogę ciekawość twoją; nie wiem, czy osiągnę ten skutek i gdyby na atlasie były pisane, możebyś powiedział: szkoda czasu i atlasu... Szczęście, że na papierze, może nie dobierzesz rymu...«

Zakończenie listu natury prywatnej, jako mniej ciekawe, opuszczamy. Maluje on nam w wyrazach prostych, w zwrotach i zdaniach zwyczajnych, nie ociosanych po literacku, codzienny żywot owej artystycznej gromadki, której i w Żytomierzu szczęście nie bardzo się uśmiechało. Obietnice pańskie najniechybniej zawiodły, brakło Wołyńiakom »na chęci i funduszach«, a choć oklasków i moralnego uznania nie szczędzono widocznie, nie nasycą one i nie napoją zgłodniałych i spragnionych; w dodatku i nadto szczupłe gronko nie pozwalało przedstawiać sztuk, liczniejszego wymagających personalu, stanowiło tamę wprowadzaniu na scenę »stu cymbałów«, co się prowincjonalnej publiczności zawsze tak bardzo podoba, co w jej przekonaniu świadczy o wartości trupy. Repertuar Mali-

nowskiego, co prawda, nie bardzo wybredny, trafiał atoli do gustu wołyńskich widzów, a zresztą i inne, większe ówczesne sceny nie o wiele wyprzedzały w tym kierunku kresowych artystów.

Wzmiankowana w liście pani Eufrozyna Zielińska na obszerniejsze i cieplejsze zasługuje wspomnienie. W roku 1860 święciła ona w Kamieńcu uroczyste złote ze sceną śluby, i w 1839 r. musiała więc należeć już do najstarszych osób personalu Malinowskiego, gdzie, zdaje się, pracowała wraz z córkami. Na ostatni, jubileuszowy występ w stolicy Podola, wybrała sobie Zielińska rolę *Pani Kasztelanowej*. »Mimo lat sędziwych — zapisuje Estreicher ¹⁾ — nie opuściły ją ani zapał, ani talent. W uznaniu tego, publiczność miejscowa i szlachta zebrana w czasie wyborów, ofiarowali jubilatce wieniec laurowy srebrny, zarazem jeden z artystów odczytał wiersz wystosowany do niej«. Zielińska utrzymywała teatru tulacze przez lat kilkadziesiąt, przebiegając bezustannie z jednego końca południowo-zachodnich gubernij w drugi, i wieniec więc laurowy należał jej się zupełnie słusznie tak, jako zdolnej i dobrej artystce, jak również starannej i troskliwej przedsiębiorczyni, która, mimo zawodów i niepowodzeń, rąk nie opuszczała, krzewiąc, ile sił jej starczyło, zamilowanie do ojczyściej sceny. O ile z listu, przytoczonego powyżej, domyślać się wolno, owa biedna panna Lucyna, ku której nieszczęśliwy Pokrasa tak niebywałym zapałał afektem, była właśnie córką Zielińskiej, gdyż w przeciwnym razie dla czegóżby winny miał właśnie p. Zielińskiej przyrzekać, że głupstw więcej powtarzać nie będzie. Choć Malinowski może i słusznie nazywał swego najmłodszego towarzysza waryatem, mimo to przyzna każdy, że dziwnie pięknie przedstawia się ów zapał do sztuki, co młodziutkiego Pokrasę — nie wiemy, na jak długo — na nogi postawił.

) *Teatra w Polsce*. I, 100—101.

I jeszcze jedno pytanie. Malinowski donosi w liście swoim o powodzeniu pańien Emilki i Teresy. Czyżby i one miały być córkami Zielińskiej? Że nią była ostatnia, nie można prawie wątpić po przeczytaniu końcowego ustępu następnego listu dyrektora, choć zdawało nam się przez chwilę, że mowa tu o pannie Teresie Józefowiczówniej, którą w latach następnych Kamieńczanie zaliczali do bardziej utalentowanych swoich artystek.

* * *

Nadchodziły kontrakty dubieńskie. Wspominaliśmy poprzednio, że Dubno było niejednokrotnie dla kresowych artystów złotem jabłkiem; Malinowskiemu i ta nadzieja nie dopisała, o czem sam najdokładniej i najwierniej opowiada w swoim trzecim z rzędu liście, wysłanym z Żytomierza 4 marca 1840 r., zawsze do tego samego pana regenta Sądu głównego podolskiego w Kamieńcu.

»Chcesz wiedzieć, co się ze mną działo od wyjazdu z waszego domu w przeszłym roku. Pomijam już o podróży, o bryczce, którą dostałem w darze od moich łaskawych Podolaków. Pomijam o mojem tu powodzeniu, o pańskich obietnicach, których zawsze pełno, a skutku, jak zwykle, żadnego, bom to wszystko w tamtym liście opisał, który może jeszcze jakim przypadkiem odbierzesz kiedy; pozostaje mi tylko donieść o mojej wyprawie po złote runo do Dubna. O przyjacielu! dla kogo i na śniegu róże kwitną, dla mnie latem i zimą tylko ciernie wyrastają; depcę po nich z odwagą, póki jeszcze podeszwy całe, ale jak przyjdzie kiedy bosą nogą deptać, nie wiem, czy nie zabraknie mi odwagi. Oprócz wszystkich stawiających mi się przeciwności, nazywam jeszcze cierniami, bo tak nazwać wypada, owe czeze oklaski, okrzyki, pochwały, co tylko bodząc próżność naszą, nie zapełniają próżności kieszonek, co, jak dym przemijając, zostawiają po sobie zamęt

głowy i gryzące łzy w oczach.. W istocie nadzieje nasze, trudy, starania z owym dymem uleciały, a ja i moi argonauci, jakeśmy goli wyjechali, tak goli wrócili, bo licha korzyść niewarta wspomnienia. Krótko mówiąc, wzięliśmy wogóle 912 rs., a zostało nam się korzyści ledwo 160 kilka, resztę pożarzy wydatki.

»Bierze mnie jednak chętka opisać niektóre szczegóły, tyżące się tej podróży — nie lękam się znudzić, bo koniec końców zaśniesz, a wiem, jak chętnie ulegasz przewadze snu i pewnie go z wstrętem nie odepchniesz od siebie, czytaj więc póki nie zaśniesz, a obudziwszy się — dokończ.

»Naprzód. Dla drogi kopnej, pełnej wybojów, wlekiśmy się pięć dni i jedną całą noc do Dubna. Ledwośmy przybyli, w parę dni lunął deszcz i przeszło tydzień lał jak z konwi, co wiele uszkodziło dochodom naszym, bo dla złej drogi szlachty prawie nie było, zjechała się tylko poblizsza magnaterya, której duszę zbytek przesycenia zubożył na piękności samej natury, cóż dopiero na jej obrazy, sztuką wydane. Przecież raczyła odwiedzać mój teatr i zdawała się być niezmiernie zadowolona. Na jej żądanie musiałem powtarzać niektóre sztuki Fredry i z Teatru Rozmaitości.

»Powtóre. Dyabli wnieśli wprzódy jakichsi kuglarzy, co włócząc się zwykle pod imieniem aktorów, dziwne dziwa i szkarady pod jego zasłoną wyrabiają; z tem wszystkim p. policmajster przyznając im pierwszeństwo podług zasad prawa: »Kto pierwszy zajędzie, ten miele«, zniewolił mnie do odstąpienia im dni kilku wśród samego zjazdu, trafiając do mnie ze słabej strony:

— Czy podobna, aby p. Malinowski, o którym slyszalem, że jest szlachetnego umysłu i dobrego serca, nie miał litości nad tymi biedakami?

— Ja?... Jabym ich w błocie potopił, tam ich legowisko! Każdy biedniejszy odemnie ma prawo do mego



serca, ale ci, co mój zawód upadlają, kiedy ja wszystkie siły nateżam, abym go uszlachetnił.. ci nie warci prócz pograżenia ich w błocie, którym się ciągle mażą tylko, a utonąć w niem nie mogą, aby ich ślad na zawsze zaginał.

»Później przekonał się sam policmajster i żałował swojej protekcyi, ale już po niewczasie, bo i ja widowisk w te dni nie dawałem, i oni — mimo ohydneho żebractwa, z jakim natrętnie czolgali się u progów przybyłych obywateli — swój teatr zamykali; co więcej, że kiedy już bezczelnemu ich natręctwu oprzeć się niepodobna było i prawie narzucone gwałtem przez nich bilety musieli dla odczepnego brać panowie, darzyli nimi swych lokajów, stangretów, kucharczów, lecz i ci, przychodząc do naszego kasyera z tymi biletami, oświadczaali, że choć mają do tamtego teatru od swoich panów bilety na pierwsze miejsce, przecież wolą być u nas na ostatniem, byle za tańszą cenę, niż zwykle. Co do brudów, jakimi ci Ich Mość nieszczęsny nasz zawód oszpecali... wzdrygam się pisać... dość, że wasi nawet kamienieccy w tej sztuce ledwo proch z ich łapciów otrząsać godni. Biada! uczciwemu człowiekowi, któremu szaleństwo młodości imię aktora narzuci, a los go zmusi włóczyć się po prowincyach i walczyć z tą trzodą kryjących się pod maską Talii oszustów. Ale kończmy«.

»Po trzecie. Jak zwykle, wleką się przedemną i za mną wszystkie przeszkody, tak i dubieńską uścieliły mi drogę; od lat kilkunastu w czasie kontraktowym nie znano tu innych zabaw prócz teatru, a w tym roku i kasyna, i pikniki obywatelskie, i wieczory muzykalne, i woltyżery, i linoskoki, wszystko to nawałem zbiegło się do Dubna, licząc w to jeszcze wieczory grom hazardownym poświęcone, gdzie — wbrew utyskiwaniom na ogólny niedostatek, nadzieja polatania go wymawia zagorzałość marnotrawstwa.. mimo jednak tych przeszkód 17 dałem widowisk,

i nie można przeczyć, żeby Dubno w takim czasie nie było korzystnem dla teatru, ale trzeba szczęśliwszego ode-
mnie«.

»Po czwarte i ostatnie. Młodość i niedoświadczenie moich dwóch parlamentarzy, których przodem wyprawi-
łem do księcia i dla zbudowania teatru, nagromadziły mi
stos niepotrzebnych wydatków. Dla rzadkości, muszę tu
wprowadzić moją rozmowę z jednym z nich, który w każ-
dym względzie wybornym jest chłopcem, ale tyle ma dzie-
ciniego roztrzepania, że prawie w karykaturę przechodzi;
z końca następnej rozmowy osądz, czy zmyślam. Naprzód.
Ledwo przyjeżdżamy dobrze już w noc do Dubna, a fur-
mani nie znając domu, gdzie nasz teatr, błędzą po uli-
cach, słyszę zdaleka wrzaskliwy głos: »To nasi! nasi! Tu!
tu zajeżdżajcie!« Był to głos jego, który w cichej nocy
rozległ się po mieście, jak z tuby Maryny; wnet zleciała
się rzesza z różnych stron ciekawych żydów, zgiełk,
wrzawa, hałas... »Kikste her, kikste, a komediantes, a Ży-
tomir, a Malinoskies!« Znękany, złamany, stłuczony, sie-
dząc w budzie, jak Diogenes w beczce, i śmiać się i gnie-
wać musiałem. Zajeżdżamy nareszcie przed krużganki
świątyni Melpomeny, żydowską pokrytej jarmurką; ledwo
wydobyć się mogąc z mego legowiska, radbym co prędzej
dowiedzieć się o głównym stanie interesów, potrzebaż i tu
nieszczęścia trafić mi naprzód na niego.

— Jak się macie? co tu słyhać? czy wszystko
dobrze?

— Wszystko jak najlepiej, książe nas przyjął z otwar-
temi rękoma, pozwolił stawić drugi teatr, przyrzekł swoją
pomoc i protekcję.

— A teatr już gotowy?

— Już, tylko dekoracye zawiesić, jutro grać można.

Zelgał Nro primo, bo jeszcze trzy dni przy mnie koło
teatru robiono, jeszcze drzewo zwozili i ledwo nieledwo
moje nieustanne gderania ukończenie przyspieszyły.

— Gdzież jest kontrakt? — zapytałem. — Chciałbym go obaczyć.

— Jest... gdzieś... w stoliku... między papierami... znajdę go później. Podpisany już przez nas i żyda.

— A w policyi zajawiony?

— Oho, jabym się nie dopilnował...

Zelgał powtóre; kontraktu ni z początku, ni później, ni na końcu w oczy nie widziałem i szczególniejsza Opatrzność Boska, że żyd w ostatku nie urościł jakiej pretensyi, wyjąwszy za stancję, którą musiał nająć w innym domu dla żony i bachurów swoich.

— A nie będzie czasem jakiej przeszkody ze strony policyi i tych drabów, siedzących tu pod imieniem aktorów?

— Rzecz skończona, czyniłem ich entrepreneurowi takie a takie propozycje, ale ich nie przyjął.

— I chwała Bogu, że nie przyjął, bo byłyby zabójstwem dla nas. Ale po co było wchodzić z nim w ugodne punkta? Alboż wyrobił sobie u księcia monopolium na teatr? Kiedy przeciwnie, ksiązę pozwolił nam drugi budować.

— Ale... bo to... wyobraź sobie pan... to tak... widzisz pan... aby go odstraszyć... Policmajster sam rozgniewał się na niego i pozwolił nam codzień grywać.

Zelgał po trzecie. Ten cymbał wcale się nie odstraszył, bo nie miał czego, owszem, to uzuchwaliło w nim nadzieję, że się my jego zlekniemy, bo punkta były dla niego najkorzystniejsze, i powtóre cymbał, że ich nie przyjął, a policmajster — jak pisałem — wymógł na mnie odstąpienie dni kilku.

— Mamyż stancje porządne? Kuchnia wygodna?

— Wszystko, jak potrzeba. Pięć apartamentów obszernych; można będzie rozlokować się wygodnie. Jeden dla pana i na garderobę, drugi dla kobiet, trzeci na bufet, a dwa dla nas; do tego wielka kuchnia, gdzie mogą razem mieścić się nasi oficyaliści.

Zelgał po czwarte. Zamiast pięciu apartamentów, w trzech izbach, dobrze naczosnkowanych i okopciałych, mieścić się wszyscy musieli, kuchnia wielka, prawda, ale prawie na dworze, bo w stajni, jak zwykle w zajezdnym domu, tak dalece, że kucharka nie mogąc tam znieść zimna, mimo ognia, bo — choć z przodu grzało — z tyłu marzło, musiała w trzeciej izbie, gdzie aktorowie stali, na kominku jeść parzyć; niedość na tem: obok panińskiej stancyi, w drugiej, na bufet przeznaczonej, żyd zagroził sobie komórkę, gdzie ze swojemi antałami wódczanemi i be-bechami rozłasował się bez ceremonii.

— Po cóż — mówię — żyd gnieździ się w bufecie? To nieprzyzwoicie; czy ma sobie to zawarowane kontraktem?

— Właśnie... jabym na to zezwolił... dziś, jutro wyprowadzi się... prosił tylko tymczasem...

Zelgał po piątą. Żyd cały czas kadził w bufecie cebulą, wódką etc. Mocny ten aromat, cisnąc się szczeliniami starej ściany do stancyi biednych moich panien, takiego ich nabawił zatkania w nosach, że ledwo oddychać mogły, a buzie aż pośniedziały. To jeszcze nie koniec. Skoro świt, zaczynał żyd swoje boruchy i do południa bębnił nad ich uszyna; z południa znowu do wieczora nucił melodyjne majufes; słowem, że te niebogi, zmęczone rolami, nie znalazły prawie chwili spokojnej, aby zasnąć mogły.

— Gdzież są dwie stancye dla was, kiedy w jednej z nich kwateryją junkry?

— O, to nic nie szkodzi. Żyd zobowiązał się ich wyprowadzić, a deputat kwaternicznej komisji NN... a! co to za grzeczny człowiek... najdalej do jutra obiecał ich przenieść na nową kwaterę.

— Ale czy zgodzi się na to policmajster? wszak jest prezesem komisji.

— O, zgodzi się z całego serca. Deputat z nim *bruder*

a bruder, inaczej nie rozmawia, jak położywszy rękę na jego ramieniu.

Mówiąc to, wsparł się na moje ramię. Myślę sobie, znać aktora, bez akcji ani rusz.

— Jeśli junkry — rzekłem — nie wyjdą, będzie dla panów ciasnota i trudność w uczeniu się ról, jak zaczniecie wszyscy razem barabanić. Wreszcie niezdrowo, atmosfera zanadto zgęszczona...

— Ale wyjdą junkry, wyjdą niezawodnie, sami tego pragną... Nie uwierzysz pan, co to za dobre chłopcy!

Zedłgał po szóste, po siódme i po ósme. Dobre chłopcy wyjść nie chcieli, mimo najmowania dla nich stancyi przez nas, bo kwatery zmienić im nie pozwolono. Ów grzeczny deputat był niegrzeczny, a policmajster mimo uszu puścił prośby nasze.

— Gdyby już prędzej dnia doczekać, niecierpliwy jestem obaczyć, jakeście teatr urządzili.

— Oho, proszę tylko obaczyć, jeszcze Dubno nie miało takiego teatru.

W tem miejscu porywa świecę ze stołu i prowadzi mnie do tej stodóły. Jakkolwiek obszerna i jedną świecą niepodobna całej oświecić, idę jednak za moim przewodnikiem i ile dojrzeć mogłem przy jednej świecy, postrzegam niekształtność, niezgrabność i zbytek niepotrzebnie użytego materiału.

— Widzę — rzekłem — tarcie mnóstwo bez potrzeby użytych.

— To nic nie szkodzi, kiedy nam dają bez pretensyi czy całej, czy popsute oddamy, wreszcie bądź pan spokojny, ja ręczyłem za drzewo moim majątkiem.

Zamknął mi gębę, ale myślę sobie: niewieleby właściciel odwetował na spłóviałym szychu i wytartych galonach. Powątpiewając zawsze o tem, co mówił, rzekłem:

— Daj Boże, aby to wszystko dobrze się skończyło.

— Bądź pan spokojny, wszyscy nam sprzyjają; po-

licmajster sam oddał nam wizytę, oświadczał się z życzliwością, był nawet u nas na śniadaniu z deputatem i sekretarzem.

Pierwszy raz powiedział prawdę, która się nam dobrze uczuć dała na ostatku przy ogólnym obrachunku; musieli zajadać solennie, bośmy solennie za to śniadanie zapłacili.

— Może i nie stracimy — odezwałem się — jeśli książę zechce nas protegować.

— O, nietylko książę, ale komisarz i wszyscy oficyaliści za nami. Wyobraź sobie pan, miły Polusek, czuprynka jak gołąbek, wąsiki białe...

— U księcia?

— Nie, u komisarza. Ona sama także miła starszka, ubrana skromnie, po gospodarsku, na głowie czepek *à la Margarit*, fartuszeczek, pęk kluczków u pasa.

— Mniejsza o to, ale chciałbym wiedzieć...

— Otóż, wyobraź sobie pan, jednego tylko mają syna, on tu bywa u nas prawie codzień, strasznie nas polubił.

— Mniejsza o to, ale czy...

— Niewielkiego wzrostu, nosek trochę zadarty, bródka pociągła...

— Krótka czy długa, mniejsza o to, ale czy komisarz może wpływem swoim dopomóc nam w niektórych wypadkach u policmajstra?

— I jak jeszcze... niema o czym mówić, policmajster go bardzo szanuje, bywa u niego na śniadaniach, na obiadach... a co to za cacany starszek.

— Policmajster?

— Nie, komisarz. Policmajster młody człowiek, ma żonę, przyjemną kobietkę, brunetkę, ręka na tęblaku...

— U żony?

— Nie, u policmajstra, krzyżów pełno.

— Gdyby tylko chciał komisarz...

— Niema o czem mówić, wszystko dla mnie uczyni, za naszym przybyciem wydał natychmiast rozkaz generalnemu leśniczemu, aby pod utratą miejsca co tchu dostarczył nam drzewa.

— A leśniczy?

— Z największą radością odebrał ten rozkaz, bo trzeba wiedzieć, że także niezmiernie grzeczny i miły starsuszek. Wyobraź sobie pan, już 30 lat służy u księcia, a sam nie wygląda więcej, jak na lat 30.

— I wydał drzewo podług rozkazu?

— W mig oka wydał wszystkie. Nazywa się Egert, ale rodem Polak, fizyognomia pańska, szlachetna, ani śladu, że leśniczy. Jutro obiecał przysłać jeszcze kilkanaście fur tarcic.

— Jeszcze? a toż na co? wszak pan dopiero mówiłeś, że wydał wszystkie drzewo w mig oka..

— Prawie wszystkie, ale trzeba jeszcze na ścianę, oddzielić scenę od stajni, krzesła porobić, sufitu i podłogi dokończyć, kuchnię zaszalować i jeszcze gdzie nieco..

— Jakto, jeszcze tyle roboty? a pan mówiłeś, że teatr skończony.

— E, to fraszka, niema o czem mówić, parę godzin jutro i koniec, bo dziś szabas przeszkodził żydom dokończyć, Egert nie miał podwód, a majster nie mógł innych robotników znaleźć. Wyobraź sobie pan, jak on się nosi z czerkieska.

— Kto, majster?

— Nie, Egert.. bo proszę tylko zauważyć..

— Mniejsza o to, ale trzeba pilnej bacności, aby nie kradziono drzewa, wypadaloby może o jednego z dziesiętników prosić policmajstra.

— Nie odmówi, zapewniam, niema o czem mówić.. Wyobraź sobie pan, żupanik po kolana, zapinany na żeberka, z wierzchu kusa mantylka, spięta pod szyją..

— U policmajstra?

— Nie, u Egerta, przytem szarawarki...

— Wreszcie nając porządnego stróża, prócz tego trzeba do noszenia wody, opalania pieców.

— Jest stróż, tutejszy domowy, z ochotą podejmie się usługiwać i drzewa doglądać, niema o czem mówić... Wyobraź sobie pan, szarawarki obcisłe, but glansowany z wierzchu, cholewka z węgierska wycięta, kutasiki w górze...

— U stróża?

— Nie... u Egerta... otóż...

— Ale czy dajesz mu pan kwity na drzewo, które bierzesz?

— Oho, jabym się nie dopilnował... sam komisarz te kwity poświadcza, niema o czem mówić. Otóż, wyobraź sobie pan, choćby najteższe mrozy, zawsze jednakowo, ani zna, co to futro...

— Kto, komisarz?

— Nie, Egert.

— Mniejsza o to; ale co gorsza, że jutro czeka mnie tyle subiekcyj, być u księcia, u komisarza, u policmajstra, może i u deputata, aby go ująć o kwatere dla junkrów.

— Nie trzeba u deputata; on tu sam codzień bywa i jutro pewnie przybiegnie; to wielki amator teatru, prosił tylko, żeby mu dać bilet *frej* za wyprowadzenie junkrów... Otóż, wyobraź sobie pan, rzemiennym paskiem opasany, klamra na przodzie, kołnierz od koszuli wyłożony, szpinka, żadnej chustki na szyi...

— U deputata?

— Nie, u Egerta... dodać do tego wąsy...

— Wreszcie jeśliby kwaterna komisya czyniła trudności, to z mocy kontraktu zmusić żyda do najęcia stancyi junkrom.

— To się rozumie, niema o czem mówić, krótka ceremonia z żydem... Wyobraź sobie pan, wąsy zamaszyste,



niżej brody obwisłe, fantazyja tęga, kańczuczek elegancki w rękę, rogatywka na głowie.

— U kogo! u żyda?

— Nie, u Egerta...

Widząc, że niema końca temu kostyumowi i niema z kim o interesie mówić, ścisnąłem ramionami i zaniechałem dalszych badań. Pokazało się na ostatku, że wszystko wietrznym sposobem robiono, że wydatków niepotrzebnych przeszło 200 rs. i że nareszcie, ocalając porękę majątku owego specjalnego powiernika, towarzystwo musiało z własnej kasy zapłacić 22¹/₂ rs. za tarcice, których przez jego niedozór brakowało do liczby wziętych z magazynu księcia.

»Na zupełne ukoronowanie tego dyalogu, muszę przytoczyć pewien wypadek późniejszy. Graliśmy dramę *Matyldę z Gisbach*, na piąty akt potrzebna forteca, nasz dekorator odmalował ją, ale zamiast umocowania na podstawach z dołu, dla prędkości wszystkie kawałki, z jakich się składała, pozawieszał w górze na sznurkach; w scenie, kiedy przychodzę z żołnierzami mymi dobywać tej warownej fortecy, ledwo zaczynam przemowę dla zagrzania żołnierzy, jeden soldat niezgrabny zawadza nogą o kawał muru, a wnet wszystkie mury, bramy, baszty, jak żydowskie kołyski, hojdać się zaczęły. Małom nie zgorzał ze wstydu, odwróciłem oczy do publiczności i wybelknąwszy jeszcze kilka słów niezrozumiałych, ledwom trafić mógł za kulisy, gdzie się już oddał dowoli rozpaczy mojej. Po skończeniu sztuki przychodzę do stancyi, rzucam się na krzesło i zatapiam w gorzkich myślach, że nie mam na kim polegać, ni na troskliwości ogólnej, ni na szczególnych każdego usiłowaniach, że żaden nie podziela ze mną zapалу ni dla sztuki, ni dla dobrej opinii. Kiedy temi myślami gryzę się sam w sobie, ów ścisły obserwator kostyumów z impetem i wrzaskiem wpada do mnie:

— Ach! niech-no pan idzie! niech pan idzie... dopiero zobaczyć!

— Jezus! Marya! — krzyknąłem, zerwawszy się, jak oparzony — czy pali się? czy może jaka awantura?

— Ale nie, chodź-no pan na parter, publiczność już wyszła, obaczysz, jak forteca wygląda, precudnie! do zachwycenia!

Tu już mi cierpliwości brakło.

— Idź-że pan do stu katów z fortecą! daj mi pokój!

— Czegoż się pan gniewa?

— Człowieku! masz-że Boga w sercu pytać mnie o to? Nie widziałeś, ile mnie to żółci kosztowało? Na toż to panowie wywlekliście mnie z Żytomierza, aby mi tu gęsi w komorze gęgały w czasie sceny? kury piałły nad głową, pies uwiązany przy ścianie, jakby namówiony, szczekał? I jeszcze, żeby mi takie fortece stroić?

— Cóż to szkodzi, że się trochę mury zahojdały? Każdy wie, że na scenie wszystko jest udaniem.

— A bodajżeś pan dyabła zjadł! To nic nie szkodzi? I pan z zimną krwią możesz to mówić? A od kogóż zawisło wprowadzić widza w złudzenie, aby zapomniał, że to jest udaniem? A na jakiegoż paralusza tyle intrygi? na co te olbrzymie przedsięwzięcia? te zamachy na zdobycie takiej słamazarnej fortecy, której mury za potrąceniem nogą okropnie hojdać się zaczęły? I to nic nie szkodzi... a, już trzeba być wyzutym.

— Ale zmiłuj się pan... przecież wszyscy wyszli kontenci ze sztuki.

— Tak, zapewne, podług pana; może powiesz jeszcze, że wyobrażali sobie trzęsienie ziemi, albo drugie Jerycho, którego mury na sam głos trąby Izraelitów upadły? Człowieku! zastanów się, forteca niemiecka, scena w Niemczech...

— Któż tak ściśle rzeczy bierze?

— O, nikt... nikt w świecie, prócz pana... ściśle obser-



wować szarawary jednego leśniczego warto fatygi, a publiczność za swoje pieniądze nie miałyby obserwować niezgrabnego oszukaństwa..

— A przecież najmniejszy nawet uśmiech między publicznością słyszeć się nie dał na ten przypadek.

— Tylko też mnie to jedno pociesza, że dobra o nas opinia zacierza nawet kuglarstwo nasze, ale nie radzę nadużywać jej dobroci, owszem, przez szacunek dla niej, tembardziej sami siebie karcieć powinniśmy i poprawiać niedorzeczności nasze. A pan wpadłeś do mnie z wesolą twarzą, na której ani śladu zmartwienia, coby znamionowało troskliwość jego o reputację. Kto w takim przypadku nie podziela mego zmartwienia, jest złym dla mnie kolegą i niech zawczasu wyrzeknie się zawodu, który całą duszą, całym sercem ogarnąć potrzeba, inaczej usposobi się tylko na kuglarza i oszusta, a nam tyle jedynie oszukaństwa dozwolono, ile sztuka nasza wymaga, aby pomocnym jego wpływem umysł widza w omamienie wprowadzić. To oszukaństwo zowie się złudzeniem, lecz chcąc w jego manowce patrzących wprowadzić, potrzeba naprzód aktorowi, aby się sam w owem korzystnym utopił marzeniu i mocno sobie wyobraził, że w istocie tym jest, kogo przedstawia, a nie aktorem! Lecz panowie zanadto pamiętając o powierzchownej grze aktora, zapominacie o przejęciu się charakterem roli, przez co nieraz tak ohydnie przedrzeźniacie ludzi na scenie, że na was patrzeć nie mogę, a nawet i mnie tak zmieszacie, że jak ciele błąkam się między wami po teatrze.

— Ale, bo pan sam nieraz gniewając się za bagatelkę, tak zbijesz nas z tropu, że nie wiemy, co z sobą robić.

— Stara piosneczka. Panowie to samochcąc dozwolicie zbijać się z tropu; napuszczając za kulisy to jakichś znajomych *futyńców*, to znajome *marmuzele*, baraszkujeć z nimi *sanfason*, ani wam w głowie, że to wszystko obcem

dla was w tej chwili być powinno, że aktor, szczerze dążący do ukształcenia swego talentu, wszelkich na tę chwilę związków ze światem rzeczywistym rzec się powinien, a przenieść się w świat, jakby na nowo dla niego stworzony, rzec się wszystkich znajomości, nieledwo od przyjaciół uciekać, bez względu na ich urazę, która przemienie — słowem rzec się wszystkiego, coby go mogło z tego zbawiennego przebudzić letargu. Dla mnie każdy obcy za kulisami w czasie reprezentacji jest wrogiem, co na honor mój nastaje, i kiedyś raz kazał tu dziesiętnikom tłok żydówek z za kulis wypędzić, nie powstałyż obrończe głosy: »Niech pan pozwoli tym dwom zostać, to ładne dziewczęta, niech się tylko pan przypatrzy... jedna pożyczła krzeselek, a druga tam czegoś...« O zgrozo! Możnaż w jednej chwili, i tak ważnej dla gorliwego aktora, dzielić się na dwoje? być zajęтым i rolą i ładną żydóweczką? Powiedz pan sam... Milczysz?... wybacź! póki miałem osłów wkoło siebie, często i ja w milczeniu żółć połykałem, ale od ludzi — jak panowie — powinienem czegoś lepszego oczekiwać. Dobranoc panu — rzekłem, ulżywszy sobie nieco tą gderaniną na sercu. Dobranoc, szczęśliwys dla siebie, ale nieszczęśliwys dla aktora, jeśli po dzisiejszym wypadku będziesz mógł zasnąć spokojnie; co do mnie, niech mi z oczu wezmą tę przeklętą fortecę, bo w kałki ją poszarpię«.

»Przyznajże sam, nie byłoż to dzieciństwem, a prawie szaleństwem, chcieć mnie tem pocieszać, że po wyjściu publiczności forteca dobrze wygląda? Może wreszcie dla obcych sztuce dramatycznej zda się to frazka, nawet dziwactwem z mojej strony, i obcemu chętniebym takie przebaczył mniemanie, ale nigdy aktorowi, bo na cóż mu tyle usilnej pracy, aby zdziałał wrażenie, kiedy jeden ruch niezgrabny wszystko zniszczyć zdoła? Może w istocie za ostro podobne rzeczy biorę, ale podług mnie, każdy zawód powinien być świętością dla tego, który się mu oddaje.

i stąd to takie wypadki niemało mi zdrowia rujnują, a żadna sztuka nie obejdzie się bez jakiegoś wypadku. I tak np. w tej samej, że tak powiem, oplakanej *Matyldzie z Gisbach*, zaczynam scenę energiczną »kwestya«, a mówiąc o wschodzącem słońcu, obracam wzrok za kulisy, lecz zamiast słońca, postrzegam świeczkę lojową, od której już słup tleć zaczyna; rzucam na obecnych za kulisami groźne spojrzenia, nikt ani gromów, z mych oczu wypadających, nie widzi, ani świeczki, ani tlejącego słupa; niewiele myśląc, idę, gaszę świecę w oczach publiczności dmuchnięciem, a tlejący słup garścią, wracam na scenę z rękawem zasmolonym i zaczynam *decapo*. Piękny wstęp i przygotowanie do całej gry... nieprawdaż? Ale na co mam pisać, widzisz mnie pewnie przed sobą w żywym obrazie i śmiejesz się, mrużąc pod nosem: durny Seweryńciu! a może i głośno wykrzykniesz, ale choćbyś z ratuszowej wieży zawołał, już się pono z tej słabości nie ulecę«.

»Do tych wszystkich okropnych przypadków, bo przynajmniej dla mnie są takimi, dołączyć jeszcze niewczas, niewygody, ciążenie głowy, to z przyczyny bezsennych nocy nad klepaniem ról zmarnowanych, to ciągłego swądu w tych żydowskich klatkach, przez naszego plenipotentą apartamentami nazwanych... i co jeszcze trzeba wiedzieć, że ja z jednej strony zapobiegając złemu, z drugiej sam sobie napytałem kłopotu. Na zanieśioną prośbę przeciw kurom i gęsiom, okropna rzeź z rozkazu policji nastąpiła. Chwała Bogu. Ale cóż się dzieje; żydówki w drugiej stancyi obok mnie zawinęły się na przepadle topić smalec gęsi, i przez szpary zamkniętych drzwi, co mnie od nich oddzielały, takiego mi kataru napędziły, że parę dni, jak pijany, głowy na ramionach udźwignąć nie mogłem, przytem ból krzyżów, który ledwie 20-tu pijawkami osłabiłem nieco... oto jest, co mi zostało w korzyści z owej dubieńskiej wyprawy, gdzie zamiast zdobycia złotego runa, ledwo z nas własnych skór nie pozzierano«.

»Masz tedy wszystko, co dla zaspokojenia twojej ciekawości naprędce donoszę. Da Bóg, za widzeniem się ustnie opowiem, jakie okoliczności spowodowały nas do tego wyjazdu; jak pewien jegomość napisał sztukę, gdzie drugiego jegomością w karykaturze wystawił; jak publiczność pragnęła widzieć tę sztukę, jak aktorowie pokładali na tej sztuce wszystkie nadzieje; jak jej grać nie pozwolono; jak wyprawili z nią jednego braciszka do cenzury kijowskiej; jak zdradził zaufanie całego towarzystwa, bawiąc w Kijowie przeszło pięć tygodni z podmowy pewnego Francuza, który poprzednio dał tu parę widowisk z mymi aktorami po francusku i dla tej samej potrzeby zatrzymał go w Kijowie; ile stąd strat wyniknęło, ile przeszkód stawiło się naszemu wyjazdowi tam i nazad; jak przyłączyły się choroby, jak pannę Teresę w Żytomierzu prawie z łóżka zaniesiono do sani. Ledwośmy stanęli u celu, córka przyszła do zdrowia, matka zachorowała śmiertelnie na kamienie żółciowe, a tu codziennie grać trzeba, a w każdej sztuce ma role, a innych sztuk nie ma, tylko te, com wybrał do Dubna, odmieniać rolę nie można i niepodobna w prędkości... Aj! gwałtu! zwaryować przychodziło...«

»Przecież mimo tylu kłopotów, strat, przeszkód, mimo kur, gęsi i kołyszącej się fortecy, jedno przynajmniej ocaliłem dobro, o jakie najwięcej mi chodziło, t. j. reputację. I śmiało mogę teraz do ciebie, kochany przyjacielu, to napisać, co przed trzema wieki napisał do matki Franciszek I, król francuski, po batalii pod Pawią: »Wszystkośmy stracili, oprócz honoru«. A jeśli przez szczerą życzliwość uczułeś moje cierpienia, to uratowane bóstwo moje, z którym uszedłem z Dubna, jak niegdyś ze swoim Eneaszem z Troi, sprawi ci pociechę, jak i mnie wszystkie osładza gorycze«.

»Nasza Terenia, a pańska faworyta, olbrzymim kro-

kiem awansuje. W tragedyi *Essex*¹⁾ tak zafrapowała umysły, że publiczność nie czekając końca sztuki, wywołała ją po czwartym akcie, a drugi raz po skończonej tragedyi.

»Ze wszystkich sztuk Fredry *Ciotunia* podobała się najbardziej, i na żądanie powtarzałem.

»Za każdą bytnością u księcia Jegomości, dziedzica dubieńskiego, wynosiłem krocie komplementów, lecz — mimo karnawału — bardzo były postne, nie mogłem się posilić niemi.

»Ale dość tych gazet...

* * *

List, chociaż przydługi, powtórzyliśmy z prawdziwą przyjemnością niemal cały, jeno zakończenie prywatnej natury opuszczając. Jest to wyznanie wiary artysty z powołania, artysty w każdym calu, charakteryzujące Malinowskiego lepiej i dokładniej od wszelkich pochwał, którebyśmy wyśpiewać na jego cześć dzisiaj mogli. Dziwnie bo pięknie pojmował on swój żmudny i niewdzięczny w danych warunkach zawód, a zapał jego dla sztuki i dzisiejszym artystom za przykład godny naśladowania służyć może i powinien. Ale rzeczą znowu z drugiej strony zupełnie jest naturalną, że otoczenie jego, złożone z ludzi przeważnie młodych, inaczej na życie swoje patrzyło, do innych celów zmierzało, że temsamem swego dyrektora zrozumieć często nie było w stanie. A to uczucie osamotnienia, w połączeniu z tylu innymi zawodami, niepowodzeniami i przykrościami, wywołało z ust starca skargę bolesną: »Biada uczciwemu człowiekowi, któremu szaleń-

¹⁾ Jest to utwór Dykiego, grany na lwowskiej scenie już 1797 r., a więc dobrze stary na r. 1840, podobał się jednak prowincjonalnym widzom, z tej też racji dosyć często go wznawiano.

stwo młodości imię aktora narzuci, a los go zmusi włączyć się po prowincyi!

Z listu powyższego poznaliśmy również drobnostkowo ową dubieńską wyprawę po złote runo, wyprawę nieudaną materyalnie. Towarzystwo Malinowskiego, jak przypuszczać można, powiększyło się nieco, mógł więc grywać i sztuki efektowniejsze, bardziej na tłumy działające, o ile nie obniżały skali wywołanej grozy zamknięte w sąsiedztwie najbliższem kury i gęsi, jak również pies na łańcuchu uwiązany, które odzywając się w najtragiczniejszych chwilach, zamiast łez, śmiech wywoływać musiały. Originalne to, co prawda, były czasy, kiedy na skinienie policmajstra dubieńskiego setki tych niewinnych stworzeń głowy swe pod nóż oddać musiały. Dzisiaj i najbardziej wpływowy artysta byłby wobec zbuntowanych małowasteczkowych gęsi zupełnie bezsilny, chyba by je wszystkie zakupił, a ta jedna ewentualność pozwoliłaby mu spokojnie wygłaszać na scenie najwspanialsze »kwesty«, w przeciwnym razie musiałby gęsiom ustąpić i pozwolić im przerywać sobie bezkarnie. Inne zwyczaje obowiązywały w Dubnie; policmajster wyrzekł słowo i cisza w sąsiedztwie *ad hoc* urządzonej sceny kontraktowej zapanowała zupełna...

Z Dubna powróciło całe towarzystwo znowu do Żytomierza na zwykle leże. Mimo usiłowań sędziwego dyrektora, by scenie prowincjonalnej znośny wywalczyć byt, nędza musiała częstokroć za kulisy teatralne zaglądać, co Malinowskiego nie tylko do sztuki, ale nawet do życia zniechęciło.

W ostatnich dniach czerwca tegoż roku zawitał sędziwy dyrektor ze swoim otoczeniem na jarmark do Jarmoliniec. I tutaj stajnia żydowska odgrywać musiała rolę sali teatralnej; na szczęście jednak letnia pora pociągała za sobą mniej kosztów i niewygód, które tak bardzo dały się artystom we znaki w Dubnie. Jarmoliniecką tę wycieczkę upamiętnił w swej cennej pracy hr. A. P r z e ż d z i e

cki¹⁾, a wywołała ona również w odpowiedzi notatkę Sowińskiego, ogłoszoną, jak już wiemy, w petersburskim *Tygodniku*. Autor *Podola, Wołynia i Ukrainy*, malując barwnie ruch i gwar jarmarczny, opisując wszystkie stragany, magazyny, cukiernię »kochanego pana Antoniego« (Dobrzyjałowskiego), wychowańca krzemienieckiego, a więc kolegi z ławy szkolnej samego właściciela miasteczka, jak również niejednego z buszujących po Jarmolińcach szlachciców, cyrki uczonych małp i psów i inne cuda, mające braciom ziemianom czas urozmaicić — wspomina z kolei i o wędrownym trupie aktorów. »W stajni urządzono teatr, na którym przybyły z Żytomierza Malinowski, komedye Fredry, lub dowcipne sztuczki podolskiego poety, Stanisława Starzeńskiego, odgrywa. Na teatrze nie mogłem długo wytrzymać; najlepsi aktorowie nie wydaliby się dobrze w stajni, cóż dopiero więcej, jak mierni! Żał mi się zrobiło autora, którego sztukę oszpecono; żał i Malinowskiego, bo zarobek lichy nie wynagrodzi mu zmarnowanego talentu«. Dla osób mniej świadomego własnego stanu rzeczy, dodaje autor bardzo pochlebny dla dyrektora sceny kresowej odsyłacz: »Malinowski, artysta dramatyczny, rzadkich zdolności, komik wyborny, który na jarmarkach talent swój pospolituje, kiedyby mógł na scenie warszawskiej obok Żółkowskiego jaśnieć«.

Zanim wzmiankowane dzieło wyszło z pod prasy drukarskiej, ogłosił z niego wyjątki *Tygodnik Petersburski*, co przeczytawszy Sowiński, przesłał redakcyi ze swej strony *Kilka słów o Malinowskim*. Z notatki jego korzystaliśmy już na poprzednich kartach naszego pobieżnego szkicu; tutaj przytoczyć musimy jeszcze jeden wielce charakterystyczny jej ustęp; Przędziecki i Sowiński należeli do inteligencyi umysłowej Podola, możemy więc w ten sposób poznać poniekąd jej sąd o Malinowskim.

¹⁾ *Podole, Wołyn, Ukraina*. II, 26.

»Mimo pochwały — pisze drugi o słowach pierwszego — nie jest dostatecznem, zda mi się, ocenienie tego artysty. Samo porównanie z dzisiejszym komikiem sceny warszawskiej, który jeszcze jest w drodze do dojścia głośniejszej a sprawiedliwie zasłużonej sławy ojca swego, wykrywa, że autor tego artykułu niedość obeznał się z zaletami Malinowskiego; widząc go raz, może dwa, na przenośnym teatrze, w sztukach mniejszego rozmiaru, jakie okazać bez dekoracyj i garderoby możność dozwalała, a to jeszcze w samych komedjach; inaczej albowiem nie zapomnieliby wspomnieć o *Piątym akcie* i o *Klarsie* Korzeniowskiego, w Jarmolińcach odegranych; a i z tych małych próbek przyznałby Malinowskiemu talent tragika nieporównanie wyższy od tych wszystkich, jakie kiedykolwiek miała scena polska, nawet warszawska, wyłączywszy Ledochowską. Ale jeśli nasz artysta siłą gry swojej umiał nie tylko utrzymać, lecz i z niewdzięcznych sztuk wydobyć ruch i życie, pokryć oziębłość i autora i aktorów, o jakże daleko był szczęśliwszym, kiedy wolny od niemogących mu sprostać współaktorów, prawil monolog, a jeszcze tak płynny, tak ognisty, jak Gustawa! kiedy słuchaczowi kazał zapomnieć o wierszu, o autorze, o aktorce, a zachwycił go, uniósł i wraz z sobą zmusił płonąć ogniem poety! Wtenczas działał na masę słuchaczy tak przeważnie, jak smyczek Paganiniego. Taki to artysta, który gdyby się był urodził Niemcem, stolice-by go sobie wydierały; długi czas obznajmiał publiczność kamieniczką z wyborem sztuk dramatycznych ojczystych i cudzoziemskich — wyparła go i stamtąd inna kompania, częstując dzisiaj publiczność *Natalką*, *Świtesiankami*, *Chłopem milionowym* bez muzyki i dekoracyj i t. p., a Malinowskiego, z kilku młodszymi towarzyszami lepszego wyboru, zmusiła poniewierać się po jarmarkach. Osiadł on w Żytomierzu — rzadko się pokazuje na scenie, zniechęcony na wstępie, jak mówią, naiwnem zapytaniem jakiegoś ama-

tora teatru, który, wyczytawszy na afiszu ogłoszenie komedy Fredry, zagadnął go: »A kto tłumaczył tego Fredra?«

Notatkę powyższą skreślił Sowiński w ostatnich dniach listopada 1840 r. Maluje ona — w połączeniu z naszymi uwagami, opartymi na własnej korespondencji Malinowskiego — smutny stan duszy kresowego artysty, wyjaśnia powody jego zniechęcenia do sceny i życia. Wszystko-bo też składało się na to, by wysoce artystyczny ten umysł zgniebić i zmiażdżyć. I włóczęga po jarmarkach, i zapatrywania na sztukę młodszych kolegów, i częsty głód i chłód pracowały wspólnymi siłami nad odebraniem Malinowskiemu wszelkich złudzeń.

* * *

List ostatni, jaki mamy przed sobą, pisany przez artystę z Żytomierza w dniu 7 m... (maja, czy marca?) 1841 r. potwierdza niestety w całej rozciągłości słowa Sowińskiego. »Zawiniłem! — donosi on przyjacielowi — wyznaję, bo ledwo na trzeci list odpisuję, powinienbym kapitał z procentem wypłacić, mam nawet obfite źródło wyczerpnienia funduszu na wypłat, lecz wybaczn, jeśli tym razem tylko procent odbierzesz, i to w monecie lichy kurs mającej, bo nieprzybitej stęplem swobodnego umysłu. Sprawiedliwieś powiedział, »że bieda nie rozwinię wesołego dowcipu«. Chciałem jej postawić się odpornie, lecz próżno... Mimowolnie wysuwały mi się z pod pióra wyrazy, jakby powleczone krepą, myśli, jakby z czarnych włókien snute, nawet wspomnienie o przyjacielu nie mogło na chwilę rozpędzić chmur posepnych, co życie w noc mi zamieniają i najmniejszy promyk nadziei gaszą. Błąkam się w ciemnościach szukając grobu, a nie mogąc trafić do niego... Nie jest więc nic życia naszego tak wątlą, jak się zdaje, kiedy najostrzejsze dociski przeciąć jej nie mogą... mamże ją własną ręką potargać? Nie, nie chcę być ani

tak głupim, ani tak mądrym, ani zbyt odważnym, ani nadto bojaźliwym, nie chcę nawet, jak Hamlet, wahać się między wyborem zwierzęcego bytu a duchowego; skoro nas bieda wszędzie ma trzepać, wszystko jedno, czy tu, czy tam. Alem zaciągnął na ziemi święte obowiązki, z których należycie się uścić, jeśli tego nie zdołam, niech mi przebaczy Ten, co mnie nimi obarczył, a odjął wszelkie sposoby do ich wypełnienia. Po włóczędztwie bezkorzystnej, po trudach, niewygodach i zgryzotach, zaczęła mnie bardziej napastować choroba; nie jest ona urojeniem, jak mniemasz, musiałbym chyba być zupełnie nieczułym, żeby w łamaniu w kościach, cierpieniu stopy, bóleści w krzyżach i częstemu kurczowi w nodze nie wierzył, lub za *szdaje mi się* uważał. Muszę wierzyć, bo czuję, że cierpię, a prawda dotykalna jest pono pewniejsza nad wszystkie inne prawdy; dodajże do cierpień fizycznych nieugiętą zawziętość losu, żalosne wspomnienia lat próżno strwonionych, okropną przyszłość, która ukazuje mi się zdala w tem czarniejszych farbach, im bardziej wiek bieli moje włosy, a choroba w pomoc mu przybywa. Nie widzę dla siebie ratunku w zwyczajnych usiłowaniach człowieka, chyba tylko cud jaki, którego niebo zapewne nie uczyni dla mnie za tyle moich psych figlów... Och! och! Może uśmiechniesz się na te nowe treny i pomyślisz: *Ocknuosia Holofernes a holowa kudy?* Tak, zapóźno się ocknąłem, głos teatralnych syren i oklasków zadługo mnie snem morzył, na nic teraz żale i narzekania, choć z głębi zasmuconej duszy pochodzą, lecz, bodajby śmiejąc się, weź je tylko wszystkie pod kredkę, a nie będziesz się dziwił, że rad-bym rozstać się z moimi socyuszami, którzy już dosyć mi ukropu za kołnierz nalali, rozstać się z tym zawodem, i nie bardzobym się wzdragał, gdyby nawet przyszło mi rozstać się ze światem; szczerze powtarzam, że wolałbym w lachmanie żebraka być pogrzebany, byle prędzej, niż w purpurze — choćby samego Cezara — jaśnieć na scenie;



korona i berło już dla mnie blask swój straciły. Żart na stronę, wszystko mi obmierzło, sztuka we mnie umarła, rzemiosło tylko zostało, które jeszcze dla mizernego kawałka chleba ciągnąć, jak pług, muszę, aby w końcu z niewdzięcznej roli nędzny, gorzki i zawsze niedojrzały owoc zbierać... niedojrzały, bo słońce na horyzoncie moim ciągle zachmurzone słabo przyświeca i ogrzewa«.

»Ten, co moją biografię opisał w *Tygodniku Petersburskim*, zanadto mi pochlebił, lecz jakkolwiek mógł mi sprawić przyjemność, i do niej wnięszala się gorycz, bo tutejszą publiczność zagniewał na mnie, żem śmiał jej kosztem żartować względem Fredry«.

»Komedia, o której piszesz, grana przezemnie kilka razy w Kamieńcu pod tytułem: *Kto pod kim dołki kopie, sam so nie wpada*, jest z francuskiego w jednym akcie, i gdzieś tylko ją grywał, dobrze była przyjęta. Myśl krótka, na zapelnienie jednego aktu dostateczna, lecz na trzy rozwleczone, traci zwięzłość, żywość, a w miejsce rozrywki musi sprawić ziewanie i nudy. Jeżeli wśród moich zmartwień i trosk zechcesz mnie przyjacielską odezwą pocieszyć, będzie to orzeźwieniem upadającego ducha we mnie; radbym go jeszcze choć na ramieniu zatrzymać, pokąd przynajmniej nie zobaczymy się z sobą, nie naga-damy i nie naśmiejemy z marności świata, na którym — póki wałęsam się jeszcze — nie przestaję być twoim naj-przywiązańszym przyjacielem«.

Okolo r. 1845 wraca Malinowski do Kamieńca, jako znękany i złamany starzec, czekający jeno, kiedy to i na niego kolej przyjdzie na wieczny legnąć spoczynek. Z dawnej swojej kompanii mało kogo zastał nad Smotryczem; jedni powędrowali daleko na Wschód, drudzy z rozpaczy — po rozwianiu wszelkich marzeń i ulud — na własny targnęli się żywot, jeszcze innym wypadło za kratą więzienną ten świat pożegnać. I w tych i w tamtych gronie znaleźli się wychowańcy krzemienieccy, co dłuższy czas myśli

swoje we wdzięczne zakuwali rymy; Krzemieńczanin również, przeznaczy regent Ignacy Sadowski, przyjaciel Malinowskiego i jeden z jego kolegów w loży wolnomularskiej, mieszkał ciągle w Kamieńcu i z pewnością pomagać musiał — o ile mógł — żyjącemu na uboczu byłemu artyście i dyrektorowi scen prowincjonalnych. Mimo to nędza nie opuszczała skromnej jego komnaty; umarł — wedle słów przez siebie niegdyś wypowiedzianych — w łachmanach, a los to niestety niejednego z tych, którzy czas dłuższy jaśnieli na scenach, nawet stołecznych, by potem ocy zamykać w zapomnieniu, o głodzie i o chłodzie.

Moglibyśmy na powyższych słowach przerwać naszą opowieść, wypada jednak, dla zaokrąglenia całości, wspomnieć najkrócej bodaj o następcach Malinowskiego ¹⁾ w Kamieńcu. Po wzmiankowanym dyrektorze gościli na Podolu »truppy« Pilika, Wolskiej, Fedeckiego i Felińskiego, Słobodzińskiego, Zielińskiej i Piekarskiego. Wszystkie one walczyły prawie zawsze z brakiem grosza; w czasie ostatnich wypadków zamknięto teatr polski w Kamieńcu, choć już od r. 1831 obowiązani byli aktorowie, przed odegraniem sztuki polskiej, przedstawiać jednoaktówkę rosyjską, co też czynili zwyczajnie przed pustym amfiteatrem, gdyż nawet gubernatorowie zjawiali się często dopiero na sztukę polską.

Malinowski na szczęście nie dożył owej bolesnej chwili.

U schyłku istnienia narodowej sceny dzierżył nad nią władzę zwierzchniczą znany powieściopisarz Piotr

¹⁾ *Bibliografia* zapisuje nazwisko Malinowskiego raz jeden tylko: »*Grafowie Wallbergowie*, drama w 5-ciu aktach z niemieckiego na język polski przez Seweryna Malinowskiego przełożona, grana pierwszy raz na teatrze żytomirskim dnia 19 *Junii* 1809 r. i do druku podana«. Żytomierz, 1810.

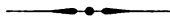
Jaksa Bykowski; ziemiaństwo podolskie łożyło z własnych funduszków na jej utrzymanie.

W którym miejscu znajdował się pierwszy przybytek Melpomeny w Kamieńcu — wzmiankowaliśmy wyżej. I to wiadomo, że w r. 1801 budynek ten przechodzi w ręce prawosławnego duchowieństwa, w którego posiadaniu do dzisiejszej pozostaje doby. Wspomniany już szlachcic Żmiejewski — czy też Kamiński, bo nie wiemy o tem z wszelką pewnością, ale prędzej pierwszy, niż drugi — sklecił z kolei drewnianą budę, przytuloną do zwalisk dawnego pałacu biskupiego, łączącego się krużgankami z klasztorem i kościołem OO. Dominikanów. Tym razem znowu duchowieństwo prawosławne wystąpiło z pretensjami innej natury. Teatr był nadto mało odległy od ówczesnej prawosławnej katedry, więc też konsystorz wymagał przeniesienia przybytku sztuki w inne miejsce. Kamiński proces wygrał, a scena lat kilkanaście nie zmieniała swego *locum*; tutaj to w czasie deszczu przedstawienia zawieszają wypadało, tutaj wiatr hulał sobie swobodnie po amfiteatrze, a klatki drewniane, szumnie łożami nazywano, tutaj palestra z armią stoczyła krwawą batalię o primadonnę Moszyńską, co przed gradem pomarańcz ukryć się była zniewoloną za kulisy, gdzie przestraszona oczekiwała końca awantury, do której uśmierzenia pomocy wojska użyć musiano, tutaj wreszcie rozpoczynał swą pracę reżyserską Malinowski. Dzisiaj na miejscu owem pamiętnem wznoszą się mury olbrzymiego gmachu sądowego, przebudowanego z niedokończonego, w skutek ostatnich wypadków, »domu obywatelskiego«.

Po chwilowej tułaczce po lokalach prywatnych, urządzono teatr w dawniejszych murach obronnych, sąsiadujących z bramą, *Wietrzną* albo *Batorego* nazwaną, gdzie też do dzisiejszego dnia istnieje, otwierając swe podwoje na przyjęcie coraz to nowych towarzystw dramatycznych rosyjskich. Inni to aktorowie, odmienna również bardzo



od dawniejszej rzesza widzów. Zmieniły się czasy i ludzie; jedni tylko żydzi, obsiadłszy gęsto dawnych murów szczątki, z równą ochotą oklaskują artystów rosyjskich, tak jak dawniej witali każde pojawienie się na scenie Malinowskiego i artystów polskich.





BOHATER MICKIEWICZOWSKIEJ TRAGEDYI

SYLWETKA GENERAŁA-POETY ¹⁾.

¹⁾ Drukowane po raz pierwszy w *Czasie* w jubileuszowym roku Mickiewiczowskim.

2



I.

Na szanцах Pragi zginął w 1794 roku generał Jakób Jasiński. Na nic się nie zdała jego prawdziwie lwia odwaga, nic nie pomogło męstwo walczących pod jego dowództwem żołnierzy, nieprzyjaciel wdarł się po trupach na okopy, stolica Polski dostaje się do rąk Suworowa, sprawa polska upada.

Postać jednak Jakóba Jasińskiego głęboko wryła się w pamięć ogółu. Z długiego szeregu wodzów polskich wybija się ona zawsze na jedno z miejsc naczelnych; malarze i poeci uwieczniają ją na płótnie i w rymach, pamiętnikarze poświęcają jej sympatyczne wspomnienia, nawet historycy rossyjscy uznać muszą szaloną odwagę polskiego generała.

A i ten niecodzienny zgon Jasińskiego posiadać musiał wiele dramatyczności, kiedy oddziałął tak silnie na wrażliwy umysł wieszczki naszego, że on z pośród ludzi, działających w owej tragicznej dobie, wybrał właśnie naczelnika litewskiego powstania na głównego bohatera utworu, przeznaczonego na scenę, a więc dla najszerszych warstw społeczeństwa francuskiego, gdyż — jak wiadomo — Mickiewicz tragedję swoją we francuskim pisał języku. Widocznie — powtarzamy to z naciskiem — uważał on bohaterską śmierć Jasińskiego za fakt, przemawiający naj-

silniej do wyobraźni sympatyzującego w owej chwili z nami narodu, a z wielu danych sądząc, na pewno twierdzić można, że śmierć ta równie silne wywarła wrażenie na wszystkich Polakach.

Zresztą i w innym dziele Mickiewicza znajdujemy dowód wielkiej popularności obrońcy Pragi. Wszak w rzędzie portretów, zdobiących ściany litewskiego szlacheckiego dworku, wisiał i portret generała.

.... Jasiński, młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny:
Stoją na szanłcach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się wkolo pali...

Portret Jasińskiego znalazł się tam w zacnem towarzystwie, bo między podobiznami Kościuszki i Reytana.

Ze wzmiankowanej tragedyi Mickiewicza zachował się do naszych czasów jedynie tylko skromny fragment w przekładzie na język polski Tomasza Olizarowskiego. W znanym nam urywku aktu pierwszego główny bohater nie zjawia się nawet na scenie, trudno więc dzisiaj stanowczo określić, jak go właściwie Mickiewicz przedstawić zamierzał. To tylko chyba nie ulega wątpliwości, że miał to być typ dodatni, stanowiący pewnego rodzaju uosobienie polskiej odwagi i polskiego bohaterstwa.

Ze spisu osób tragedyi: *Jakób Jasiński, albo dwie Polski* dowiadujemy się nadto, że bohater jej to 22-letni, chudy i błądy młodzieniec, pułkownik wojska polskiego.

Że »chudy i błądy« ów młodzieniec zasługuje z wielu względów na przypomnienie, jeżeli już nie poznanie nawet, to pewna. Obok licznych innych powodów pierwszorzędneho znaczenia, już sam fakt, że stał się on bohaterem utworu Mickiewicza, że zgon jego natchnął wieszczka do napisania osobnego dzieła, skłania autora do ogłoszenia niniejszej sylwetki generała właśnie w jubileuszowym roku wielkiego poety.

Zaczynam od genealogii.

Ród Jasięskich albo Jasińskich, gdyż i tak i tak się pisali, rozrósł się na obszarach Polski nader bujnie, aż jedenastu pieczętując się herbami. W *Konstytucjach*, *Metrykach litewskich* i *Herbarsach* spotykamy częste o nich wzmianki.

Budowali sobie Jasińscy dworce szlacheckie w ziemi Dobrzyńskiej, w Prusiech, w Pomorskiem i Krakowskiem, w Łukowskiem, w Łęczyckiem i Sieradzkim, w ziemi Halickiej, na Żmudzi i na Litwie.

Gniazdem, z którego pochodził bohater niniejszego szkicu, była Jasięka (dzisiaj Jasionka) położona w ziemi Łukowskiej, parafii Zbuczyńskiej, Siedleckiego powiatu.

Przodkowie generała pieczętowali się herbem Rawicz; jeden z nich, Szymon, jak zapisuje Niesiecki, był w różnych językach biegły; z tej samej gałęzi pochodzili: Balcer Jasiński, piastujący w r. 1778 godność pisarza ziemskiego czerskiego i Józef, wojski łukowski; po upływie dziesięciu lat spotykamy znowu Leona Jasińskiego, podczaszego liwskiego ¹⁾.

Dziad generała, Jan, za przykładem wielu innych indygenów rzuca dotychczasowe swoje miejsce pobytu, przenosi się na Litwę i osiada w Werkach, tuż pod samem Wilnem ²⁾, które z czasem drogą kupna przeszły do książąt Radziwiłłów, a następnie — jako wiano ślubne — do rodziny Wittgensteinów i Hohenlohe, w których posiadaniu do obecnej pozostają doby.

W tych to Werkach przyszedł na świat Jakób Jasiński. Opatrzność nie poskąpiła mu ni urody, ni talentów, ni męstwa. Portrety, do ostatnich dochowane czasów, uwieczniły postać niezwykle sympatyczną. Obfity włos w naturalnych lokach spada falisto na tył głowy, czoło

¹⁾ Niesiecki, IV, 458.

²⁾ Notatka rodzinna, rękopis.

wysokie, rozumne, oczy duże, myślące, brwi, nos i usta pięknie zarysowane; mundur rozpięty, szyja strojna w wysoki kołnierz i krawat, fantazyjnie związany... oto w kilku rysach odtworzenie postaci obrońcy Warszawy.

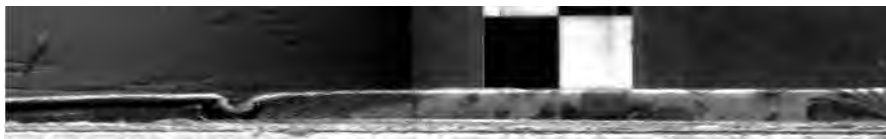
Inna podobizna przedstawia walecznego generała z wyciągniętą szablą w rękę, jak gdyby wiodącego oddane mu ślepo szeregi na nieprzyjacielskie armaty. Jeszcze inne portrety znamy jedynie z opisu, nie posiadając nawet fotograficznego ich zdjęcia.

Roku ani dnia urodzin Jakóba Jasińskiego oznaczyć niepodobna; nie wiadomo również, czy uczył się on w domu, czy też uczęszczał do szkół publicznych. To pewna, że mu wykształcenia bynajmniej nie brakło, mniejsza więc w ostateczności o to, gdzie je właściwie zdobył, dość, że posiadał, to nam wystarczy.

Od wczesnej młodości musiał on zdradzać zamiłowanie do służby wojskowej; przywdziewa też mundur, jako prosty kanonier litewskiej artylerii, by następnie nader szybko zajmować coraz to wyższy szczebel w hierarchii wojskowej i paść na stanowisku w szlifach generalskich.

Z porozrzucanych tu i owdzie pobieżnych wzmianek dowiadujemy się, że niepoślednie zdolności i nauka wyniosły pana Jakóba prędko na stopień oficerski; one też skłoniły Stanisława Augusta, że go wezwał na katedrę w warszawskiej szkole kadetów, podnosząc równocześnie przyszłego profesora do rangi kapitana. W roku 1790 zostaje Jasiński pułkownikiem inżynierów litewskich¹⁾; wysłany do czynnej armii, odznacza się w walnych rozprawach pod Zieleńcami i Dubienką; przenosząc się z wojskiem z miejsca na miejsce, wraca wkońcu ponownie do Wilna, gdzie z zapalem gromadzi bibliotekę i inne naukowe zbiory. Zawierucha, która po upływie lat paru zaledwie

¹⁾ *Pamiętniki* S. Bukara



rozszała się nad skolataną Polską, pochłoneła i to wszystko, co z takim zapalem gromadził poeta-wojak.

Taką jest w najzwęższych słowach historia żywota Jasińskiego przed wybuchem Kościuszkowskiej rewolucyi.

II.

Smutnej pamięci konfederacya targowicka należała już do przeszłości. Niejednemu z biorących w niej udział, obalamuconemu szumnie brzmiącemi hasłami, otworzyły się oczy niestety zbyt późno. Gospodarka Rosyan doskwierała społeczeństwu polskiemu z dniem każdym silniej. Jedni, zniechęceni i wytrąceni z równowagi, zamykali się u siebie na wsi na dziesięć zamków, byle tylko wojsk «najjaśniejszej imperatorowej» na własne nie oglądać oczy; inni — i to najruchliwsi w przedzgonnej świetlanej epoce Rzeczypospolitej — pędzili żywot zdala od kraju, na wygnaniu, żebrząc u mocarstw europejskich zmiłowania nad Polską i pomocy w walce o Polskę; jeszcze inni wreszcie z całym zaparciem się siebie pracowali w kraju, pod okiem rezydenta carskiego w Warszawie i całej licznej falangi jego pomocników i zauszników, rozrzuconych po prowincyi. Rzecz naturalna, że praca podobna musiała odbywać się w ukryciu, że przypuszczano do niej jeno wybranych, ludzi pewnych, nieustraszonych i na wszystko z góry przygotowanych.

Wiadomość o redukcji wojska jeszcze silniej rozgorączkowała umysły; w Warszawie kotłowało; wybrani delegaci spieszą za granicę, aby tam koniecznie skłonić Kościuszkę do objęcia naczelnej nad wojskiem władzy, a wszystkich do czynu zagrzewa pułkownik litewskiej artyleryi, Jakób Jasiński, przybyły właśnie do Warszawy

w roli delegata wojska litewskiego z oznajmieniem, że w Wilnie wszystko gotowe do ruchu ¹⁾).

Kościuszko zalecił na razie spokój i cierpliwe oczekiwanie stosownej chwili. Odpowiedź podobna nie zadowalniała ludzi czynu, rozpoczęto więc dalsze pertraktacje z Kościuszką, w których wybitna rola przypadła przeczacnemu Karolowi Prozorowi. On też doprowadza wreszcie układy do pomyślnego skutku, a gdy i inne ważne okoliczności wywołały niespodzianie konieczność zbrojnego starcia, Kościuszko przybywa do Krakowa i staje tutaj na czele powstania, co po przemijających dniach wesela i tryumfu, zakończyć się miało krwawą kartą w dziejach dogasającej Polski.

Nie mam bynajmniej zamiaru obszerniej powtarzać rzeczy już skąd inąd dobrze znanych. Rozchodzi mi się jeno w danym wypadku o tło historyczne, na którym wyraźnie zarysowuje się sylwetka bohatera niniejszego opowiadania.

Wielki czwartek naznaczono jako dzień zbrojnego wybuchu w Warszawie. Sami Rosyianie przyznają, że noc ostatnia była tak spokojną, iż nikt nie mógł przypuszczać, że za kilka godzin na tych samych, rzekomo w głębokim śnie pogrążonych ulicach, zawrze walka o śmierć lub życie.

O godzinie czwartej nad ranem zauważono jakiś ruch w arsenale; dzielny komendant Cichowski pchnął gońca do koszar pułku Działyńskich z rozkazem, aby ten wystąpił na miejsce walki, sam zaś, wychyliwszy się przez okno, z całym sił wołał: do broni! do broni! ²⁾).

Po zaciętej obronie wojsko rosyjskie ustąpiło z Warszawy. Na 7948 zbrojnych padło ze strony rosyjskiej 2265, rannych było 121, w niewolę wziętych 1764; w liczbie ostatnich znalazło się 161 oficerów. Do cyfr powyższych

¹⁾ Sołowiew: *Istoria państwa Polski*, str. 321.

²⁾ Sołowiew, 330.



przyznają się sami Rosyianie, przypisując równocześnie skutki katastrofy nieudolnym rozporządzeniom Igelstroma ¹⁾. Opuściwszy Warszawę połączył się on z Prusakami, stojącymi również opodal jej murów. Prezydentem miasta zostaje ponownie Zakrzewski, naczelnikiem sił zbrojnych Mokronowski.

Wilno ubiegało się o pierwszeństwo z Warszawą. I tutaj, jak tam nad Wisłą, gorętsze umysły nie ustawały w pracy. Coraz szersze koła wcielano do robót rewolucyjnych, prowadzonych w ukryciu przed baczny okiem nieproszonych aniołów stróżów. Duszą wszystkiego był równie nieustraszony, jak zapalający się, Jakób Jasiński.

W stolicy Litwy stał na czele rosyjskiej załogi generał Arseniew. Składały ją dwa pułki piechoty, batalion strzelców, pułk Dońców i dziewiętnaście armat pod komendą świeżo w te strony przysłanego majora Tuczkowa. W Szatach i Wilkowyszkach znajdował się pułk Kossakowskiego. — W samym Wilnie zamek i arsenał były w rękach nielicznego wojska polskiego, uważanego przez Arseniewa za sprzymierzeńców, ostatni zaś — zdaniem historyków rosyjskich — przewyższał co do łatwości nawet samego Igelstroma, zostawał nadto pod wyjątkowym wpływem pani Wołodkowiczowej.

W podobnych warunkach zamiast Arseniewa musiał Kossakowski czuwać nad wszystkim i myśleć o bezpieczeństwie Rosyjan. Naczelnik też polskich sił zbrojnych spełniał misję swoją z całym zapalem, aresztował gorętszych oficerów sztabowych, dokuczał patriotom polskim, niebacznie pracując na własną zagładę.

Jasiński — »pelen ognia patriota, fanatyk, gotowy chwycić się najskrajniejszych środków, zwolennik francuskiego terroryzmu« ²⁾ — wymyka się cichaczem z Wilna,

¹⁾ N. I. Kostomarow: *Poslednije gody R. posp.*, 741.

²⁾ Kostomarow j. w. 744.

nakłania na prowincyi do współdziałania w ruchu pułkowników Niesiołowskiego, księcia Giedrojcia, brygadiera Chlewińskiego i innych, wraca następnie równie skrycie do miasta. Znalazł się jednak ktoś usłużny, który doniósł Kossakowskiemu o wycieczce podejrzanej pułkownika inżynierii. Pan hetman każe go aresztować; Jasiński ukrywa się w samym Wilnie u swoich przyjaciół, postanawiając wraz z nimi napaść nocą na śpiących Rossyan, wymordować jednych, wziąć w niewolę drugich, kraj zaś oczyścić z obcych naleciałości.

Przed wybuchem powstania doniósł żyd-faktor, nazwiskiem Gordon, naczelnikowi artylerii rossyjskiej, że w Wilnie nastąpić ma rzeź, że na domach, zajętych przez Rossyan, wypisano tajemnicze litery: R. Z., mieszkanie zaś samego Tuczkowa naznaczyła w dodatku czyjaś ręka Nrem 13. Rzecz naturalna, że pan major zakomunikował wszystko generałowi Arseniewowi, a chociaż ostatni nie przykładał do tych plotek większego znaczenia, Tuczkow sam na własną rękę zaprowadza pewne środki ostrożności.

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego przypadała w pamiętnym owym roku równocześnie i w katolickim Kościele i w prawosławnej Cerkwi. Pan hetman zapragnął święta przepędzić w gościnie u brata swego w Janowie; popsuł mu atoli wszystkie plany brygadyer Chlewiński, który w wielką sobotę wieczorem zjawił się nieproszony i nieoczekiwany na czele oddziału zbrojnych, otoczył pałac janowski i rozpoczął poszukiwanie za Kossakowskim.

Hetman zdołał wymknąć się szczęśliwie z zastawionej nań pułapki, wpadł do chaty jednego z włościan, dosiadł konia i pomknął do sąsiedniej wsi, skąd go już przyjaciel odstawił w powozie do Wilna. Znalazłszy się na miejscu pierwszego dnia świąt o późnej godzinie nocnej, postanawia zaraz w poniedziałek (22-go kwietnia) zwołać radę wojenną. »Obmyślimy środki ostrożności — woła do swego otoczenia. — Wojsko moje buntują; jeśli nie dzisiaj, to

najdalej jutro wybuchnie powstanie, a krew nasza zleje bruk uliczny.

Z rady wojennej jedzie wprost na ulicę Zamkową, do pałacu Paca, w którym mieszkał podówczas Arseniew.

Autorowie rosyjscy zapisują ciekawą rozmowę, jaka zawiązała się w owej chwili między tymi dwoma dygnitarzami, pracującymi dla jednej sprawy.

— Wyprowadź generale w tym roku wcześniej, niż zwykle to czynisz, wojska swoje do obozu — wołał rozgorączkowany Kossakowski. — Polacy się zbuntowali. Tobie samemu grozi niebezpieczeństwo.

— Przepisy, przestrzegane w wojsku rosyjskiem — odpowiedział Arseniew spokojnie — nie pozwalają mi wyprowadzać żołnierza do obozu przed 15 maja; zresztą ja nie widzę w Wilnie najmniejszego niebezpieczeństwa.

Hetman, pragnąc widocznie otworzyć generałowi oczy na wszystko, co się działo w Wilnie i otaczających je miejscowościach, opowiada o awanturze w Janowie, lecz Arseniew i tym razem odrzekł ze śmiechem: »Złakłeś się pan zbytecznie«.

Na tego zapamiętałego krótkowidza nie było rady. Kossakowski, mocno podrażniony, opuszcza pałac; generał Arseniew pospieszył do mieszkania pani swego serca i zabawiał się z nią najweselej, nie przypuszczając nawet, że równocześnie w ustronnym ogrodzie na Zarzeczu otoczyła Jasińskiego gromadka spiskowców, układając wraz z nim ostateczny plan wybuchu, owładnięcia odwachu i aresztowania wyższych wojskowych rosyjskich.

Pamiętnikarz Michał Ogiński bawił podówczas również w Wilnie i zapisał w swoich wspomnieniach następujący, wielce charakterystyczny ustęp: »aby nie mieć pozoru człowieka uciekającego z pośpiechem, poszedłem na wieczór dnia 22 do domu pani Wołodkowicz, dokąd generał Arseniew, komendant moskiewski i kilku oficerów ze sztabu głównego zaproszonych było, i uzyskałem tamże pewność,

że nie mają nawet podejrzania o złowrogim wypadku, który ich w przeciągu 24 godzin oczekiwał¹⁾.

Północ wybiła na zegarach wileńskich; całe miasto wydawało się jakby w śnie głębokim pogrążone. O wpół do pierwszej rozległ się głośny wystrzał armatni; sąsiednie wzgórza odpowiedziały nań stokrotnem echem, w kościołach stolicy litewskiej uderzono we wszystkie dzwony, na ulicach bito w bębny, słyhać było powtarzany co chwila okrzyk: »do bronil! do bronil!...« Spiskowcy na czele skromnych liczebnie oddziałów spieszyli na umówione miejsca; niewtajemniczeni domyślali się, że nadeszła chwila stanowczej z nieproszonym gościem rozprawy.

Miasto, przed chwilą jeszcze ciche i puste, zawrzało gorączkowem, niecodziennem życiem.

Major Sobiecki opanowuje ratusz i główny odwach; Chelkiewicz w otoczeniu dwudziestu zaledwie powstańców zjawia się przed mieszkaniem Arseniewa, wołając, o ile mógł najdonośniej: »cały batalion naprzód!« General w mniemaniu, że istotnie otoczyła go tak przeważająca siła zbrojna, poddał się Polakom.

Nawiasowo dodamy, że — według twierdzenia niektórych autorów rossyjskich — schwytano Arseniewa na Antokolu, w mieszkaniu ubóstwianej przezeń kobiety; inne źródła zapisują, że Chelkiewicz uwięził go w pałacu Paca. Mniejzają zresztą o to, gdzie go ujęto; dość, że naczelnik nieprzyjacielskiej siły zbrojnej znalazł się w polskich rękach.

Jasiński zapewnił jeńca, że aczkolwiek jest uwięziony, zawsze może liczyć w zamian za swoją dobroć i szlachetność, na szczerą życzliwość ze strony powstańców; z kolei podpułkownik Górski zaprowadził generała do arsenału i oddał go tam pod straż wojskową.

W jaki sposób schwytany został Kossakowski, wia-

¹⁾ *Pamiętnik* I. 298.

domo skąd inąd dobrze; znaną jest jego rozmowa z adjutantem, zakończona wymierzeniem policzka przez ostatniego w twarz hetmańską i oddaniem smutnej pamięci senatora pod klucz. — Podobny los przypadł w udziale wielu innym wysokim wojskowym i urzędnikom rossyjskim, oraz stronnikom Targowicy. Jeden nieledwie major Tuczkwow wymknął się szczęśliwie z miasta i rozpoczął chwilowo bombardowanie Wilna.

Według wszystkich niemal źródeł, wypędziło Rossyan ze stolicy Litwy 300 zaledwie zbrojnych, z pułkownikiem Jasińskim na czele¹⁾. Jemu przypada też znaczna część zasługi pamiętnej owej nocy; on zelektryzował otoczenie, on wybrał odpowiednie grono ludzi gotowych na wszystko, ułożył plan i przeprowadził tenże najdokładniej.

Z drugiej strony atoli fakt niezaprzeczonego bynajmniej bohaterstwa polskich sprzysiężonych, jest jednym dowodem więcej na poparcie słusznie zarzucanej generałowi Arseniewowi ślepoty i łatwowierności. — Z całego przebiegu krótkiej, ledwie że nie bezkrwawej walki na ulicach Wilna, widoczna, że naczelnik rossyjskich sił zbrojnych, mimo przestróg podwładnego sobie majora Tuczkwowa, prób i rad sprzymierzeńca-hetmana i donosów rozmaitych kreatur, nie przedsiębrał żadnych środków ostrożności. Widocznie los już tak chciał, by główni pełnomocnicy wszechwładnej imperatorowej: Igelstrom i Arseniew, ułatwili nam krótkotrwałe zwycięstwo, po którym z kolei — zbyt niestety szybko — nastąpiły dni bolesnych rozczarowań.

»Jasiński generał — zapisuje w swych wspomnieniach Zajączek²⁾ — człowiek pełen rozumu i odwagi, tak roztropnie plan powstania Wilna urządził, że bez najmniejszego rozlewu krwi, wszyscy Moskale napadnięci i w niewolę pobrani zostali. Jak tylko oswobodził miasto, ustanowił

¹⁾ Ogiński I, 300; Solowiew 353.

²⁾ s. 110.

natychmiast wojskową komisję dla sądzenia hetmana Kossakowskiego, całkowicie Moskwie poświęconego intryganta«. Wiadomo ogólnie, jaki wpływ wywarła wieść o wileńskiej egzekucyi na mieszkańcach Warszawy, gdzie w gronie doraźnie przez lud osądzonych, znalazł się i brat hetmana, biskup inflantski, zwany pospolicie »Inflantczykiem«.

Historycy rosyjscy zanotowali nader drobiazgowo przebieg stracenia hetmana litewskiego, a choć — rzecz zresztą zupełnie zrozumiała — opis ten nie jest pozbawiony pewnej tendencji, zasługuje on jednak na powtórzenie w niniejszym szkicu, jak wiadomo bowiem i w danej sprawie odegrał Jasiński niepoślednią rolę.

W Wilnie, skoro się tylko dowiedziano, że major Tuczko odstąpił od bombardowania miasta i pospieszył wcielić swoich podwładnych do armii, zostającej pod dowództwem generał-porucznika Knorringa, zwołano zgromadzenie ludowe na rynku prastarej stolicy i ogłoszono powstanie.

Białopiotrowicz, mężczyzna okazały, obdarzony silnym organem głosu, odczytał z polecenia Jasińskiego akt litewskiego powstania, objawiając równocześnie, że dewizą jego będą słowa, wyrzeczone przez Kościuszkę pod Wawelem: »Kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam!«

Jasiński, główny twórca powstania, mianowany został naczelnikiem narodowych sił zbrojnych na Litwie. Zawiązała się najwyższa Rada litewska, powstał również trybunał — »pierwszy niezbędny warunek żywotności rewolucyi, zawsze bowiem wyradza się w podobnych chwilach w ludziach nadzwyczajne pragnienie zbryzganja rewolucyi krwią bliźnich«.

Tego samego dnia wieczorem przedstawił się mieszkańcom Wilna ciekawy widok. Oto zwieziono drzewo i zaczęto wznosić w pobliżu głównego odwachu i ratusza szubienicę, opierając ją o latarnię — »by w ten sposób zadosyć

uczynić francuskiej modzie, która wprowadziła zwyczaj wieszania zdrajców kraju na latarni.

W czwartek około godziny trzeciej po południu wypełnił miejsce stracenia i wszystkie sąsiednie ulice tłum ciekawych. Od strony arsenału zbliżało się wojsko, dobosze bili z całych sił w bębny; w karecie, ciągnionej przez białe konie, jechał ostatni hetman litewski, przystrojony w ten sam żółty szlafrok, w którym go aresztowano w chwili wybuchu powstania. Karetę otaczali z obu stron konni, trębacze grali marsza, wszystkie okna, a nawet dachy obsiedli gęsto widzowie, oczekując niecierpliwie rzadkiego widowiska.

Jasiński, wyjechawszy w towarzystwie Niesiołowskiego i Tyzenhausa naprzeciw zbliżającemu się orszakowi, przemówił mniej więcej w następujące słowa: »Szanowni panowie! O tem, co tutaj za chwilę się stanie, rozprawiać nikomu nie wolno. Czy to się komu z was podoba, czy nie, proszę milczeć, kto bowiem zabierze w tej sprawie głos, powieszony zostanie na tej oto szubienicy!«

Po powyższej krótkiej, ale dosadnej odezwie, zawrócił naczelnik litewskiego powstania w stronę odwachu; wojsko utworzyło czworobok, głębokie milczenie zapanowało w tłumie, zostającym pod wrażeniem słów Jasińskiego.

Przed kareta zjawił się również na białym koniu, instygator nowo-utworzonego trybunału, adwokat Elsner i rozwinąwszy arkusz papieru, rozpoczął czytanie wyroku, mocą którego Kossakowski — za wszystkie znane nam dobrze przewinienia — skazany został na utratę wszelkich praw stanu, oraz na haniebną śmierć na szubienicy.

Po odczytaniu wyroku zapanowała cisza jeszcze głębsza; zdawało się, że ten tłum tysiącglowy nawet oddech powstrzymał w piersi... Do karety hetmańskiej wszedł zakonnik Bernardyn, rozpoczęła się spowiedź skazanego, a równocześnie kat zabrał się do ostatecznych przygotowań do egzekucyi.

Pan hetman, wyprowadzony z karety przez dwóch oprawców, pragnął widocznie przemówić do zgromadzonych, lecz zaledwie otworzył usta, rozległo się ze wszystkich stron wołanie: »nie wolno! nie wolno!« — a równocześnie dobosze uderzyli w bębny. Oprawcy zdjęli z niego żółty szlafrok, posadzili delinkwenta na krześle, związali mu ręce na plecach. Ostatni hetman litewski »usiłował przed samym zgonem raz jeszcze popisać się piękną wymową«, lecz znowu usłyszał wołania: »nie wolno!« — a bębny zabrzmiały jeszcze donośniej. Kat nałożył mu pętlicę na szyję i po kilku minutach egzekucya była skończoną.

Kiedy wisielec nie dawał już najmniejszego znaku życia, zawołał ktoś z tłumu: »wiwat!« — Jasiński nie skarcił niestosownego wybryku, więc też po chwili cały tłum powtórzył to samo i »wiwat!« rozległo się po wszystkich ulicach miasta.

Zwłoki hetmana, pogrzebane na niepoświęconem miejscu niezbyt głęboko, psy wyciągnęły z ziemi i rozszarpały w kawałki.

Wojska rosyjskie zdala okrążały stolicę Litwy, a w tej stolicy rząd rewolucyjny ogłosił się panem życia i mienia, wymagając od wszystkich bezwzględnego poddania się jego woli ¹⁾.

Tyle ze źródeł rosyjskich.

Dwóch kuryerów pomykało rączo w stronę Warszawy i Petersburga, jednakową wioząc relacyę. Nad Wilnem, wolnem i oswobodzonem z obcego najazdu, świeciło jasne słońce. Lekkie chmurki widoczne były zaledwie gdzieś na samym skraju horyzontu..

¹⁾ Kostomarow 749—751.

III.

Wydawca wspomnień generała Zajączka niezbyt pochlebną pod pewnym względem opinię wyraził o Jasińskim. Zdaniem jego: »podpułkownik inżynierów w wojsku litewskim, miał wielkie zdolności i wojskowe i jako poeta«, ale też posiadał i wybitną wadę. »Wezwany od Potockiej, starościny szczyrzeckiej, do edukacji synów jej Jana i Feliksa, gdy tę ukończył, wrócił do wojskowej służby. Do przymiotów dzielnego żołnierza łączył pychę nieograniczoną; gdy bowiem mianowano Michała Wielhorskiego naczelnikiem litewskiego wojska, porzucił służbę w chwili, kiedy ojczyzna jego głowy i ręki potrzebowała. Nie pokazał się też na placu boju, aż przy zdobyciu Pragi, gdzie śmierć znalazł¹⁾.

Jasiński był człowiekiem zdolnym i śmiałym. Takich zawsze potrzeba jak najwięcej; zarzut więc uczyniony jemu jest ciężki, choć z drugiej strony — dodajmy — niezupełnie został udowodniony, jak to wykazemy poniżej. Gdyby zresztą nie dało się nawet zaprzeczyć, że Jasiński w istocie wystąpił z wojska, to jednak — wzięwszy pod uwagę wpływy i intrygi, nawet w tak gorączkowej epoce ważną odgrywającą rolę, nie zapominając wreszcie, że ten domniemany dezerterskie życie swoje na polu walki bohaterką przypieczętował śmiercią — najchętniej darujemy jemu tę wadę i pamiętać nie będziemy przewinienia.

Zajączek, którego ówczesne przekonania solidaryzowały się w zupełności z demokratyzmem »Marata polskiego«, znajduje jeno dla Jasińskiego słowa bezwzględne uwielbienia; inni trzeźwiej go ocenili; my starać się będziemy wyrobić sobie o nim sąd bezstronny i sprawiedliwy, niepodległy żadnym ubocznym wpływom.

¹⁾ Zajączek, 110.

Częstokroć się zdarza, że osobnik jedyny i niezbędny do wywołania ruchu, rozentuzymowania tłumów, które w swej bierności niezawsze sprzyjają wszelkim karkołomnym, grożącym pewnymi stratami i ofiarami przedsięwzięciom — okazuje się potem nieodpowiednim naczelnikiem, dyktatorem, czy jak go tam nazwiemy, bo nie chodzi nam o samą nazwę. Podobnie się rzecz miała i z Jasińskim, o którym poważny świadek współczesny ¹⁾ zapisuje, że był to człowiek »pełen gorliwości, dobrej woli i zapału patriotycznego, a nawet bardzo dobry oficer artylerji, nie miał jednak potrzebnego doświadczenia«.

W gorącej wodzie kąpany, hołdujący ówczesnym nowinkom francuskim, nie uznawał Jasiński żadnych półśrodków, ale też i nie przebierał on w wyborze środków, byle tylko do dobrego prowadziły celu. Nie wdawał się w pertraktacye z osobami, których powagi i znaczenia lekceważyć nie należało; nie politykował, szedł tylko śmiało w ogień i rąbał na prawo i na lewo, niezawsze mogąc się pochlubić pomyślnym rezultatem tej rąbaniny. Dobre to z jednej strony, dobre dla zwyczajnego wykonawcy rozkazów z góry; naczelnik, dyktator, winien prócz tego posiadać inne jeszcze zalety. Podobnie bezwzględne, niepolityczne postępowanie, arbitralne odsądzanie pewnych warstw lub kół od pracy narodowej, zraża wielu do sprawy, która jak największego wymaga udziału i poparcia.

W podobnych warunkach dziwić się nie można, że »od samego początku przychodziły do Kościuszki często przeciw niemu zażalenia od obywateli, których z jawnem lekceważeniem traktował, jakby ich uważał za niegodnych walczenia i niesienia ofiar w świętej sprawie niepodległości ojczyzny. Najwyższy naczelnik, przekonawszy się o gwałtowności Jasińskiego, który na dobitkę z małą siłą rzucił się na obóz moskiewski pod Solami i był zupełnie rozbity,

¹⁾ Ogiński, I, 304.



przywołał go do głównej kwatery, a miejsce naczelnego dowódcy powierzył Michałowi Wielhorskiemu¹⁾.

Ogiński, naoczny świadek wszystkich tych przejęć, zapisuje w swych pamiętnikach, że Kościuszko postanowił kilku członków Rady tymczasowej litewskiej umieścić w Radzie najwyższej, wezwał ich przeto do Warszawy. General Jasiński miał również tam pospieszyć z chwilą przybycia Wielhorskiego na Litwę. »Zmiany te uzyskały — jak to się zwykle zresztą dzieje — pochwałę jednych, a naganę drugich, według różnicy opinii, która bardzo była podzielona w publiczności. — Wszyscy ludzie rewolucyjni żalowali Jasińskiego, którego wyobrażenia egzaltowane przypadały im do smaku; wszyscy umiarkowani cieszyli się z wyboru Wielhorskiego«.

Zkądinąd wiadomo dobrze, że Wielhorski, aczkolwiek żołnierz niepośledni, wykształcony w służbie wojskowej za granicą, nie nadawał się również do tego rodzaju przytrodnej misyi. Zastał on armię litewską w stanie pożałowania godnym, a przeraził się do reszty, gdy po jej przeglądzie przekonał się aż nadto namacalnie, że liczba żołnierza, do walki odpowiedniego, jest nader skromna, że w dodatku braknie mu amunicyi i artyleryi, wobec czego chyba jeno cofać się wypadnie przed nieprzyjacielem, podobna zaś konieczność nie przyspieszy chwili oczyszczenia Litwy z obcego najazdu. Nowo mianowany naczelnik litewskich sił zbrojnych robił, co mógł i jak mógł, w końcu otoli — zgnębiony w dodatku cierpieniami fizycznymi — usuwa się z zajmowanego stanowiska, zawiadamiając o wszystkim Kościuszkę.

Wielhorskiego łączyły dawne stosunki z naczelnikiem. Ostatni czuł jednak, »że na Litwie nie wszystko idzie wzdłuż; pragnął tam postawić człowieka, któryby podnosił dzielność, a gorliwością wzmacniał i ożywia ducha naro-

¹⁾ L. Siemieński: *Listy Kościuski*, 21.

dowego. Takim człowiekiem był Karol Prozor. Mianuje więc go naczelnik 18 lipca (1794 r.) zastępcą (czyli komisarzem rządu) w Radzie najwyższej narodowej i pełnomocnikiem na Litwie, przy wszystkich dywizjach wojsk W. Ka. Litewskiego¹⁾.

Równocześnie prawie pomocnikiem, a z kolei i następcą Wielhorskiego na Litwie zostaje generał popularny i w pewnych, szerokich nawet kołach sympatyczny i ceniony. Oto w dniu 5 sierpnia podpisuje Kościuszko »ordynans generał-lejtnantowi Mokronowskiemu, aby za odebraniem onego zjechał natychmiast do Wilna dla objęcia komendy nad wojskiem litewskim w czasie choroby generała Wielhorskiego i z nim na potem częścią wojska komenderował ile, że zaufani obywatele w nim przez talenta wojskowe okazane, (do Kościuszki) zgłaszają się bezustannie o wybranie jego osoby do zaradzenia nieporządku i objęcia komendy«²⁾.

Mokronowski niezupełnie czuł się zadowolonym ze swej nominacji, mimo tak bardzo pochlebnego dla jego osoby sądu. Po dłuższem ociąganiu się rusza w drogę, ale nie danem mu już było oglądać wolnego Wilna. W dniu 12 sierpnia wpadła stolica Litwy ponownie w ręce rosyjskie, choć — zdaniem współczesnych — mógł ją był Wielhorski obronić. Kościuszko i cały naród polski odczuli to niepowodzenie nader boleśnie, bo też było ono może nawet i większego znaczenia, niż zajęcie Krakowa przez armię pruską (15. VI. 1794 r.) i inne przegrane. Nieprzyjacieli posiadał w ten sposób główny punkt oparcia, *centrum*, z którego wysyłać jeno pozostawało coraz to świeże pułki przeciw znużonym i wyczerpanym oddziałom powstańczym.

»Wilno już jest wzięte, jak słyszałem — pisze Ko-

¹⁾ Dubiecki: Karol Prozor, 239.

²⁾ *Listy Kościuszki*, 57.

ściuszek 17 sierpnia ¹⁾ — urządź teraz, aby można było wstrzymać iście do Warszawy Moskalów i zarazem pobić onych. Komunikacya nam z Litwą bardzo potrzebna, przeto wszelkich użyjesz sposobów do skutecznienia tego; w tobie jednym mam teraz i nadal nadzieję i spodziewam się, iż wkrótce dziękować będziemy.

Niestety, nie pomogły tu już nic ani zakłęcia naczelnika, ani męstwo i odwaga Stanisława Mokronowskiego.

Na razie przerwać musimy nasze opowiadanie o działaniach następcy Wielhorskiego na Litwie, by poświęcić uwagę kilka osobie Jasińskiego. Na pięć dni przed nominacją Prozora — a więc w połowie lipca 1794 r. — przybył on do Warszawy rozżalony, iż nie jemu, ale Wielhorskiemu zdano naczelną komendę nad armią litewską.

Wtedy to zapukać też musiał Jasiński do mieszkania Kollątaja, by i przed nim poskarżyć się na wyrządzoną sobie krzywdę. Ks. Hugo przesyła Kościuszce z tej racyi kartkę poufną: »Był u mnie generał ²⁾ Jasiński i żądał po mnie, abym ci przedłożył, iż chce wyjść ze służby Rzeczypospolitej. Perswadowałem mu, aby tego nie robił, i jak widzę, jest tylko miłość własna tego człowieka obrażoną. — Bardzo to delikatnie brać należy i koniecznie tego człowieka jak miarkuję ugłaskać, użyć z honorem, bo byłby niebezpieczny, a jednak dał dowód zasługi prawdziwej. Pomiarkuj, co mu mam odpowiedzieć, jeżeli jutro będzie chciał mojej konfidencyi» ³⁾.

Nie znamy odpowiedzi Kościuszki, wiedząc atoli o życzliwości, jaka łączyła Jasińskiego z przeznaczonym do działania na Litwie Prozorem, — przypuszczać można, że temu ostatniemu właśnie przypadła również misya łagodzenia żalów i sporów, i że wybrnął on z niej zwycięsko.

¹⁾ *Liasty*, 65.

²⁾ Generałem został on po śmierci Kronnemana.

³⁾ *Liasty*, 96.

Obok sprawy litewskiej zajmowała umysł Kościuszki i inna, równego chyba znaczenia. Oto chodziło mu o odciągnięcie Prusaków z pod Warszawy, co jedynie ruch w prowincjach pruskich mógł spowodować; więc też w listach jego do Mokronowskiego na Litwę slanych, częste w tej sprawie znajdujemy wzmianki. Bo też stosunkowo pokaźna armia obsaczyła Warszawę. Według źródeł wiarygodnych stanęło tutaj 24.000 Prusaków, oraz około 13.000 Roszjan; dodajmy do tego przeszło sto dział, a położenie Warszawy i polskich szeregów nie przedstawi nam się w nadto różowych barwach.

Gdyby zdolano w jakikolwiek sposób króla pruskiego pozbyć się z pod Warszawy — i rozprawa z Roszjanami nie byłaby tyle ryzykowną. Zupełnie też zrozumiałe są słowa listu Kościuszki do Mokronowskiego, z dnia 20 sierpnia: »Im więcej rozmyślam nad sytuacją naszą, tem więcej jestem za projektem wtargnięcia do Prus, i każ tak zmuszkiej dywizyi, jak i tej, która od Wilna się rejterowała, niech pierwsza ku Królewcu ciągnie, a druga ku Gdańsku. Musi król pruski ściągnąć wojsko od Warszawy, a przez to uwolniona Warszawa, my będziemy w stanie pójść za nimi i na chleb nowy, bo nam brakować będzie, jak i sam już doświadczasz; dodamy przez to i odwagi żołnierzom i okryjemy go¹⁾.

Po upływie doby, umyślny kurjer nowy list wiezie do Mokronowskiego, w nim zaś — obok dalszych wskazówek, dotyczących wyprawy pruskiej — ustęp o generale inżynierzy litewskiej.

»Z Jasińskim znoś się listownie — pisze Kościuszko²⁾ — będzie on już odemnie w tej mierze ostrzeżonym. Posyłam ci kopię raportu...«, z czego widoczna, że bohater niniejszego szkicu do tej chwili nie porzucił jeszcze służby woj-

¹⁾ *Listy*, 77.

²⁾ *Listy*, 80.

skowej, choć na Litwie działał już drugi¹ wódz naczelny, choć nieudolne rozkazy Wielhorskiego niejednego gorętszego zrazić na dobre były w stanie. Przytoczone ustępy listów Kościuszki świadczą nadto, jak wielką usługę oddał mu Imci pan Mniewski, kasztelan kujawski, napadając z nie-liczną gromadką, złożoną z 89 braci szlachty¹) na poste-runki pruskie w Wielkopolsce, co wywołało w następstwie powstanie w tamtych stronach i zmusiło króla pruskiego do wycofania się z pod okopów warszawskich.

Z łatwo zrozumiałą radością donosi też naczelnik swemu przyjacielowi (3-go września) »o szczęśliwej wiadomości, w tym momencie z Wielkopolski nadesłanej«. A w trzy dni później znowu: »Warszawa uwolniona; nieprzyjaciel po kilku utarczkach, w których wiele ludzi utracił, dzisiaj w nocy uszedł. Niemasz już ani Moskalów, ani Prusaków, pójdziemy ich szukać. Idź przyjacielu i ty szukać ich i uwalniaj Litwę od najeźdźników«²).

Mokronowski nie potrzebował niestety szukać owych »najeźdźników«, gdyż — przeciwnie — oni sami wylazili ze wszystkich kątów, bezustannie niepokojąc polskie od-działy, które niezawsze pochłubić się mogły odpowiednimi zwierzechnikami.

Stan podobny sprawy polskiej na Litwie przebija wyraźnie choćby w samych listach Kościuszki; z nich również domyślać się można, że w tym czasie zaczynał bruzdzić trochę i nasz Jasiński. Okoliczność powyższa skłania Kościuszkę do przesłania Mokronowskiemu rady: »Niech Jasiński co robi i zdaj mu cokolwiek, aby go inte-resowała bardziej ojczyzna. Jest on czynnym, a przy dru-gich oficerach postąpi rozsądnie«.

Wszystkie przytoczone powyżej urywki z listów i rozkazów najwyższego naczelnika narodu — powtarzamy

¹ *Pamiętnik* XVIII. w. T. VII. 250.

² *Listy*, 88, 93.

z naciakiem — są klasycznym dowodem, że Jasiński poprzestał jedynie na samej groźbie, nie opuszczając w rezultacie sztandaru w chwili, kiedy ojczyzna jego głowy i ręki potrzebowała, że — jeśli był w istocie dezerterskim, co bardzo wątpliwe — faza ta przejściowa trwała zaledwie kilka tygodni. A chociaż ostatnie słowa Kościuszki przypuszczać pozwalają, że naczelnik litewskiego powstania znowu sarkać i burzyć się zaczynał, bo też — dodajmy otwarcie — sposób prowadzenia sprawy narodowej na Litwie uzasadniał wszelkie utyskiwania i zniechęcenie ruchliwszych i śmielszych jednostek — mimo to Jasiński nadal zostaje w wojsku, czytamy bowiem w rozkazie Kościuszki¹⁾, wydanym d. 30 września 1794 r. w Grodnie: »Generalny komendant odda komendę nad jedną dywizją gen.-lejt. Wawrzeckiemu, wspólnie z gen.-lejt. Gedrojciem, drugą zaś dywizję gener.-lejt. Jasińskiemu...«

Wobec tych wszystkich danych nasuwa się pytanie, z jakiego źródła zaczerpnięta została tak ujemna bądź co bądź opinia o Jasińskim? Nie pomylimy się chyba nadto, odpowiadając: z listu Kollątaja i z plotek, rozpuszczanych przez przeciwników generała inżynierzy. Ów list księdza podkanclerzego dziwnie wygląda również wobec twierdzenia pewnej liczby autorów (np. Wójcickiego), że stronnictwo śmielszych — a z niem i Kollątaj — chciało Jasińskiego postawić na czele narodu w miejsce Kościuszki, jako człowieka pełnego niezbędnej energii i siły woli. Nie chce nam się wprost wierzyć, by Kollątaj, zostający z Kościuszką w nader bliskich stosunkach, piszący doń tego rodzaju poufne listy, knuł równocześnie poza jego plecami zdradę i promował na dyktatora człowieka, którego równocześnie w tak ujemny bądź co bądź przedstawiał sposób. Szujski pisze w *Dziejach Polski* (Kraków, 1895. IV. 791), że po strasznym pogromie maciejowickim, który zadał stanowczy

¹⁾ *Listy*, 119



s powstaniu, Rada narodowa mianowała następcą uwięzłego naczelnika generała Tomasza Wawrzeckiego, aby ten sposób nie dopuścić do władzy Zajączka.

W innym miejscu¹⁾ znajdujemy twierdzenie, że chciano tem stanowisku widzieć Jasińskiego. Na to zgoda. — Choć brakło Kościuszki, mogli skrajniejsi rzeczywiście wolać wysunąć na czoło narodu generała inżynierii i wojskowej; prawdopodobnie przyklaskiwał podobnemu protowi i ruchliwy agitator, ksiądz Hugo, ale żeby on do tego dążył przeciw Kościuszce, nie możemy w żaden sposób wyobrazić; nie dopuszcza takich twierdzeń choćby przytoczony już list Kollątaja.

Do wzmiankowanej właśnie tylko co chwili odnosi wiersz Godebskiego:

Wieszczce przeczucia mnie tuszą,
Że się narodził polski Marat z Jasińskiego duszą.

W rodzinie generała przechowała się tradycja, którą ten z jego potomków streszcza w następujących słowach w opismiennej notatki: »Gdyby Jasiński miał więcej ambicji, a mniej miłości kraju, mógłby być zostać dyktatorem polski. Wszak tego domagała się wciąż partya śmielszych Kollątajem. A mając, jak on, pod swymi rozkazami dyktatora, z wielką łatwością możnaby dopiąć tego. Ale generał Jasiński szczerze szanował Kościuszkę, pod którego tając rozkazami, pierwsze uszczknął wawrzyny, a miast przywrócić kraj, więcej, jak wszystkie dostojęstwa, więcej nad życie, co i czynem stwierdził, nie chciał nawet przyjąć, gdy Wawrzecki dowództwo objął, dopuścić do zarządzenia, by wyrwać władzę i ogłosić się samemu dyktatorem. On gardził intrygami i zawsze domagał się jedności państwa, widząc w tem tylko naszą siłę, a jako prawy i uczciwy i prawdziwej karności żołnierz, wolał już nawet

¹⁾ *Pisma Jasińskiego*. Przedmowa.

zostawać pod rozkazami niezdarnego Wawrzeckiego, niż contr-rewolucyą obalać rząd istniejący«.

Po tem chwilowem zboczeniu do tradycyji rodzinnych, które może i niejaki wpływ wywarły na niektórych autorów, wracamy do dalszego ciągu obrony Jasińskiego. Pewne grono pisarzy — w ich rzędzie i wydawca wspomnień Zajęczka — twierdzi, że generał inżynierzy litewskiej po opuszczeniu sztandaru, znalazł się w wojsku z powrotem dopiero podczas oblężenia Pragi, gdzie też śmierć poniósł. Już wspominaliśmy wyżej, że Jasiński najprawdopodobniej szeregów nie opuszczał wcale, za czem przemawiałyby listy samego Kościuszki. A i znalezienie się jego w chwili tragicznej na Pradze jest łatwo wytłumaczalne. W pierwszych dniach października nastąpiło fatalne owo starcie pod Maciejowicami; nowy naczelnik narodu, generał Wawrzecki, poleca wojskom, naciskanym ze stron wszystkich przez wroga, zbliżyć się ku Warszawie; »ściągnął tu także — zapisuje w swoich pamiętnikach Stanisław Kosmowski ¹⁾ — generałów Jasińskiego i Grabowskiego z małym litewskim oddziałem, oddał ich pod komendę generała Zajęczka. W dniu 28 października — czytamy w innym pamiętniku ²⁾ — zjawił się również nad Wisłą Mokronowski i »wszedł z połową swego korpusu do okopów Pragi, gdy druga zginęła pod Kobyłką o trzy mile od Warszawy«.

Wiemy dobrze z rozkazu Kościuszki, że Jasiński walczył w korpusie tylko co wzmiankowanego generała, gdyby więc naoczny świadek, Stanisław Kosmowski, błędą podał wiadomość o przybyciu Jasińskiego i Grabowskiego do Warszawy, pozostanie zawsze jeszcze druga ewentualność, że przybył on z resztkami korpusu Mokronowskiego. Czy tak, czy tak, zjawił się bohater Mickiewiczowskiej tragedyi w Warszawie nie jako dezertor, powracający dopiero teraz

¹⁾ Kosmowski, str. 48.

²⁾ *Pamiętniki XVIII w.* T. VII, 259.

do szeregów, ale jako obrońca ojczyzny, cofający się w zagrożone mury jej stolicy na czele resztek walecznej armii.

W tym czasie ściągnął do Warszawy i Michał Ogiński. »General Jasiński — zapisuje on w swoich pamiętnikach ¹⁾ — dobry patriota i waleczny jak jego szabla, lecz zapalony do zbytku, przyszedł kilka razy obiadować ze mną sam na sam. Pewnego razu proponował mi wstąpić do klubu Jakobinów, dodając, że jeżeli nie przyjmę tej propozycji, wystawiam się na niebezpieczeństwo być powieszonym, nad czembym się martwił«. Ogiński odrzekł spokojnie, ale stanowczo, że gróźb nie zwykł się lękać i nie przystąpi do żadnego klubu. Jasiński raz jeszcze ponowił swoje namowy, usiłując towarzysza obiadów przekonać, że »jeżeli się nie wyrznie całej szlachty, Polska nie może być ocaloną«. »Odpowiedziałem mu z uśmiechem — pisze Ogiński — że skoro on i ja jesteśmy szlachtą, nie byłibyśmy również oszczędzeni w razie przyjęcia tej reguły generalnej, a że bez wątpienia takim nie jest jego zamiar«.

W kilka dni zjawił się znowu Jasiński w mieszkaniu naszego pamiętnikarza; był jakiś smutny, podrażniony i rozmarzony zarazem; w ciągu rozmowy zaproponował gospodarzowi, by puścił się z nim pieszo do Paryża, ponieważ »w Polsce są tylko zdrajcy lub ludzie słabi, bez energii, z którymi niema nic do roboty«. Ogiński odrzekł na to, że »więcej jeszcze warto zginąć z bronią w ręku, aniżeli opuszczać kraj, myśląc tylko o bezpieczeństwie osobistem«. — »Masz słuszność — zakończył chłodno Jasiński — pójdę za twą radą«.

I dotrzymał słowa; w tydzień po wzmiankowanej rozmowie padł w okopach Pragi.

Podług innej wersji, miał Jasiński przed ostatecznym wyjazdem z Wilna, w obecności zebranych przyjaciół słu-

¹⁾ T. II, 48.

bować, że »Bogu i prawom Jego podda się tylko, a żadnego pardonu nie przyjmie«. Ślub został spełniony najskrupulatniej.

Umyślnie przytoczyliśmy w dokładnem streszczeniu tak obszerny ustęp pamiętników Ogińskiego, maluje on bowiem wiernie i dosadnie charakter naszego bohatera, zgadzając się z tem, cośmy już wyżej powiedzieli o nim.

Domysł niedaleko odbiegnie od prawdy, gdy się powie, że Jasińskiego zniechęcały tak bardzo do sprawy narodowej posiedzenia Rady, na których — jak to zresztą zobaczymy nieco niżej — równie dzielnymi i odważnymi okazali się nie wszyscy wyżsi wojskowi, którzy przecie winni byli swoim poddanym służyć za przykład, naśladowania godny.

Dalecy będąc od przyklaskiwania zbyt skrajnym przekonaniom generała inżynierii litewskiej, bierzemy jeno pod uwagę jego czyny i dla nich właśnie — i tylko dla nich — odnawiamy w pamięci współczesnych imię, które zapisane zostało w rzędzie bohaterów; stawiamy przed nimi człowieka prawdziwego, nie wyidealizowanego, z jego przywarami i zaletami; człowieka, którego uważał wieszcz narodowy za uosobienie polskiego bohaterstwa.

IV.

Los powstania uważać można było poniekąd za rozstrzygnięty, gdy na czele rosyjskiej armii stanął nadzwyczaj rzutki i śmiały Suworow. Już sam fakt powołania tego generała do Polski pozwalał i kazał nawet domyślać się, że wszechwładna imperatorowa pragnie jednym cięciem zadać cios stanowczy polskiemu ruchowi.

Suworow zbliżał się szybko ku Warszawie, gdzie po maciejowickim pogromie rozmaite frakcyje podniosły głowy, gdzie śmielsi i przezorniejsi, rojaliści i Jakobini, Hugoniści,

stronnicy Jasińskiego, Wawrzeckiego i Zajączka spierali się w najlepsze, nie dowierzając sobie wzajemnie.

Pięknie i szumnie głoszonych hasel o jedności i zgodzie nie znalazłbyś tutaj nawet ze świeczką, odrzucano je precz daleko za mury i okopy warszawskie. Uwięzienie Kościuszki odebrało nadzieję w powodzenie sprawy, na śmierć zaś niechybną niekażdy decydował się narażać.

Praga miała tworzyć przednią straż stolicy, a w jej okopach czuwali Zajączek, Grabowski i Jasiński.

Ignacy Potocki — zapisuje współczesny pamiętnikarz ¹⁾ — proponował jeszcze na radzie wojennej, aby wojsko, znajdujące się w okopach, wyszło stamtąd naprzód i wybrało przestrzeńszą pozycję, aniżeli by miało powstrzymać i wystawiać się na szturm spodziewany. Ale i tu opór przezornemu projektowi nie dał miejsca. Nieustanne poróżnienia (jako poprzedniki ostatecznych nieszczęść) między patriotami a rojalistami sprawiły, iż wojsko zostało w okopach, a Zajączek w determinacji nieprzyjęcia kapitulacji, żądał, dla wspólnej czynności, rady niektórych generałów, ale oprócz Jasińskiego, nie znalazł się żaden ochoczy, któryby obecnem wzgardzał niebezpieczeństwem.

Czyż podobny stan rzeczy nie był w stanie podsunąć Jasińskiemu najrozpaczliwszych myśli? Czyż nie mógł on przyjść prosto z rady wojennej do Ogińskiego, aby temu ostatniemu zaproponować dobrowolną emigrację na Zachód? To pewna, że taki brak odwagi i hartu u wodzów naczelnych mógł i najwyrozumialszego na ludzkie słabości zniechęcić do najświętszej sprawy. Jasiński upadł na duchu chwilowo, lecz zawrócony z połowy drogi wyrósł na bohatera.

Pamiętne po wszystkie czasy zdobycie okopów prakich wywołało bardzo wiele sądów i zdań, różniących się

¹⁾ *Pamiętniki*, Tom VII; Zajączek, 198.

między sobą poważnie. Pewna ich część czyniła Zajączkowi i Wawrzeckiemu — z powodu zgonu Grabowskiego i Jasińskiego — zarzuty, które gruby cień rzucają na osoby głównokomenderującego w okopach praskich i na chwilowego najwyższego naczelnika narodu. Ma się rozumieć, że wielu z tych sądów powtarzać nie będziemy w niniejszym szkicu, zajęłoby to miejsca niemało, ale ze względu na osobę Jasińskiego choć kilka z nich przytoczyć jest poniekąd naszym obowiązkiem.

Zaczynamy od Stanisława Kosmowskiego¹⁾. — Sąd jego o Zajączku nie bardzo pochlebny. Zdaniem tego pamiętnikarza był generał wzmiankowany »kreaturą Branickiego«. »Wojsko rossyjskie postępowało pospiesznie i z nadzwyczajną szybkością napadło na Pragę, gdzie generałowie Jasiński i Grabowski, odstąpieni przez swego komenderującego generała Zajączka, nie mając żadnej pomocy, bili się do ostatniego prawie żołnierza, i nie chcąc brać pardonu, polegli za Ojczyznę i wolność«. Pragę spotkał los okropny; Suworow, za przykładem dzikich wodzów tatarskich dawno minionych stuleci, pozwolił »dzieciom« swoim pohulać; żołdactwo hulalo też na potęgę, nie przepuszczając ni starcom, ni kobietom, ni niemowlętom, nabijanym na piki. W rzezi padło 15,000 osób, a opis ten — choć krótki i zwięzły — daje chyba dokładne pojęcie o wielkości klęski, jak również i o charakterze krwawej pamięci zdobywcy Warszawy. Był to jeden dowód więcej, że generał Suworow nie zwykł żartować..

Według innego źródła²⁾, już 2 listopada ukazał się Suworow pod Pragę; w nocy usypał baterię, a następnego dnia 15 dział zionęło ogniem na walecznych obrońców Warszawy. Była to jednak tylko skromna przygrywka do krwawego koncertu z dnia 4 listopada. Zajączek posyła

¹⁾ *Pamiętniki*, 48.

²⁾ *Pamiętniki*, T. VII, 260.

do Wawrzeckiego z oznajmieniem, że według otrzymanych wieści, szturm rozpocznie się w nocy (z 3 na 4), a dotychczas zapowiadana zbrojna rezerwa, złożona z mieszczan warszawskich, nie stawiała się na miejscu. Wawrzecki przybył niezwłocznie na Pragę. Zajączek i Jasiński objeżdżali posterunki, by raz jeszcze wszystko zlustrować osobiście i dodać odwagi żołnierzom.

Długa noc listopadowa miała się już ku końcowi, gdy obaj strudzeni wodzowie powrócili do siebie. Około godziny 6 rano usłyszano głośny wystrzał z ręcznej broni na lewym skrzydle, na czele którego stał właśnie Jasiński.

»Zajączek zbliżając się ku tej stronie, zdybał kompanie piechoty polskiej kryjące się, zwrócił je, a gdy w dalszą pospieszył stronę, podobnie uchodzących spostrzegł i w tem już miejscu poznał, iż to nieprzyjacielski ogień wstecz naszych umykać przymuszał.«

»Za pierwszym wystrzałem powtórzono drugi i wtedy Zajączek został rannym. Spostrzegłszy zaś uchodzących z szyku przed batalionami rosyjskimi, chociaż starał się ich usilnie z oficerami wstrzymać, nie mógł tego dokazać. Próżnem już było usiłowaniem nietylko Zajączka, ale i Wawrzeckiego samego wzbudzić męstwo i odwagę, kiedy nieprzyjaciel objąwszy stanowisko i armaty, wsparty większością wciąż przybywającego zbrojnego żołnierza, panem został tych okopów... Generałowie Grabowski i Jasiński polegli w szturmie. Tu dokonanie nastąpiło zupełne... Wawrzecki i Zajączek uszli do Warszawy, gdy nieprzyjaciel zbliżał się ku mostowi, prowadzącemu do miasta. Mieszkańcy Pragi wytraceni zostali...«

Że polskie źródła nie przesadzają w opisach rzezi praskiej, wystarczy przeczytać na dowód choćby tylko *Pamiętniki Engelhardta* (str. 118). Wspomniawszy o tem wszystkim, cośmy przytoczyli w opisie zdobycia Pragi, dodaje na końcu generał rosyjski: »W czasie bitwy czło-

wiek nietylko nie czuje w sobie żadnej litości, ale roz-
zwierzęca się jeszcze, lecz morderstwa po bitwie, to hańba!

Michał Ogiński również nie obwinia Zajęczka; opinia jednak powszechna w Warszawie ciężkie musiała mu czynić zarzuty, kiedy przyszedł namiestnik w swoich wspomnieniach tak energicznie się tłumaczy z rzekomego przestępstwa, czy jeno niedbalstwa. Twierdzi on, że »na-
próżno przekładał radzie potrzebę wzmocnienia straży, wałów pilnującej«. Na wszelkie nalegania miano mu od-
powiadać, że »niedostatek żywności nie pozwalał większej liczby wojska w stolicy utrzymywać; jeżeliby zaś potrzeba wymagała, zbrojni mieszczanie pobiegną Pradze na pomoc, że w czasie oblężenia pruskiego, mieszkańcy miasta dali dowody waleczności, pochlebiano sobie, że także w obronie przeciw Moskałom również męstwo okażą«.

Okopy sypano wokół Pragi naprędce, w chwili bar-
dzo groźnej, nie mogły więc one w żaden sposób dosta-
tecznej tworzyć obrony w razie szturm, przypuszczonego przez Suworowa, który, nie żałując ofiar w ludziach, zwykł był nacierać z całą gwałtownością i bezwzględnością i —
dodajmy — słynął ze zdobywania twierdz, stojących na przeszkodzie jego zamiarom. A przecież Pragi największy nawet optymista nie nazwie nigdy twierdzą. Okopy owe usypano podług planów, »które inżynierowie mieli za dzieło Kościuszki«. Pokusić się o ich odmianę »byłoby pewnym rodzajem występku; tyle to świętymi były wszystkie dzieła jego w oczach narodu«.

O odrzuconym na radzie projekcie Potockiego, wiemy skądinąd dobrze, mimo więc wszelkich braków pozostawało jeno bronić Pragi. W dodatku rozsiewane przez zwolenni-
ków króla i inne frakcye niestworzone plotki, nie przy-
czyniały się bynajmniej do dodania odwagi i bez tego zde-
moralizowanym już szeregom, o których pierś rozbić się miała wielogłowa armia Suworowa, posiłkowana w razie potrzeby przez 30.000 Prusaków.

»Ustawiczne krytykowania ze strony generalów, do króla przywiązanych, słyszane, wskazywały żołnierzowi pewne i już grożące mu niebezpieczeństwo«. Zajączek zażądał, by mu Rada dodała do pomocy kilku generalów, sam bowiem nie chciał brać na siebie całej odpowiedzialności, »ale stronnicy dworu uchylili się od takowego jemu pomagania. Jeden tylko Jasiński, zacny Litwin, człowiek uczciwy... zdobył się na tyle męstwa i patriotyzmu, iż wzgardził niebezpieczeństwem«.

Dalszej obrony Zajączka nie cytujemy. To, cośmy przytoczyli wyżej, rzuca dostateczne światło na ową tragiczną dobę. Czy ta, czy tamta strona była winną? Czy — co prawdopodobniejsza — obie w danej chwili zawiniły, nie pora i nie miejsce w naszym pobieżnym szkicu obszerniej rozstrząsać. My zapisujemy fakt, że Jasiński stanął na najbardziej zagrożonym posterunku, gdzie w obronie walącej się w gruzy ojczyzny, bohaterską poległ śmiercią.

Wobec podobnego zgonu — powtarzamy raz jeszcze — zapomnieć się godzi i o pysze i o gwałtowności, zarzucanej generałowi litewskiej inżynierii. Pozostaje jeno sam czyn niecodzienny, a ten czyn właśnie i Mickiewicza skłonił niechybnie do uwiecznienia postaci dzielnego obrońcy okopów praskich w pamięci najdalszych pokoleń, które zawsze z żalem spoglądać będą na pozbawione niestety końca — a raczej nawet skromny jedynie urywek dzieła polskiego wieszczą.

Warszawa dostała się w ręce rossyjskie.

O smutnym tym fakcie biegła wieść na wszystkie strony; nie wiózł jej specjalny kurjer; podawana z ust do ust, dosięgła ona lotem strzały wszędzie, gdzie tylko były polskie serca...

Suworow pchnął do wszechwładnej imperatorowej wieść radosną, zamykając relację swoją w trzech zaledwie słowach: »Hura! Warszawa nasza!«

Oceniono ją mimo to w Petersburgu w odpowiedni sposób. Cesarzowa przesłała zwycięskiemu swemu generałowi odpowiedź równie zwięzłą: »Hura! feldmarszałku!«

Awansując tak wysoko, wyprzedził Suworow dziewiciu starszych od siebie dygnitarzy, którzy dawno już czekali na tego rodzaju odznaczenie. Ale też i zdobycie Warszawy nie każdemu przypada w udziale.

V.

Poznaliśmy Jasińskiego — generała; z kolei choćby słów kilka poświęcić należy Jasińskiemu — poecie.

Na kartach dziejów literatury polskiej znalazłoby się więcej takich, co na przemianę pracowali i szablą i piórem, w obu razach częstokroć równie dzielnie, z równym zapalem.

I poprzednie zresztą stulecia poszczycić się mogą bratem szlachcicem, który w spokoju wdzięczne składał rymy, a kiedy wici o zbliżaniu się wroga do granic ukochanej ojczyzny znać dawały, strzepnął inkaust z pióra, po ojcach odziedziczoną szablę przypasywał do boku, żegnał swoich najbliższych, cały ster gospodarstwa domowego składał na barki dozgonnej towarzyszki i bez chwili wahania, z miną gęstą a modlitwą do Bogarodzicy na ustach ruszał w pole. Zmieniły się później czasy. Nie wszystkich herbowych świętym obowiązkiem było stawać na każde zawołanie do szeregu, ale poetów-żołnierzy mimo to nie brakło nam nigdy.

O bezpretensjonalnych utworach Jakóba Jasińskiego pisano już niejednokrotnie; nawet w podręcznikach literatury znajdzie się o nich mniej lub więcej zwięzła sympatyczna wzmianka, ta zaś okoliczność uwalnia od obszerniejszego rozbioru literackiego spadku po generale w niniejszym szkicu. Za życia Jasiński nic nie drukował; dopiero

po bohaterskim zgonie obrońcy Pragi, kiedy to zapomniano o wadach człowieka, a pamiętano jedynie, że dał on dowód nie codziennego męstwa i szczerzej miłości ojczyzny; kiedy głośny w owych czasach malarz, Franciszek Smuglewicz, uwiecznia postać generała, wspartego na mieczu, depreczającego trupią głowę, jako godło pogardy śmierci, przyjaciel zaś zmarłego, pułkownik Rajmund Korsak, pisał:

Mężu, którego dusza wśród klęsk niezwalczona,
Spoczęła obok Bruta, Regula, Katona!
Póki cnoty na niebie, póki Boga w niebie,
Póty kraj, coś go bronił, pełen będzie ciebie!
Świat twym grobem, nadgrobkim — wieków podziwianie,
Polacy! bijcie czołem na jego wspomnienie!

wówczas przypominano sobie, że Jasiński tworzył, że piosnki jego kursują w odpisach po dworkach szlacheckich, że skromną tę spuściznę literacką ogłosić drukiem warto.

Pierwszy *Pamiętnik Warszawski* zaznajamia swoich czytelników z utworem rymowanym Jasińskiego, p. t. »Kij krzywy«, skreślonym niechybnie w chwili jakichś rozczarowań, żalu do świata i do ludzi. Znajdujemy tutaj ustęp charakterystyczny:

Bądź nieukiem, nic nie znaj, byle z śmiałem czołem,
Wnet się znajdziesz bożyszczem, albo apostołem!
Ja bez złota, fortuny, zatem bez podpory,
Miałem trochę talentu, lecz mało pokory.
Każdej uczciwej duszy ten jest przymiot jasny,
Znać szacunek każdego, lecz znać też i własny.
To jest źródłem mych nieszczęść. Bóg jeden polliczy,
Ilem doznał zmartwienia, nieszczęść i goryczy.
Wszystkie niewinne czyny, przysługi, życzenia,
Cnoty nawet, opaczne miały tłumaczenia.
Aż po różnych kolejach trudów i zgryzoty,
Wszystko razem rzuciłem, oprócz jednej cnoty.

.....

Z kolei w r. 1815 ogłasza S. Jabłoński większą pracę generała pod oryginalnym tytułem: »List Barnaweta do Trumana, swego przyjaciela, pisany z więzienia. Oryginał angielski z francuskiego przełożony przez ś. p. Jakóba Jasińskiego, generała inżynierii w byłym wojsku litewskim«.

Tak w swoim czasie poczytne satyry na mnichów i klasztory: »Monachomachia« biskupa Krasickiego i »Organy« Węgierskiego, zachęciły widocznie i generała inżynierii do napisania czegoś podobnego. W ten to sposób powstały w sześciu zamknięte strofach »Sprzeczkę«, które — przyznać trzeba — posiadają sporą dozę zdrowego humoru i pewnego wojskowego zacięcia. Drobną z nich częśćkę ogłosił Lelewelowski *Tygodnik Wileński*.

Do najpopularniejszych piosenek Jasińskiego zaliczyć wypadnie: »Chciało się Zosi jagódek, kupić ich za co nie miała«; »Stare winko, żonka młoda, To gust dobry, dobra moda«; »Zawsze spokojny, zawsze wesoly, Nie dbam na smutek, troski, mozoły«; »Na miękkiej darni Filis leżała...« i kilka innych. Śpiewano je często w dworkach szlacheckich i oficynach ekonomskich wraz z utworami Karpińskiego i Tymka Padurra, nie znając zwyczajnie nazwiska ukrytego ich autora. — Młódź uczyła się tych piosenek ze słyszenia, lub z pożółkłych zeszytów, w których matki za swoich panięńskich czasów spisywały »kulasami« najbardziej do ich dziewiczych serc przemawiające strofy; kto zaś je stworzył? kto rzucił w świat szeroki? nikt nie pytał, nikogo to nie obchodziło. Dwa lub trzy pokolenia wyśpiewywały »Na miękkiej darni Filis leżała«, a dopiero, często prosty przypadek jedynie, odkrywał nazwisko autora piosnki.

Na zbiorek pism Jakóba Jasińskiego, wydany w skromnym tomiku 1869 r. w Krakowie, złożyły się, obok wspomnianych już utworów generała, trzy wiersze patriotyczne: »Do Stefana Batorego«, »W czasie obchodzonej żałoby

przez dwór polski po Ludwiku XVI, »O stałości. Do Exulantów polskich r. 1793«, kilkanaście liryków, trzynaście bajek i wreszcie urywek obszerniejszego artykułu prozą »O wojsku«. Jedni twierdzą, że Jasińskiemu »nie brakło ani talentu, ani zapału, brak mu tylko prawdziwego natchnienia poetyckiego«; zdaniem innych znowu (i Sowińskiego, który był sam tak wybitnym poetą), general posiadał niepospolity talent poetycki, choć — o ile nam się zdaje — zastosowanie w danym wypadku złotego środka, zbliżyłoby ocenę literackiego spadku po Jasińskim do najprawdopodobniejszej skali.

Powyzsza pobieżna notatka daje już pewne pojęcie o rodzaju twórczości generała, którego czy to wiersze patryotyczne, czy liryki, piosnki, czy wreszcie bajki, nie wyszły z pod pióra zawodowego literata, lecz skreślone zostały w chwilach wolnych od obowiązkowej pracy, przez żołnierza, nie przeznaczone wcale do druku, ale pisane jedynie dla własnej przyjemności, własnego zadowolenia.

Nie usiłował Jasiński wytyczać w poezyi dróg nowych, szedł za popędem mody, która lubowała się w danej chwili w piosnkach i bajkach; pod wpływem lektury purpurata warmińskiego, stwarza barwne i dowcipne »Sprzeczkę pobożną«; poruszony czemś do głębi, pisze wiersze patryotyczne... mówiąc krótko: przebija się w tem wszystkim umysł gorączkowy, wrażliwy człowieka wykształconego ponad przeciętną miarę, a takim był właśnie Jasiński.

Zwłoki obrońcy praskiego pochowano na miejscowym cmentarzu; Warszawę zajęły wojska nieprzyjacielskie, w chwili zaś ogólnego przygnębienia nie pora było myśleć o postawieniu na tej mogile choćby skromnego pomnika, któryby następnym pokoleniom przypominał o niezwykłej odwadze nieboszczyka. Dopiero za czasów pruskich umieszczono na grobie Jasińskiego kamień pamiątkowy z wyrytym dwuwierszem Rajmunda Korsaka:

»Świat twym grobem, nadgrobkim — wieków podziwienie,
Polacy! bijcie czołem na jego wspomnienie!«

nie dotrwał on jednak do dni naszych. Dzisiaj trudnooby było nawet odszukać miejsce wiecznego spoczynku mężnego generała.

Postać tę — jak wspominaliśmy na początku niniejszego szkicu — niejednokrotnie uwieczniano w poezyi. Obok Korsaka i Godebskiego, zwącego generała »polskim Maratem«, uczynił to samo porucznik wojsk polskich, więzień, a z kolei marszałek szlachty powiatu zasławskiego na Wołyniu, Jakób Ciechoński, autor kilku dzieł wierszem i prozą (np. *Pan starosta Zakrsewski*. Kijów, 1860). Był on kochany przez wszystkich bliższych i dalszych sąsiadów, wiersze jego krążyły w odpisach z rąk do rąk, a starsi przypominali sobie nawet piosnkę, napisaną przezeń jeszcze w więzieniu karmelickim w Warszawie. Zaczynała się ona od strofy:

»Oj tam pod Zamkiem
Siedzi Kuba z Jankiem,
Ach, jakżeż ich serce boli,
Być w takiej niewoli.....«

a co dziwniejsza, że sam nawet w. ks. Konstanty nucił ją często, musiała więc być bardzo popularną w ówczesnych szeregach wojskowych.

Wspomniany właśnie marszałek zasławski jest również autorem, niewydanej dotąd dumy o generale Jasińskim, gdzie śmierć obrońcy Pragi opisuje w następujący sposób:

»Widząc to Jasiński, zgrozą przejęty
Do swych żołnierzy z goryczą zawoła:
Już nic, kochana Ojczyzno, nie zdoła
Przed nieprzyjaciół uchronić Cię pęty!
To gdy rzekł, pelen zapału — na czele
Sześciuset swoich uderza na rotę
Liczne Moskali — i gdy mnóstwo ściele,
Pada, przeszyty wśród nich wielu grotę!«



Oto i wszystko, co się zebrać dało o sympatycznej bądź co bądź postaci dzielnego generała. Na przypomnienie i wspomnienie zasłużył on w zupełności. Może kiedyś stanie pomnik poświęcony jego pamięci. Nim to nastąpi, zbudujmy mu pomnik trwały w naszych sercach. Wszak jest to bohater Mickiewiczowskiej tragedyi!

.....



TOMASZ ZAN NA ROLI



Świetlana postać Filareta, mimo zmienione prądy w literaturze i w życiu, zawsze zaliczać się będzie do rzędu tych, które przykuwają uwagę i serce polskiego społeczeństwa. A wśród owej garstki wileńskiej młodzieży, poetyzującej na potęgę, chadzającej na mleko gdzieś w okolicę Rybiszek, odznaczającej się uczciwością obyczajów i zaniechaniem gorących napojów, zatykającej sobie — jak notuje na pół ironicznie Cyprynus (Przeclawski) w *Ruskim Archiwie* ¹⁾ nosy przy spotkaniu z rozpustnymi kolegami, lub swawolnymi kobietami — stanowił środowisko Tomasz Zan. On był poniekąd jej moralnym kierownikiem, mentorem, opiekunem i doradcą. On zagrzewał otoczenie swoje do pracy i studyów. Imię jego sprzęgło się po wiek wieków nierozdzielnie z imieniem największego wieszczka narodowego...

Faktów aż nadto dobrze znanych, powtarzać nie będziemy. Po rozwiązaniu Towarzystwa Filaretów z rozkazu wyższej władzy, ci, co wczoraj jeszcze żyli wspólną myślą, wspólnymi ideałami i marzeniami, pisali ballady i improwizowali, wypowiadając z bezwzględnością »młodych« walkę na śmierć starym, zapleśniałym klasykom — rozbici przez senatora Nowosilcowa, rozbiegają się po szerokim świecie, wpadają w wir nowych stosunków, nowych ludzi.

¹⁾ Petersburg 1872. T. VI., str. 1766 i następne.

Szara, nieprześlągana proza walki o chleb powszedni wytrąciła niejednemu kandydatowi na poetę pióro z ręki, ściągając go z wyżyn Parnasu na bruk wielkowiejski. — Różnym różnie się działo: Tomasz Zan zakłada w Orenburgu, z rozkazu gubernatora Perowskiego, Muzeum; w roku 1830 zostaje bibliotekarzem korpusu górniczego w Petersburgu; około roku 1845 spotykamy go już w towarzystwie obywatela gubernii wileńskiej, Mieczysława Świętorzeckiego, na Białej Rusi.

Urodzony w Nowogródzkim, w pamiętnym dla nas roku ogłoszenia konstytucyi, nie był już Zan kawalerem pierwszej młodości, mimo to czuł jeszcze serce w piersi, krew w żyłach i kochał się nie na żarty.

Panna nie była jego zamiarom przeciwną, matka również, lecz ta ostatnia stawiała zacnemu konkurentowi warunek, o który wszystko się rozbijało, jak o mur dawnej jakiejś twierdzy kresowej, a tu serce nie sługa, a i człek, choć leciwy, gorącego afektu stłumić nie jest w stanie.

Nic dziwnego. — Matka, troskliwa o przyszłość córki, pragnęła widzieć byt jej odpowiednio zabezpieczony. Wszak i dzisiaj rada familijna niejednokrotnie usunie na plan dalszy popularnego nawet literata, lub artystę, dla urzędnika ze skromną choćby, ale stałą pensją i emeryturą. Cofnijmy się o lat pięćdziesiąt wstecz; weźmy pod uwagę ówczesne zapatrywania i poglądy szlachty na inkaust, łokieć i inne wolne zawody, a nie obruszy nas zbyt postępowanie pani Świętorzeckiej, powtarzającej stale: pierwej ziemia, potem żona.

Rozkochany eks-Filaret łamał sobie głowę nad tem, w jakiby sposób zadosyć uczynić stawianym warunkom. Bywają w życiu różne twarde orzechy do zgryzienia, ten jednak chyba należał do najtwardszych. Mijały dnie i tygodnie, a zmiana na lepsze nie była widoczna; pan Tomasz począł już tracić nadzieję pomyślniejszego jutra, aż tu niespodziewanie, jakby z nieba spada zbawca w osobie Adolfa

Dobrowolskiego, z którym też z tej racji nieco bliżej zapoznać się wypada, choć — dodajmy odrazu — na wdzięczność i wspomnienie i bez tego całym życiem swym zasłużył on niezaprzeczenie.

Urodzony w 1790 roku, dostał się po ukończeniu nauk, do służby Adama ks. Czartoryskiego w Puławach. Jako zdolny nadzwyczaj finansista, pełnił tu urząd sekretarza do spraw majątkowych, pozyskał też szczególne względy swego pryncypała, w którego pojedynku z Pacem czynny przyjmował udział.

Kiedy interesy majątkowe księcia zły przybierać zaczęły obrót, poruczono panu Adolfowi ich uregulowanie; następstwem tego: konieczność zaciągnięcia pożyczki na dobra, w granicach rossyjskiego zaboru rzucone; że zaś w owe czasy banki w Rosyi nie istniały jeszcze, kołatać należało do kasy opiekuńczej w Petersburgu.

Dobrowolski, przeprowadziwszy rzecz całą w ostatnich miesiącach 1830 roku, wysłała podniesioną sumę (przeszło 500.000 rubli asygnac.) na ręce księcia, bawiącego podówczas w Warszawie, sam zaś wraca najspokojniej do domu. W tem wybucha rewolucya listopadowa: sekretarz książy, zatrzymany z polecenia władzy w Mińsku, gdy podjętych niedawno pieniędzy zwrócić nie jest w możności, zamiast do siebie, wędruje na przymusowe mieszkanie do Kostromy.

Już atoli we dwa lata później znajduje się w kraju i stoi na czele filii banku polskiego w Berdyczowie, której agendy znakomicie rozwija¹⁾. Od roku 1835 udziela pożyczek na majątki, na ziarno; przekazów samych zagranicę uskutecznił w przeciągu dwóch lat, na kwotę 750.000 rubli i to go właśnie zgubiło, rząd bowiem przypuszczając, że

¹⁾ Powstała ona jeszcze przed 1830 rokiem pod kierunkiem Skowrońskiego, opatrzona prywatną firmą Wereszczyńskiego. Zadaniem jej było kupować woły dla Królestwa.

pieniądze owe idą na wsparcie rewolucyjnych celów emigracyi (szły one dla emigrantów, jako wartość ich majątków nie skonfiskowanych) — w roku 1838 filię zamyka ¹⁾).

Dobrowolski przenosi się na Litwę, do tak zwanej komisji radziwiłłowskiej; szczęśliwa wygrana na loteryi pozwala mu nabyć klucz Janowski w powiecie sejneńskim, wkrótce jednak, bo już około 1846 roku, dobra białoruskie wysprzedaje i osiada w Odessie, gdzie poświęca się interesom zbożowym i komisowym.

Z początku wszystko wiodło mu się jaknajpomyślniej. I innym pomaga uczciwie i sam porasta w pierze. Zaufanie zdobywa powszechnie, kupuje na Podolu nad Zbruczem znaczną część Zbrzyzia, aż tu nadchodzi rok 1854, a z nim w parze katastrofa. Wskutek nieszczęśliwego zwrotu interesów, spowodowanego wojną turecką, następuje kompletna ruina Dobrowolskiego. Jako zaletę i przykład godny naśladowania podnieść należy, że żaden z jego licznych klientów, wskutek tego »krachu« straty najmniejszej nie poniósł.

W r. 1856 przenosi się pan Adolf na mieszkanie do Rajskiej bramki, uroczonego futoru nad Smotryczem, odległego o wiorst parę zaledwie od Kamieńca; zostaje z wyboru skromnym urzędniczyną komisji budowlanej w gubernialnem mieście i na tem też stanowisku umiera w r. 1866, zostawiając jak najlepsze po sobie wspomnienie.

Rajska bramka miała dzięki jemu swoją świetną epokę; kto tylko potrzebował jakiej porady, dążył choćby pieszo na futor, będąc pewnym, że zdolny finansista, a zacny zarazem człowiek zaufania w nim położonego nie zawiedzie. Że zaś gospodarz, z przedziwną pogodą znoszący zmianę losu, skromny, łagodny i wykształcony, posiadał nieporównany dar opowiadania, więc też i ciekawych słuchaczy nie zbrakło nigdy, życie wrzało w tem ustroniu w całej pełni, a i dzisiaj jeszcze, choć z dawnego dworku już śladu

¹⁾ Szulgin: *Jubnyj Kraj*, str. 27 i 73.

nie zostało, odbywają Kamieńczanie tradycyjne wycieczki do uroczego zakątka, starsi wspomną niekiedy dawnych serdecznych gospodarzy, a młodzi... jak zwyczajnie młodzi...

Takim był nieoczekiwany zbawca, rozkochanego w panie Brygidzie, przyjaciela Mickiewicza.

Wioska, sprzedana Zanowi, nosiła nazwę Kakowczyn, że zaś nowy nabywca za nieodpowiednią ją uważał, przechrzczoną została na Kochaczyn. Brzmiało to wdzięcznie i nie raziło już uszów szanownego jej właściciela.

Osada, licząca 103 poddanych, dostała się do rąk eks-Filareta, wraz z remanentem, za 1.500 rb. (oprócz długu bankowego), z wypłatą pięcioletnią, po 300 rb. rocznie, bez doliczania najmniejszego procentu, nie więc dziwnego, że Zan uważał Dobrowolskiego za swego dobroczyńcę.

Wobec tyle niespodziewanego obrotu sprawy, upadała jedyna zaporą, tamująca drogę do szczęścia. Pan Tomasz miał już teraz prawo wybraną poprowadzić do ołtarza, czego też — nie zwlekając zbyt — uczynić nie omieszkał.

I tak znalazł się po różnych przejściach w skórze rolnika, a mógł sobie śmiało winszować, nie wszystkim bowiem kolegom wileńskim szczęście przypadło w udziale. Jak mu się na tem nowem stanowisku wiodło, najdosadniej wykażą własnoręczne jego listy; czy gospodarował po literacku, niechaj rozstrzygną zawodowi rolnicy: my przystępujemy z kolei do powtórzenia dosłownego tekstu korespondencyj ¹⁾.

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Najświętsza Panna Matka. 1847 roku czerwca 17 w Kochaczynie.

Dziś obchodzę z żoną moją pierwszą rocznicę dobrodziejstw, któremi mnie tu zaopatrzyła wspaniała a pobo-

¹⁾ Z archiwum doktora A. J. Rollego.

żna życzliwość pana Adolfa Dobrowolskiego. Dziś też w dzień imienin Jego byłbym, nie bez straszliwej troski, obowiązany wnieść pierwszą dopłatę, należącą mu się odemnie za majątek, do którego posiadania wejść, da Bóg, podolamy, albo dusze, których staliśmy się karmicielami, przez Jego uprzedzającą łaskę; wnoszę tylko teraz kilka słów upewniających, że mam mocną wolę wraz za oswobodzeniem czasu z okoliczności, w jakich się dotąd niezmiernie kłopotczę, zając się układaniem pamiętniczków, którym zawczasu tak wielką nadawacie cenę, że je za ową dopłatę przyjąć i zaspokoić się racyzsz.

Stosownie do tego zamiaru poczyniłem kroki do wycofania się w ciągu bieżącej ćwierci roku ze służby, w której mnie, odpuść Boże, znaleźliście najbardziej z potrzeby utrzymania się i dotąd słyszycie, że jeszcze nie wyluszczyła się możliwość obejścia się bez niej w nowem dla mnie byciu, za jakie, po prawdzie mówiąc, za zrządzeniem Opatrzności obowiązany jestem samym nieledwie Dobrowolskim.

Myślimy osiąść w spokojnym Oborku, obok kościoła, gdzie, jak uważam, będę w stanie za pomocą Bożą jedną część czasu poświęcać na pamiętniki, a drugą działkom starszej i najukochańszej siostry żony mojej, Wandy Dederkowej: tak, aby, gdy jedno zajęcie byłoby zatrudnieniem i pracą osobną, drugie wraz stawało się zabawą i rozrywką wspólną: oboje pobożne.

Póki trwać będzie ta robota, Wanda zamierza ze swych dochodów oszczędzać dla nas wzajem 300 r. rs, które ze spodziewanemi od matki 250 r. rs. corocznie, jeśli dotrzyma obietnicy, złożą zasilek potrzebowany na okupienie i zagospodarowanie Kochaczyna, dokąd jakoby na Ukrainę, ku pamiętce i czci przyjaźni Dobrowolskich, zarówno z obowiązku, jak miłości, co rok kilka razy dla odwiedzin, z całym sobą zjeżdżać postanowiliśmy. Tymczasem tu bawimy, usiłując wszczępić naszego ducha panowania i zasiać ziarna

sprawiedliwości i pragnąc, aby świeciło się imię, wprowadzało się królestwo i działa się tu z nami wola Boża.

Wraz za pierwszą tu naszą bytnością na zapusty i w poście odebraliśmy słodycze Dobrowolskiego¹⁾ z rąk Ryńskiego, który jest z nami. Nie wiem w czym bym mógł mu doradzać lub pomagać, gdyż w tok spraw biegących, któreście mu poruczyli, z żadnej strony wprowadzony nie jestem. Ośm ubiegłych cukrowych miesięcy, mieszały się z dobrą miarą sześciu innych smaków, do których niepodobna było nie dopuścić i kwaśnych i gorzkich. Wciąż wystawiony jestem na pokuszenia i doświadczenia, azali zdołam tak ukochać i uczyć starszych i braci nieużytych, nieszczerych i przeciwnych, zarówno jako tych, którzy mnie dotąd wszelką względnością i dary zobowiązywać byli gotowi.

Mat...owie, mając nieograniczoną swobodę przedsięwzięcia i czynienia wszystkiego na wspólną korzyść Kochaczyna i ustawiczną, ograniczyli się do zabezpieczenia tylko własnej i ściągnięcia jej ku sobie wraz w pierwszym roku, w którym, oprócz biegących dochodów i urodzajów, mieli sobie dane na utrzymanie i prowadzenie gospodarstwa Janowych i moich służbowych do 300 r. sr. przy wyjeździe swoim do ojczystych Zapolak; utwierdziłem nadto rejestr przez nich podany wydatków na 437 r. rs, które im uścić się obowiązałem w czas wielmożny: zostawili zaś w Kochaczynie tylko ośm wołów, żyta posianego 30 czet, w spichrzu 12, owsa 30, kartofli 20 czet.; zbudowali piekarnię, lodowenkę i loch do chowania ogroduwizny; na parobków uwolnili osób 15, z sobą wzięli stadło Szarszawieckich, z trzech osób złożone; żelaztwem i sprzętami Dobrowol-

¹⁾ Dobrowolski, przeniósłszy się do Odessy, wysłał plenipotentą swego dla skończenia sprawy z nabywcami klucza Janowskiego. Ten przyznając transakcyę dla innych, dał i Zanowi, nie chcąc tego jednego interesu pozostawiać nieskończonym. O ile sądzić możemy, były to właśnie owe, wspomniane w liście „słodycze“.

skiego rozporządzili się podług własnego widzimisie, uważając to sobie za dar im przeznaczony«.

Takie jest brzmienie listu pierwszego. Drugi, pisany w trzy miesiące później, zawiera również podziękowania i błogosławieństwa, przesłane dobrodziejowi, za jakiego pan Adolf miał zupełne prawo uchodzić. Styl obu listów prosty, przebija się w nich owa filarecka uczciwość i prawość, którym to zasadom Zan do zgonu pozostał wiernym, i tylko żalować wypada, że większej ilości korespondencji między tymi dwoma ludźmi nie posiadamy; odkryłaby nam ona może jeszcze niejedną piękną stronę charakteru »zdolnego finansisty«.

List drugi nosi datę 28 września 1847 roku, pisany również w Kochaczymie. W nagłówku ten sam dowód głębokiej wiary, uwidocznionej w słowach: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Najświętsza Panna Matka«; a dalej: »Adolfowi i Marcyannie¹⁾ z rodzeństwem, życzenia zdrowia i pomyślności przesyłają tem Tomasz i Brygida ze Świętorzeckich Zanowie.

Przepędziliśmy tu całą waszą wiosnę i lato, jak tylko można było przyjemnie; gdybyśmy nie byli poczynającami w gospodarstwie, moglibyśmy rozumieć, że urodzaj na ogrody, oziminę i jarzynę i len był skutkiem naszych obecnych zabiegów. Nikt tu się tak bardzo nie troszczy o to, że kartofla odednia Przemienienia Pańskiego dotknięta została zarazą psucia się, że jej zbiór o trzecią część okazuje się mniejszym od oczekiwanego, gdyż tegoroczny zbiór zbożowych plonów wystarczy na żywność ludności i żywiołu do nowego urodzaju.

We dworze i na włości razem mamy żyta do 600 kóp, wydających po trzy czetweryki ziarna czystego, i tyleż owsa z jęczmieniem.

¹⁾ Siostra znanego powszechnie Karola Sienkiewicza, małżonka Dobrowolskiego.

Zbiór we dworze jeszcze nie całe dokończony, kartofla nie poczynana, a już znakomite dojmują przymrozki. Siana mamy z górą cztery stogi z połowy łąki zebranego, gdyż jej drugą połowę kosili włościanie, nadto dla niewczasów zielonego; dosyć go będzie na żywioł, którego ilość potrzebną wcale nie byliśmy w stanie uzupełnić, owszem ani zastąpić te sztuki, któremi się rozporządził Mat...ewicz.

Ptastwa, oprócz gęsi, mamy dostatek i wiodło się dobrze wskutek pilności pani Pogorzelskiej, której wewnętrznemu i ogrodowemu gospodarowaniu nic do zarzucenia nie mamy. Ale jej mąż, ekonom to prawdziwy. Na widok chłopą kipi z niecierpliwości, ani zdoła powstrzymać się od słów ostrych i razów. Mimo to robota nie ma pośpiechu i ład u spokojnego, żyta siewba zapóźniona, równie jak żniwo i kośba. Jeżeli tego ekonomskiego ducha pokonam, największą moją w Kochaczynie biedę, już to będzie ostatnie i wszystko zdaje się pójdzie łatwiej.

Co niedziela zbiera się wiejska starszyzna wybornych mężów na gospodarską naradę i rozstrzygnięcie spraw, co Pogorzelski ma za przewrócenie porządku, a ja za największą nadzieję pożądanego w wiejskim gospodarstwie postępu, gdyż rozum miejscowy a stary przekładam nad niemiecki.

Trzecią część plonów wzajem obiecaliśmy sobie dochować nietkniętą jako zapas do nowego urodzaju; pozostała od potrzeb dziesięciomiesięcowych sprzedać wspólnie na zaspakajanie długów i nieodwlocznych powinności pieniędzy, na podatki zaś wnieść z zimowych zarobków po trzy rs. od konia roboczego, jeśli Bóg pozwoli. Dotąd oprócz z karczmy 5 rsb. na miesiąc, znikąd żadnego przychodu mieć nie można było. W tym roku na żywność dusz nieroboczych i potrzeby miejscowe gospodarowania wydatkowaliśmy służbowych własnych, jak i w przeszłym roku, około 500 rubli. Na rok bieżący będziemy bardzo radzi, gdy się bez tego obejdzie i Kochaczyn sam sobie wystar-

czy: tembardziej, że dzisiaj nie przewidujemy, skądbyśmy brali potrzebną na to ilość pieniędzy. Na początku tego miesiąca podałem się do dymisji ze służby, z której dotąd opędzaliśmy nasze potrzeby mało co większe od tych, którym wystarczałem sam będąc bez żony. Powodowała mnie do tego potrzeba mienia czasu swobodnego na pamiętniki, które Wam rad dłużny jestem. Wraz wyjeżdżamy do starszej siostry żony mojej, Wandy Dederkowej, do Oborka, gdzie nas czeka serdeczny przytułek, cichy i pobożny. Tuż obok jest kościół, są i działki, którym rad poświęcę godziny wytchnienia i orzeźwienia się od przedsięwziętego zatrudnienia. Pogorzelski zostanie w Kochaczynie młócić, zgromadzać materyał do wybudowania nieco przestronniejszego mieszkania, dogodnego na każdą roku porę, bo na letnią nie potrzebowaliśmy lepszego i miłszego, jaki nam sporządzileś. Jako rajca, gotów jestem radzić, mierzyć; wyliczać, dawać pomysły, ale je wykonać, coś jeszcze innego, niż mnie samego potrzeba...»

Wtem miejscu opuszczamy ustęp listu dosyć drażliwy, dotyczący sum pani Brygidzie Zanowej należnych, a mimo urgensów zięcia, przez teściową niewypłacanych. Święto-rzeczcy właśnie w tym czasie uwięzili całą posiadaną gotówkę w Janowie, więc i posag, »pozostawiony w rozporządzeniu matki«, nie mógł być Zanom wypłacony, co stawiło ich częstokroć w trudnem bardzo położeniu finansowem. List ten drugi jest cennym dokumentem dla badacza ziemiańskiego żywota przezacnego Filareta. Gdyby skromna gotówka znalazła się w kalecie, pobyt jego w Kochaczynie nie pozostawiałby wiele do życzenia. Poczciwa ziemia rodziła bujnie; »ekonomiczna dusza« hukała po obejściu gospodarskiem, wywołując bezustanne protesty ze strony siwobrodego marzyciela; poważni gospodarze zasiadali na ganku skromnego dworku dla wspólnych narad z tym wyjątkowym w owym czasie na Rusi »panem« — słowem: prawdziwa sielanka, odbłysek może młodzieńczych rojeń

i projektów, snutych w otoczeniu kolegów gdzieś nad brzegami Wilii.

Wracamy do dalszego ciągu ciekawego listu:

»...Piszę to (ustęp o kłopotach finansowej natury) nie dla skargi jakowej lub ujmy czci powinnej, lecz abym się usprawiedliwił przed Dobrowolskimi, tyle nam ochnie i użytecznie darodawcami, że nie jesteśmy w stanie, jakbyśmy to życzyli, skończyć sprawy o Kochaczyn wprzód, nimbyśmy co z posagu, lub z tego, co nam winien Mieczysław (Świętorzecki), nie otrzymali.

Pozostaję i nadal pełnomocnym sługą Waszym w tym majątku, jak dotąd, i czekam Waszych poleceń, które najwierniej wypełniać rad będę się starał wedle rozumienia mojego i możności. Przenika nas niewymowna wdzięczność, że i teraz, jak pan Ryński nam oświadczył, byliście gotowi w rzeczy prawa kupna zastąpić nas na 500 rubli, a razem i nie mniejsza troska, aby ta osobliwsza względem nas obojętność rodziny, z którą się przez żonę moją za Waszem uczestnictwem i wspomóżeniem połączyłem, nie stała się dla Was powodem mimowolnego i nieprzewidywanego obarczenia na korzyść moją: zwłaszcza, że niczem na względy Wasze, tak mocno nas obowiązujące, aniśmy zasłużyli, ani kiedy zasłużyć poczuwamy się. Nie wątpię, iż gdyby drobniuchna cząstka podobnego Wam uczestnictwa i pomocy przychyliła się ku nam od tej rodziny, w mieniu naszym dostatecznie i mile moglibyśmy i teraz i nadal być ubezpieczeni i uspokojeni. Pociaszamy się atoli tem przekonaniem, że Opatrzność, stawiając w tem ku nam przeciwność, zamierza w nas utwierdzić coraz rzeczywistszą w sobie ufność, która się osłabia i rozrywa poleganiem na ludziach i układach, i kierować nas tą samą drogą, w którejsmy napotykali wszędy słodką i godną uczciwość i uprzejmość, których uwiecznieniem był rok przeszły, zawsze dla mnie pamiętny przez przychylność, jakiej doznałem od Adolfa. Poruczamy się modlitwom

kochanego i pobożnego domu J. W. Państwa Dobrowolskich».

W ośm lat po napisaniu powyższych listów, pan Tomasz rozstał się z tym światem. Że ani należnej kwoty, ani rękopisu pamiętników Dobrowolski nie odebrał, to pewna ¹⁾.

Dlaczego sprawa podobny przyjęła obrót? — powiedzieć nie umiemy. Kochaczyn przeszedł w posiadanie dzieci Zana, których opiekunem został ks. Lubomirski, marszałek powiatu orszańskiego.

¹⁾ Do interesu mojego męża z nieboszczykiem Zanem (notatka p. Dobrowolskiej, skreślona w styczniu 1857 roku).

POUFNE ZWIERZENIA SADYKA-PASZY

(WIĄZANKA LISTÓW I NOTAT)



Michał Czajkowski, ulubiony niegdyś i do najpoczytniejszych pracowników pióra zaliczający się pisarz, człowiek oryginalny, natura zagadkowa, skazany został — w ostatnich latach swej po świecie wędrówki — na wzgardę i na zapomnienie, tak przez społeczeństwo, jak i przez prasę polską. Pisma codzienne, każdą najdrobniejszą wiadomość w lot chwytające, by ją zakomunikować swoim czytelnikom, pisma, stwarzające często po śmierci, wielkości i zapoznane geniusze, o których istnieniu pierwszy raz się dowiadujemy, pominęły zgon tego kozaka-poety, powieściopisarza-polityka prawie milczeniem; młodsze pokolenia, z głuchych, z ust do ust przechodzących pogłosek, dowiadywały się, że ten, który przed nimi tak barwnie malował sceny z dzikiego a hulaszczego życia na dalekich kresach, żyć przestał.

Podobne zapomnienie, pewnego rodzaju śmierć, podczas gdy serce w strudzonej piersi jeszcze się kołace, oczy patrzą na pogrzeb zasług, czci i honoru, uszy słowa obrony nikąd dosłyszeć nie są w stanie... — kara to ostra, dotkliwa, boląca więcej od krytyki, choćby najgwałtowniejszej, wyrzutów, choćby najcięższych, lecz... zasłużona; w przeciwnym razie potępienie nie byłoby tak jednogłośne, pogarda tak ogólna.

I my go dzisiaj oczyszczać nie mamy zamiaru, nie mamy prawa, nie pozwala nam na krok podobny sumie-

nie nasze. Chcemy tylko ogłosić kilka, znajdujących się w naszych rękach dokumentów, których zaprzepaszczać nie wolno nikomu, dotyczą bowiem człowieka, odgrywającego w swoim czasie wybitną rolę, zwracającego na siebie uwagę nie tylko całego narodu, lecz również i obcych naszej sprawie i nam przychylnych; a nadto, stanowią one niezawodnie bardzo wiele znaczący przyczynek do charakterystyki renegata, w ostatniej fazie jego życia.

Rysunek, przedstawiający Mickiewicza w obozie pod Burgas, złączył imię największego wieszczka z imieniem Sadyka i z pewnością przyczynił się niemal do powiększenia aureoli, otaczającej postać tego ostatniego.

Z przykrością przyznajemy, że listy — w naszym posiadaniu będące — nie wpłyną na zmniejszenie winy potępionego powszechnie człowieka; zwierzeń politycznych zmieniać nam nie wolno, te zaś świadczą niestety z nieublaganą stanowczością i konsekwencją przeciw człowiekowi, na którego życie patrząc, bez wahania powiedzieć można: — szkoda, że żył tak długo, że przeżył sławę swoją.

Przebiegając karty historii ubiegłych lat, znajdujemy więcej zmarnowanych jednostek, zepchniętych dziwnym zrządzeniem losu, z drogi, po której dotąd kroczyły. W ich liczbie zarysowuje się jasno i wyraźnie sylwetka Sadyka-paszy, osądzonego bezwzględniej, ponieważ »wybrani« winni świecić przykładem zapatrzonym w nich szeregowcom, gdyż ich upadek daleko dotkliwszą ranę zadaje sprawie, której lat szereg bronili; daleko większą szkodę przynosi ogółowi, który w nich wierzył.

Czajkowski należał do »wybranych«.

W obecnej dobie, kiedy to przy każdej sposobności doszukujemy się dziedziczności, rzuci nam może i genealogia rodziny Sadyka pewne charakterystyczne światło na jego osobę. Mając to na względzie, do niej z kolei przystępujemy: »Jelowicki (księgarz) dał poznać krajowi nowy



talent w prozie Michała Czajkowskiego; ten szlachcic Jastrzębczyk, szedł z rodziny kozackiej i od młodu nasłuchiwał się powieści o dawnej sławie Zaporozża, sam też urodził się na Ukrainie i miał przed oczyma blizkie przykłady własnych przodków, co tchnęli duchem kozackim. Stryjowie jego: Michał, z porucznika kawalerii narodowej poszedł na pułkownika kozaków, drugi Łukasz, zginął na Siczy w 1775 r. w obronie Zaporozża, trzeci Krzysztof, walczył pod znamionami kozackimi. Brat tych trzech, Stanisław, horodniczy kijowski, poseł na ostatni Sejm grodzieński w 1793 r., wreszcie już po upadku Rzeczypospolitej podkomorzy żytomierski, żonaty z Petronelą Głębocką, córką wojskiego owruckiego, był ojcem Michała.

Z tych kilkunastu wierszy, powtórzonych za Julianem Bartoszewiczem¹⁾, poznajemy najbliższe otoczenie Czajkowskiego, a ono nam mówi bardzo wiele. Krew kozacka w nim płynąca, pieśni i dumy lirników zdziałały swoje. »Kulasami, podobnymi do kozackich nahajek«, kreślił, zbyt może poetycznie pojęte, a więc często nienaturalne, niezgodne z rzeczywistością, dzieje tego dzikiego żywiołu, gospodarującego nad Dnieprem, a musiały mieć one pewną wartość, kiedy sam nawet znakomity znawca dziejów naszych, obok stron ujemnych, wytkniętych powieściopisarzowi, podnosi niejedną zaletę, to zaś już wiele znaczy. Przemawiają zresztą za powyższem twierdzeniem i liczne tłumaczenia na obce języki, czem się niekażdy z naszych pisarzy owej epoki poszczycić może.

Rozmówienie w kozaczyźnie przebija się w długim szeregu utworów, ogłaszanych między 1837 a 1841 r., widnieje również w epoce, kiedy Czajkowski prawie milknie zupełnie i zamieniając pióro ponownie na szablę, zajmuje się organizowaniem kozaków, przyjmuje islamizm i jako Sadyk-pasza wstępuje w służbę turecką.

¹⁾ *Histor. Liter. polsk.* T. II. 212—213. Kraków 1877.

Za takiego miłośnika hulaszczyc kresowców miał go i Zygmunt Krasieński, w którego listach¹⁾ znajdujemy sylwetkę późniejszego renegata z czasów pobytu tegoż w Wiecznym mieście. »Jest tu Czajkowski Wernyhora, dzielny jeździec, z całego Rzymu pojmujący tylko piękność łąk Kampanii, bo siostrzana stepom, zresztą mało dbający o ruiny Wiecznego miasta. Siądzie ci na podstawie kolumny korynckiej i gada o Skibickim, zarzniętym przez hajdamaków; pójdzie do Kolizeum i przypomina sobie, jak ataman Konaszewicz przebił Bezborodkę; w Termach Karakalli widzi Czarnieckiego, który ścina atamana Wyhowskiego. Ale co do kozaczyzny jedyny badacz, głęboki, przenikliwy, zgadujący, historyk żywy, śmiały, kozacki romansista, a sercem całym i wszystkiemi pojęciami głowy szczerzy szlachcic polski«.

Takim wydał się Sadyk pocie w 1840 roku. Po upływie lat niezbyt wielu i Krasieński znalazł się w liczbie zawiedzionych i rozczarowanych a zawód był równie bolesny, jak wielkimi były poprzednie pochwały i nadzieje. Mickiewicz, który również w listach swoich zostawił wybitne dowody, jak go sprawa kozaków Sadyka mocno obchodziła, jak wiele się po nim spodziewał, nie dożył tej smutnej chwili, o jedno bolesne rozczarowanie miał mniej może.

Jednym z licznych towarzyszy broni Czajkowskiego, w pamiętnym dla nas 1831 roku, był Władysław Sabatyn²⁾. W kilkunastotysięcznym tłumie, spieszącym po pogromie na Zachód, by tam każdej chwili protestować przed światem przeciw wypadkom dni ostatnich, znaleźli się i obydwaj przyjaciele.

¹⁾ *Korespondencja Zyg. Krasieńskiego*. T. II. List 78, str. 195.

²⁾ Budzyński: *Pamiętniki*. T. I. 387—389.



Z czasem drogi ich życia rozbiegły się w dwie różne strony, obracali się wśród różnych stosunków i otoczenia. Sabatyn wraca po ćwierćwiekowej tułaczce na obczyźnie, z emigracyi, osiada na Podolu, tu zakłada ognisko rodzinne, umiera w Kamieńcu 1874 r., doczekawszy się 64 lat życia. Do niego to właśnie pisane były listy leżące przed nami; przed towarzyszem lat młodzieńczych zwierza się Sadyk-pasza szczerze i otwarcie z myśli i zapatrywań swoich, a zmieniły się one niestety bardzo, daleko odbiegły od marzeń i planów, jakie układał i snuł zamłodu, jakie tworzył w czasach pułkownikowania kozakom na Wschodzie.

»Twoje pismo odebrałem — donosi Sabatynowi — i jak najserdeczniej ci dziękuję za wyrażone w niem uczucia. Zestarzałem się, sterałem siły ciała, a może i duszy, ale serce moje dla moich dawnych przyjaciół, dla moich towarzyszy zawsze jest takie same, jakie było i takie będzie już dopóki nie pójdzie w ziemię. Widziałem i uściśkałem w Odessie pana Karola¹⁾, rad będę uściśkać ciebie i przypomnieć nasze dawne czasy, błogie lata, bo młode...« Pismo wysłane z Kijowa na początku kwietnia 1873 r., a więc zaraz, albo bardzo prędko po przyjeździe nad tyle razy opisywany Dniepr i zamieszkaniu na Nowoelizawetyńskiej ulicy, pod nrem 106.

Przyznajemy otwarcie, że słowa: sterałem siły ciała, a może i duszy, robią na nas wrażenie, jakby budzącego się chwilami żalu, za zmarnowaną przeszłość. To »może«, na które 65-letni starzec odpowiedzi nie daje, raczej dać się lęka, odpowiada samo za niego.

»Po wędrówce, z którejby można zrobić Odysseję, ulaskawiony przez uczciwego i wspaniałomyślnego mo-

¹⁾ Karol Sabatyn, brat Władysława, także eksemigrant, po powrocie z tułaczki trudnił się nauczycielką domową. (Budzyński. T. I. 337—339).

narchę, wróciłem na naszą Bożą Ukrainę, oddycham powietrzem z nad Dniepru i mogę umierać na ziemi, na której się urodziłem. Cześć i wszelkie dobro monarsze, który mnie udarował takim dobrodziejstwem. Los zrządził, że więcej widziałem, więcej doświadczałem, jak inni moi towarzysze. Kleciłem wiele, były uśpiechy (powodzenia), było trochę sławy, ale wszystko się rwało, bo nie było sławiańskiej prawdy w podstawie, nie było sławiańskiej prawdy w celu. Z doświadczenia przyszedłem do sumiennego przekonania, że tylko jedna jest dla nas droga zbawienia, zbratania się z Rossyanami, zlania się wiarą i sercem w jedno wielkie państwo, pod berłem uczciwego monarchy Aleksandra II i jego następców i służenia mu czynem tak serdecznie, żeby nam przywrócił w swem sercu miejsce, jakie w niem mieliśmy przed nieszczęsnymi i niegodnymi wypadkami 1863 r. Ja stary, może niedołęga, przychodzę służyć tej prawdzie i tak jej chcę służyć gorąco i serdecznie, jakem służył błędowi. Bogdaj mi tylko Bóg dozwolił tyle sił, ile mam chęci i sumiennego przekonania. Oto jest moje wyznanie wiary polskiej i politycznej...»

Zmiana w człowieku zanadto gwałtowna. Jeżeli Czajkowski pisał to, co czuł, jak pogodzić tekst przepowiedni Wernyhory ze słowami listu? Czyżby dopiero teraz przekonał się, że do tej chwili tylko błędził? Czyżby, oprócz wielkiej, bezgranicznej miłości dla »Bożej Ukrainy« i wdzięczności dla tego, który pozwolił mu na niej ostatnie spędzić lata, żadne inne uczucia nie odzywały się w sercu, nad grobem stojącego człowieka?

Wszak dla dawnych przyjaciół, dla kolegów złej i dobrej doli, pozostał niezmienionym, a wszyscy oni byli właśnie towarzyszami tej doby uniesień, rojeń i marzeń, którą on w ostatnich latach życia z pamięci swej wykreślić usiłował. Że wyznanie »wiary polskiej« Czajkowskiego dziwnie wygląda, że brzmi ono — w każdym razie — nie



po polsku, że budzi w czytelniku pewien niesmak... do dawać chyba nie potrzebujemy. Szczegółowo tej kwestyi rozbierać nie mamy zamiaru, nie wydajemy również co do niej sądu, mając nadzieję, że i bez tego, stosownie i jak na to zasługuje ocenioną, przez wszystkich zostanie. Zresztą komentowanie poglądów Czajkowskiego byłoby tym razem zupełnie zbyteczne, gdyż on sam mówi wyraźnie, bez żadnych osłonek.

List drugi, z datą 22 kwietnia tegoż roku, również ciekawy; dotyka on artykułów w *Gazecie Narodowej* i *Dzienniku Polskim* rzekomo ogłoszonych ¹⁾.

»List twój z 17 kwietnia odebrałem, zaraz zająłem się twoim interesem, powiedziano mi, że trzeba, abys zrobił dwie prośby, jedną podał przez swego gubernatora do generał-gubernatora, a drugą wprost do cesarza. Jeżeli masz kogo w Petersburgu, któryby chciał i umiał się zająć tym interesem, to wszystko byłoby zrobionem. Pani Wyż... z domu Tr... w ten sposób wydobyla swój majątek, wprost do cesarza podała prośbę, przez jego spowiednika i majątek został zwróconym. Musisz przecie mieć przyjaciół w Petersburgu; tu mi daj znać, że poszła prośba, a ja dołożę usilności, żeby dobrze była przyjęta; dokumenta, które ci odsyłam, winne być przyłożone do prośby, tak mi poradzono i zdaje mi się, że jest logicznem.

»Może czytujesz dzienniki galicyjskie, *Gazetę Narodową* i *Dziennik Polski*, wyobraź sobie, że do tego ostatniego napisał jakiś Ciołek z Kijowa prozą, że na mnie spada krew pomordowanych chłopów w Białocerkiewszczyźnie i okolicach w 1854, którzy śpiewali piosnkę o Michale Halczyńskim i woła o pomstę do nieba i do piekła. Za

¹⁾ O ile wiemy, we współczesnych rocznikach wspomnianych dzienników tego rodzaju artykułów nie było.

co? po co? i czemuż ta krew i ta pomsta nie spada na tych, którzy sprowadzili karabiny i armaty na te chłopstwo? Ja byłem nad Prutem, piosnek dla chłopów nie pisałem i o niczem nie wiedziałem. Racya fizyka, i tym razem nie Kaśka, ale Karolina nie ma butów i boso pisze, a pan Kasper¹⁾ ma buty i takie androny na pocztę nosi, a jakiś Gryf, w fejletonie wypalił wierszami, że śmierć Gordona i Luboradzkiego spada na mnie i woła o pomstę. Gordona musisz sobie przypominać, dzielny człowiek, zabitym został na Kaukazie nie przez Ormianina, nie przez Rosyjanina, jak głoszono, ale przez Czerkiesą, Ubycha Kieranduka Barzeka, którego żonie miód podbierał; ja temu winien? przynajmniej żebym choć tego miodu zakosztował, nie mogłem, chyba jak cygan przez morze. Luboradzki był moim adjutantem i majorem w kozakach, kochałem go, bo był prawdziwy szlachcic *de jure et de hajda*, dostał febry w Jedykale, a ja byłem w Wolo, po trzech paroksyzmach umarł, ja temu winien? Wkrótce mi przyjdzie odpowiadać za wszystkich Amerykanów pomordowanych przez Indyanów, bo Ciolki i Gryfy, stanęli przeciwko mnie. Ciolki prozą ryczą, Gryfy słowiczym głosem pieją wiersze, a wszystko na mnie nieboraka, teraz pierwszego kozaka. Biada mi, biada, bo już i psiarnia ujada przy Ciolkach i Gryfach. Realści, specjaliści, technicy stanęli logicznie, bardzo logicznie, bo będą mieli kpiny dla wrogów, a cielecą pieczeń dla swoich; a tacy straszni, jak *Maurice de Saxe*, jak Cezar z komentarzami, jak Aleksander Mace-

¹⁾ Kasper Maszkowski, osobistość ciekawa, brał udział w ruchu 1831 roku, należał do sprzysiężenia Konarskiego, za co skazany na śmierć, ulaskawiony poszedł do robót ciężkich na Syberję, majątek jego na Wołyniu skonfiskowano. (•Pribawlenie k. n. 22 Podolskich Gubernskich Wiedomostiej 1840 r.). Ulaskawiony powrócił 1858 r., osiadł w Kijowie, nie wydal się stamtąd do zgonu; cieszył się bardzo wielką popularnością. Spotkali się tu z Sadykiem-paszą i naturalnie odskoczyli od siebie.

doński, jak Władysław Warneński — co tu imion historycznych. Jakże tu nie drzeć ze strachu.

»*Akt pierwszy*: Nakazano dąsanie się na cesarza, który ułaskawił potępieńca, wołającego: jednajmy się, zlejmy się w jedno państwo, pod berłem uczciwego i serdecznego monarchy, a przechowamy polskość i żyć będziemy Polakami w Słowiańszczyźnie, bo inaczej pójdziemy na pognój Niemcom i polskość zakopimy w wieczny grób. Takiemu potępieńcowi bój na zabój. Tak krzyczy rozsierdzona Karolina, a wtóruje basem Kasper, męczennik z włosom asper.

»*Akt drugi*: Książd przeor głosi: Katolicyzmem odzieliłiśmy szlachtę katolicką od chłopstwa prawosławnego i nieprawosławnego, bo i temu krzywo z pod oczów pałtry. Szlachty nie ma nad trzykroć stotysięcy, ósma część zaledwie czynnych a siedm ósmych biernych, jak cieleta pójdą za cieleciami, tam pobiegną, gdzie pobiegło wielu, ale drogą katolicką prowadzona i gnana przez Jezuitów.

»*Akt trzeci*: Zamiejscy właściciele cukrowni i fabryk rozmaitych, aż do papieru do pisania, (mówią): niech się szlachta wyprzedaje, realiści, specjaliści także ziemi nie potrzebują; ziemia, to dla nich więzy, bez ziemi będzie im swobodnie, wygodnie, utworzą wielki proletaryat, który będziemy eksploatować, w braku poddaństwa do eksploatacyi, a jak wyeksploatujemy, to puścimy na wolność. Każdy nosi kapitał specjalności przy sobie i w Chinach i w Meksyku z głodu nie zginie.

»*Akt czwarty*: Gryf najstarszy woła: niech się tylko nie godzą, niech tu do mnie, za granicę, przychodzą. Broń Boże, upokorzenie; z za granicy skarżyć zdaleka, a przyjdzie z Kościoła opieka.

»*Akt piąty*: Egerya na trójnogu stanie, niech idą w dalekie kraje, niech kopią w bezdnie polskość, byle za granicą, tu zostaną Gryfy i Ciolki i podobne do nich pszczołki, żeby zbierać srebro, złoto, by odprawiać nabożeństwa za-

łobne po Polakach, szlachcie i po polskości, ale w kościele katolickim, — Gryfy i Ciolki niepokalane będą wznosić modły przed kapłanem nieomylnym. Taka to komedia ludzka — nie boska — nie piekielna nawet, cóż ty chcesz, żeby robić, nie ma co, trzeba patrzeć i słuchać i do niczego się nie mieszać.

»Jeśli odbiorę odpowiedź z Teodozyi, że tam tańsze życie, jak tu, zaraz się tam przeniosę, tam mam siostrę wujeczna, będę polował i spijał wino. — Nie wiem co pocznie biedny Rawski¹⁾, jak się tu dostanie, to tylko wie Bóg i generał Denn; pocziwy to człowiek ten pan Wincenty, ale nie orzeł, gdyby był orłem, nie dałby się ubrać p. O., pseudobaronowi Okszy²⁾, byłby teraz swoim pługiem orał i swoją dziecinę pod swoją strzechą hodował. Co się dzieje z Juliuszem Korsakiem³⁾, to jeszcze jeden z dawnych nas, między żyjącymi niewiele już nas jest, a ciągle ubywa, nie nie przybywa, wkrótce na nasienie z naszych nic nie zostanie. Pragnąłbym tu ciebie widzieć, pogwarzyć o tem co było, bo o tem co będzie, to do nas encyklopedystów nie należy, to rzecz techników i mistyków. Mówią mi, że Aleksander Pausza w Miłostowie groble sy-

¹⁾ Wincenty Rawski, szlachcic podolski, służył w kozakach Czajkowskiego pod nazwą Sydora Sydoreńki.

²⁾ Okszabiej, lekarz, wychowaniec kijowskiego Uniw. z 1860 r., posiadacz ziemski na Podolu, znany przedsiębiorca; przed laty mieszkał w Konstantynopolu, posiadał wpływy znaczne w Dywanie, nie uwzględniał teoryj ówczesnych Sadyka, stąd niechęć do niego widoczna przebija się w listach Czajkowskiego.

³⁾ Korsak Juliusz (syn Rajmunda, poety klasyka, zmarłego na Podolu 28 października 1817 i pogrzebanego w Żwańczyku) 1831 wywędrował z kraju, powrócił 1858 i umarł przed 20 przeszło laty. Poznał go Czajkowski w Paryżu i o nim w listach wspomina. Był w tym czasie inny Juliusz Korsak, poeta (1807—1855), mieszkał na Litwie, znany jako tłumacz »Boskiej Komedyi« Dantego, ale ten z wspomnianym tutaj, nie ma nic wspólnego.

pie, rowy kopie i pamiętniki pisze. Nie wiem, czy twój brat Karol w Odessie, obiecał do mnie pisać, nie pisał.

Co do zewnętrznej strony korespondencji Czajkowskiego, już w listach — przepisanych przez nas — doszukać się łatwo tego, co Bartoszewicz jemu zarzuca, czem jest właśnie sadzenie się na wyrażenia poetyczne, omawianie długimi zwrotami rzeczy całkiem prostej i t. p., a i częste rymowanie zdań uderzyć musi czytelnika, w czem się Sadyk-pasza widocznie lubował, nadając i w ten sposób swemu stylowi cechującą tenże odrębność i oryginalność.

Kazimierz Gordon, student kijowskiego Uniwersytetu z 1838 r., w lat siedm potem profesor ogniomistrzostwa w Liège, pojechał do Konstantynopola, potem, z polecenia Czajkowskiego, udał się na Kaukaz do kraju Czerkiesów i znalazł tam śmierć ze skrytobójczej ręki. Ponieważ był przez swego protektora, ks. Adama Czartoryskiego, uprzedzony, że misya, którą jemu, jako zdolnemu bardzo oficerowi, powierzają, należy do nader niebezpiecznych — mimo to jednak, z poświęceniem Polaka ją przyjął i po stosownych przygotowaniach w Konstantynopolu, do kraju Ubychów wyruszył, by tam stanąć wraz z Kierandukiem na czele zastępów, wypowiadających wojnę Rossyi, więc nawet najostrzejszy sędzia śmierci jego za winę Sadykowi poczytać nie może, bo nie ma prawa.

Gordon z własnej woli, nie przymuszany przez nikogo, podjął się trudnego zadania; za następstwa, Czajkowski, domagający się li tylko przysłania z Paryża »zdolnego oficera«, odpowiadać nie może. Ormianin, pracujący w arsenale, urządzonym przez Gordona, uważał za stosowne dwom panom służyć; niewątpliwie też z polecenia komendanta załogi rossyjskiej strzelił w lesie z pistoletu do swego przełożonego i trupem go położył, nieweczając w ten sposób najszlachetniejsze zamiary. Wino-

wajca zbiegł, rodzinę jego spotkała grozą przejmująca kara, spełniona na niej z rozkazu wodza Ubychów.

Takim jest prawdziwy opis tego tragicznego wypadku; złe przeczucia Gordona sprawdziły się, żegnając towarzyszków wygnania przed wyruszeniem z Carogrodu, żegnał ich na zawsze¹⁾.

Ustęp listu o pomordowanych chłopach w Białocerkiewszczyźnie odnosi się do znanego wypadku 1855 roku, do tak zwanego przez Gillera powstania czternastodniowego²⁾, które było następstwem mylnego zrozumienia tekstu odezwy cara, oraz synodu petersburskiego. Ruchawka ta nie była niebezpieczną dla społeczeństwa, skończyła się na poturbowaniu kilku popów i urzędników, posadzonych przez włóścian o ukrywanie nieistniejącego manifestu, głoszącego wszystkim wolność. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że odwet za wszelkie »uchybie-
nia« odplacony został z lichwą. Obalamucony lud nie doliczył się wielu swoich sąsiadów.

Już przy pierwszym liście wspominaliśmy, że dla dawnych kolegów pozostał Czajkowski niezmienionym. Za dowód służyć może choćby sprawa Sydora Sydoreńki, któremu pragnął ułatwić powrót do Rosyi, po długiej te-
goż — po za jej granicami — wędrowce. Zawsze go ona wielce interesuje i cieszy, że weszła już na dobrą drogę. Proteguje, poleca, gdzie potrzeba, rozpisuje na wszystkie strony listy, kołacze do rodziny emigranta o zasilek do przebycia długiej drogi konieczny... Słowem, nie zaniedbuje niczego, a jest to dobra strona, którą — omawiając

¹⁾ Budanow: *Istor. Imper. Unioer. s. Władimira*. Kijów 1884 r. 164—166. Szulgin: *Jugosapadn. kraj* Kijów 1864, str. 35. Budzyński: *Pamiętniki I*, 416—422. Giller (*Hist. powst. nar. polsk.* T. IV 429) nazywa Gordona Władysławem.

²⁾ *Hist. powst. narodu polsk.* IV, 434 do 443.

liczne i bolesne wady Sadyka — podnieść za obowiązek uważamy.

Za prawdziwość innych przytoczonych faktów ręczyć nie możemy; w każdym razie wydają się nam one mocno przesadzone. Zresztą najlepiej za naszym przypuszczeniem przemówią słowa samego autora korespondencji.

List następujący, pisany z Kijowa 15 maja 1873 r., jest bardzo ciekawy:

»List Twój z 10 maja odebrałem, również jak poprzedni z 3 maja. Zaczynam od interesu samego Rawskiego, już on podał się o pozwolenie powrotu do kraju i otrzymał z ambasady rossyjskiej w Wiedniu przychylną odpowiedź, czeka tylko na fundusz na podróż, więc już nie może być uważanym rządownie za emigranta, ale za poddającego się władzy prawnej; piszę do jego brata, z komplementem dla teścia, przeczytaj i bądź łaskaw poszlij lub oddaj.

»Rawski przybywszy, po odbyciu formalności prawnych, będzie się mógł udać do Turkiestanu jako inżynier, albo jako oficer, zobaczymy, stosownie do jego życzenia i możliwości wyrobienia mu posady. Niech mu wyprawią paręset rubli, to mu wystarczy, piszę mu o zrobionych przezemnie krokach, z łaski twojego poparcia, jak tylko będzie miał pieniądze, zaraz poda się o paszport i przyjedzie czy do Kamieńca, czy do Kijowa, stosownie do woli władzy.

»Teraz przystępuję do polityki, ale uczciwej i korzystnej dla nas, jeśli choć raz sprzeniewierzymy się naszemu najwierniejszemu alliantowi, którym jest niesens polityczny. Jeszcze w Stambule wiedziałem, a tu w Kijowie dobitniej się przekonałem, że to nieszczęsne i występe powstanie na Rusi, to jest w trzech guberniach za-

chodnio-południowych, było sprowokowane przez ludzi, którzy się zatrwożyli utratą majątków, przez uwłaszczenie i usamowolnienie chłopów, dane wolą cesarską. Myśleli ci panowie, że rząd zastrasza i zmusza, jeśli nie do cofnięcia postanowienia, to przynajmniej do zmodyfikowania go na korzyść właścicieli.

»Ci panowie, których nazwę motorami, znaleźli poufnych, których nazwę menerami, a tamtym nie trudno było znaleźć między Polakami ochotników na czyn nierozsądny, występny, pokryty blichtrzem patryotyzmu; znalazły się ofiary i wtenczas kiedy brano i karano te ofiary, motorowie spokojnie sobie cygarka palili i oświadczały się przed urzędem: my jesteśmy niepokalani od występków patryotycznych, nam wierzcie i na nas zesyłajcie łaski i przywileje. Menerowie dobrze posmarowani pieniędzmi, uciekli z niemi i zachowali wiernie tajemnicę. Owe hramoty złote były wyrobem jezuickim; w roku 1867, będąc jeszcze na czele moich pułków w Stambule, odebrałem rozkaz, żeby w 24 godzin z pułkami wyjść ze stolicy i spiesznymi marszami udać się nad Dunaj. Rozkaz nie był tajemniczym, więc gruchnęła wiadomość, że pewna wojna. Jeden z głównych redaktorów złotych hramot i niepospolity mener przybiegł do mnie i na kolanach błagał, żebym wpływem moim na rząd, wyrobił wysłanie 300 tysięcy baszybożuków anatolskich na Podole, Ukrainę i Wołyń; spytałem, a to na co? — odpowiedź: żeby zalać za skórę sadła chłopom. Jakież to konsekwencye, wszak pisaliście złotą hramotę? To prawda, ale to tylko dla odciążenia chłopów od rządu, a jakbyśmy byli tego dowiedzieli, tobyśmy byli wrócili do dawnego porządku rzeczy, do pańszczyzny i do własności pańskiej.

»Otóż to złota hramota. Motorowie, którzy przez niecny egoizm sprowokowali nieszczęścia 1863 r., dziś nie chcą ani pojednania, ani zlania się państwowego z Rossyą, bo by wtenczas stracili swoją niejako uprzywi-

lejonaną pozycyę, mogliby być zagłuszeni zdolnością, dobrą wiarą i dobrą służbą pojednanych, bo tacyby się znaleźli, a oniby poszli w ką. Na odkupy przybrali tedy katolicyzm dla popularności, na rautach dąsają się na rząd, a gdzieindziej liżą stopy urzędu, a masy polskie po swojemu, jak za cieleciem ciele, biegną tam, gdzie ich pobiegło wielu. O bogdajby te dąsania się katolickie nie były pochwycone przez lajdaków i samolubów, na nowe jakie nieszczęście Polaków i Polski, jak były pochwycone manifestacye katolickie, od tego Boże uchowaj Polaków i Polskę.

»Widząc tak czysto rzeczy, jak ja je teraz widzę, opierając moje zdanie na dowodach, które mam, a które są wybitne, nie mogę być tego zdania, żebyśmy mieli prawo czekać na pierwsze kroki pojednania się ze strony rządu, żebyśmy my mogli rościć prawo do łask z góry, na zadatek nic; obraziliśmy gorzko i ciężko uczciwego cesarza w jego najszlachetniejszym czynie, złą wiarą i czarną niewdzięcznością, do nas należy objawem naszych uczuć, naszym postępowaniem przebłagać jego ojcowskie serce, dać mu rękomię naszej poprawy.

»Wszak tak się dzieje i dźać powinno w rodzinie między ojcem i dziećmi, dlaczegóż ma się dźać na opak w państwie, jeszcze takim, jak jest nasze, gdzie monarcha okazał się czułym i dobrym ojcem, a my wyrodnemi i niewdzięcznemi dziećmi. Trzeba go przebłagać, nie myślą, ale słowem i czynem, do tego nie potrzeba ani zbiorów, ani adresu, ale każdy ma w swojej woli i w swoim rozporządzeniu okazanie słowem i czynem swojego uczucia poprawy, niech je okazują jak umieją, jak mogą, a pewno dojdą do tronu. Gdyby tak było, nie można wątpić o przebaczeniu i zapomnieniu, o powrocie praw i o szczęśliwym bycie w zlanu się państwem. Innej przyszłości dla nas nie ma, nie ma innego sposobu zachowania polskości i godności. Włóczyłem się lat tyle, tyle próbowa

lem, tyle pracowałem, zużyłem siły, zdrowie, sterałem najpiękniejsze moje lata — i nic a nic nie zyskałem, tylko przekonanie, że nie było prawdy na tym gruncie, na którym moje prace stawiałem; zgrzybiały wróciłem do prawdy, już z niemocą pracy, ale z mocą stawiania siebie za przykład.

»Nie chcę się mieszać do polskiej rzeczy, z powodu niecnego postępowania Polaków ze mną, ale dawnym i dobrym towarzyszom, jak ty, czuję za powinność wypisać prawdę, tak jak ją widzę, czuję i pojmuję...«

List czwarty, przeladowany ruskimi zdaniem i przysłowiami, choć co do zewnętrznej strony jest odmiennym, lecz treść jego stanowi jakby ciąg dalszy poprzedniego, z tego powodu umieszczamy go poniżej, odkładając pewne konieczne dodatki i tłumaczenia na później.

Kijów, 9 listopada 1873 r.

»List twój z sierpnia w tych dniach odebrałem przez p. P., dalibóg nie wiem, jakie ja mam prawo nakazywać p. Adolfowi R. być dobrym bratem, to jego serce i jego uczciwość powinny mu nakazać. Poznałem się tu z młodym p. O., szwagrem jego, bardzo przyzwoitym człowiekiem, rozumniej sądzącym o rzeczy, jak inni, których tu poznałem; mówiłem mu obszernie o tem wszystkim, co się tyczy p. Wincentego. Mówiłem *con amore*, bo lubię kuzaka Sydora Sydoreńkę, mimo, że w ostatnich latach swojej służby wojskowej, przeszedł na nieuczciwego, to jest na głupiego Lacha, dał się ubrać w szory waszemu niechryście baronowi Okszy. *Ta csortycha nawaryła ne pywa, ale licha a pryszłoś na bidu Sydoreńka wypyty to paskudstwo, ne chotyłoś statkowaty, sedyty na misti, turecki kołacsy isty. Zadir chwista taj meśu szwaby ukrywsia, ne nassa wyna.* (To dyablę nawarzyło nie piwa, a licha, i na biedę wypadło

Sydorence wypić to paskudztwo; nie chciał statkować, siedzieć na miejscu, tureckie kołaczki zjadać. Zadarł ogon i między szwabę się ukrył, — nie nasza w tem wina).

»Jabym radził Wincentemu Rawskiemu, żeby się zniósł z tymi, co jak on chcą wrócić do ojczyzny, a nie mają pobrzękaczy, żeby podali prośbę, przez poselstwo rossyjskie w Wiedniu, na imię cesarza, ale przez pośrednictwo hr. Szuwałowa, że proszą o powrót i pozwolenie osiąść czy to w Samarskiej gubernii, czy to na Kaukazie, na miejscach Czerkiesów wyszłych do Turcyi, czy to nad Amu-Darem. Danoby im może na podróż, danoby ziemię, na chudobę i na zagospodarowanie się i byłiby obywatelami. Nad brzegami morza Czarnego posiadali Niemcy, Bułgarzy, Grecy i inne narodowości, dobrze się im dzieje— kilka lat tam siedzą, a już pobogacieli. Z Odessą komunikacja ciągła, dwa razy na tydzień statki parowe tamtędy przechodzą. Winnice, zboże, nabiał, bydło, ryba i zwierzyna, wszystkiego podostatek, tam osiąść lepiej, jak się włóczyć *po czudyni* (po obczyźnie). Proletaryusze stąd powinni także przyjść na ten rozum, boć przecie lepiej, *w swojej chatynie z żynkoju i z detynkami bortowaty, borszcz, kassu isty, a jak Boh dopustyt i pirohy a swoi* (w swojej chacie z żoną i dziatkami pieścić się, barszcz, kaszę zjadać, a jak Bóg pozwoli to i pierogi a własne), jak chuchać w palce od zimna i podciągać paskiem brzucha, jeśli jest pasek, żeby głodu nie czuć i nie wiedzieć, gdzie się człowiek prześpi.

»Mówilem o tem z p. P..., jest on mojego zdania i go-tów z Sydorem na wędrownkę, jak będzie gromada; *hromada to welyki czolowik, a jak harno sia poklonyt a poprosyt* (gromada to wielki człowiek, a jak ładnie poklonią się i poproszą) to może wszystko dadzą. O tem pisz do Sydora; jeżeli moje zdanie podzielasz, to mów temu p. Adolfowi i drugiemu bratu R..., który chociaż żyje jak odyniec, wdług p. P... ma mieć więcej braterskiego ognia w sercu,

niech mu poszlą co grosza, żeby pojechał do Szwajcaryi po dziecinę, a stamtąd niech rusza *swoju zemlu braty, swoju pszenyčiu sijaty i dla detyny hrossy w kalitu składaty, to bude i umno i rozumno* (swoją ziemię brać, swoją zasiewać pszenicę, i dla dziecka zbierać pieniądze — to będzie i rozsądnie i rozumnie). — O tem mów obydwom pp. O., bo zdaje mi się, że to ludzie, a nie paliwody i *beshłusdaja csereda* (bezrozumna trzoda), na której niestety nie zbywa krajowi. Kiedy chcesz dobrze zrobić Sydorowi, to w ten sposób mu radź i w ten sposób ulóż, ja w czem mogę to mu pomogę, byłem tylko wiedział co zamierza robić, a im prędzej zrobi, to lepiej, bo tylko leniwe pierogi dobre odkładane, a co masz zrobić to dziś, co masz zjeść to możesz i jutro.

»Tu polonia się dąsa, jak dawniej, figi w kieszeni pokazuje i jak smarkate dzieci pod nosem burczy: oddajcie nam nasze zabawki, chłopów z poddaństwem i z pańszczyzną, oddajcie nam nasze niańki, panów marszałków szlacheckich, którzy nas tak pięknie wyniańczyli w 1863 r., a zobaczymy. A tymczasem *mirowyje sudia i stanowyje* (sędzia pokoju i komisarz policyi) chłoszczą różgami i dobrze im tak, bo jak mówił ś. p. Nestor Baranowski, obywatel owruckiego szlacheckiego powiatu: *albo sia byty, albo sia miryty, a koły wsi woli ani ochoty nemajut sia byty, to treba sia miryty* (albo się bić, albo się godzić, a kiedy wszyscy nie mają ani woli ani ochoty do bójki, to już należy się pogodzić). Ale już takich ludzi jak Nestor Baranowski nie słuchają, stary kraj to był raj, a nowy kraj to inny obyczaj. Henryk Rzewuski powiedział, że Branicki Graf, przez *litera nocet litera docet*, został Branicki Gryf, z Tatarczuka został magnatem, panem nad pany i panuje ich panowaniem. Jakaś tam stara bajeczka nuci czterowierszem Jabłonowskiego, przerobiona na inne kopyto przez Juliana Niemcewicza, ochrzczona: niedźwiedź, małpa i świnią, pierwotnie mówi: że tańczył niedźwiedź, a małpa

mu przyganiała, przedrzeźniała — niedźwiedź tańcował — ale kiedy świnia wypadła i zaczęła w podskokach pokazywać i kwiczeć, tak tańczuj jak ja tańcuję, jak mój ród zawsze tańcował — niedźwiedź nie bity w ciemię, opuścił łapy na ziemię i przestał tańcować i już nie tańcuje.

»Tak się i ze mną stało. Póki damy polskie mnie niewidomego z Kościoła katolickiego wypędzały *vade sathane*, póki p. Gasper Maszkowski z panią Karoliną Grabowską, z junackim przewodem, łączyli się z dzisiejszym szlacheckim narodem, by mnie tępić na gnile jabłko, na łój, na masło, póki G... i P... wierszem i prozą napełniali dzienniki galicyjskie imienia mojego grozą; na to nie zważałem, ale politykowałem. Ale kiedy po przyjęciu mnie tak łaskawem przez wspaniałomyślnego cesarza i po słowach, które każdy Polak ze zdrowym sensem i z sercem powmien był chwycić oburącz, żeby wyjść z nieszczęsnego położenia, w jakim się znajduje, jeden z pp. Branickich Klemensistów oświadczył, że cesarz policzkował Polaków, tak łaskawie przyjmując Polaka, który tak służył sprawie polskiej jak ja, że tem oburzył Polaków na siebie, że gdybym ja tak służył sprawie polskiej, jak jego ród służył i oni służą, to co innego, że posiadałbym wówczas miłość i był wart przyjęcia monarchy. Opuściłem łapy na ziemię i już nie politykuję, tylko marznę i czekam wiosny, żeby wylecieć z Kijowa, choćby nad Amu-Dar, bo już i mnie chciałoby się mieć własną chatynę i mój pług, nim przyjdzie koniec.

»Jeśli się widzisz z Adolfem Rościszewskim¹⁾, to pozdrów go jak najserdeczniej odemnie. Ciebie tu w Kijowie się nie doczekam; jak mi się uprzykrzy czekać, to

¹⁾ Adolf Rościszewski, posiadacz ziemski na Podolu, oficer b. wojsk polskich, adjutant generała Dwernickiego przed 1830 r., kolega Czajkowskiego, już w tym czasie nie żył, umarł w 1872 r. w Kamieńcu.

jednego dnia gotowem napaść na Kamieniec i odśpiewać tren na gruzach dawnego meczetu. — Co się dzieje z Julianem Korsakiem?«

Czajkowski pod koniec życia zerwał ze swoim najwierniejszym aliantem, którym miał być niesens polityczny i radzi coś podobnego uczynić całemu społeczeństwu polskiemu. Przyznajemy, że zadziwia nas odwaga starca, godna lepszej sprawy, lecz czy znalazł on, postępując w ten sposób, »prawdę«? czy przypadkiem nie było to złudzeniem gorszym, boleśniejsem od poprzednich, które jemu żadnego zysku nie przyniosły?

Czy on wierzył święcie, że »innej przyszłości dla nas nie ma, nie ma innego sposobu zachowania polskości i godności?« Zgrzybiały wraca do prawdy, już z niemocą pracy, ale z mocą stawiania siebie za przykład. Wraca na »Bożą Ukrainę«, nad ulubiony Dniepr, a tu dawni towarzysze stronią od niego, jego »odwagi« i »dobrych« chęci ocenić nie chcą, gardzą nim, więc się miota i wylewa wiadra żółci w listach do wiernego kolegi; lecz czy to ulgę jaką jemu przynosi, czy nie żałuje chwilami minionych lat? Odpowiedź łatwa i prawie pewna. — Przypuszczamy śmiało, że nietylko nadzieja własnej chaty i własnej roli ciągnie go nad Amu-Dar, nakłania do opuszczenia ziemi, na której się urodził, którą tak bałwochwalczo ukochał.

Sprawy asymilacji poruszać nie mamy zamiaru.

Co się tyczy 1863 r. przyznajemy rację tylko w niektórych punktach. Każdy, wyłączając zapaleńców, żyjących do tej chwili jedynie wspomnieniami owej epoki, przyzna, że był to krok »nieszczęsny«, że przyniósł nam w rezultacie zbyt wiele złego, a nadto mało korzyści.

Że mógł to być krok niepolityczny, nie dobrze obmyślany... i na to zgoda, lecz stanowczo przeczymy, by był niegodnym, występny, by był li tylko wynikiem niecnego egoizmu pewnych jednostek, słuchających z cya-

rem w zębach a spokojem na twarzy, wieści o szubienicach, rozstrzelaniach, lub pędzeniu za Ural. To zanadto potworne; ojcom naszym w ten sposób ubliżać, nic nam nie daje prawa. Wobec tych zarzutów żałować tylko można, że Sadyk nie wskazał społeczeństwu polskiemu owych występnych motorów i menderów, że przynajmniej swemu przyjacielowi nie powierzył dowodów, jakie podobno posiadał.

Mogły wprawdzie i tu odgrywać pewną rolę indywiduala niewyraźnej przeszłości, nieszlachetne, egoistyczne, wiemy jednak aż nadto dobrze, iż w sprawach — szczególniej tego rodzaju — trudno pytać każdego uczestnika o dotychczasowy przebieg jego życia, że w chwili powszechnej gorączki i niezbyt czyste ręce pożytek ogółowi przynieść mogą, a awanturnik, nie mający nic do stracenia, na bohatera nawet wyrasta. Wszak niejedyn z tych, którzy na dawnych kresach dzień i noc nasłuchiwali, czy przypadkiem nowy zagon nie nadciąga, znalazł się na tej placówce unosząc swoją głowę przed zasłużoną karą. Polska nie stanowiła pod tym względem wyjątku.

Że znaleźli się ludzie, co wychowani w innych warunkach, nie łatwo zgodzić się mogli na uwłaszczenie włościan, że niejedyn — jak powiada Imć. pan Molski w Stanisławidzie —

»Szlachcic, ofiara bogaczy,

»Z zemsty czy uprzedzenia gnębił lud wieśniaczy«, — że wreszcie sarknął w duchu na postępowanie »czerwonych«, ba — nawet w komisjach, ku temu celowi wybranych, przemawiał przeciw nowemu projektowi... to nie jest tajemnicą. I tacy być musieli, lecz ogół posiadaczy »dusz roboczych« inaczej przyjmował nową reformę, a za postępowanie jednostek nie mamy prawa obwiniać całego narodu. Nie chcąc rozszerzać zbyt znacznie naszej pracy, przestaniemy tylko na wzmiance, dotyczącej jednej z gu-

bernij, wchodzących w skład południowo-zachodnich prowincyj, przeciw którym Czajkowski głównie występuje¹⁾).

Ostatnim aktem zbiorowym wybieralnych marszałków podolskich, reprezentujących ogół, którego głównie uwłaszczenie i usamowolnienie włościan dotyczyło, był adres podany przed stopnie tronu²⁾).

Na tem podaniu opierać się mamy prawo, uważając je za esencję zapatrywań ówczesnych posiadaczy ziemskich; z niego wyjątki dosłownie przytaczamy: »Szczery współdział szlachty podolskiej w stanowczem rozwiązaniu sprawy włościańskiej, współdział tradycyjny, wynikający z odwiecznych usiłowań Polski pod względem rozszerzenia godności i swobód obywatelskich, stanowi niewątpliwą rękojmię prawości postępowania jej dzisiejszego. Odrzucając myśl wszelką przewagi plemienia lub stanu, obywatele podolscy pozostają wiernymi zasadniczej idei polskiej, we względzie równouprawnienia składowych pierwiastków społecznych...« i t. d.

Tyle, co do Podola.

Dla uzupełnienia przedmiotu, notujemy kilka wybitnych głosów, przemawiających za uwłaszczeniem włościan. Będą one dowodem, że palącą kwestyą zajmowano

¹⁾ O postępowaniu szlachty na Ukrainie czytaj u Gillera: »Ogólna charakterystyka powstania 1863 r.« Lwów, 1888, str. 22 i dalsze. — Obszerniej w tegoż w »Histor. powst. nar. polsk.« T. I. 91—95, gdzie mamy szereg b. ważnych dowodów, przytoczonych w obronie szlachty, co do stosunku teje do sprawy włościańskiej.

²⁾ Dosłowne brzmienie adresu u Gillera: »Hist. powst. nar. polsk.« — Paryż 1868. T. II. 396. Adres szlachty mińskiej, w tym samym duchu wystylizowany, tamże II, 398. Pierwszy przykład dała szlachta litewska, podając adres w 1857 r. — W ślad za Podolem poszły Wołyń i Ukraina (Giller I. 145).

się u nas dawno, że nie leżała ona odłogiem zapomniana przez wszystkich ¹⁾).

W piśmiennictwie ośmnastego wieku, a raczej tej ostatniej jego ćwierci, która tak bolesne po sobie zostawiła wspomnienie, na szczególną uwagę zasługuje bezsprzecznie głos ojca polskiej demokracji, Stanisława Staszica. Że wielkie wrażenie zrobić musiały słowa niewiomego (na razie) autora, wątpić nie potrzebujemy; zakotłowało w świecie szlacheckim, domysłów posypało się bez liku...

Bodajto pierwszy raz osmielił się ktoś przemówić tak wyraźnie i bezwzględnie w imieniu tych najmłodszych, pozbawionych wolności, praw i przywilejów.

Trzeźwi i myślący widzieli z przerażeniem i ze smutkiem zarazem, iż w Rzeczypospolitej coś się psuje. Różni różnie podawali sposoby ratunku, jeden w tem, drugi w owem dopatrywał się zbawienia i lepszej przyszłości. W roku 1785 i skromny Staszic wystąpił ze swoją receptą; miała ona uzdrowić chorego, którego godziny życia już były policzone, a i tych zostawało niestety tak niewiele.

»Dwieście milionów morgów ziemi, siedm milionów ludzi jest materyą, z której trzykroć sto tysięcy żołnierzy i kilkaset milionów podatku urobić potrzeba. Ta wielka ziemia swe urodzaje powiększy, gdy się koło niej praca powiększy. Ci ludzie więcej pracować będą, gdy wszyscy zdatnymi do nabycia własności zostaną... Prawo wezwie równie cudzoziemców, jak Polaków, tak chłopą, jak szlachcica..., zgola wszystkich ludzi do usadowienia się, do objęcia gruntowej własności i obywa-

¹⁾ W »Uwagach praktycznych« o poddanych w Polsce (1790) wylicza autor głosy, przemawiające za reformą bytu włościan. Czytamy tu nazwiska: Modrzewskiego, Przyłuskiego (1553), Krzysztofa Warszawickiego (1598), Białobrzeskiego (kazania), Marcina Smigielskiego, Fab. Birkowskiego (1628), Andrzeja Rudominy (jezuita), Opalińskiego (Satyry), Starowolskiego (o reformie obyczajów), Olizarowskiego i. w. i.

telstwa w Polsce... Sejm nieustanny nada im wszystkim równą obywatelską wolność, zniszczy szczególne przywileje jednych, znenawidzi próżniaki, potłumi stany nieużyteczne i z cudzej pracy żyjące... zamieniienne pańszczyzny w wymiar roboty, określi powinność chłopca do dziedzica, uwolni od poddaństwa chłopskie dzieci...« i t. d.¹⁾

Tyle z programu Staszica. Rzecz mówi sama za siebie.

Już wprawdzie generalicya konfederacyi Barskiej zalecała w uniwersałach swoich »marszałkom, regimentarzom i dowódcóm drobnych oddziałów, aby pod żadnym warunkiem nie uciążali i nie krzywdzili włościan...«²⁾ był to wprawdzie pewien postęp, nowość — dawniej nie wszędzie i nie często praktykowana — lecz to nie umniejsza bynajmniej zasługi Staszica. Przemawia on wyraźniej, dobitniej, bez żadnych ogródek, więcej dla »maluczkich« pragnie wykołatać, a i to podnieść warto, że sam jeden nieledwie odważa się przeciw silnemu prądowi płynąć.

I w czasie Sejmu czteroletniego widzimy również usiłowania — przyznać trzeba — jednostek tylko³⁾, zmierzające do możliwego polepszenia doli kmiecej rzeszy. Choć sprawa szła dosyć opornie⁴⁾, już to samo znaczyło bardzo wiele, że ją poruszono⁵⁾.

¹⁾ »Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego«, 136, 137. Kraków 1861 r. (Wydanie Turowskiego).

²⁾ Henryk Schmitt: *Kwestya włościana w Polsce w XVIII w.* (Pismo zbiorowe. Zeszyt I, str. 19. Bendlikon 1865).

³⁾ H. Schmitt: *Stosunek wolności osobistej do idei państwa w Polsce*, Paryż, 1865 (Czytelnia narodowa), str. 40—41. J. I. Kraszewski: *Polska w czasie trzech rozbiorów*, t. II, str. 142 (Głos posła Niemcewicza na sesyi 9. I. 1789 r.) i t. II, str. 218 (Głos p. Krasieńskiego w marcu tegoż roku).

⁴⁾ H. Schmitt: *Kwestya włościana*, str. 28.

⁵⁾ Oprócz H. Kollątaja: Do Stanisława Małachowskiego... Anonyma listów kilka. C. II., poruszających sprawę włościan, spadł

Nie przesadzamy, jakim korytem popłynęłaby ta kwestya dalej, jak długim byłby jej bieg, gdyby znane dobrze wypadki nie zniweczyły wszelkich starań, skierowując umysły ogółu w inną stronę¹⁾.

O zbawieniu skolataney ojczyzny miało teraz stanowić ostrze szabli, nie zmiana bytu włościan, lub dziedzictwo tronu. Wszelkie rachuby zawiodły. Prowincjami Polski podzieliły się trzy ościenne potęgi, nastąpiła długa epoka zbrojnych porywów, spiski tworzyły nieprzerwany łańcuch, wiele energiczniejszych jednostek albo nałożyło głowę, albo powędrowało na daleką dobrowolną lub przymusową tułaczkę, cyfra wykolejonych i zmarnowanych rosła z dniem każdym, pozostali w kraju niejednej zmiany losu również dożyli, a to wszystko razem wzięte wpłynęło w znacznej części na opóźnienie stanowczego rozwiązania tyle palącej kwestyi.

Znane dobrze dzieje pierwszej połowy XIX stulecia stanowią ważną okoliczność łagodzącą, którą każdy bezstronny sędzia — przed wydaniem wyroku potępiającego — pod uwagę wziąć powinien.

One były powodem, że w pięć ćwierci wieku z innego obozu usłyszeliśmy głos, który był jak gdyby echem słów »patryarchy demokracji polskiej«. »Pierwszym artykułem wiary naszej jest: bezwarunkowe powołanie w s z y s t k i c h do pracy narodowo-obywatelskiej, b e z w z g l ę d n a

równocześnie z trwaniem Sejmu czteroletn. obfity deszcz broszur polemicznych. Niepoślednie miejsce zajmowała tu kwestya bytu włościan. I tak: a) Staszica: *Prsestrogi dla Polski*, b) *Uwagi prakt. o poddanych polskich*, c) *Proszę o prawdę*, d) Kollåtaja: *Prawo politt. Narodu polsk.* i wiele innych, których nie wyliczamy, stawały w obronie ludu, inne znowu, jak: a) Jezierskiego (kasztelana): *Wszystcy błędzą. Rozmowa pana s rolnikiem*, b) *Odezwa smarłego Ssławskiego* i t. d. były przeciw temu zwrócone.

¹⁾ J. Lelewel: *Trzy konstytucye polskie*. Poznań 1861, str. 90 i dalsze.

kompetentność każdego stanu, stronnictwa, wyznania — wola znakomity historyk¹⁾. — Siła narodu albo-
wiem polega na przyjmowaniu i assymilowaniu — a nie
na wyłączeniu i odrzucaniu. Chlubą narodu jest pozyski-
wanie nowych obywateli. Miłością była niegdyś wielka
Polska, wyłączeniem upadła²⁾.

W imię tych świętych hasel, pracowało powszechną
sympatyą okalane »Towarzystwo rolnicze«³⁾, gromadzące
u ogniska swego czoło narodu, pracowali przewodnicy »na-
rodu szlacheckiego«⁴⁾ na Rusi, marszałkowie tak ponie-
wierani przez Sadyka. Gdzie w tej ich pracy Czajkowski
coś wprost przeciwnego odszukał... odgadnąć trudno. Wszak
już to samo powinno było go dobrze dla tych panów
usposobić, że szli drogą »lojalną«, zaczynając od pokornej
i uniżonej prośby, która im w rezultacie przyniosła... przy-
musowe, niezbyt upragnione, rekolekcyje...

W ścisłym związku z ostatnim ruchem zostają tak
zwane złote hramoty, co wedle autora listów miały
być »wyrobem jezuickim«, zmierzającym do odciągnięcia
chłopów od rządu, by potem — schowawszy świecidelko,
które ich zwabiło, pod dziesięć zamków i pieczęci — uczy-

¹⁾ Józef Szujski: *Portrety Nie-Van-Dyka*. Lwów 1861, str. 208.

²⁾ Że pisarze obozu demokrat. kwestyę polepszenia doli ludu wielokroć razy poruszali, samo przez się się rozumie. Nie pisząc dziejów sprawy włościańskiej w Polsce, przytaczać tu tych licznych głosów nie możemy.

³⁾ Lisicki Henryk: *Aleksander Wielopolski*. T. I., str. 138 i dalsze. T. II, str. 65. Okólnik komitetu Towarz. Rolniczego (nr. 17). Kraków 1878; *Kilka słów z powodu listu z kraju przez Litwina* str. 15 i dalsze. Paryż, 1863 r.; *Polska w roku 1860* str. 17. Lipsk i Paryż 1861: — »Ale co najwyższą Towarzystwa stanowi zaletę i powszechnie musi mu jedna uczerzenie, to piecza i troskliwość, jaką wciąż objawiało około moralnego i materialnego dźwignienia klasy włościańskiej... i t. d.«

⁴⁾ Czytaj: *Adres marszałków*.

nić z tych »najmłodszych braci« napowrót żywy remanent, przykuty do własności pańskiej¹⁾.

Były to drukowane złotemi literami ogłoszenia, nadające kmieciom nietylko wolność osobistą, lecz i własność ziemską, w granicach posiadanych przez nich gruntów.

Model zaczerpniętym został na Ukrainie, naśladował odezwy, rozszerzane niegdyś przez — krwawej pamięci bohaterów — Gontę i Żeleźniaka, a pisane w zakładzie, *ad hoc* stworzonym, przez Ihumenia Motroneńskiego monasteru, Melchizedeka Znaczko-Jaworskiego.

Hramoty owe rozsiewali powstańcy-emisaryusze między kmieci, przyjmujących je niejednokrotnie z pewnem niedowierzaniem, z podejrzliwością właściwą chłopu ruskiemu, lub odrzucających nawet bez dłuższego wahania.

Tak nam donoszą — współczesne wypadkom — urzędowe źródła. Częste też o nich wzmianki spotykamy w ulotnych drukach, wydawanych przez kijowskiego generał-gubernatora, piastującego równocześnie urząd naczelnika siły zbrojnej, noszących tytuł: »Wiadomości o zaburzeniach w południowo-zachodnich guberniach«²⁾.

¹⁾ A. Giller: *Charakterystyka powstania 1863 r.*, str. 23—24. Lwów, 1888. »W żadnym kraju szlachta nie poniosła tyle ofiar, ile ich poniosła szlachta polska dla podniesienia i obywatelskiego zrównania pracującego wiejskiego ludu... i t. d.«; Lisicki: *Aleksander Wielopolski*. T. I, str. 138. Kraków 1878. »Zachowanie się naszej szlachty nader korzystnie odbijało od postępowania szlachty rosyjskiej, nieprzychylniej zniesieniu poddaństwa«. (Umyślnie przytoczyliśmy zdania — tak różnych pisarzy — w obronie zbyt często napadanej szlachty); *Obwieszczenie dyrektora głównego prezydującego w komisji rządowej wysnact i oświeceni publicznego*. (Lisicki t. II, nr. 21); Giller: *Hist. powst. nar. polsk.* I, 92.

²⁾ *Izwiestija o wosnikszych besporadkach w jugo-sopadnych guberniach 1863 g.* — Dla przykładu przytaczamy kilka urywków, odnoszących się do omawianego przez nas przedmiotu: *Wiadomości* nr. 1. (29. IV. 1863). »Powstańcy uwodzą włością obietnicą swobody i na-

Pierwszy taki biuletyn ogłoszony został w końcu kwietnia 1863 r., ostatni sięga początku lipca. Kartki te, rozsyłane do sztabów, należą już dzisiaj, jak i same hramoty, do osobliwości bibliograficznych. Z czasem następowały spisy powstańców, wyroki na nich ferowane, lecz te rozsyłał już, w formie dodatków, świeżo wówczas założony *Kijeolanin*.

Na mocy rozporządzeń Rządu narodowego, z dnia 22 stycznia i 10 maja, rozpowszechniano podobne odezwy do ludu i na Litwie, lecz w jaką tam przystrojono je sukienkę, powiedzieć nie umiemy. Pan Pawłowicz, przytaczając treść hramot, nic o ich zewnętrznym wyglądzie nie wspomina ¹⁾.

Bardzo prawdopodobne, że wszędzie modelowały się one podług jednego, znanego nam już wzoru; może nawet cały nakład wyszedł z pod jednej i tej samej prasy.

Mimowoli — nadto może obszernie — zarzuty Czajkowskiego odpieraliśmy, choć z drugiej strony wielu dowodów tylko dla braku miejsca nie przytaczamy, te jednak sądzimy wystarczą.

daniem ziemi, na posiadanie której rozdają hramoty pisane złotem i literami.

Nr. 2. (30. IV. 1863). »Włóscianie odrzucają ofiarowane im złote hramoty«. Wreszcie w raporcie o pogromie pod Sołowiówką, w spisie trofeów zwycięstwa, t. j. broni, map, papierów, spotykamy i »sporą pakę hramot drukowanych złotem i literami«. (Nr. 5 z dnia 3. V. 1863). Właśnie los, jaki spotkał hramoty pod Sołowiówką — wpłynął niemało na nader skromną liczbę okazów przechowanych do naszych czasów, choć te nie tak odległe od owej smutnej epoki.

¹⁾ Pawłowicz: *Pamiętniki*, str. 147.

Dosłowne brzmienie *złotej hramoty* (przekład polski) u A. Gilbera: *Hist. powst. narodu polsk.* Paryż, 1867. T. I, str. 314 do 316. Obszerniej o tem tamże. T. II, str. 97.

Z kolei następuje całoroczna przerwa w korespondencji Czajkowskiego, a w tym czasie Sabatyn zawitał do Kijowa i spędził tu w towarzystwie dawnego kolegi i przyjaciela kilka tygodni. List nosi datę 12 listopada 1874 roku.

»Przeszedł październik, nadszedł listopad i ani słówka od ciebie. Czy cię dąsający się katolicy nie wsadzili na rekolekcje do jakiej ciupy, za to, żeś ze mną pod jednym dachem przesiedział parę tygodni i nie obawiałeś się chodzić czasem ze mną publicznie do pałacu Kwistów, do ogrodu mineralnego, a nawet w przytomności p. K... jeść obiad w Walhalli. Są to zapewne przestępstwa nie darowane, które zasługują na ciupę i na zakaz pisania, bo inaczej tłumaczyć sobie nie mogę twojego milczenia. Nie pojechałem do Petersburga i nie wiem czy pojedę dla 24 przyczyn, na których czele pieniędzy nie ma, a na końcu nie ma pieniędzy. Marznę w Kijowie, bo mieszkam na samym cyplu, pod Andrejewską cerkwią, na ulicy *Trech-swiatyelskiej*, w domu majora Kwiatkowskiego, wystawionym na wszystkie wiatry północy. Moja kochana żona to mieszkanie wybrała dla parkietu, czerwono malowanych ścian i widoku czarującego, ale ja stary zmarzłak, jestem jak na z s y ł c e (w y g n a n i u) koło Kamczatki, albo koło Solowieckiego monasteru, prawda, że patrzę na Dniepr, choć tupię nogami i chucham w ręce. Piszę mój romans czyli powieść, że żydzi lepsi niż hrabiowie polscy. Na poparcie mojego zdania miałem przyjemność czytać broszurkę p. Tytusa Szczeniowskiego przeciwko p. Józefowi Jarszyńskiemu, który także jest *Herr Graf*, przynajmniej wiedeńskiej sądowej nominacyi.

.....

.....

»W tych dniach skonfiskowano tu książkę wydrukowaną we Lwowie w 1874 r., pod tytułem »Pisma Tymka Padurry«, po rusku i po polsku, ale łacińskimi czcion-

kami. Książka ta składa się z trzech części. Przedmowa, która jest manifestem prowokacyjnym dla ochotników do emisaryuszostwa między kozaków na wzór Padurry. Odezwanie się do kozaków, by się łączyli z Polakami do postawienia wspólnej Rzeczypospolitej. Insultacye na rząd rosyjski i Rossyan, których zwie kacapami i którym zaprzecza słowiańskiego pochodzenia, jak Duchński, i wywód pochodzenia Bohdana Chmielnickiego od żyda Berka z Chmielnika, przechrzty. Poezye oprócz pieśni... (ustęp nieczytelny)... niewinne. Rapsody prozą i noty są rzeczą podrobioną na poparcie przedmowy. Dygnitarz tutejszy po przeczytaniu tej książki, powiedział: »O głupcy i kanalie, kiedy Czajkowski dawał im do rozporządzenia 2.000 kozaków uzbrojonych i 18.000 ludzi zdolnych do dźwigania broni, oni uważali go za najstraszniejszego wroga Polski a teraz chcą wskrzesić ideę, którą sami pogrzebali; i to jest naród, który pragnie egzystencyi oddzielnej; Polacy powinni uważać się za szczęśliwych, że mogą liczyć się do wielkiego plemienia słowiańskiego, któreby ich ochroniło od nonsensu politycznego i powstrzymało od germanizacyi« (przekład z francuskiego).

• »Święta prawda, wielka prawda, jedyny nasz ratunek, zlanie się państwowe, uznanie Rossyi za wielką ojczyznę polityczną; tym sposobem tylko zachowamy naszą autonomię domową i narodową, inaczej przepadniemy gorzej od cyganów. Litwini już weszli na dobrą drogę, nadwiślańscy nawet już na nią wchodzą, tylko *jugosapadni* (mieszkańcy południowo-zachodnich prowincyj) trwają w upartem dąsaniu się i głupstwie, i stoją przy tem zażarcie.

• »Moja żona kłania ci się bardzo pięknie i chciałaby, żebyś znowu do Kijowa przyjechał, i moja córka także, już zaczyna belkotać, a widać, że jest kobietą tego wieku realnego, bo pierwsze słowo, które nauczyła się wymawiać, jest »daj, daj«.

»P. W... już w mundurze majorskim z atrybucyami komendanta pułkowego, wyjechał do Kazania, ale małżonka dowiedziawszy się o jego eskapadach z szanownym panem i o tem nieszczęśliwem *bis* w ogrodzie *Sant-Maryi*, nie świętej Maryi, zabrała się z nim i pojechała, żeby w Kazaniu nie było *bis*.

»P. K... szukał lisa i obydwaj pojechali gdzieś w stepy sybirskie. Zresztą wszystko po dawnemu, nudno, smutno. Posłałem ci statuta komitetu słowiańskiego, ale nie odebrałem żadnej a żadnej odpowiedzi«.

Kijów, 6 grudnia 1874 r.

»Posyłam ci odczoty, czyli zdania sprawy Towarzystwa słowiańskiego, sekcji kijowskiej, z czynności rocznej. Obowiązek jest płacenia rocznie po 5 rubli na utrzymanie biura Towarzystwa i pomocy. Kto da więcej, nie odrzucają, za to przysyłają kartkę należenia do Towarzystwa. Mieszkający w Kijowie, albo przybywający do niego, obowiązani są być na posiedzeniach, które się odbywają co tygodnia we wtorek, w mieszkaniu prezesa Towarzystwa, p. Rigelmana, potomka naczelnika siczowej harmaty— we własnym jego domu, gdzie nie dają *horyłkę*, *salo* i *czosnyk* (wódki, sadła i czosnku), ale doskonałą herbatę, wyśmienite słowiańskie ciasteczka i przewyborne konfekty i frukta zimą i latem, i gdzie czytają o słowiańskich rzeczach. Ci, którzy nie mieszkają w Kijowie, albo nie są w nim obecni, mają prawo, jeśli jest ku temu wola, przysyłać rozmaite słowiańskie rękopisma, cudze i swoje uwagi, byle słowiańskie, których wzory są w *odcsotach* (sprawozdaniach). Dotąd Polacy byli i są rzadkimi gośćmi w tem Towarzystwie, dlatego, żeby dowieść nedorzecznego wyrażenia nedorzeczných dudków, na których nam nie zbywa, że oni są przednią strażą Zachodu, czyli Niemców przeciwko panslawizmowi. Ci nawet, którzy wpisali się do Towarzystwa dla prywatnych widoków, w niem nie by-

wają, nic nie przysyłają, nawet cukru z cukrowni, na osłodę biednego słowianizmu, który niestety taki gorzki, że go trzeba słodzić a słodzić. Towarzystwo ma trzy sekcye: petersburską, moskiewską i kijowską, i podsekcję odeską. Gdyby Polacy wchodzili do tego Towarzystwa, będącego za przyzwoleniem i pod opieką rządu i pod główną prezydenturą w. ks. Konstantego, byłoby to ich coraz bliższem zbliżeniem się z Rossyanami, zaprzeczeniem rzuconemu na nich antyslawizmowi przez Niemców i pokazaniem, że już przecie przestają się dąsać; byłoby to dobrą oznaką, ale trzeba, żeby znakomitości, czyli jakości były i poważna ilość, żeby nie było wyrrywających się, jak Filip z Konopi, bo to byłoby tylko naśmieszka, jednocześnie przysłać kilka zgłoszeń się, czy to pocztą, czy to przez żądającego wejścia do Towarzystwa, — adresować wprost do p. Rigelmana, prezesa Towarzystwa, albo przez p. Puzyrewskiego, cenzora kijowskiego, członka tegoż Towarzystwa.

»Teraz, żebyś mógł politykować w Kamieńcu, donoszę ci dwie nie anegdotki, ale prawdy takie, jak w ewangelii. Pewna dama, Rossyanka, wysokiej posady, przez ubóstwienie następczyni naszego tronu, przyjazne Danii, chciała ubodnąć czyli ukłuć Bismarcka w rozmowie i powiedziała:

— »Przyznaj książę, że wielką popełniłeś niesprawiedliwość względem Danii.

»Bismarck przerwał: — Nie mów pani niesprawiedliwość, ale lepiej powiedz zbrodnię, krzyczącą zbrodnię, jest to zdanie mojego króla i przekonany on jest również, że to zbrodnia, ale interes Prus, Niemiec przedewszystkiem i nie cofniemy się przed żadną zbrodnią, chcąc cokolwiek uczynić naszym interesom.

»Naturalnie rozmowa stoczyła się do biednej Polski.

»Dama, uniesiona popędem serca, mówiła: — Jakież

są następstwa niegodziwości popełnianych względem Polaków, nie możemy z nimi przyjść do ładu, tak nam wiele robią kłopotu Polacy.

»Bismarck schwycił damę za obydwie ręce: — Oddajcie nam ich, podziękujemy i będziemy wam wdzięczni, dajcie nam ich aż po Wisłę. Nigdy nie zrobicie z nich ani Rosyan, ani Słowian, my zrobimy z nich Niemców, już nimi są w połowie. Wisła jest w danej chwili naturalną Niemiec granicą. Prosił i modlił się, a potem zobaczymy. Bałtyckie morze było granicą naturalniejszą, bo łoża mórz nie tak łatwo wysychają i zmieniają się, jak koryta rzek.

»Może Bismarck był w prawdzie, ostatni zjazd archeologiczny w Kijowie rozczarował mnie do słowianizmu, jak niegdyś pobyt w Rzymie do katolicyzmu, jeden do lasa, drugi do Sasa, za Polaczków przewodem nie będą narodem, trzeba im Niemców i Tatarów, by nimi kierowali i nimi władali, na te barany słowiańskie trzeba pastuchów *is Niemcow i Tatarow.*

»Drugie gadanie: Sultán polecił, by na Złotym rogu, gdzie stoi pałac dawnych sultánów, skarbce, budynki, park i ogrody i wkoło którego idzie żelazna droga, były obrócone na park artyleryi, w którym ma stać tysiąc armat Kruppa, które już zamówiono złożonemi pieniędzmi w banku.

»Poseł niemiecki mówiąc z w. Wezyrem, żałował pałacu i przedstawiał, że ta wojownicza postawa może się nie podobać Europie — dodając: — A wasze finanse? żeby wojować, potrzeba szczególnie pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy, powiedział Napoleon I.

»W. Wezyr mu odpowiedział: — Weźmiemy je tak, jak wyście je wzięli od Francyi, Napoleon III pokazał wam, gdzie należy szukać pieniędzy, które wuj jego uważał za bardzo potrzebne. Będziemy was naśladować. Co

się tyczy pomnika, najlepszy taki możemy wystawić na cześć naszych przodków. — Zuch W. Wezyr«.

»Odebrałem list od p. Karola. Widać, że społeczeństwo żytomierskie deklaruje, że nie są Polakami, ale katolikami, tutejsze, że są cukrowarami, technikami i kupcami, co wasze powie?«

Znowu kilka słów sprostowania.

Tymko, Tomasz Padurra (1801—1871) również Ukrainiec, kolega Czajkowskiego i Goszczyńskiego, jeden z najwdzięczniejszych śpiewaków kozaczyzny, inną poszedł drogą. — Prawdziwy kozak na sposób Zaleskiego, bo kochający Rzeczpospolitą, bo w Krzemieńcu, w szkole Czackiego pobierał nauki — nigdy nie opuścił ścieżki, po której za młodu kroczył, nigdy nie zbiegł z pod sztandaru, pod którym walczył. I jako młodzieniec i jako białowłosy starzec, marzył o swej idealnej kozaczyźnie, ale zjednoczonej tylko... z Polską. To też jego piosnki ruskie cieszyły się niebywałą popularnością, nie było szlacheckiej strzechy, gdzieby ich wieczorami nie nuciły hoże krasawice, a Olizarowski upamiętnił ich wziętość w »Śpiewie kozaka«...

Ta to cała Ukraina

Dziś dumkami brzmi Padurry.

Właśnie też może z powodu tej jego wziętości, spotykamy u badaczy naszej literatury najróżnorodniejsze zdania, dotyczące znaczenia i wartości utworów ukraińskiego piewcy. Wójcicki, Julian Bartoszewicz, Nehring, Mecherzyński wynoszą go bardzo wysoko, innego mniemania są Michał Grabowski, znakomity znawca tego przedmiotu, i Leonard Sowiński. Czy tak czy owak, nie przynosi to uszczerbku pamięci Padurry, imię jego zapisaniem zostało na kartach dziejów naszych, sympatycznymi głoskami, ziemia przesiąknięta krwią rycerzy kresowych, ciężyć mu nie będzie, a piosnki, które z pod jego wyszły pióra —

choć bez nazwiska autora — przechodzić będą z ust do ust, z pokolenia w pokolenie i jeżeli nie »prawdziwy lud ukraiński«, to drobna rzesza szlachecka ich nie zapomni.

Książka, o której Czajkowski w liście wzmiankuje, nosi tytuł: *Pysma. Wydanie posmertne z autohrafu* (Lwów, 1874) a że przedmowa, głównie Sadykowi nie przypadła do smaku, do niej przystępujemy z kolei.

Padurra »Rossyan... zwie kacapami, zaprzecza (im) słowiańskiego pochodzenia, jak Duchński...« donosi autor Wernyhory przyjacielowi — zachęca do emisaryuszostwa między kozaków, namawia tychże do łączenia się z Polakami i t. d.

Reasumując wszystko, przyznajemy, że przedmowa zacnego Tymka nie jest pozbawioną błędów historycznych, lecz jesteśmy dla »pieśniarza« pobłażliwi, wszak mamy badaczy historii z zawodu, hołdujących »pewnikom historycznym« Duchńskiego, cóż dopiero mówić można o dyletantach?

Co się tyczy mylności notat, Czajkowski zapomniał, że sam nieraz odbiegał daleko od rzeczywistości, że i jego kozak zanadto poetycznie, najczęściej nieprawdziwie, nie-naturalnie bywał przez autora przedstawiany. Padurra mógł również się mylić; nie przynosząc szkody ogółowi, na potępienie nie zasłużył.

W emisaryuszostwo polskie między kozakami, w obecnej dobie chyba już dzisiaj nawet poeci nie wierzą.

O ile wiemy, Sabatyn rozstał się z tym światem 1874 r., list więc ostatni, datowany 1 sierpnia 1875 r., pozostał bez odpowiedzi a Sadyk-pasza stracił jednego z tych nielicznych dawnych towarzyszy, którzy z nim nie zerwali, z którymi mógł śmiało o swoich marzeniach

politycznych rozprawiać, będąc pewnym, że obelgą w twarz mu nie cisną.

»Generał-gubernator — są słowa listu — jeszcze nie przyjechał, zachorował w drodze, ma przyjechać we środę. Cesarz ma być w pierwszych dniach września i bawić tu kilka dni. Opisuję ci rzecz ciekawą, która wiem, że Ciebie obejdzie. Pan Berwiński, znakomity literat z Poznańskiego i były oficer kozaków moich, przebywający w Stambule, napisał artykuł, gdzie było o mnie i posłał do dzienników poznańskich. P. Bentkowski, były oficer artylerii pruskiej i jeden z tuzów naczelniczających patryotyzmowi poznańskiemu, artykuł odesłał i odpisał następującym sensem:

»Drukować artykuły o Czajkowskim, albo jego pisma, byłoby to wydyskulpować, a wydyskulpować Czajkowskiego najściślejszą prawdą, byłoby okazaniem, że naczelnicy sprawy polskiej, tak dobrze w Poznańskim, jak w Galicyi i w posiadłościach Rosyi, byli i są albo ostatnimi głupcami, albo nawet gałganami.

»Jest więc rzeczą konsekwentną, że zagrożono Brokhauzowi w Lipsku i wszystkim wydawcom i dziennikarzom narzeczka polskiego, śmiercią przez zasztyletowanie lub zastrzelenie z rewolweru, jak to praktykowali żandarmi rządu niewidzialnego, jeśliby się poważyli wydawać pisma Czajkowskiego, albo drukować artykuły na jego wydeskulpowanie. Jest to naturalnie i konsekwentnie«.

»To prawda, ale po huncwocku. List oryginalny posłałem do Petersburga, niech wiedzą na jaką nutę gra dzisiejszy patryotyzm Polaków.

»Przybył tu z Galicyi niejaki p. Nosalewicz, były adjutant Garibaldiego, a niegdyś mój dragoman, powiada, że takie same zagrożenie istnieje we Lwowie, a zapewne w Krakowie, że kilku wydawców lwowskich proponowało mu, aby dostał odemnie pisma z anonimem, albo z pseu-

donimem, a oni nabędą, bo z mojem imieniem drukować nie mogą, bo się obawiają śmierci, gdyż klika Okszy-beja, poparta magnaterią i duchowieństwem, czuwa nad wykonaniem wyroku, gdyby było przekroczenie.

»Osły i drań, po co straszyć spekulantów literatury; że mnie umniejszą dochód o kilka tysięcy franków, to mi niebardzo dokucza; gdyby byli odważni, to niechby się targnęli na moje życie, to byłoby i uczciwiej i godniej i dalszolibóg praktyczniej.

»Ja teraz mieszkam na Kreszczatyku, w domu Mezera, dziękuję ci za obiecaną relację o własności do nabycia, ale ja nie chcę nic kupować w jugozapadnym (południowo-zachodnim) kraju, żeby nie być współobywatelem tych, którzy na mnie niecnem szkoleniem ciskają, w Bessarabii to co innego.

Dobiegliśmy do końca korespondencji.

Prawdopodobnie nikt nie zaprzeczy, że wzmianka o magnaterii polskiej i o duchowieństwie, czuwającym nad wykonaniem wyroku na wydawcy dzieł Czajkowskiego, jak również na śmiałku, któryby odważył się cośkolwiek o tym renegacie napisać — dosyć zabawnie wygląda. Nigdy nie posądziłibyśmy tak jednych, jak i drugich, o równie krwawe zamiary; inaczej widocznie na tych panów zapatrywał się Sadyk-pasza.

Po wydrukowaniu przez nas wiązanki listów Sadyk-paszy w krakowskim *Kuryerze polskim*, ogłosił ktoś dobrze poinformowany w *Dzienniku poznańskim* wyjaśnienie zagadkowej sprawy listu Bentkowskiego. Zdaniem wspomnianego informatora przedstawiała się rzecz cała w następujący sposób:

»W roku 1874, czy też 1875 ś. p. Władysław Bentkowski otrzymał z Carogrodu list od Ryszarda Berwińskiego, znanego poety wielkopolskiego, a dawnego swego znajomego wraz z artykułem, w którym starał się uspra-

wiedliwić łamaną sztuką odstępstwa i przენiewierstwa Czajkowskiego.

Berwiński prosił Bentkowskiego, aby artykuł ten oddał redaktorowi *Dziennika poznańskiego* dla zamieszczenia go na jego szpaltach.

Ś. p. Władysław Bentkowski, który z nadzwyczajną akuratrością wypełniał dane mu zlecenia, artykuł rzeczony oddał redaktorowi pisma naszego, p. Franciszkowi Dobrowolskiemu, mówiąc, iż takie zlecenie od autora p. Berwińskiego otrzymał. Artykuł był obszerny — redaktor oświadczył, że go przeczyta i następnego dnia da odpowiedź, czy zamieści go, lub nie.

Po przeczytaniu rzeczonego artykułu, na drugi dzień przybył p. Bentkowski do redakcyi, a p. Dobrowolski oświadczył mu, że artykułu tego nie ogłosi i dziwi się, że Berwiński może podobnego człowieka bronić, a jego jawną zdradę i odstępstwo uniewinniać.

P. Bentkowski na to odpowiedział: »Wiedziałem, że tak postąpisz, bo żadne pismo uczciwe i szanujące społeczeństwo i siebie, podobnego paskudztwa nie ogłosi. Oddałem ci artykuł Berwińskiego, bo o to mnie prosił».

Poczem artykuł rzeczony odebrał — a tego samego dnia odwiedził znów edaktora p. Dobrowolskiego i odczytał mu list, jaki w odpowiedzi do p. Berwińskiego wystosował. W nim ograniczył się na wynurzeniu zdziwienia, że Berwiński może bronić renegata i dodał, że *Dziennik poznański* z oburzeniem propozycyę jego — co za zupełnie słuszne uważa — odrzucił.

Taka była treść odpowiedzi.

Z całego więc cytatu Czajkowskiego tylko co do treści jest prawdziwym ustęp o dysculpowaniu jego. Zresztą wszystko fałsz — powtarzamy — i kłamstwo. Dowodzi to tylko, do czego był zdolnym Czajkowski, gdy się odstępstwa dopuścił.

Kto wreszcie znał ś. p. Bentkowskiego, tę duszę szla-

chetną, czystą i na wskrós rycerską, ten wie, że niemógł on pisać o żadnych sprzysiężeniach i pogrózkach, które tylko w mózgu Czajkowskiego, jak u wszystkich tego rodzaju indywiduów, istniały, a które plodziło nieczyste sumienie.

To sumienie doprowadziło go też w rezultacie do samobójstwa.

Tyle w interesie prawdy«.

Ogłoszona przez nas korespondencya nie może przyczynić się do »wydeskulpowania« Czajkowskiego. Niestety utrwała ona jeszcze bardziej wzgardę, jaką Sadyka obdarzano w ostatnich latach jego życia. Własne słowa wydały nań wyrok, którego nic zmienić nie może.

W południowo-zachodnich guberniach zanadto dobrze go znano i oceniano, osiadać więc tam nie pragnie; stepowa, dzika Bessarabia wydawała mu się pod tym względem znośniejszą, mógł tu zamieszkać w jakiej odległej od świata i ludzi fermie i wlec dalej żywot bądź co bądź smutny, a że siódmy krzyżyk dobiegał końca, więc przypuszczalnie i wędrowka już niedługa go czekała a śmierci pragnął, wszak sam powiada: »niechby się targnęli na moje życie, to byłoby i uczciwiej i godniej, i dalibóg praktyczniej...«

»Włóczyłem się lat tyle, tyle próbowałem, tyle pracowałem, zużyłem siły, zdrowie, sterałem najpiękniejsze moje lata i nic a nic nie zyskałem, tylko przekonanie, że nie było prawdy na tym gruncie, na którym moje prace stawiałem«.

W końcu znalazł »prawdę słowiańską«, stał się zapalonym apostołem idei, werbował członków Towarzystwu słowiańskiemu, którego cel i działanie dobrze znamy i czyż znalezienie tej prawdy słowiańskiej, czyż praca na gruncie słowiańskim przyniosły starcowi ulgę, spokój, ukojenie?... Wątpimy bardzo, a najlepiej za naszym twierdze-

niem przemawia śmierć sama, tak bardzo przejmująco odmalowana przez prof. Stanisława Tarnowskiego:

»...daleko, gdzieś za Dnieprem, padł strzał cichy w pokoju; echo nie rozniosło go po szerokim świecie, a przecież odgłos jego rozległ się po Polsce i przypomniał jej smutne dawne dzieje, dawne lepsze choć złe czasy i człowieka, który się przeżył, który się sam pogrzebał, który za życia usypał nad sobą własną ręką taką wysoką mogiłę hańby, że świat ani go widział, ani wiedział, że on jest i zapomnienie było zupełne...

»Odebrał sobie życie! na tę wiadomość odnowiło się wszystko w pamięci, stanęła w oczach i jego ładna młodość i starość shańbiona; ta miara nie ostatnia zasługi, jaką miał, i ten bez miary wstyd, na którym skończył, a do tych wspomnień łączył się domysł, jak on strasznie męczyć się musiał?

.....

»W ostatnich chwilach (a nie skonał na miejscu, kula nie poszła w serce, ale przez płuca i ugrzęzła w kości pacierzowej) mówił jeszcze: »Życie mi obrzydło!« Dla czego obrzydło? Nie mówił, ale nam domyślać się wolno, a domysł i trafia zapewne dobrze i jego nie krzywdzi...«



POETA O SOBIE





»Siłą słowa grzmiącego stojąc ponad Romanowskim, dorównał Kornelowi Ujejskiemu, czystością języka przewyższał go, lecz z powodu braku miększego, rzewniejszego uczucia, nie osiągnął jego popularności« — pisze o nieszczęśliwym Leonardzie Sowińskim profesor Piotr Chmielowski. Ocena, mimo swoją zwięzłość, wystarczająca szczególnie tutaj, we Lwowie, w którego murach i przedwcześnie zmarły Romanowski i Ujejski tak znaczną cieszyli się i jeszcze cieszą się — w przeciwieństwie do Leonarda Sowińskiego — popularnością.

Pragnąc imię tego trzeciego uchronić od zupełnego zapomnienia, na co bynajmniej nie zasłużył, sięgamy do teki autografów i wydobywamy z niej wiązanek listów Leonarda, adresowanych do kolegi z uniwersyteckiej ławy, dziejopisa Podola, dr. Antoniego J., listów szczerych i prostych, a malujących tak trafnie i to życie zmarnowane, i tę iskrę Bożą, zgaszoną niemal rozmyślnie.

Pierwszy z listów, pisany w małej mieścinie Szczygrach, gdzieś nieopodal Kurska, 18 kwietnia 1867 r., dokąd Sowiński udał się bynajmniej nie z własnej woli, kreśli najdokładniej *curriculum vitae* poety. Był on autorem pamiętnego adresu szlachty kresowej do cara Aleksandra II; idee demokratyczne wyssał z piersi matki; modnego wówczas chłopomanstwa »nabawił się« w gronie kolegów ukraińskich, wraz z którymi nastrojał swą lutnię na ton

Szewczenkowski. Wszystkie te charakterystyczne cechy, razem wzięte, tworzyły typ człowieka, który w epoce do spokojnej pracy bynajmniej nie odpowiedniej, nie mógł pozostać obojętnym na to, co się w koło niego działo, a potem maszerował na Wschód pokutować za swoje zbyt mało lojalne przekonania i marzenia młodzieńcze.

Leonard Sowiński znalazł się w Kursku, z kolei w Szczygrach. Na Wschód wędrował stojąc u szczytu sławy literackiej, poczytny i popularny niezwykle; wrócił złamany i... zmarnowany. Tęsknota za krajem, zawiedzione nadzieje, pustka zdziałały wiele; resztę dopełniła dziedziczna po kądzieli, straszna choroba... opilstwo. Brat jego starszy, zdolny chemik, już podczas uniwersyteckich studiów chętnie parał się z kieliszkiem, żywota dokonał w poniewierce i nędzy najokropniejszej; Leonarda pchnęło w opilstwo wygnanie, skąd właśnie pisze do swego kolegi: «Choć nie wiem, na co ci się przyda autobiografia moja, lecz na wypadek, ażeby milczenie moje nie zepsuło całości jakiejś monografii twojej, przysyłam ci kilka szczegółów, a wyłomy niech pośpiech w spełnieniu twej woli tłumaczy.

«Urodziłem się na Podolu w powiecie lityńskim, we wsi Berezówce 7 listopada 1831 r. z ojca Jana, znanego muzyka, i ubogiej sieroty (zdaje się, włościanki ukraińskiej) Pelagii Pawlickiej. Początkowe nauki pobierałem w Międzybożskiej szkole powiatowej, w jednym z najpiękniejszych zamków, pozostałych na przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej. Stare zamczysko, nieskończone lochy, sterczące pośród niedostępnych moczarów zwałisko zamku Rakowieckiego, wywarły na umysł mój niezatarte wrażenie, tak, że już w dwunastym roku życia, uczuwszy przypływ poetycznego usposobienia, pierwszy wiersz poświęciłem murom Sieniawskich i Czartoryskich. Gimnazjalne nauki przebiegłem w Żytomierzu. W 1847 r. wstąpiłem na filozoficzny wydział w Kijowie. Po ukończeniu w dwudziestym roku życia, wstąpiłem w 1851 r. na medycynę. Po czterech latach

studyów medycznych, rodzinne okoliczności, a bardziej jeszcze wewnętrzne usposobienie zmusiły mnie porzucić medycynę i wrócić do dawniej obranego zawodu. Rok 1857 poświęciłem podróży po Włoszech, Francji, Niemczech i po krajach dawnej Rzeczypospolitej. W 1859 r. zamieszkałem w Kijowie i w tymże roku rozpocząłem zawód literacki satyrami: wstępną satyrą »Pycha« i trzecią »Próżność«, w których usiłowałem pogański duch satyr dawnych przekształcić na inny, chrześcijański. W tymże roku wydałem dwanaście sonetów p. t. »Widziadła« (Kijów), wystawiających w idealnych zarysach zawód i walki myślącego i namiętnego ducha. W 1860 r. w *Kuryerze Wileńskim* przyjąłem współpracownictwo, którego założeniem przemożnym było wyświechtanie kwestyi ukraińskiej. Poświęciłem temu przedmiotowi kilkadziesiąt »Listów« i »Studia nad literaturą ukraińską«, których dalszy ciąg stanowił przekład »Hajdamaków« Szewczenki i kilka broszur ogłoszonych w piśmie krajowych i zagranicznych. W pomienionem piśmie ukazywały się także poezye moje odrębnej od poprzednich treści (»Anioł dziejowy«, »Przed obrazami Rafaelowskimi«, przekłady piosenek Szewczenki i t. d.). W 1861 r. ogłosiłem poemat »Z życia«, wyobrażający walkę teraźniejszych potęg społecznych, który w przeciągu trzech miesięcy doznał się drugiego wydania (Kijów). W następnym roku w *Kuryerze Wileńskim* wyszedł mój »Fragment« i początek tragedyi »Szlachta i kmiecie«. Od listopada 1862 roku do lipca 1863 mieszkałem w Kursku; od tego zaś czasu gniję w Szczygrach. Oto jest wszystko, co o sobie powiedzieć ci mogę...

Powiedział — przyznajemy — w zwięzłej, suchej notatce bardzo wiele. Mimowoli może odmalował portret poety-satyryka, krytyka literackiego i dramaturga w pełni talentu i rozwoju, czytanego chętnie, popularnego i uznanego. «Leonard — pisze o nim dr. Antoni J. — okazywał już na Uniwersytecie zdolności nielada; uczył się pilnie, czytał

dużo, rozprawiał jeszcze więcej; porywająca wymowa jednala mu adeptów; w przesliczną, spiżową formę umiał ubierać swoje wystąpienia publiczne; naturalnie, że areną popisów była skromna izba studencka. Jakbym dziś widział — tak dobrze pamiętam — owego wątlego chłopca, średniej budowy, z zarumienionymi policzkami, z czarnem, palającym okiem. Na słuchaczy nie zwracał uwagi, cały pochłonięty ideą, którą chciał przeprowadzić w życiu, łamał bez miłosierdzia przesady, druzgotał kastowość, wypowiadał demokratyczne hasła, przykrojone do potrzeb chwili i do miejscowych warunków, a tak pięknie, z taką przekonującą logiką, że nawet zacofańcy, a i zacofańców, choć niewielu, liczyliśmy w naszym kole, słuchali przemówień bez protestu; kwestya doli kmiecej była na porządku dziennym, młodzież czuła potrzebę rozpetania jej wcześniej, niżli rozpetanie to przeprowadzono... Można było z Sowińskim częstokroć nie zgadzać się — opowiada inny z kolegów Leonarda — dysputować zawzięcie, zbijać jego zapatrywania i »manię ukrajinofilską«, manifestującą się »jakos inaczej, wyjątkowo, może z pokrzywdzeniem drugiej strony« u tego syna wieśniaczki ukraińskiej, z której mlekiem wyszał i żółci i goryczy niemało, lecz kochać musiał go każdy. Kochali też Sowińskiego koledzy uniwersyteccy, szcząc się umundurowanym poetą, który w pieśniach swych szersze obejmował horyzonty, a nie poruszał — jak inni współtowarzysze nocnych gawęd i dysput — drobnostek z codziennego życia; kochali go i wysoko cenili w lat kilka potem młodzi zapaleńcy kresowi, których porywał ognistą wymową, zachęcając do energii i czynu; poważało prawdziwie ziemianstwo podolskie, powierzając rozgłośnemu pocie redakcyę pamiętnego adresu marszałków szlachty do tronu.

W 1868 roku wraca Leonard Sowiński z wygnania do Warszawy złamany i chory. Pracuje na literackiej niwie, lecz nie jest to już ten dawny poeta, pełen silnej woli i świętego ognia w oczach. Pcha taczkę codziennego żywota

jako współpracownik rozmaitych czasopism; umieszcza w nich sporo recenzyj, nieco wspomnień, powieści i poezyj. Tragedya pięcioaktowa »Na Ukrainie« wywołuje sądy bardzo różne; »Graf Jarosz«, okazuje już stan chorobliwy, który w powieści »Na rozstajnych drogach« przechodzi w formalne obłąkanie. »Wspomnienia szkolne« czytaliśmy z wielkiem zajęciem; »Rys dziejów literatury polskiej« kompiluje zmarnowany, niestety, poeta dla kawałka chleba, choć przyznać bezstronność każe, że z cwej poniewieranej częstokroć kompilacyi nauczyć się można wcale dużo.

Z tego to właśnie czasu pochodzi drugi list Sowińskiego, pisany również do dr. Antoniego J. z Warszawy 24 sierpnia 1876 r. Ciekawy on i charakterystyczny; przedstawia poetę, który zamiast próbować potęgi swych orlich lotów, przykuty do ziemi, ślęczy nad układaniem i uzupełnianiem notatek Aleksandra Zdanowicza, do czego nie czuł ani zbytniego pociągu, ani zamilowania. Życie jednak było trzeba, a nakładca nagabywał coraz energiczniej o manuskrypt.

List wzmiankowany wyżej, brzmi dosłownie: «Dzisiaj dopiero zużytkowałem część wiadomości bio i bibliograficznych, które mi przysłałeś o sobie; dzisiaj więc zdobywam się nareszcie na podziękowanie serdeczne za koleżeńską twoją uprzejmość. Dział historii rozrasta się ogromnie pomimo woli mojej, tak, że dopiero na 60-tym arkuszu rękopisu doszedłem do końca monografii. Z porządku rzeczy (choć trochę to dziwnie wygląda) wypadło uszykować u wrót przyszłości samych Kijowianów: Jabłonowskiego, ciebie i Maryana Dubieckiego.

»Wstyd mi wyznać, że z prac twoich czytałem tylko broszurkę o Darowskim. Inne albo przypadły na czas będący w życiu mojem luką straszliwą (1862—68), albo tak są rzadkie w Warszawie, że z konieczności musiałem, pisząc o nich, uciekać się do obcych wrażeń. Na szczęście

o »Opowiadaniach historycznych« znalazłem dosyć rozumne sprawozdanie w *Kłosach*.

»Zapytujesz mię o Jabłonowskiego. O pracach jego literackich wiesz zapewne z pism peryodycznych. Pisuje w *Gazecie Polskiej* i w *Ateneum*. Po wydaniu Listów i mów Grzymułtowskiego, zamyśla o Stanisławie Janie Jabłonowskim, hetmanie wielkim koronnym, tudzież o dziejach wojskowości w Polsce. W ogóle dobrze mu się powodzi, pracuje porządnie, nie gorączkowo i corocznie robi wycieczki na Podole, do Odessy, za granicę i t. d. Ja się niczem podobnem pochwalić nie mogę. Rzemieślnicza praca nad Historją literatury zabija mnie. Dział sprawozdawczo-bibliograficzny w *Gazecie Polskiej* kością w gardle stoi. Jako tako jeszcze przedarłem się przez tłum poetów ostatniego okresu, a tak tam było ludno, że od Brodzińskiego wyłącznie sami epicy i lirycy zajęli mi stronic 870. W tomie IV najobszerniejsze będą działy dramatu, powieści i historyi. Bądź co bądź, ludzę się myśla, że książka moja więcej może nauczyć chcących się uczyć, niż dotychczasowe podręczniki.

»A teraz kolej na prośbę bardzo nieśmiałą. Czy nie mógłbyś mi poświęcić (*pro publico bono*) parę godzin czasu i spisać listę oryginalnych prac (przynajmniej ważniejszych) w zakresie medycyny, a jeżeli można to i nauk przyrodniczych, od roku mniej więcej 1820. Kilka uwag wstępnych bardzoby mi także były pożądane. Nazwiska autorów i dzieł najwłaściwiej byłoby uszykować podług rozmaitych gałęzi nauki. Z tłumaczeń chyba tylko najznakomitsze zasługiwałyby na wzmiankę. Oczywiście z planu książki mojej wypada, że działowi temu pozostawałoby miejsca jak na arkusz druku, a nawet mniej. Czy odrywając sobie po jakich pięć minut dziennie w przeciągu dwóch albo trzech tygodni, nie mógłbyś oszczędzić mi omyłek i opuszczeń, które z konieczności popelnićbym musiał pisząc o rzeczy mi obcej? Gdyby to nie było za wielką ofiarą z twej strony, byłbym ci nieskończenie wdzięczny. Obiecy-

wali mi coś podobnego prof. Nawrocki i Lasocki, ale na obietnicy się skończyło.

»Jeszcze raz ci dziękuję za notatki, których drugą połowę użyję w dziale Medycyny, a w końcu serdecznie sciskam dłoń«.

Odpowiedzi dr. Antoniego J. na powyższy list błagalny biednego poety, którego zabijała »rzemieślnicza praca nad Historią literatury«, nie znamy; musiała być ona jednak pomyślną, skoro Sowiński 14 października tegoż roku »odwołując się do uczynionego łaskawie przyrzeczenia«, usilnie uprasza »o nadesłanie krótkiego ogólnego poglądu na literaturę medyczną ostatnich czasów w związku jej z literaturą nauk przyrodniczych«. Rozdział ten zresztą — jak i cały ostatni tom literatury — skutkiem »warunków nakładniczych« wypadł więcej niż skromnie, skrócony do możliwego *minimum*.

Z biegiem lat nieszczęśliwy poeta podupadał coraz więcej fizycznie i materyalnie. Szarpanina bezustanna żadnych rezultatów nie wydawała; w szeregi pracowników pióra przybywały coraz-to nowe zastępy, obrotniejsze i młodsze, a zagrożony niedostatkiem rozbitek, tak niegdyś mile widziany i popularny, zalewał z rozpacz gryzącego robaka. Nie na wiele już zdały się przestrogi i pomoc przezacnego Adama Pługa, dzielącego się bez słowa szemrania z kolegami po piórze skromnymi swoimi dochodami: Sowiński staczał się coraz niżej, wreszcie, gdy choroba zagładnęła mu w oczy, wędrować musiał pod dach szpitalny, skąd odzyska się znowu do dr. Antoniego J. (8/15 września 1884 r.): »Raz już, przed wielu laty, udawałem się do ciebie w gwałtownej potrzebie z prośbą o skromną pożyczkę; obecnie znowu mię zmusza *dura necessitas* do kuszenia serca twojego.

»W ciągu ostatniego roku zarobek mój literacki wyniósł zaledwie 300 rubli (za »Wspomnienia szkolne«); do stałego zajęcia dotąd napróżno wzdycham, a wydawcy

strzegli się wszelkich zamówień, jak ognia. Na domiar złego zachorowałem. Z trzymiesięcznego drażnienia zwyczajnego nagniotka, wynikło obrzydliwe *phlegmona* dużego palca które zmusiło mię do wstąpienia do najnudniejszego ze, szpitali warszawskich. Tu, po rozcięciu wrzodu, pięć tygodni wcale się nie troszczono o stan granulacyi, choć panu asystentowi ciągle mówiłem o podejrzaney nieczulości rany na sondowanie i wszelkie *caustica*. Wczora dopiero rozszerzono mi ją i wyskrobano; sądzą jednak, że dopiero za parę tygodni będę się mógł wypisać. Jakkolwiek bądź, a przy rozstaniu się z Dzieciątkiem Jezus nie będę w stanie zapłacić za szpital i pozostanę bez dachu. To właśnie zniewala mnie odwołać się do twojej uprzejmości i prosić o pożyczanie mi 50 rubli, które przy pierwszej możności zwrócę z wdzięcznością. Nastąpić to jednak może dopiero około Nowego Roku.

»Moje »Wspomnienia szkolne« ukazaą się wkrótce w książce osobnej. Cenzura wyrzuciła mi cały rozdział traktujący o moralnej stronie koszarowego wychowania. Spodziewam się jednak, że w odbitce pozwolą mi jako tako załatać tę lukę. Obecnie mógłbym przystąpić do »Wspomnień uniwersyteckich«, ale że wartość projektowanego pamiętnika zależeć będzie od sposobu traktowania przedmiotu, wolałbym przeto drukować to za granicą, niż pod kontrolą cenzury warszawskiej. Czy nie mógłbyś mi ułatwić porozumienia się w tym względzie z panem Gubrynowiczem.

»Piszę ten list leżąc, wśród wrzawy szpitalnego baraku, a więc co do redakcyi onego uważaj mię za niepo czytelnego.

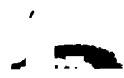
»W razie przychylenia się do mojej prośby, przypomnij sobie przysłowie: *qui cito dat — bis dat*«.

Na liście powyższym dr. Antoni J. własną ręką napisał: pieniądze wysłałem 24 IX. 1884 r.

Nastąpiło długie powolne konanie; lampa niegdyś tak pięknym gorejąca płomieniem, dogasała, duch kołatał się

w zmęczonej piersi coraz słabiej, wreszcie umilkł zupełnie. Rodzina wywiozła nieszczęśliwego śpiewaka, któremu życie tak niemilosiernie pogruchotało skrzydła, na Wołyń, do Statkowiec pod Lubarem. Stamtąd też uniosły wichry w świat szeroki wiadomość, że Sowiński 23 grudnia 1887 r. zamknął powieki na zawsze. »Ze smutkiem i uspokojeniem odchodzimy od tej samotnej mogiły — pisze w rzewnym wspomnieniu pośmiertnem dr. Antoni J. — ze smutkiem, bo przeczuwamy, że zapomniana zostanie, z uspokojeniem, że ów duch znalazł nareszcie ukojenie w zimnej matce ziemi«. Przeczucie kolegi z uniwersyteckiej ławy nie zawiodło: o mogile Sowińskiego zapomniało jego społeczeństwo, a zapomniało niesłusznie. Odłączmy zmarnowanego człowieka od jego dzieł; zapomnijmy o rozbitku, zabijającym się z własnej woli, ale zaglądamy od czasu do czasu bodaj do butwiejących w pyle tomików, w których rozsnuł on swych uczuć przedzę, zwłaszcza do owych z pierwszej, świetnej epoki literackiej działalności Sowińskiego. a wówczas sąd o nim ustalimy bezstronny i z pamięci naszej tak nielitościwie go nie wykreślimy.

Samotnej mogile należało się wspomnienie niniejsze.



Z POD FILARECKIEGO SZTANDARU



Uniwersytet wileński pięknie zapisał się w pamięci potomnych. Otacza go jakaś przedziwna aureola, a związane z nim imię wieszczą narodowego, dodaje jego dziejom prawdziwego blasku. Obok Mickiewicza znalazła się tam garstka młodych, która potem po przez życie, obficie łzami i smutkami zroszone, niosła sztandar filarecki czysty i nieskalany. I to właśnie wycisnęło na krótkiej a promienistej epoce wileńskiej uczelni specjalne piętno, któremu równego nie znaleźć gdzie indziej. Piękny musiał panować duch w murach Uniwersytetu, skoro ten takich wydał mężów.

Już od r. 1804 do 1808 istniały tam stowarzyszenia studenckie pod różnymi nazwami, skryzalizowawszy się ostatecznie pod mianem Towarzystwa filomatycznego, czyli: kochającego naukę. Młodzież wileńska, jak i na innych Uniwersytetach, dzieliła się na zamożniejszych i uboższych. — Znaczna część pierwszych spędzała zwykle czas po kawiarniach »na billardach« (»K a c z k o w s k i — Wspomnienia«). Drudzy oddawali się przeważnie cichej pracy, zamieszkując więcej niżli skromne izdebki na poddaszach, albo też wilgotne sutereny. Ubogie atoli otoczenie nie krępowało dobrego humoru, polotu myśli, niejednokrotnie więc przeciągały się do świtu ożywione dysputy przyszłej Mickiewiczowskiej plejady, co u wielkiego słońca i dla siebie niezbędnych do twórczości zapożyczała promieni.

Nadszedł rok 1819. Tomasz Zan i Jeżowski, popularni

i kochani w gronie rówieśników, widząc wśród szerokiego koła uniwersyteckiej młodzieży pewnego rodzaju zanik koleżeństwa, a przynajmniej znaczne zubożenie dla tych szczytnych uczuć, co w sędziwej nawet starości wspomnienia lat szkolnych tyle drogiemi czynią — postanowili na nowo zawiązać stowarzyszenie, zachęcali uczącą się młodzież do pracy, łączności i miłości braterskiej. Rzucone przez nich ziarno, padło na dobrą glebę: zaraz na wstępie doszło do porozumienia z Mickiewiczem, Malewskim, Czeczotem i Pietraszkiewiczem; z kolei wcielano do szczupłego na razie grona i innych, młodszych. Do rzędu tych ostatnich właśnie należał Tadeusz Żebrowski, który wprawdzie skromne tam zajmował miejsce, na kartach literatury ojczyстей nie uwiecznił swego imienia, życiem uczciwym jednak i bardzo użytecznym na sympatyczne zasłużył wspomnienie.

Wzmianka we »Wspomnieniach z przeszłości« A. E. Odyńca, paczka starych papierów, zawierająca listy i kilka wierszyków — bo i któż wówczas nie dosiadał lotnego Pegaza — oto cały materyał, z którego korzystamy. Choć z drugiej strony winniśmy dodać, że pamięć o zacnym człowieku przechowała się wiernie, stał bowiem pod sztandarem wytrwale, pomimo przygód, nieraz bolesnych, z rzewną, rzekłbym nieledwie religijną czcią przechowywał wszystko, co pochodziło z owej oddalonej epoki, górnej a chmurnej: Filaretem nie przestał być do grobowej deski, jednając w kole, w którym mu żyć losy kazały, cześć i szacunek dla siebie, Wilna i Wileńczyków.

Tadeusz Żebrowski urodził się w 1797 r. na Podolu, we wsi Skarżyncach, ochrzczony w Kumanowcach; ojciec jego był plenipotentem hr. Ilińskiego w Romanowie, dziadek subdelegatem w Winnicy. Oddany do szkoły elementarnej w Lubarze, przeniósł się potem do Winnicy, a po ukończeniu nauk gimnazjalnych w 1817 roku, powędrował, za przykładem wielu rówieśników, na Uniwersytet wileński. W domu zbyt wiele grosza nie było; obok drogo-

cennych rad i wskazówek na przyszłość, otrzymywał zasilek dość szczupły, a kontrola rodzica, bardzo ścisła, sięgała aż na Litwę, o czym łatwo przekonać się z jednego z listów, charakteryzujących znakomicie i czasy i ludzi, a przede wszystkim ową wielką troskliwość ojca o rzuconego w świat syna. Młody studencik tłumaczy się w nim przed rodzicem z zarzutów, czynionych mu, że się stołuje... w restauracji. »Prawda — pisze — że chodząc do traktyjerni, jako do miejsca publicznego, można natrafić na takie rzeczy, coby mniej świadomego zgorszyć mogły. Lecz nasz sposób życia zagroził tę niebezpieczną obyczajom ścieżkę: dzieląc się bowiem jedną porcją, nie możemy we dwóch chodzić do traktyjerni, abyśmy ją tam zjadać mogli, lecz chłopiec nam przynosi do stancyi w naszych blaszanych naczyniach...« Jakże się to stosunki i zapatrywania dzisiaj zmieniły!

Tak żyjąc w prawdziwie filareckiej prostocie, zabrał się z młodzieńczym zapałem do pracy. Wolny od zajęć uniwersyteckich czas poświęcał przepisywaniu manuskryptów profesora Borowskiego, albo też wypełniał czytaniem poważnych dzieł, pożyczanych u tegoż profesora lub w bibliotece uniwersyteckiej.

Wstąpiwszy do grona Filaretów i później, kiedy to w roku 1825 odbywał jedynastomiesięczne przymusowe rekoлекcje w Petersburgu, pisywał okolicznościowe wierszyki, w których przebija nierzadko niemały talent rymotwórczy i szczerzy dowcip. Nie drukował ich jednak nigdy: w *Dzienniku Wileńskim*, który tak chętnie ogłaszał poetyckie utwory niepowołanych częstokroć nawet rymopisów, nie spotkaliśmy ani razu nazwiska Żebrowskiego. Ciekawszym atoli stokroć jest fakt, że przed śmiercią pilnie przewertował papiery, a wierszyki prawie wszystkie spalił, uważając, iż dla niego tylko były one drogą pamiątką czasów, które przeżył, i ludzi, z którymi łączyły go więzy serdecznej zażyłości.

Jedną z próbek, więcej lub mniej udatnych, przypadkiem ocalonych od spalenia na kominku szlacheckiego dworu w jarach uszyckich, przytaczamy. Jest to zręczny i zgrabny, bezpretensjonalny wiersz do pana Chrz, urzędnika granicznego w Wilnie, również poety — pisany 1819 r. z powodu jego zaślubin. Oto parę początkowych strofek:

O ty, coś gardził padolem
I jego wszelkiem stworzeniem,
Któryś z niezmarszczonem czołem
Pod niebios bujał sklepieniem —
Mówże, synu Apollina,
Coś z Muzami bawić lubił,
Jakaż-to przyszła godzina,
Żeś się z ziemianką poślubił?

* * *

Gdzież mię wzniosła myśl szalona?
Wszak Jowisz, niebianek syty,
Rzucając niebieskie szczyty,
Szedł na ziemskich bogiń łona.
Lecz ty, co jesteś śmiertelny,
Nie będziesz, jak Jowisz, dzielny,
A ziemianka, choć nadobna,
Nie zawsze Muzom podobna. I t. d.

Antoni Edward Odyniec wzmiankuje o Żebrowskim w swoich »Wspomnieniach z przeszłości« i zalicza go do tych wielu w owych czasach czcicieli Muz, którzy w późniejszym życiu, zmuszeni zarobkować na chleb codzienny, hołdować im radzi nieradzi przestawali. W r. 1828 został nasz zacny Filaret plenipotentem u Henryka i Janusza hrabiów Ilińskich i rządził starostwem Cudnowieckiem. Po zgonie znanego nietylko na kresach oryginała i fantastyka, Marchockiego, zajmował się uregulowaniem pozostałego po nim majątku, uporządkował skrupulatnie wszystkie jego papiery i jemu też przedewszystkiem zawdzięczać należy, że ów Redux, wyśmiewany przez współczesnych, do-

czekał się za naszych czasów uznania słusznie mu przynależnego.

Nadciągnęła zawierucha 1831 roku. Na wiadomość o listopadowych przejściach warszawskich, wyrusza Żebrowski wraz z wielu innymi z domu i zaciąga się pod sztandar narodowy. Jak przedstawiała się jego epopea żołnierska, ile — za przykładem kolegów — stworzył przy ognisku obózowym piosnek — nie możemy powiedzieć. Dość, że dopiero w kilka lat później powrócił na Podole, ożenił się i zamieszkał w Derewianach, cichej wioseczce, rzuconej zdala od hałaśliwego świata, w malowniczym górzystym zakątku uszyckiego powiatu, nie bez pewnej racji zwanego Szwajcaryą podolską. Ex-Filaret i ex-wojak skromnego kawałka roli doglądał skrzętnie, zawsze pełen dobrego humoru i dowcipu, kochany przez bliższych i dalszych sąsiadów; tyśiące piosnek wysnuł w zacisznym derewiańskim dworku, do dziś powtarzanych, choć często autora ich niktby się nie domyślił... wierszowane jego liściki krążyły po okolicy... Może był pod tym względem płodniejszym i dowcipniejszym od współczesnych, a pokrewnych mu duchem i poglądem kresowych poetów okolicznościowych, jak Januszkiewicz, nim się przeniósł za Ural, jak Kowalski, nim powędrował w świat za chlebem, jak wreszcie sarkastyczny Aleksander Wicherski, nim muzyce się wyłącznie poświęcił..

Żebrowski śpiewał — bo w śpiewaniu znajdował upodobanie; bo wierszyk wesóły a cięty osładzał mu niejedną troskę; śpiewał wreszcie, bo wyrósł z pokolenia wileńskiego, które bez śpiewu obyćby się nie potrafiło, a wydało ze swego grona arcy-pieśniarza Mickiewicza.

O rozgłosie nie myślał, chluby z owych ulotnych rymów nie szukał; dość mu było, że w danej chwili — kursując z rąk do rąk w odpisach — wywarły swój skutek.. Chwila przeminęła, piosnka przebrzmiała niepowrotnie — nic nad to od niej nie żądał.

Umarł w 1877 roku na zagonie własnym, późnego doczekawszy się wieku. Ostatni był to Filaret na Podolu a przekonaniom, wyniesionym z wileńskiej uczelni, wiernym pozostał do zgonu. Siła promienia, bijącego od owych promienistych, musiała być wielka, kiedy przez długie lata przyświecała z niesłabnącą siłą naszemu ostatniemu..

MIESZCZANIN SANDECKI Z XVII STULECIA



Dzięki ogłoszonym w r. 1905 przez sumiennego bardzo badacza, ks. Jana Sygańskiego, T. J. »Analektom Sandeckim« poznajemy sympatyczny typ mieszczanina polskiego z pierwszej połowy XVII w. Sławetny imci pan Jerzy Tymowski, jak i tysiące jego współbraci, zginąłby w zapomnienia fali, gdyby nie jedna skromna słabostka: spisywał »Djarjusz«, którego foljał przeleżał sobie najspokojniej wieków parę w archiwum miejskiem Nowego Sącza, aż przyszedł ks. Jan Sygański, monografista podgórskiego grodu, rękopis pilnie przewertował, drukując ciekawsze zeń ustępy. Przypomniały one współczesnym, że kiedyś żył w Polsce p. Jerzy Tymowski, pracując poczciwie na dobre imię i dla pożytku rodzinnego swego zakątka.

»Djarjusz« otulają skórzane okładki, świadczące niezbicie o bardzo wysoko rozwiniętym u nas kunszcie introligatorskim. Nie lada bo też majster projektował tę oprawę, zdobną w *en relief* postaci ojców Kościoła: św. Augustyna, Ambrożego, Grzegorza i Hieronima, oraz medaljony królów: Zygmunta I, Zygmunta-Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta III. Na zawartość księgi złożyły się porozrzucane na jej kartach rozliczne zapiski, z których powziąć można jasne wyobrażenie o prywatnem życiu kupca polskiego z zarania XVII wieku, o jego nienajgorszem wykształceniu, oryginalnych nieraz zapatrywaniach; z nich dowiadujemy się o wychowaniu jego dzieci, jak dorabiał się wcale znacznego majątku, jak się czuł w swojej ojczyźnie.

Lecz to nie cała ich wartość: są one nieocenionym wprost dokumentem do poznania współczesnego życia mieszczaństwa, jego stosunku do szlachty, a przede wszystkim stosunków handlowych i przemysłowych Nowego Sącza w epoce panowania Wazów. Jak widać z »Djarjusza«, Tymowski handlował wszystkim i to na wielką skalę. Był zręczny, obrotny, cieszył się uznaniem wśród swoich kolegów z ław radzieckich i okolicznych indygenów. Obok ciekawych, tak dużo zwykle mówiących, acz suchych z pozorcyfr, humoru w jego lapidarnych zapiskach dosyć; sporo zdrowego, jędrnego dowcipu, który jeszcze i dzisiaj rozśmieszy i zabawi skrzętnego badacza.

Z własnoręcznego zapisku w księdze kupieckiej dowiadujemy się, że sławetny Jerzy Tymowski ujrzał światło dzienne w Grybowie 1559 r.; z kolei osiada w Nowym Sączu, gdzie jako czterdziestoletni dojrzały mąż zdobywa sobie obywatelstwo miejskie; widocznie na nie zasłużył, bo, jak wiemy, byle kogo i zbyt pochopnie do prawa miejskiego nie przyjmowano. Co więcej, Tymowski zostaje około tego czasu rajcą nowosandeckim, a, jak widzimy z powierzonych mu obowiązków publicznych, posiadać musiał i głowę na karku, i zachowanie wśród swoich najbliższych...

»Djarjusz«, dochowany do naszych czasów, rozpoczął spisywać w roku 1607, umieszczając na pierwszej jego kartce słowa: *Anno Domini 1607. In Nomine Domini Nostri Jesu Christi. Novum Regestrum per me Georgium Tymowski, civem sandecensem et consulem. — Sanguis Christi salva me. Jesus Nasareus Rex Judaeorum, sit triumphalis inter me et omnes inimicos meos, nunc et in hora mortis meae. — Sigismundus tertius Dei Gratia Rex Poloniae. — Salve Sancta Parens, enixa puerpera regem!* Zaraz jednak potem wylazło, jak sztyldo z worka, kupiectwo, rentowny zawód imci pana Jerzego. A więc: 10 funtów ważyły powrozy, wór i słoma, w które owinięto rodzynki i t. d. Po cyfrach, bardzo ciekawych choćby dla samego jedynie porównania cen dzisiejszych

z owemi z przed trzystu laty, dowcipna zapiska o... dłużnikach, których rajca sandecki dzielił na trzy kategorie: do pierwszej zaliczał »długi dawne od lat dziesięci«; do drugiej — »długi starych lotrów«; trzeci zastęp nieszczęśliwców figurował pod charakterystyczną rubryką: »Starzy dłużnicy, jakoby też ze starych snopów gorzalka«, a należeli do ich grona przedstawiciele różnych stanów i zawodów: biedny zegarmistrz Sebastyan; trzech kolegów-rajców dowcipnego wierzyiciela: Stanisław Pelka, Balcer Pierzchała i Stanisław Strasz; »pan Studzieński, co zastał zbroję«, byle tylko uzyskać trochę grosza; młynarz z Lipnicy; dwóch ze szlachty: Przeclaw Wiktor i Gabryel Gładysz; wreszcie »wielmożny pan« Stanisław Lubomirski, starosta grodowy sandecki, skrzypek jego Stanisław Ługowski i »żyd jego poufny« Wulf z grodu. Ow gorzki rejestr kończy Tymowski westchnieniem pobożnem: »O Jezu mój najdroższy, nadziejo smutnej duszy!« Widocznie ci niepoprawni dłużnicy dużo krwi mu psuli... Pod rokiem 1610 figuruje tutaj i pan Jan Lutosławski, pisarz grodzki, który wypłatał naszemu rajcy potężnego figla: dług »obiecwał oddać, nie oddał, umarł, wisus z niego«. Ileż w tych kilku słowach tragedyi kupieckiego serca! Czyż dla takiej pysznej zapiski nie warto przewertować choćby kilku mniej humorystycznych kart »Djarjusza«?

Wspomniany 1610 r. zapisał się trwałemi zgłoskami w życiu pana Jerzego. Córkę dorodną wydał on właśnie za Stanisława Mączkę, ofiarowując jej w posagu: 2 postawy karazyi angielskiej lazuruwej; 4 postawy karazyi z Krakowa po 15 złp.; 4 postawy karazyi po 14 złp.; 4 postawy morawskie; 2 postawy karazyi ze Żmigroda, razem wartości 241 złp., rzeczy zaś złotych i srebrnych za 270 złp. Ponadto obiecał wprawdzie wypłacić gotówką 600 złp., lecz narazie mógł dać zięciowi zaledwie 105 złp., a z reszty wyrachował się, biorąc go za swego współnika. Kupili więc razem 24 beczek wina węgierskiego, a choć za-

robili na niem, wyrównanie rachunków z zięciem przyprawilo Tymowskiego o brak gotówki. Bóg jednak nie wypuszczał pokornego sługi ze swej możnej opieki; na szczęście zjechał do Sącza ks. Jan Gładysz z Grybowa, łaskawy zawsze na dom Tymowskich, i począł prosić małżonków, by mu przechowali 380 złp. Naturalnie odmowa nie spotkała księdza, który przy lampce »węgierskiego«, dowiedziawszy się o chwilowej opresyi kupca, dapożyczył mu jeszcze 400 złp. szpitalnych grybowskich. Tak załatał się niespodziewany wyłom w finansach Tymowskiego; pieniądze nie próżnowały, a obrotny i zręczny kupiec potrosze na zawołanie zwracał gotówką, głównie jednak towarami.

W 1610 r. umiera pani Jadwiga, żona Tymowskiego, obok więc notatki, ile zapłacił za transport szyb, sierpów lub wina, czytamy wezwanie:

»Panie Boże Wszechmogący, racz mi byđź miłościw, proszę przez miłosierdzie Twoje najświętsze, proszę, bądź mi miłościw«.

Stroskany po utracie dozgonnej swej towarzyszki kupiec, zapisał, co czuł, i jak umiał, ból wyraził, a Miłościwy Pan i tym razem wysłuchał modłów sławetnego rajcy nowosandeckiego. Właśnie w tej chwili wszedł do sklepu następcy »wisusa« Lutosławskiego, pan Jakób Chwalibóg z Ropy, nabrał sporo towarów, za wszystko zapłacił gotówką, a pocieszając strapionego kupca, przyrzekł mu pić jeszcze na jego weselisku. I był dobrym prorokiem: uradowany kupiec, wpisawszy zwyczajem przyjętym do księgi pobożne westchnienie: »Panie Boże najmilejszy, przez smutek Matuchny Twojej pod krzyżem stojącej, zmiłuj się nademną«, aczkolwiek miał już córkę wydaną i syna wyrostka, który już ojca w sklepie wyręczał, w kilka miesięcy później zapalał strasznym afektem do nadobnej panny Krystyny Adamowiczówny, córki kolegi z ław radzieckich, stanął z nią, nie zwłócząc zbyt, na ślubnym kobiercu. Organista, pewny sutej libacyi, huknął z pełnej piersi: »Veni

creator; w orszaku ślubnym znaleźli się »panowie rajce i poważne mieszczany«; na wesele stawił się, wedle przyrzeczenia, pan Chwalibóg i »kazał dać dwa achtele piwa, które zapłacił Ferencowej«.

»*Sanctus Deus, Sanctus Sabaoth*«. Takim napisem rozpoczyna Tymowski nowy rok 1611, u boku swej młodej małżonki. Już to, co prawda, sentencyj pobożnych teraz bynajmniej w »Djarjuszu« nie skąpi, brzmienie ich jednak świadczy, że mu dobrze się wiodło w nowem stadle, że pogrzebawszy i oplakawszy pierwszą żonę, z drugą pełnego zażywał szczęścia. Nie ulega też wątpliwości, iż p. Andrzej Adamowicz, człek poważny i zasobny, nie żałował córce wiana; obok »przyzwoitej« wyprawy, znaleźć się musiała i gotowizna, z zapisków bowiem Tymowskiego przekonać się łatwo, że handel prowadził teraz na większą skalę, porastał z roku na rok w pierze, kredyt miał wyrobiony, sam również chętnie pożyczał, byle dłużnik nie zechciał tylko zmienić się w »łotra« lub »wisusa«.

Dobra reputacya naszego rajcy rozchodzić się musiała z Nowego Sącza w szerokim promieniu. Toć na wiosnę zjechał z Węgier sługa pana Mikołaja Boczkaja wprost do Tymowskiego, prosząc »imieniem wielmożnego pana swego o zamówienie pięknej karety od atlasów i jedwabiów«. Tymowski ugodził karete u stelmacha za 200 talarów, sam pilnował roboty, kupił w Lublinie skór juchtowych, zgoła starał się, aby węgierscy panowie byli zadowoleni. Sługa pana Boczkaja zostawił mu 100 talarów na wydatki; on zaś wypłacał rzemieślników częścią gotówką, częścią towarami.

Pani Krystyna, widząc wziętość męża u panów, jako zwykle próżna białogłowa, trzymała więcej o sobie niż o innych mieszczkach. Żądała poważania dla swej osoby nawet w kościele; na nabożeństwo strojnisia zwykle spóźniała się i zastawała już ławki obok głównego ołtarza zajęte, stać więc zmuszona była w tłumie; stąd bezustanna

irytacya i wojna. »Muszę mieć własną osobną ławkę« — pomyślała wreszcie; mąż rozważny a rozumny ją tłumaczył i groził, że w niej nigdy nie usiądzie.

— To ja sama będę siedziała!

-- Siedz sobie sama!

Pan Jerzy wyszedł, wąsy nastroszywszy, z izby do sklepu, by po upływie już dni kilku zapisać w »Djarzuszku«: »Stolarzowi Gwoździowi 3 łokcie karazji. Urobił ławkę Samej do Fary za 2 złp. 15 gr.« Stary żonkoś — jak zwykle — ustąpił i poszedł w jarzmo młodej, energicznej niewiasty. Pani Tymowska pyszniła się więc dumnie, ku niemałej irytacyi małomiejskich kumoszek, sama w osobnej ławce podczas Mszy św. lub nieспорów w Farze, a niejedno spojrzenie nawet brata-szlachcica z okolicy, biegło wówczas ku uroczej rajczyni, wywołując kraśny rumieniec na jej liczku. Bezstronność przyznać atoli każe, iż za to w domu zapobiegliwą była gospodynią, w sklepie doskonałym kupcem, który i towar podsunąć i odpowiednio zachwalić go umiał. Siadywała pilnie za ladą, a skoro tego zaszła konieczność, spieszyła sama we własnej osobie na jarmarki do Jarosławia, czy Lublina, radząc sobie doskonale w każdej potrzebie. Miała bo też o czem jeździć. Oto pan Jerzy np. zapisał w swoich rachunkach: »A. D. 1612. na św. Stanisław w Maju: Małżonka moja, Krystyna, dała mi pieniędzy gotowych swoich w moje ręce 700 złp. spelną, które dałem p. Samuelowi Cyrusowi, kupcowi krakowskiemu, na dług za nieboszczki Jadwigi za sukna«. »W dzień św. Bartłomieja dała żona moja, Krystyna, swoich pieniędzy panu Wacławowi Morawcowi na sierpy 230 złp.; Stanisławowi Dzierzwie również na sierpy 150 złp.« i t. d. A sierpami tymi prowadził Tymowski olbrzymi handel: wszak w samym 1612 r. dostarczyli mu dwaj wspomniani »sierparze«, wraz z czeladzią swoją »sierparczykami«, około 30 tys. sztuk tych narzędzi gospodarskich. Co więcej, monopolizował go na-

wet w swoim ręku, zawierając »postanowienie« z Waławem Morawcem, »iż on ma (jemu) jedno samemu mieć na sierpy sprawę przez cały rok ten przyszyły«. Widocznie zatem był to interes wcale dochodny.

Anno Domini 1615, w dzień Młodzianków (28 grudnia) »tęcza była w Sączu nad ratuszem«. Oglądał ją zdziwiony Tymowski, »stojąc przed domem swoim z panem Piotrem Rdzawskim«. Na wspólkę z podstarościm sandeckim, Sebastyanem Gładyszem i Jędrzejem Jordanem, oraz kilku mieszczanami i zięciem Mączką, zakupuje teraz znaczniejsze zapasy wina węgierskiego u Zacharyasza Gutsmittla, Ferencza Dozefiego, Peregrina Istwana w Torysie i u Sekiela Baldizara w Hunsdorfie. Zarobek na niem był bardzo przyzwoity; dla kościołów również się coś w darze utoczyło, a z bracią szlachtą: Pieniążkiem z Krużłowej, Lubomirskim, Gładyszem i z innymi wysączyło się niejeden garniec. Nie mogąc z powodu braku czasu sam osobiście zajmować się handlem miedzią, pożyczą na zakupno tejeż w Lewoczy, Waławowi Grabce 600 złp. Umowa między obu wspólnikami była krótka, niemniej bardzo charakterystyczna: »Ma bydź — pisze Tymowski: moje pieniądze a Grabczyzna praca, zyskiem na poły się dzielić«. W podobnych warunkach nie dziwimy się bynajmniej, że nasz rajca kupił folwark, kamienicę z browarem, parę jatek, które zaraz wydzierżawił; że mógł nawet miastu »na potrzeby publiczne« dawać pieniądze.

W roku 1621 mury miejskie przy bramie młyńskiej zwałale walono kawalkami i stawiano nowe. Tymowskiemu więc, jako człękowi praktycznemu a chętnemu, oddało miasto nadzór nad tą robotą; on płacił cieśiom i mularzom, kupował wapno, gonty i gwoździe do pokrycia murów i baszt. Płacił też rurmistrzowi, który zawiadywał »armuzem«, czyli wodociągami.

W tymże roku wyprawilo miasto przeciwko Turkowi

pod Chocim, pod wodzą sławetnego a mężnego Stanisława Protwicza, trzy wozy wojenne czterokonne, zaopatrzone w rozmaite prowianty. Nie od rzeczy będzie zanotować ich rodzaj i ilość; naładowano tedy na wozy: 5 półci mięsa i ćwierć, 3 faski masła, 3 kopy sera, 3 wiertele krup tarczanych, 3 wiertele jagiel, 2 wiertele grochu, 3 faski soli, suchary i owies dla koni. Cała ta bojowa spiżarnia pochłonęła kwotę 63 złp. 26 gr.

Zaciąg sandecki składało dwóch kozaków konnych, uzbrojonych w szable i karabiny, nadto czterech hajduków z woźnicami, zaopatrzonych w szable, muszkiety, półhaki i śmigownicę. Hajduków przybrano barwnie w nowe delje z sukna »łuńskiego«, oraz sukienne żupany zielonego koloru, co kosztowało 55 złp. 8¹/₂ groszy. U Rusinów zakupiono 9 koni za 189 złp. Dwa z nich najlepsze, wartości 55 złp, dostali kozacy. Oprócz trzech nowych wozów, miasto sprawiło dla pacholków 2 muszkiety w cenie 11 złp., 2 szable za 4 złp., kozakowi karabin 7 złp., dalej 3 półhaki z ładunkami i prochownicą za 10 złp., wreszcie 36 podków za 2 złp. 12 gr. i inne jeszcze przybory wojenne. Gotówką dano na drogę 4 hajdukom 13 złp., 2 kozakom konnym 16 złp., a sławetnemu Stanisławowi Protwiczowi, dowódcy zbrojnego sandeckiego zaciągu, aż 26 złp. Mimo całe męstwo i chęć rozprawy z wrogiem ojczyzny i krzyża św., dotarł on 10 października zaledwie pod Jaworów, gdzie dowiedział się, iż właśnie regimentarz generalny, Stanisław Lubomirski, złamał pod Chocimem ottomańską potęgę. Jechać więc dalej nie było po co. Powodem opóźnienia stały się poczciwe jesienne polskie błota i »niesforność powiatów ziemi krakowskiej«.

Ogólny wydatek — czytamy w »Djarjusz«: »na wozy pospolitego ruszenia i dwóch jezdnych przeciwko turkowi *in anno praesenti* 1621 r.« — wynosił 400 złp. Tak okazałej sumy nie mógł na razie dostarczyć wyczerpany po pożarze skarbiec miejski, więc kupiec i rajca, Jerzy

Tymowski, »zadał naprzód *ad rationem* arendy żeleźnikowskiej 400 złp.»

W roku następnym spotkał naszego rajcę nielada honor: pan podwojewodzi, Zygmunt Stradomski, zawezwał Tymowskiego do ustanowienia cen wina.

Wspomniany dygnitarz chętnie parał się z handlem, sprowadzając na wspólkę z Tymowskim duże zapasy sukna. Na św. Urszule 1625 r. notuje nasz kupiec sukna w swym sklepie na 3.600 złp.; kwota to istotnie na owe czasy ogromna.

Bądź co bądź, »Djarjusz« Tymowskiego rzuca sporo światła na ówczesne stosunki handlowe Nowego Sącza z Węgrami i z wielu polskimi miastami. Rajca sandecki tworzył przez szereg lat stały łącznik między Bardyowem, Lewoczą, Kezmarkiem, Koszycami, Preszowem i Podolińcem z jednej, a Krakowem, Nowem Miastem Korczynem, Warszawą i Gdańskiem — z drugiej strony. Ciesząc się powszechnem zaufaniem, obracał znacznemi — jak na owe czasy — sumami, wchodząc, w razie potrzeby, w spółkę z innymi mieszczanami lub szlachtą okoliczną, która z nim utrzymywała ściśle towarzyskie stosunki i spijała w jego izbie gościnnej sporo garnicy węgryzna, z całą serdecznością podejmowana przez panią Krystynę. Tymowski każde odwiedziny, każdy wysuszony w zacnej kompanii garniec wina skrzętnie notował w swej księdze, a statystyka ta jest bardzo ciekawa i charakterystyczna.

Syt uznania i szacunku, umiera Jerzy Tymowski w 1631 r., zapisując żonie Krystynie w dożywocie i synowi Janowi: kamienicę w rynku, folwark i ogród na przedmieściu Większem czyli Węgierskiem, oraz dużo precyozów i rzeczy kosztownych, które świadczą o niemalej zasobności tego mieszczkańskiego dygnitarza. W testamencie nie zapomniał również o domach Bożych i szpitalu. »Dwie pary wołów, które są w Żeleźnikowej, oddaję parę do św. Franciszka (Franciszkanom), drugą parę do św.

Ducha (Norbertanom), a piątego, który jest u św. Walentego, tegom tam darował szpitalowi.

Wspomniany wyżej syn Jerzego, Jan Tymowski — objaśnia ks. Sygański — kształcił się najprzód w szkole sandeckiej, następnie w Akademii Jagiellońskiej w Krakowie (1639—1645), gdzie otrzymał stopień bakalarza nauk wyzwolonych. We wrześniu 1649 r. przywieźli go rajcy sandeccy z Krakowa kolasą miejską, ażeby w rodzinnem swoim mieście kierował młodzieżą szkolną..

Z ŻYCIA ORMIAN KAMIENIECKICH

W XVII I XVIII WIEKU



Jeszcze niespełna przed pół wiekiem spotkać można było na ulicach prastarej placówki osobistości, zwracające na siebie uwagę, nieoswojonych z podobnymi typami przybyszów. Byli to właśnie potomkowie kolonistów z dalekiego Wschodu, którzy lat szereg dzierżyli w swych rękach cały handel na Rusi, a ktoby chciał tę kwestyę obszernie i wyczerpująco traktować, musiałby Ormianom niejeden rozdział swej pracy poświęcić. I dzisiaj żyją w Kamieńcu dawnych Ormian ostatnie latorośle, lecz już ani zwyczajami, ani językiem, nie różnią się od reszty jego mieszkańców, i tylko brzmienie nazwiska, należącego często do rodziny, która niegdyś rej w mieście wodziła, pewne odrębności charakteru, zacierające się już rysy twarzy, zdradzają ich pochodzenie. Ostatni proboszcz ormiański, ks. Rafał Langier, w 1863 r.¹⁾ pożegnał swych nielicznych parafian, kładąc się na cmentarzu miejscowym na wieczny spoczynek, a ostatnia ich świątynia, z cudownym obrazem N. P. Maryi, obsługiwana teraz jest przez księdza łacińskiego.

I.

Ormianie. — Żydzi. — Zjednoczenie z Rzymem.

Kiedy pierwsi Ormianie na Ruś zawitali? — różne o tem są zdania. Ks. Gromnicki oświadcza się prędzej za

¹⁾ Wypisy z metryk pogrzebów — rękopis.

XIII w.¹⁾), prof. Pawiński przesuwając datę o dwa wieki wstecz i łączy przybycie Ormian z przybyciem Żydów do Polski. Kiedy w XI wieku wkroczyli od zachodu do Polski Żydzi, w tym samym czasie przyjęła również gościnną Ruś naddnieprzańską Ormian z Armenii tu spływających. Wraz z rozszerzeniem się granic Rzeczypospolitej, zetknęły się te dwa obce żywioły, przynoszące ze sobą odmienny od społeczności — wśród której żyły — język, religię i zwyczaje. W dodatku łączyła tych przybyszów jedna, wspólna im, a charakterystyczna nader cechą, która z czasem wywołać musiała walkę, prowadzoną z obu stron z zaciętością i wytrwałością, na jaką Słowianin zdobyćby się nigdy nie potrafił. Wspólną tą cechą, o której mówimy, był handel²⁾. Tak jedni, jak i drudzy, pragnęli wyciągnąć z niego jak największe korzyści, z zawiścią też spoglądali na siebie. Ludność miejscowa bierna, dająca się z łatwością powodować, nie mogła Ormianom szkodzić, jej opór ich nie przestraszał, lecz natomiast Żydzi, równie ruchliwi, równie sprytni do handlu, stanowili przeciwników, z którymi rachować się konieczność nakazywała. Walka była tu wprawdzie ryzykowną, lecz dawała również nadzieję wygranej, gdy przeciwnie, wyczekiwanie tak silnego nieprzyjaciela, z założonymi rękami, groziło pogromem, po którym może nie łatwo by przyszło — odzyskać, raz stracone stanowisko. Wybrano więc walkę, i to walkę na śmierć lub życie. Wrzała ona w każdym mieście, gdzie tylko oba wrogie sobie żywioły ogniska swe założyły; to też i Kamieniec, choć w odmiennych zostający warunkach, wyjątku pod tym względem nie stanowił.

Była chwila, kiedy Ormianie stali na Rusi u szczytu potęgi, otaczani opieką tak królów, jak i możnowładców, a że tak było, wykazuje cały szereg przywilejów, przema-

¹⁾ *Ormianie w Polsce*. Warszawa, 1889. Str. 9.

²⁾ *Dzisiaj jednoczenia Ormian polskich s kościołem rzymakim XVII w.* Wydał Adolf Pawiński, Warszawa, 1876. Str. 1.

wiających dobitnie za naszym twierdzeniem, a daty tychże, z najrozmaitszych lat pochodzące, świadczą, że zapobiegliwi koloniści armeńscy nie zaniedbali żadnej stosownej chwili i pomnąc dobrze, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, otaczali się puklerzem nadań. Lecz zachodzą i pewne ważne między Ormianami i Żydami różnice. Podczas gdy pierwsi, po upływie wieków, złączyli się z miejscową społecznością, a wchodząc z nią w związki rodzinne, tracili z biegiem czasu pewne, właściwe sobie cechy; nie usuwając się zaś od poświęceń wydawali ludzi, którzy służyli wiernie »pocziwej sławie« i nowej ojczyźnie¹⁾ i w ten sposób spłacali, przynajmniej w części, zaciągnięty dług wdzięczności, drudzy zostali dotąd jeszcze przeważnie Żydami, choć i między nimi spotykamy liczne wyjątki, zasługujące na szacunek i uznanie ogółu. Ormianie tak lwowscy, jak i gdzieindziej zamieszkali, przebywając tu czas dłuższy, niczem się prawie nie różnili od ludności ich otaczającej, zachowali tylko swój narodowy obrządek, zatrzymali w kościele język ormiański, za zwierzchnika swego uważając patriarchę Eczmiadyńskiego w Armenii. Nie brakło tu jednak i przesądów, zachowywanych z uporem przez zaślepione pospólstwo; do liczby tychże należała »żydowska ofiara, którą w Armenii nazywają Madag« (t. j. zabijanie wołu). »Wprowadzano do kościoła ofiarę, t. j. wołu ozdobionego kwiatami ze świecami na rogach i bogatą kapą na krzyżu«²⁾. Uroczystość podobna odbywała się i w Kamieńcu nieraz, ostatnia jednak (dodajmy odbyta na początku drugiej połowy XVII w.) zakończyła się dosyć niefortunnie, wystawiając Ormian na śmiech i żarty reszty mieszkańców miasta.

Stolica rzymska wielokrotnie starała się o zjednoczenie Ormian polskich z Kościołem rzymsko-katolickim. Udało

¹⁾ Ka. Sadok Barącz: *Żywoty sławnych Ormian w Polsce*.

²⁾ Pawiński, 75.

się to jej w XVII w. a głównymi apostołami w tej sprawie byli Teatyni: ks. Alojzy Marya Pidou i ks. Klemens Galanus, wysłani w 1664 roku do Lwowa, gdzie z Torosiewiczem i »starszymi« ormiańskimi nie od razu poradzić sobie zdołali; wkońcu jednak dopięli zamierzonego celu, doznawszy przedtem wiele przykrości i niewygód¹⁾. Ułatwiły im pewnie przytrodne zadanie i wieści, jakie dochodziły z Eczmiadynu, a głosiły one, że macierz wszystkich Ormian wyrzekła się właśnie swych błędów i wyciągnęła rękę do zgody z Rzymem, a zresztą i względy materyjalne musiały ważną odgrywać w tym wypadku rolę. »Żyli wśród katolickiej Polski, gdzie sam rząd widziałby ten ich krok jak najmilej; mieszkali po miastach, gdzie mieszczaństwo katolickie rej wodziło, a jako kupcy i przemysłowcy ubiegali się za jak najszerszymi przywilejami; ten zaś krok mógł im właśnie takowych przysporzyć«²⁾. Oporniej szła sprawa zgody z Rzymem w Kamieńcu. Wprawdzie na spotkanie arcybiskupa o milę od miasta wyszło duchowieństwo, urzędy i młodzież ormiańska w powozach i na koniach, świetnie się przedstawiając pod względem liczby, porządku i wystawy, wprawdzie witano go, »licznymi mowami po tatarsku i po polsku«³⁾, mimo to jednak duchowieństwo kamienieckie, popierane przez rajców, odmówiło odprawiania nabożeństwa z koniecznymi poprawkami, wysłało nawet deputację do Warszawy do króla; na koniec, gdy wybiegi i zabiegi nie odniosły pożądanego skutku, przyszło do zgody i układów. »Tak więc po dokonaniu szczęśliwie z łaski Boga unii z rzymskim Kościołem ludu ormiańskiego w Kamieńcu 4 października 1666 roku, przyszła do skutku całkowita unia Ormian w królestwie polskiem mieszkających, za szczególną przyczyną Najjaśniejszej królowej Maryi Ludwiki,

¹⁾ Pawiński, III. — Gromnicki, 33.

²⁾ Gromnicki, 15.

³⁾ Pawiński, 151.

sławnej pamięci, i za niestrudżonem staraniem J. Em. nuncjusza Pignatelli¹⁾). Nad Smotrycz spłynęli pierwsi Ormianie z Kijowa i Słucka; późniejsi emigranci przybywali tu wprost ze Wschodu, uważając ten punkt jakoby za pierwszy etap w swej długiej za chlebem wędrówce. To było powodem, że właśnie w tych stronach liczono najwięcej ormiano-gregoryanów, najbardziej zbliżonych do greckiego Kościoła i nestoryanów, i dlatego też unia, w Kamieńcu do skutku doprowadzona, tak ważną odgrywała rolę w dziejach zjednoczenia Ormian polskich z Rzymem, dlatego nappełniła ona tak wielką radością apostołów, pracujących z zapalem i poświęceniem, nad ziszczeniem tych marzeń swoich. Zjednoczenie z Rzymem nie wyplenilo jednak od razu wszystkich błędów w Kościele ormiańskim. I po jego dokonaniu znajdowało się na Rusi wielu zwolenników dawnego porządku (nie-unitów), choć znowu z drugiej strony, zdarzały się wypadki przechodzenia całych rodzin ormiańskich nie już na unię, ale do łacińskiego obrządku²⁾.

Ulryk Werdum w dzienniku podróży swojej po Polsce (1670—1672) podaje ciekawą charakterystykę współczesnych Ormian i Żydów³⁾, którą my powtarzamy: »Trzymają się zdala od Polaków i innych narodów i religij, prawie zupełnie na podobieństwo Żydów, są jednak tak *généreux* i dumni, jak tamci nędzni i służalczy. Po ich krewkiej i ciemnej twarzy, z wypukłemi beczelnemi oczami, można ich od wszystkich innych ludzi równie łatwo odróżnić jak Żydów po ich głupowatej, bladawej twarzy. Nielatwo się kojarzą małżeństwem z obcymi, nie pochodzącymi z ich narodowości, a są zarazem największymi i najprzebieglejszymi kupcami, jakich znaleźć można«.

¹⁾ Pawiński, 160.

²⁾ Gromnicki, 16.

³⁾ Dr Antoni J. przytacza ją w *Nowych Opowiadaniach Historycznych*, Wyd. II, 142.

Przypuszczamy, że niejednemu z dawnych przeciwników Ormian opis podróżnika podobał się; pewni jesteście, że nieraz częstowano ich podobnymi epitetami, wszak mieli oni zawistnych i zazdroszczących im powodzenia aż nadto wielu. Ostatni zarzut w późniejszych czasach należał już tylko do przeszłości.

Nim skończymy rzecz o Ormianach, wypada słów kilka powiedzieć o ich obywatelskich zasługach. Z racji swoich częstych ze Wschodem stosunków, pośredniczą nieraz w wykupywaniu jeńców, są bardzo zręcznymi agentami dyplomatycznymi; Sobieski szczególnie posługiwał się nimi, to też ów długi szereg kupców armeńskich, podniesionych do godności indygenów, napotykanym w konstytucjach za jego panowania, jest wyraźnym świadectwem tego, cośmy powiedzieli. Rzec można śmiało, że przyczynili się oni niemało do jego świetnego zwycięstwa, po tragicznym upadku Kamieńca, dowiadywał się on bowiem za pośrednictwem Ormian o ruchach nieprzyjaciela. Kilka przedniejszych rodzin ormiańskich, tylko na jego wyraźne żądanie, zostało w zwyciężonym przez Turków Kamieńcu, choć ich i serce i zwyczaje ciągnęły gdzieindziej, ku ojczyźnie, którą jako rodzoną macierz ukochali¹⁾.

II.

Ormianie lwowscy i kamienieccy. — Poswarki z mieszczaństwem innych narodowości.

Lwów zajmował w spisie kolonij Ormian na Rusi osiadłych pierwsze miejsce, z tego też powodu i jemu trochę miejsca poświęcimy, a przyczyni się to bezsprzecznie do rozjaśnienia stosunków wychodźców armeńskich w Polsce. «Za czasów książąt ruskich Ormianie uznani byli jako gmina i naród, rządzący się własnymi prawami, wyzna-

¹⁾ Archiwum dra. Rollego: *Korespondencya współczesna*.

jący własną religię, mający własnych swoich naczelników świeckich i duchownych. Taki stan rzeczy zastał Kazimierz W. i nadając (17. VI. 1356) miastu Lwowowi prawo magdeburskie, zatwierdził Ormianom tutejszym ich odrębność pod względem religii, własnego zarządu, a nawet sądownictwa, lecz pod wójtem miejskim... Zarazem uznał w biskupie lwowskim Grzegorzu ich głowę kościelno-polityczną (dokum. 20. I. 1368). Te przywileje Kazimierza W. stanowią podstawę prawnopolityczną stosunków Ormian we Lwowie¹⁾, a niebardzo od prawdy odbiegniemy twierdząc, że i w innych miastach na Rusi stosunki w ten sam sposób ukształtowały się. W jednym jednak tylko Kamieńcu zachowali Ormianie odrębność swoją do czasu rozbiorów Polski; w Łucku, Włodzimierzu i Kijowie już na początku XVII wieku nic o nich nie słyszymy.

Gdybyśmy chcieli wymienić wszystkie przywileje, zatwierdzone przez bliższych i dalszych następców Kazimierza W., przedstawilibyśmy całą historię Ormian w Polsce, a tak szerokich ram nie zaznaczyliśmy naszej pracy. Jagiellonów hojność znamy wszyscy; rozdarowywali oni wszystko, bez zwracania uwagi na własne potrzeby, a w pieczołowitości względem Ormian nie ustępował im ani Waza, ani Sas, nie ustępowali ci, którzy samotnie zeszli z tronu, nie zostawiając korony i pieczy, nad skolataną nawą państwa, swoim synom. I tak np.: «Batory równouprawnił ich (t. j. Ormian), pod względem politycznym, z innymi mieszkańcami Lwowa (7. VII. 1576); Zygmunt III stawał nieraz w obronie ich przywilejów, wzmocnił nawet ich odrębność narodową, gdy zatwierdził wewnętrzny autonomiczny zarząd. Zalecił bowiem gminie ormiańskiej lwowskiej posłuszeństwo względem starszych swoich; magistratowi zaś lwowskiemu przykazał egzekwować kary, przez tychże starszych na podwładnych Ormian nałożone; zabronił przechodzić bez

¹⁾ Gromnicki 52.

pozwolenia starszych z prawa ormiańskiego pod miejskie magdeburskie¹⁾. Że dobrze im się we Lwowie działo, świadczy i to, że koloniści wschodni z innych miast robili starania o wpisanie ich w poczet Ormian lwowskich. «Zagarnęli też w swoje ręce prawie cały handel tak, iż w r. 1589 posiadali 22 bogate kramy, podczas gdy katolicy mieli tylko 8, a Rusini 6; a gdy nadto pewnych, obowiązujących w mieście praw nie zachowywali, występowali nieprzyjaźnie przeciw magistratowi, nie szanowali świąt obchodzonych przez łacinników, w sądach swoich ani tychże, ani Rusinów na świadków nie przyjmowali,²⁾ musiała wyniknąć kłótnia, trwająca prawie pół wieku». Skargi i manifesty sypać się zaczęły, nie pomagały nic komisye *ad hoc* delegowane przez króla, wkońcu on sam własną powagą spór łagodzić musiał³⁾. «Jeżeli o Lwowie da się powiedzieć, że w XVIII w. zubożał i wyludnił się, to szczególniej stosuje się to do Ormian, których już nie zasilali Ormianie z Azji przybywający, jak to bywało jeszcze w XVII w.⁴⁾ Przyjęcie powszechnej unii, jak z jednej strony wiele nieunnickich rodzin wyгнаło ze Lwowa, tak z drugiej sprowadziło konieczne za sobą w naukach i modlitwach używanie języka polskiego; za tem poszło używanie go w potocznej mowie i doprowadziło do tego, że dzisiejsi Ormianie już właściwym ormiańskim językiem nie władają, a nawet go nie wszyscy rozumieją⁵⁾.

¹⁾ Tamże, 59.

²⁾ Tamże, 60.

³⁾ Tamże, 64.

⁴⁾ Ostatnia masowa emigracya armeńska na Ruś przypada na r. 1874. Różni się tem od pierwszej, że nie byli to już rycerze, lecz plebs, motłoch, który zaciągnawszy się pod chorągwie W. ks. Witolda, brał udział we wszystkich walkach, staczanych przez Polskę. Z czasem, sprzykrzywszy sobie wojaczkę, wycofywali się z szeregów i poczęli zabawiać się kramarstwem, lub też wieszali się przy dworach pańskich.

⁵⁾ Gromnicki, 66.

Opisawszy pokrótce dzieje Ormian lwowskich, wracamy do naszej kresowej placówki. Kamieniec, to drugi Eczmiadyn, najgościnniejsze przytulisko wychodźców armeńskich — tak zaczyna Dr. Antoni J. swoje opowiadanie, dotyczące dziejów Ormian w Polsce¹⁾. Osada ta po Lwowie, tak co do liczby kolonistów, jak i co do mnogości przywilejów, najpierwsze miejsce zajmowała²⁾, a kolonizacja tych stron sięga prawdopodobnie XI w., kiedy to rycerstwo ormiańskie, po zburzeniu jego bajecznej stolicy w Armenii, rozsypało się po szerokim świecie, by w wędrówce tułaczkiej nową znaleźć ojczyznę. Szczęśliwa gwiazda skierowała ich kroki w stronę Rusi. W XIII wieku, według podania, zakolonizowali oni wsie, położone nad Smotryczem, odległe od Kamieńca o 8 wiorst, a noszące do dzisiejszego dnia nazwę: Ormiany i Ormianki³⁾. Z czasem, naciskani przez hanów, schronili się na skałę, do opustoszałego Kamieńca ruskiego, wznosząc tu kościółek pod wezwaniem N. P. Maryi i grupując się wokół niego w coraz większej liczbie. Nadeszła epoka, kiedy Kamieniec z ruskiego stał się tatarsko-ormiańskim (1240—1373)⁴⁾ i takim właśnie zastali go Koryatowicze, którzy prędko z osadcami ze Wschodu do harmonii doszli, a ci, otrzymawszy żądane przywileje, dalej spokojnie swój żywot w przybranej ojczyźnie wiodli. Język tatarski używanym już był przez nich tylko w nabożeństwie, a w potocznej mowie posługiwali się świeżo nauczonymi: ruskim i litewskim. Taki stan rzeczy zastało tu panowanie polskie; Jagiello zatwierdził Ormianom kamienieckim ich przywileje, a że jego następcy skąpymi pod tym względem nie okazali się, wykaże choćby krótka notatka, obejmująca tylko najwybitniejsze momenty. Widzimy z niej, że Ormianie zdobywali w Kamieńcu, sto-

1) Wartabiet: *Nowe Opowiadania Historyczne*.

2) Gromnicki, 70.

3) *Słownik geograficzny*. VII. 594.

4) Dr. Antoni J.: *Nowe Opow. Hist.* wyd. II. 125.

pniowo, a wytrwale, niezależne i wydatne stanowisko. Najprzód zadawalniają się oni pozwoleniem prowadzenia handlu (potwierdzenie dawnych przywilejów 1443 r.), z kolei następuje oddzielna jurysdykcya (1496 r. potwierdzona tylko czasowo, a już za Batorego, 1576, na wieczne czasy), potem handel trunkami (najkorzystniejszy), prawo wyrabiania piwa i sycenia miodów (1552), nareszcie porównanie z mieszczaństwem narodu polskiego i ruskiego (1658) było już szczytem powodzenia, a jednocześnie pozwolenie pieczętowania się czerwonym lakiem, czyniło ich jakby narodem uprzywilejowanym pośród mieszczaństwa kamienieckiego¹⁾. Podobne warunki sprzyjały bardzo ich rozwojowi, to też już w połowie XVI w. liczono w samym mieście blisko 1200 rodzin ormiańskich, posiadających 900 domów, cztery świątynie (z nich dwie bogato uposażone), szpital, 7 księży, (z nich 6 żonaty), a nadto 12 mniszek, lubo te mniszkami są tylko z nazwiska, mało co odzieżą od kobiet świeckich się różniąc... i swoim życiem rozwiązałem, stosunkami, kupczeniem, stają się często powodem zgorzienia²⁾.

Posuwając się coraz dalej na Zachód, zaludniali Ormianie wszystkie miasteczka na Podniestrzu, a koncentrując w swych rękach cały handel, przyczynili się do upadku miejscowego mieszczaństwa, w czym im sam rząd dopomagał³⁾. Ktoś mógłby śmiało uczynić zarzut, że postępowanie podobne, że nadto troskliwe opiekowanie się przybłędami było w wysokim stopniu naganne i karygodne. Na pozór tak to wygląda, lecz gdy weźmiemy pod uwagę, że Ormianie przynosili z sobą oświatę, zamiłowanie do nauki, do muzyki, że uczyli tubylców prowadzenia

¹⁾ Przeździecki: *Podole, Wołyn, Ukraina*. I, 146—153. — Marczyński: *Statystyka gubern. Podolskiej* T. I. Kamieniec. — Dr. Antoni J.: *Zameczki podolskie*.

²⁾ Pawiński, 15.

³⁾ Dr Antoni J.: *Nowe Opow. Hist. w. II*. 129.

handlu, zmienimy trochę nasz sąd zbyt ostry. Lecz to jeszcze nie wszystko, co przytoczyć można na obronę postępowania ówczesnego rządu. Ormianie byli jedynymi ryccerzami, z którymi Żydzi liczyć się musieli i właśnie to było powodem, że obdarzano ich tak wyjątkowymi przywilejami. Mieszczaństwo polskie i ruskie i bez nich upadłoby wcześniej czy później, zalane przez Żydów; zysk był w tym razie ten, że miejsce synów Izraela zajęli koloniści z Armenii, przywiązani do kraju, który im miejsce pierwszej ojczyzny zastąpił. Gdy oni usunęli się, nic już zalewu żydowskiego powstrzymać nie zdołało.

Unia, o której wspominaliśmy wyżej, wyprzedziła straszny pogrom i upadek Kamieńca zaledwie na lat kilka. Twierdza, uważana powszechnie za niezdobytą, w 1672 r. dostała się w ręce nieprzyjaciół¹⁾, miejsce krzyża zajął półksiężyc, świątynie zamieniono w meczety lub stajnie, dzwonom milczeć nakazano, by swoimi poważnymi dźwięki — dusz, zmarłych — zdala od kraju — przewiernych, nie przerażały. Biedni Ormianie zetknęli się znowu z tymi, przed którymi niegdyś, ze swojej dawnej ojczyzny emigrowali. Z początku mieli nadzieję, że możliwie znośne stosunki dadzą się z nowymi panami prowincyi utrzymać — zostali też w Kamieńcu, donosząc o wszystkim przyjacielom swoim w Polsce, lecz z czasem, gdy wymagania zdobywców rosły, cierpliwość ich wyczerpała się i w 1678 roku nastąpiło wychodztwo Ormian (z cudownym obrazem) do Macedonii, skąd mała ich tylko garstka przedarła się na Ruś Czerwoną²⁾.

¹⁾ Przeździecki: *Podole, Wołyń, Ukraina*. I. 176.

Górski Konstanty: *Wojna Rzeczypospolitej z Turcją 1672 i 1673*. Warszawa. 1890.

Dr. Antoni J.: *Zamecki podolskie i Zdrada kamieniecka*. Skończył z tej drugiej pracy Sienkiewicz w powieści p. tyt.: *Pan Wołodyjowski*.

Do tych prac odsyłamy ciekawych.

²⁾ Dr. Antoni J.: *Opow. Hist., Pod półksiężycem*. Lwów, 1878. Str. 40.

Ich miejsca zajęli teraz Żydzi, wyświadczający nowemu rządowi rozmaite usługi. Zapal do handlu posunęli oni zbyt daleko, bo zaczęli kupczyć żywym towarem, starając się usilnie o dostarczenie haremom coraz świeżego materiału.

Po powrocie Kamieńca pod panowanie polskie, Ormianie znowu ściągali się na dawne stanowisko zaczęli. Należyte wyobrażenie o szczególnej opiece, jakiej doznawali w kresowem mieście, daje nam i to, że na równi z tubylcami mieli prawo gospodarowania na 50 łanach, płacąc z nimi jednakowy podatek. Tak na tych, jak i na najętych u sąsiednich posiadaczy gruntach, wypasali ogromne stada bydła, a jak ich dobrobyt urósł w tym czasie, dowodem służyć może lustracya Kamieńca, dokonana zaraz po usunięciu się Turków. Otóż okazało się, że z 364 domów, wciągniętych do rejestru, większa połowa — i to rozrzuconych we wszystkich miasta dzielnicach — należała do ormiańskich wychodźców¹⁾. Ważną pomocą w zgromadzeniu skarbów były tu wyjątkowe prawa, którym podlegał Kamieniec, za twierdzą uznany, a odnosiły się one właśnie do Żydów²⁾. Z tego też powodu kupcy armeńscy swobo-

¹⁾ *Źródła dziejowe*. XIX. 101. *Archiw. Jugo-Zapadnoj Rossii*. c. VII. T. I. 536.

²⁾ Marczyński: *Statyst. gub. podolsk*. Wilno, 1820. I. 175: „Roku 1594 Zygmunt III. zabronił Żydom osiadać i mieszkać w Kamieńcu lub za miastem: i aby przychodnie Żydzi dłużej nad 8 dni nie bawili, a to pod karą tak przywilejami, iako też konstytucjami temu miastu służącemi, oznaczoną“.

Przeździecki: *Podole, Wołyn, Ukraina*. I. 163—165. Jan Kazimierz pozwolił im w Kamieńcu mieszkać, ale na skargę trzech narodów kamienieckich, 15. IX. 1654 r. ten reskrypt odwołał i rozkazał staroście kamienieckiemu, Potockiemu Żydów z Kamieńca wypędzić, pod karą 1000 czerw. złotych.

1665 r. komisya nakazała Żydom natychmiast Kamieniec opuścić i za miastem nie dłużej jak niedziela 12, dla sprzedania domów swoich bawić. Niewola turecka wszystkie starania przerwała.

Dr. Antoni J.: *Zamecki podolskie* w. II. T. I. 234.

dniej tu mogli oddychać i porastać w pierze, a to wywoływało poswarki z mieszczaństwem miejscowem, wypełniające niejedną chwilę życia przybyszów ze Wschodu. Wprawdzie nie pociągały one za sobą rozlewu krwi, mimo to jednak trwały długie lata i zostawiły w spuściźnie po sobie wiele skarg, zanoszonych z obu stron przed stopnie tronu, albo do niższych instancyj. I tak np.: 1719 r. żali się »szlachetny pan Mikołaj Pawlicz, burmistrz y rayca kamieniecki«¹⁾ — »na głowy niespokoyne, które to prywatne swoje interesa utrzymuiąc... uważaiąc przytem iako przychodnie y z cudzych krajów zaszle, a przeto prawa oyczystego nie znaiące, osoby, to iest panowie Ormianie, nad mieszczanami z pradziadów y dziadów swoich patryciuszami tuteyszemi, górę biorą, iurysdykcie polską zgubić, regimen miasta pogranicznego odebrać, sami sobie absolute rządzić usilują... schadzki prywatne y konsultacye potaiemnie, P. Bóg wie iakie, a podobno nietylko miastu (!), ale y koronie (!!) *polskiej szkodaące*, pokątnie czynią ustawicznie... choćby też w nayglówniejszych y naywalniejszych miasta przypadkach znosić się y zdrową radą mieszczań ratować nie chcą... ciż panowie Ormianie lubo są alienigenae, nietylko pisać, czytać, ale y po polsku gadać nie umiejąc, prawa penitus nie znaiący, z presumptey y nadętości wielkiej, *dufaiąc w pieniądse y fortuny wielkie*, a wnosząc sobie nierozumni, że iuż iurysdykcja polska nigdy głowy nie podniesie, burmistrzami się wcześniej y radcami nazywaią, magistratu za głowe uznawać nie chcą... propinacye liquorów wszelkich, iakoto: piw, miodów, win, gorzałek, lubo iedne tylko małmazya y muszkatel, y to w piwnicach, według dawnych praw szynkować maią, sobie przywłaszczyli, szynki po domach y kamienicach swoich publicznie wszelkich trunków otworzyli... i t. d.«

Dalszego ciągu skargi przytaczać nie będziemy, za-

¹⁾ Arch. J. Z. R. c. V. T. I. CXIV. 278—282.

jęłaby nam zbyt wiele miejsca, zaznaczyńy tylko, iż znajdujemy w niej jeszcze uzalenie się na to, że cały handel w swe ręce zagarnęli, przez to rzemieślnicy polscy i ruscy żyć z czego nie mają, że w dodatku nawet na naprawę zegara, »całemu Kamieńcowi potrzebnego«, nic dawać nie chcą, choć to jest ich obowiązkiem. Nie chcemy twierdzić stanowczo, że ze strony Ormian nie było tu żadnej winy, zdaje nam się jednak, że i owe »pieniądze y fortuny wielkie«, jak również zdraśnięta duma burmistrzowska »szlachetnego pana Mikołaja Pawlicza« przyczyniły się znacznie do — tak żółciowych — utyskiwań. Czy tak, czy inaczej, rzuca nam ta skarga jaskrawe światło na ową epokę i dowodzi, że »panowie Ormianie« dużo sadła innym mieszczanom za skórę zalać musieli, kiedy ci posuwają się nawet do tak ciężkiego i bolesnego zarzutu, jakim jest przebijający się w słowach: *schadzki prywatne y konsultacye potaie-mnie, P. Bóg wie iakie, a podobno nietylko miastu, ale y koronie polskiej szkodaące, pokątnie czynią ustawiczenie.*

Jedną ze skarg dla przykładu przepisaliśmy; nie jest ona jedyną, gdyż tak — jak w XVII w. prowadzą Ormianie ciągle sprzeczki o ziemię im wydzieloną, to samo dzieje się w XVIII, lecz już rozchodzi się tu o pierwszeństwo i znaczenie w miastach. Podobne stosunki trwają do chwili zlania się trzech »narodów«, obok siebie mieszkających, a nastąpiło ono z chwilą, gdy z polecenia Stanisława Augusta, wyznaczona komisya *boni ordinis* wszystkie trzy jurydykcy kamienieckie w jedno połączyła. Miało to miejsce 1768 r.¹⁾ Do tego roku wszystkie trzy »narody« w Kamieńcu swoich wójtów i ławników²⁾ posiadały, ci zaś dla narodowości, której przewodniczyli, u królów polskich specjalne wyjednywali nadania i przywileje. Takie same poswarki spotykamy wszędzie, gdzie tylko koloniści namioty

¹⁾ Przeździecki: *Podole, Wołyn, Ukraina*, I, 153.

²⁾ Marczyński: *Statystyka*. I, 171.

swoje rozpięli, lecz pominęliśmy je milczeniem, notując jedynie krótką wzmiankę o zatargach lwowskich, ponieważ na razie tylko dzieje Ormian kamienieckich wyłącznie nas obchodzą.

Na zakończenie tej kwestyi dodamy, iż podobne zachowanie się mieszczan uważamy za rzecz najzwyczajniejszą; wszak nikogo dziwić nie powinno, gdy ludność dawniej po miastach osiadła [»patrycyusze z dziada i pradziada«,] sarknie od czasu do czasu na przybyszów obcych, którzy — »dufając« w protekcyę i przywileje — imponować jej próbowali.

III.

Walka »narodu« ormiańskiego w Kamieńcu z Żydami.

Z kolei przystępujemy do walki z Żydami. W poprzednich rozdziałach dotykaliśmy jej tylko przelotnie, w kilku słowach, ten ostatni cały utarczkom Ormian z synami Izraela poświęcamy. »Żydzi nie stanowili osobnego narodu w Kamieńcu¹⁾. Od najdawniejszych czasów nie wolno im było w mieście mieszkać. Już w r. 1447 starosta kamieniecki, Paweł Ciemierzyński ogłosił przez woźnego rozkaz, aby żaden Żyd przychodni nie ważył się więcej jak do 3-go dnia w Kamieńcu bawić pod karą więzienia dla przekraczających, a 14 grzywien dla gospodarzów, którzyby ich przechowywali. Nie bez pewnej słuszności wywoływali też Żydzi i w innym zakresie czujniejszą co do siebie bacność. Oto bowiem u samego schyłku XV w. Żyd Mojżesz z Kamieńca stoi w porozumieniu z Turkami, za co traci wolność i majątek, który dopiero po jego śmierci został zwrócony żonie i dzieciom, skutkiem żywych zabiegów o to Porty, zawierającej r. 1501 pokój z Polską«. Niestety nie

¹⁾ Przeździecki, I, 163. — Jabłonowski: *Podole u schyłku XV w.*, *Ateneum*. 1880. T. III. z. III, 333.

mamy prawa powiedzieć, że to wypadek odosobniony; bez wielkiego zachodu znajdzie się podobnych jemu więcej¹⁾. Synowie Izraela, łakomi na grosz, służyli bez skrupułu każdemu, kto lepiej płacił. Za panowania tureckiego w kresowej warowni niejedną raz podnosi się okrzyk: »przez Żydów wszystko wiedzą!« albo też: »dla Boga! — zakażcież Żydom na czas drogami się bawić!« Podobne głosy odzywały się i o Ormianach, posądzano ich również o szpiegostwo, o znoszenie się z Turkiem, lecz postępowanie tych ostatnich, po wzięciu Kamieńca, będzie chyba dla największego pesymisty dostatecznym powodem niewinności przybyszów z Armenii. Nie myślmymy również, by ostre prawa i rozkazy, co pewien czas ponawiane przeciw Żydom, nie były przekraczane lub omijane, tak przez nich, jakoteż przez ich zwolenników. Oto w skardze, wniesionej 1647 r. przez mieszczan kamienieckich²⁾, znajdujemy ustęp potwierdzający wyżej przytoczone przez nas zdanie. Zamek, który mając »opisano przez dekret najyjaśniejszego Władysława IV, anno 1634, co od kogo brać ma, teraz takową exaccją in immensum auxit, y nie tylko a victualibus, lecz od towarów y wozów kupieckich po kilka y kilkadziesiąt złotych wyciąga, a co większa, że nietylko cudzy ludzie, lecz i mieszczanie sami, przeciw prawom y wolnościom swoim, zarówno Opprimuntur, którym, pro usu suo nawet kupione rzeczy w bramie hamują y puścić do miasta nie chcą, poki gabelli ad libitum żyda arendarsa nie opłacą.. i t. d.« Właśnie przez wzgląd na owego »żyda arendarsa« przepisałimy tych kilkanaście wierszy; ale na tem nie koniec. W tejże samej skardze mamy cały ustęp Żydom poświęcony, a malujący w prostych słowach stosunki w Kamieńcu. Odliczmy cośkolwiek na karb przesady, wynikłej z wielkiego rozżalenia, a i pozostała reszta nie przedstawi nam się w zbyt

¹⁾ Patrz Dr. Antoni J.: *Zamecki podolskie* w. II. T. I. 134. Grabowski; *Ojczyście wspominki*. T. II. 243 i dalsze.

²⁾ *Arch. J. Z. R. c. V. T. I. XLI—155.*

jasnych barwach. »Nie mnieyszą miastu temu y ludziom kupieckim inferunt ruinę żydzi, tak bardzo rozmnożeni, że ledwie nie większa ich niżeli chrześcian liczba znajduie się, z temi lubo miasto ma prawa dawne, aby tylko czterema rzeczami, to iest: wołami, skórami, miodami przasnemi y woskiem, y to sub certe quantitate, handlowali, y tandytą tylko bawili się, teraz iednak sub *protectione magnatum* wszystkie in genere handle bławatne, sukienne, korzenne mieszczanom odieli, sklepy publiczne otwieraią, y w nich liberrime towary swoje przedaią. Przedmieyscy także żydzi browary, słodownie, gorzelnie y całe prawie miasteczka albo colonie na jurisdikcyach szlacheckich pozakładawszy, w nich wszystkie szynki ad ducendi victus rationes chrześcianom odieli¹⁾. Z kolei następują skargi na oszustwa na wadze, na wosku i t. p. W innem miejscu czytamy: »Partacze, żydzi aby się nie znachodzili w mieście rzemiosł zwysz mianowanych [złotnickiego, konwisarskiego, kotlarskiego, haftarskiego, ludwisarskiego, mosiążnego, blachowskiego, guślagurskiego (sic)], których pilnie maia, za wiadomością urzędu tuteyszego kamienieckiego, doglądać y zabierać²⁾.

Cóż znaczyły przywileje i prawa miastu służące, gdy protekcya magnatów³⁾ stanowiła dla nich mur niełatwy do przebycia, a Żydzi mimo krzyków i lamentów, wciskali się w coraz większej liczbie w obręb murów miejskich, choć wolno im było rozbijać swe namioty tylko w Zinkowcach, jakby na przedmieściu po za rzeką położonej osadzie, do biskupów kamienieckich należącej, potem na innem miejscu — starościńską stanowiącem własność — tulącym się u podnóża stromej skały i noszącem po dzień dzisiejszy nazwę Karwasary. W Zinkowcach — pod skrzydłami du-

¹⁾ Arch. J. Z. R. 156. (V. I).

²⁾ Tamże. XCV. 248. (V. I.). Zatwierdzenie cechów przez magistrat kamieniecki 1712 r.

³⁾ Dr. Antoni J.: *Zamecki Podolekie*. Wyd. II. T. I. — 228 i t. d.

chownych przewodników — już w XVI w. znaleźli gościnne przyjęcie, kiedy Karwasary stworzyli, jako rynek handlowy, dopiero na początku XVII w. To wciskanie się w obręb murów wywołało zapewne reskrypt Augusta II. podpisany 12-go grudnia 1725 r.¹⁾, a polecający »urodzonemu Janowi Stanisławowi Kątskiemu, miecznikowi koronemu, generałowi ziem podolskich, staroście kamienieckiemu, a w niebytności jego, urodzonemu Nikodemowi Kazimierzowi Woroniczowi, sędziemu grodzkiemu y podstarościemu kamienieckiemu«, by »żydom w mieście Kamieńcu, vigore przerzeczonej konstytucyey, mieszkać, różne liquory szynkować y handlować w sklepach mieyskich zakazał«. Czy i jak to polecenie królewskie wykonaniem zostało, nie wiemy, w każdym razie, choć na czas krótki, musiało powstrzymać napływ, zalewającego miasto żywiolu, że jednak nie zaradziło złemu, przekonywują nas prośby magistratu kamienieckiego i wszystkich mieszczan, zanoszone pod adresem wojewody sandomierskiego (3. IV. 1737)²⁾, jakoteż biskupa kamienieckiego (I. VII. 1737 r.³⁾. Skargi ciągle te same, tylko cyfra zarzutów wzrasta; widać więc z tego, że Żydzi mimo wszystkiego postępują konsekwentnie krok za krokiem naprzód; rosną tak w siłę jak i w liczbę, nie zwracając bynajmniej uwagi »na płacz ubogich mieszczan«, ani na »dawne miasta przywilegia i prawa«. Że zaś skargę do Jaśnie Wielmożnego Imć Pana Wojewody Sandomierskiego podpisał »Magistrat *trzech nacyi y całej pospulstwo* miasta J. K. M. Kamieńca podolskiego«, że drugie podanie kończy się słowy: »zostając przy nogach iaśnie wielmożnego pana y dobrodzieia, naynizsi słudzy y podnużkowie — magistrat y *całe pospulstwo* miasta J. K. M. Kamieńca podolskiego« — przypuszczamy, nie bez jakowejś pewności, że Ormianie — jako

¹⁾ Arch. J. Z. R. CXXVI. 314 i 315. (V. I).

²⁾ Tamże. CXXXI. 323.

³⁾ Tamże. CXXXII. 325.

głównie pokrzywdzeni — niemało hałasowali i nie ciszej od innych lamentowali, dzwoniąc na napisanie skargi, kłacząc cierpliwie do serc opiekunów, do serca pasterza, by ten wstawił się »za własnymi pokornymi owieczkami swemi«. Wiemy skąd inąd, choćby ze skarg wyżej przytoczonych, jaką rolę odgrywali Ormianie w dziejach handlu i przemysłu dawnej kresowej warowni, nikt się też nie zdziwi, gdy walkę tę uważać będziemy, w pierwszej linii, za walkę Żydów z Ormianami, gdyż właśnie ci ostatni najwięcej tu byli zainteresowani, najwięcej ucierpieli przez napływ żydowstwa, któremu w końcu i oni uleść byli zmuszeni. Nie wyratował ich od zaguby pozew¹⁾, wzywający Żydów 1747 roku za nieprawne osiedlenie się w Kamieńcu, przed sąd złożony, z polecenia Augusta III, z panów komisarzów umyślnie na ten cel wybranych.

Charakterystyczne wyjątki, odnoszące się do kwestyi żydowskiej, przytaczamy: »...dochodzą nas skargi, iako iedna y druga, czyli więcey, osoba, wziowszy góre nad innemi, kogo chcą poniżaią, a kogo chcą, to podwyżsaią, a nawet samemu żydowstwu, wszędzie iak zaraza szerzącemu się, ile nas dochodzi wiedzieć, sprzyiaią, przez co zamyślaiącym o wprowadzeniu się y osiadaniu wstręt czynią, owszem, osiadłych rozganiaią, a przynajmniey do wyprowadzenia się gdzie indziey myśl im daią...«²⁾ Ostrzejszy jeszcze ustęp znajdujemy trochę niżej³⁾: »Żydzi, naturalni zdraycy y sprzysięgli prawie wiary katolickiej nieprzyiaciele, a tym samym z takimiż wszelką kointelligencją maiący, że się znayduią in meditullio tego miasta, któreby zdaleka mieć powinni, podziwienie to każdemu rozumowi uczynić powinno; y na toż to woyska koronne, uganiaiąc się przez tak wiele lat z nieprzyiacielem, krew lały, tak wiele osób niewolą tureckie y tatarskie ponosiły

¹⁾ *Arch. J. Z. R. V. I. CXXXIV. 329—346.*

²⁾ *Tamże. 337.*

³⁾ *Tamże. 338.*

y życie na placu marsowym traciły, żeby, odebrawszy tę fortecę, jeżeli nie szturmem, to naprzykrzaniem się wojną nieprzyjacielowi, one oddali na rezydencyą żydom, którzyby za czasem, jak prażscy żydzi, fortece zdradzili y wstęp nieprzyjacielowi do miasta dali, za co też od nayiaśniej-szej królowey jey mości Węgierskiej są wypędzeni. Nie zostaje i tu przy takich mieszkańcach y obywatelach tylko bram nie kazać zamykać y garnizon sprowadzić, żeby z hańbą rzeczypośpolitey tak obmierzłemu narodowi nie służył y raczey goley skały y murów niż wierutnych zdrayców pilnował y bronił. Roku 1750 dekret komisarski nakazał Żydom opuścić miasto w przeciągu jednej doby pod karą więzienia i konfiskaty majątku. Wszystkie ich domy miały zostać własnością miasta, bożnicę zburzyć zalecono¹⁾. Czy to co pomogło? — nie wiemy nawet, czy wyrok nie pozostał tylko — jako pamiątka przeszłości — na papierze. Kamieniec tak był oddalonym od siedziby królewskiej, a i sam pozew wyraźnie wspomina o osobach sprzyjających Żydom, a wątpię czy te, jeżeli w dodatku wysokie piastowały urzędy, tak wielką zwracały uwagę na wszelkie dekreta, choćby w najostrzejszych słowach ułożone. Nie zapominajmy, że były to »czasy saskie«, czasy ogólnego rozstroju i niesubordynacyi, czasy, kiedy prawem dla możnowładcy była jedynie jego chwilowa fantazyja.

Prawda, nie wszyscy byli tacy, ale nikt nie zaprzeczy, że Żydzi u jednych jak i u drugich opiekę i poparcie wyprosić sobie umieli. Żywiol to pokorny, gotów każdej chwili do wszelkich usług, nie wchodząc w to, czy uczciwie czy nie, a tacy wáliznać się wszędzie potrafią. Wszak i dzisiaj nie każdy szlachcic bez Żyda faktora obejść się zdola. Wiemy, że przed wiekiem stosunek był ściślejszy. Zerwała go nie strona poszkodowana, lecz strona eksploatująca, przekonawszy się, że zarobek nie wart zachodu

¹⁾ Przędziński. I. 165. — Marczyński. I. 178.

Stosunek ten, czem dalej ku wschodowi, rozleglejsze przybierał rozmiary; typem służyć nam może Bessarabia, która do niedawna przechowywała zwyczaje, zapożyczone u prowincyj południowych; toż tam do chwili uwłaszczenia włościan, Żydzi tak zwaną »dyżnę« (naszą z XVIII w. da; remszczyznę) trzymali zwykle dzierżawą, Żydzi pośredniczyli przy zawieraniu małżeństw, przy urządzaniu chrzcin, pogrzebów i t. d. i t. d. Zresztą konfederacja Barska, Targowica, w inną stronę zwróciły oczy ogółu, inne sprawy weszły na porządek dzienny. Walka stronnictw — z których każdemu zdawało się, że jedynie ono pracuje ku pożytkowi kraju — wrzała na całej jego przestrzeni, ambicje jednostek ścierały się ze sobą. Choćby i magistrat kamieniecki chciał dalej skarżyć się na Żydów, niktby na jego utyskiwania uwagi nie zwracał, a w dodatku i Ormianie w inną stronę pragnienia swoje skierowali. Zdobywszy wszystkie możebne przywileje — zapragnęli herbu, a pośrednią ku temu celowi drogą było przejście z pod prawa ormiańskiego pod polskie, i tak np. mieszczanin kamieniecki, Antoni Krzysztofowicz, otrzymuje na to pozwolenie Augusta II (4. IX. 1726 r.)¹⁾, a znajdziemy podobnych wypadków więcej; szczególnie w XVIII wieku trafiały się one często. Skoro się i te marzenia zubożonego kupca ziściły, t. j. kiedy doprosił się klejnotu, rzucał handel, z kramarza przekształcał się w rolnika²⁾, wchodząc równocześnie w związki pokrewieństwa z okoliczną bracią herbową, która świeżo ukwalifikowanego szlachcica i posiadacza ziemskiego przypuszczała do swego ogniska, podczas gdy »łokieć« lub »miarka« nie mogłyby dostąpić podobnego zaszczytu, a przynajmniej spotkałyby się z wielu zaparami i przeciwnościami. Wynikiem podobnych stosunków jest, że trudnoby nam w pobliżu Kamieńca odszukać choćby

¹⁾ *Arch. J. Z. R. V. I. CXXVI. 316.*

²⁾ *Dr. Antoni J.: Nowe Opow. Hist. (Wartabiet), 129 i 130.*

jeden ród, w którego żyłach nie płynęłaby przynajmniej odrobina krwi przybyszów ze Wschodu. I dlatego to spotykamy i dzisiaj jeszcze wśród okolicznej szlachty, typy o charakterystycznych rysach, jakimi się właśnie odznaczali Ormianie. Liczba rolników rosła, lecz równocześnie coraz mniej bojowników stało na wyłomie wśród poszczerbionych murów, coraz mniej ich broniło wstępu do miasta. Ustąpili Żydom z drogi szermierze, walczący z nimi ze wschodnią wytrwałością, niejednym lat dziesiątek, a najnowsza statystyka wykazuje aż nadto dosadnie po czyjej stronie została wygrana.

W 1793 r. z chwilą zajęcia Kamieńca przez nowe władze, wchodzi kwestya żydowska na inne drogi; po za pułkami wkraczającymi do miasta ciągną z przedmieść legiony Żydów¹⁾; mieszczaństwo traci dawne prawa, samorząd tak wybujały w XVIII wieku, ujęty w karby, nieopętne pole przedstawia dla przedsiębiorców, a jeszcze kiedy mieszczanie, na zasadzie dawnych przywilejów, równających Kamieniec ze Lwowem i Krakowem, wyrobili sobie *eo ipso* indygenat ogólny, wówczas szeregi ich się przerzedziły. Kto nie był w stanie nabyć kawałka ziemi, zaciągał się do licznych nowo utworzonych biur gubernialnych. W liczbie tych kandydatów najwięcej właśnie Ormian, najgorętszych przeciwników Żydów spotykamy. Mniejszość ormiańska, nie wyrzekająca się łokcia, dała się podejść²⁾ przybyszom semickim o tyle, że po latach dziesięciu (na

¹⁾ Przeździecki, I. 165. — Dr. Antoni J.: O urzędnikach, urzędach i ludności m. Kamieńca. *Przeegl. Polski*. r. VII, zeszyt X, 1873 roku.

²⁾ Kiedy po przejściu Kamieńca pod nowe panowanie liczba jego mieszkańców zmalała, urosła równocześnie ilość niezajętych mieszkań, co właściciele domów do rozpacz i bankructwa doprowadzało. Żydzi wzięli się na sposób. Jeden z nich ofiarował niejakiemu Kubickiemu, właścicielowi domu w rynku, wysoką opłatę za mieszkanie; podobało się to innym, poszli też za przykładem pierwszego, który — dbając o własną kieszeń — złamał raz przyjętą zasadę.

początku ubiegłego wieku) Izraelici wyparli ich ze wszystkich handlów; z biegiem czasu Kamieniec »zżydział« do reszty. »Był dawniej twierdzą niedobyłą, ale Najjaśniejszy Aleksander Pierwszy znalazł ją byź niepotrzebną, i w r. 1812 skasował«¹⁾. Teraz mury, bramy i baszty rozsypują się w gruzy, skałę oblaną Smotryczem obsiedli rojnie Izraelici, cały handel gromadzi się w ich rękach, lecz z podobnym stanem rzeczy mieli już dosyć czasu oswoić się sławetni mieszczanie i ze skargami do władzy na rozpanoszenie się nienawistnego im żywiolu występować przestali.

Po 10 latach Żydzi odrazu zmniejszyli znacznie opłatę, lecz wysadzić ich z Kamieńca już sam rząd nie mógł; »*dsiesięciolecie*« minęło, a dawało ono — według nowych ustaw — prawo przebywania w mieście. Synowie i wnuki zawiedzionych Ormian nie mijali owego *wyklętego* domu, nie dołożywszy czegoś do długiej litanii przekleństw, lecz te na Żydów nie podziałały i z Kamieńca ich nie wyświecily.

(*Przypisek autora*).

¹⁾ Marczyński: *Statystyka*. I. 191.



POŚMIERTNE PEREGRYNACYE
PANI WOJEWODZINY KIJOWSKIEJ



Siódmego stycznia roku Pańskiego 1772 żałobny dźwięk dzwonów świątyni obu obrządków poruszył spokojnych mieszkańców miasta Sokala i jego najbliższej okolicy. Na wyjaśnienie zagadki długo czekać nie trzeba było: konni gońce na wszystkie strony roznosili wieść o zgonie pani Anny Potockiej, drugiej żony Franciszka Salezego, wojewody kijowskiego, a matki dobrze znanego w dziejach Stanisława Szczęsnego.

Wojewoda kijowski, pan olbrzymich włości, zwany niejednokrotnie »królikiem Rusi«, uwieczniony wraz z synem w Malczewskiego »Maryi«, dwa razy na ślubnym stawał kobiercu. Z pierwszej żony, Zofii Rzeczyckiej, chorążanki łomżyńskiej, wdowy po Mikołaju Cetnerze, staroście boreckim, miał tylko jednego potomka, Józefa Ludwika, zmarłego młodo; z drugiej — właśnie nas obchodzącej — Anny Potockiej, wojewodzianki poznańskiej, cztery córki i syna Szczęsnego.

Dla Sokala zgon wojewodziny był wypadkiem pierwszorzędnej wagi; wszak na pogrzeb żony »królika Rusi« zjedzie cała Rzeczpospolita, i oczu więc nie starczy na oglądanie dziwów wszelakiego rodzaju i do kalety niejedyn dukat wpadnie niechybnie.

A patrzeć w istocie było na co.

Mąż nieboszczki fundował między innymi klasztor Bazylianów w niezbyt odległym od Sokala Krystynopolu;

w raptularzu tedy wspomnianego zgromadzenia notowano skrętnie wszystko, cokolwiek z rodziną imci pana wojewody kijowskiego w jakimkolwiek pozostawało związku. Trudno, żeby mnich klasztorny pominął krótką wzmianką tak ważny w tym kącie Rusi wypadek. Nie uczynił on tego; przeciwnie, poświęcił obchodowi pogrzebowemu niejedną kartę kroniki klasztornej; z największą skrupulatnością notował nazwiska znakomitych gości, duchownych i świeckich; uwiecznił imiona mowców, sławiących cnoty nieboszczki — a był ich legion cały — zapisał nawet honorarya, wypłacone duchowieństwu za udział w pogrzebie wojewodziny.

Nawiasem dodamy, że *Dziejopis Monasteru Krystynopolskiego*, prowadzony przez miejscowych OO. Bazylianów od r. 1763 do 1787, wydany w skróceniu — w przekładzie ruskim — naprzód w *Dile*, a z kolei w osobnej książeczce (*Letopis Monastyria OO. Wasilian w Kristinopoli*. Lwów, 1893) przez zamilowanego szperacza archiwalnego, Bazylego Czerneckiego, proboszcza w Sielcu bełskim, zawiera niejedną zapiskę prawdziwie interesującą; szczególnie odnosi się to do rodziny dobrodziejów klasztoru — Potockich.

Zamek sokalski znajdował się podówczas w ruinie, pani wojewodzina więc zamknęła oczy na wieki po trzydniowej zaledwie chorobie, w stojącym tuż obok murów zamkowych domu. Śmierć nastąpiła 7 stycznia o godzinie ósmej wieczorem. Ciało zmarłej ułożono po zabalsamowaniu na bogatym wysokim katafalku, przy którym przez cały czas do dnia pogrzebu odprawiali bezustanne modły Bernardyni sokalscy na przemianę z Bazylianami krystynopolskimi.

Od 7 stycznia po 15 lutego przygotowywano wszystko do prawdziwie monarszego obchodu pogrzebowego. W świątyniach obu obrządków, a nadto w domowej kaplicy śpiewano codziennie egzekwie; żałośny dźwięk dzwonów rozbrzmiewał szeroko po okolicy.

W dniu 15 lutego szlachta i duchowieństwo spieszyło konno i wszelkiego rodzaju wehikułami do Krystynopola. A że każdy panek zasobniejszy bez przyzwoitego pocztu, towarzyszącego jego karocy, obejść się nie mógł, przeto i na drogach i w miasteczku panował ścisk i gwar wyjątkowy. Dla dygnitarzy zastrzeżono mieszkania w zamku i w gmachach klasztornych; wcześniej przybyła szlachta zajęła domki miejskie i chaty; inni mieścić się musieli w urządzonych naprędce szałasach i namiotach.

Z duchownych dygnitarzy stawili się w Krystynopolu: Wacław Ogończyk hr. Sierakowski, arcybiskup łaciński lwowski z sufraganiem Samuelem Głowińskim; Stefan Augustynowicz, arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego; Józef Jastrzębiec Kierski, biskup łaciński przemyski z sufraganiem Stanisławem Wyhowskim; Leon Szeptycki, biskup obrządku gr.-kat. ze Lwowa; Maksymilian Rylło, biskup obrz. gr.-kat. chełmski; Feliks Rogala Turski, biskup łaciński lucki; 80 kanoników kapitulnych obu obrządków, dalej świeckiego łacińskiego duchowieństwa przedstawicieli 150, gr.-kat. świeckich księży 200, Bernardynów 180, Dominikanów 150, Bazylianów 77, a nadto po kilkudziesięciu mnichów z innych zgromadzeń. Razem świeckiego i zakonnego duchowieństwa zapisuje *Dziejopis Monasteru Krystynopolskiego* do 2.000 głów, było więc kogo napoić i nakarmić, było komu znaleźć jaki taki dach nad głową i to w dodatku w zimie, w połowie lutego.

Na rynku krystynopolskim urządzono też naprędce olbrzymią kuchnię, gdzie każdy zaopatrywać się mógł w niezbędne pożywienie. Ma się rozumieć, że korzystali z niej jedynie szaraczkowie, niższe duchowieństwo i służba licznych dworów pańskich. Panowie zasiadali do stołów w refektarzach klasztornych i w salach zamkowych.

Wojewoda Potocki, wezwawszy do siebie ojca Sroczyńskiego, ihumena miejscowego klasztoru Bazylianów, wręczył mu kilka tysięcy złotych polskich z poleceniem,

by ten wypłacał księżom za każdą odprawianą przez nich żalobną Mszę św. po 4 złote polskie. Niektórzy kanonicy i dziekani protestowali przeciwko tak skromnemu wymiarowi płacy, podwyższono im więc ją do 8 złotych polskich.

W dniu 16 lutego rano, wyrusza olbrzymi pochód z Krystynopola do Sokala po śmiertelne szczątki pani wojewodziny kijowskiej. Niezliczone chorągwie bractw otaczały barwnym lasem ormiańskiego arcybiskupa Śtefana Augustynowicza, poprzedzanego przez tysiące księży; tłum szlachty zamykał orszak. Wziął w nim również udział pan wojewoda ze swoimi córkami, zięciami i dalszą rodziną. Równocześnie zbierały się wokół domu, w którym spoczywały na katafalku wśród jarzących świec zwłoki Anny Potockiej, gromady włościan z dóbr wojewody, z proboszczami swoimi i chorągwiami brackimi.

Po odprawieniu modłów, zdjęto z katafalku drewnianą trumnę, wybitą czerwonym aksamitem, zdobną w złote galony i srebrne gwoździe, i z uderzeniem godziny dwunastej ruszył orszak cały, przy dźwiękach dzwonów i śpiewach duchowieństwa, z powrotem do Krystynopola. Wędrówka nie należała do arcyprzyjemnych: czterodniowa odwilż sprowadziła w następstwie takie błoto, że wielu ze szlachty i duchowieństwa pozostawiło w niem swoje obuwie, a zięć nieboszczki, Ksawery książę Lubomirski, zmuszony był zakupić dla pokrzywdzonych w ten sposób gości pogrzebowych butów za 200 zł. pol.

Podczas pochodu wygłoszono cztery pożegnalne mowy, sławiąc w nich cnoty i przymioty zmarłej wojewodziny i kadząc obecnemu wojewodzie. Do bramy ostrowskiej dotarł orszak o godzinie 7 wieczorem. Tutaj to ostatnią egzortę wypowiedział ksiądz Marcin Draczkiewicz, znakomity kaznodzieja zgromadzenia OO. Bazylianów. Zdaniem *Dziejopisa krystynopolskiego*, mowa wspomniana cieszyła się największym uznaniem.

O godzinie 8 wieczorem stanęła trumna u podwoi kościoła Bernardynów, gdzie na nią oczekiwał arcybiskup Sierakowski, otoczony innymi biskupami i sufraganami. Metropolita lwowski wprowadził zwłoki do świątyni. Tutaj ustawiono je na wysokim, trzystopniowym katafalku, sprawionym specjalnie na tę uroczystość przez wojewodę kijowskiego. Katafalk przedstawiał się okazale: umieszczone w rogach jego cztery złożone bogato lwy, dźwigały trumnę, dwa z nich dzierżyły tarcze z herbami zmarłej; dwa inne: tablice z wrytymi na nich napisami imienia, nazwiska i tytułów nieboszczki, oraz datami jej urodzin i zgonu. Oprócz tego osobna tablica, wsparta o stopnie katafalku, opiewała złotemi zgłoskami cnoty i zasługi Anny Potockiej; że światła nie żałowano — dodawać chyba nie potrzeba.

Uroczystość wieczorną dnia tego zakończyła piąta mowa, wygłoszona przez miejscowego Bernardyna.

W ciągu następných dwóch dni odprawiano, poczynając od godz. 4 rano, bezustanne modły przy zwłokach, jak również w świątyni OO. Bazylianów. Rodzina zmarłej i przybyli goście modlili się za duszę wojewodziny, a tymczasem biedny pan wojewoda musiał łagodzić zatarg, wynikły między arcybiskupem Sierakowskim a Szeptyckim.

Co właściwie stało się powodem sporu, kronikarz milczy dyskretnie, robi jeno znaczącą uwagę, że Sierakowski sływał z nieprzychylności dla Rusinów.

W dniu 19 lutego, po egzekwiach, odprawionych przez arcybiskupa Sierakowskiego i egzorcie ks. Jana Podhorodeckiego, kanonika i proboszcza ostrowskiego, szlachta wzięła trumnę na barki i zniosła ją na wieczny spoczynek do krypty kościoła Bernardynów.

Dzwony raz jeszcze zajęczały, śpiewy księży raz ostatni obily się o strop świątyni, poczem wszystko zwolna wracać poczęło do codziennego trybu życia. Szlachta opuszczała Krystynopol, rozjeżdżając się do swoich domów,

gdzie ją czekały codzienne znoje i troski, radości i smutki, duchowieństwo również myślało o odwrocie do osieroconych chwilowo dyecezyj i parafij.

Już choćby powyższy, możliwie zwięzły opis, daje przybliżone wyobrażenie o przepychu, jaki towarzyszył uroczystościom grzebania zwłok wojewodziny kijowskiej. Złożono je u Bernardynów, a tymczasem z ust do ust biegła wieść, zabarwiana coraz liczniejszymi dodatkami i komentarzami, głosząca, że dusza Anny Potockiej odbywa pośmiertne peregrynacje do klasztoru panien Benedyktynek w Przemyślu, fundowanego również przez Franciszka Salezego Potockiego, gdzie wdaje się w najlepsze w pogawędki ze skromną nowicyuszką, Wiktoryą Blejkowską.

Pogłoska taka i w naszych czasach wywołałaby wśród mas niezwykle zainteresowanie, a cóż dopiero mamy powiedzieć o epoce z przed stu laty z okładem, jeśli w dodatku wchodziła tu w grę dusza tak bardzo wybitnej w kraju osobistości. Zapytane zakonnice potwierdziły prawdziwość rozsiewanych wieści, pokazując nadto drewnianą deszczułkę, na której rysowało się wyraźnie wypalone znamię ręki nieboszczki.

Władza duchowna nie mogła jednak, bez poprzedniego ścisłego zbadania zagadkowej sprawy, pozwolić na kolportowanie opowieści coraz oryginalniejszych, przybierających z dniem każdym coraz niemożliwsze formy. Biskup przemyski, Józef Kierski, obejrzawszy pilnie deszczułkę, wysłuchawszy cierpliwie opowieści zakonnice, wyznaczył specjalną duchowną komisję w celu przeprowadzenia ścisłego i drobiazgowego śledztwa. Na czele jej stanął ks. Jan Wiszniewski, kustosz katedralny.

Wiktorya Blejkowska, 23-letnia sierota, pochodziła ze skromnej szlacheckiej rodziny. Za przykładem wielu innych panien szlacheckich i ona wstąpiła do służby na dworze siostry zmarłej właśnie Anny Potockiej; bywała

nieraz ze swoją chlebodawczynią na zamku krystynopolskim; znalazła wojewodzinę doskonale, często się z nią stykać zmuszona. Z początkiem 1769 roku opuszcza Blejkowska służbę dworską, wstępuje w mury klasztoru Benedyktynek w Przemyślu, gdzie też po odbyciu koniecznego nowicyatu, przywdziewa w 1771 roku, w dzień św. Benedykta, szaty zakonne.

Zapytana przez komisarzy konsystoryalnych, opowiada Blejkowska szczegółowo całą zagadkową historję, stwierdzając prawdziwość słów swoich uroczystą przysięgą.

Historja to rzeczywiście wielce zagadkowa i ciekawa. W posiadaniu naszym znajdują się dwa równo brzmiące jej opisy: jeden wszedł w skład ogłoszonego w ruskim przekładzie przez ks. Czerneckiego streszczenia *Dziejopisa Monasteru Krystynopolskiego*, gdzie mnich bazylikański skrzętnie zanotował z rodziną dobrodziejów klasztoru związany wypadek; drugi — to urzędowa współczesna kopia zeznań Blejkowskiej, z pieczęcią i własnoręcznymi podpisami Jana Wiszniewskiego i Jana Plaxinkiewicza, sporządzona najprawdopodobniej dla rodziny Potockich, dostała się bowiem do zbiorów ś. p. Władysława Górskiego w Kotiuzanach na Podolu z archiwum Tulczyńskiego.

Ostatnią, jako dokument nadzwyczaj charakterystyczny, powtarzamy w dosłownem brzmieniu, zastępując jeno łacińskie ustępy wiernem tłumaczeniem na język polski:

»Działo się Roku Pańskiego 1772, dnia 15 marca, w drugą niedzielę postu.

»Jaśnie Wielmożny i Wielebny Jan Józef Kostka z Wiszniewa Wiszniewski, kustosz katedralny i sędzia delegowany przemyski z prawami wikaryusza generalnego, na mocy listu, wystosowanego do niego z Brzozowa dnia 4 b. m., przez Jaśnie Wielmożnego Oświeconego i Przewielebnego Józefa Tadeusza z Kiekrza Kierskiego, z Bożej

i Stolicy Apostolskiej łaski Biskupa przemyskiego, Kawalera orderu Białego Orła, przybrawszy mnie, niżej podpisanego, przystąpił do śledztwa. List rzeczony otrzymał on do rąk swoich w konwencie zakonnic i Bogu poświęconych dziewięć reguły św. Benedykta, położonym w Przemysłu za rzeką Sanem, w celu ściślejszego i lepszego ściągnięcia zeznań ze świątobliwej i Bogu poświęconej Wiktorii Blejkowskiej, która w roku Pańskim 1771, w święto św. Bernarda poczyniła zeznania w sprawie zjawienia się jej duszy ś. p. Anny, małżonki Jaśnie Wielmożnego i Oświeconego Franciszka Salezego Potockiego, Wojewody, niedawno z woli Najwyższego zmarłej, i w sprawie wyciśnięcia podczas wyżej wspomnianego zjawienia się śladu ręki na deszczulce drewnianej, przesłanej Jaśnie Wielmożnemu i Przewielebnemu Biskupowi przemyskiemu.

»Po odbyciu trzydniowych rekolekcyj, w celu oczyszczenia duszy, po spowiedzi i przyjęciu w dniu dzisiejszym Ciała Pańskiego (co wszystko w rzeczywistości spełniła) wezwano do furty Bogu poświęconą Wiktorję Blejkowską, której Jaśnie Wielmożny Delegat poczynione przez nią przedtem, przy sposobności zwykłego badania spisane i podpisane zeznania, niżej podpisanemu odczytać kazał:

»Gdym z jutrzni około godziny trzeciej po północy z niedzieli na poniedziałek, to jest dnia dwudziestego stycznia w roku terażniejszym przyszła do nowicyatu i układszy się zasypiać poczęła, w tem przychodzi i stawa przedemną jakowaś osoba i budzić mnie poczyna, mówiąc: Czy śpisz?

»Jam jej odpowiedziała, że śpię.

»Ona tedy rzekła: Wstańże.

»Ja się jej prosząc, rzekłam, że smem zmorzona.

»Ona znowu: Wstańże, a zmiłuj się nademną — poczęła mi głowę odkrywać.

»Ja się ze snu porwawszy, siadłam na łóżku, uczy-

niwszy znak Krzyża świętego na sobie, mówię: Wszelki duch chwali Pana...

»Ona odpowie: I ja Go chwale, Pan jest z nami, nie lękaj się, a zmiłuj się nademną, bo w ciężkich mękach zostaję.

»Ja tedy do niej: Ktoś ty jest?

»Ona: Alboś mię nie poznała?

»Ja rzekłam: Nie poznałam cię, a potrochę z głosu niby cię znam, i podobno, czy nie siostra pani mojej, Wojewodzina Kijowska?

»Ona odpowie: Tak jest, ja, którąm niedawno zmarła.

»Ja jej tedy mówię: Pani moja, czegoż tedy odemnie chcesz? gdyż ja tobie żadnego ratunku nie dam, bo ze wszystkich miar nie jestem tej łaski Boskiej godna, abym ci jaką folgę w tych mękach uczyniła. Idźże sobie pani moja do kogo innego, który cię ratować może, bo ja się ciebie boję.

»Ona tedy okrutnie wzdychać poczęła. Ja więc do niej: I czegoż odemnie potrzebujesz? Proszę mi powiedzieć, to ile będę mogła, będę cię ratowała, ale się lękam, abym ci bardziej jeszcze nie zaszkodziła, bo wiem, com jest. Chyba zasługi Chrystusa, te cię wspomogą, ale nie ja.

»Ona rzecze: Proszę cię, abyś za mnie codzień podczas Mszy świętej, przy podniesieniu Ciała Pańskiego *Te Deum laudamus* i *De profundis*, przydając pacierz, mówiła, bo wtenczas będę miała folgę w tych mękach.

»Potem ja się jej pytam: Kiedyż z tych mąk pani moja będziesz uwolniona?

»Ona z wielkiem wzdychaniem rzecze: Póty w czyścću być mam, póki w tym kościele za mnie trzech Mszy świętych nie odprawią. Na jednej, pierwszej Mszy część jedna trzecia mąk będzie mi odpuszczona; na drugiej — połowa; na trzeciej — zupełnie będę uwolniona z mąk.

»Ja jej tedy mówię: To i jutro być może.

»Ona tedy rzekła: Ach! nie może, bo to jeszcze kościół nieskończony.

»Ja jej mówię: Alboż to aż w tym nowym kościele? I tak długo będziesz Pani moja czekała wybawienia? gdyż to i za lat dziesięć być nie może.

»Ona tedy z wielkiem wzdychaniem: Mogłoby to być prędzej, gdyby dzieci moją nędzę widziały i na moją mękę patrzyły, którą ja cierpię i cierpieć póty będę, póki w tym kościele nabożeństwo za mnie odprawione nie będzie.

»Ja do niej: I cóż ja mam z tem Pani moja czynić, gdy żadnej wiary w tem mi nie dadzą, ale idź sobie do mojej przelożonej, albo do kogo inszego, którymby wiara dana była. Oto i tu są stare zakonnice; pójdź do której z tych.

»Ona rzekła: Ach, tum przyszła, gdzie mi Bóg naznaczył.

»Ja — kiedy taka wola Boska — rzekłam — proszę cię o jaki znak na potwierdzenie tego.

»Ona tedy chciała na mnie samej rękę położyć, alem ja się od niej cofnęła, a pokazałam jej tę deszczułkę, która u mnie na stoliku leżała, pod lichtarzykiem położona. Ona tedy dobrze uderzyła ręką, że i drugie słyssały, śpiące w nowicyacie i potem z wielkiem wzdychniem odeszła.

Podpisane: »Wiktorya Blejkowska Z. R. S. O. Benedykta Konwentu Przemyskiego«.

Po odczytaniu zeznania, wyżej przytoczonego, kiedy taż sama Bogu poświęcona Blejkowska, przy niem i jego treści usilnie i stanowczo obstawała, a nawet prawdziwość i rzeczywistość słów swoich osobistą przysięgą stwierdzić skłonną i gotową się okazała, Jaśnie Wielmożny i Przewielebny kustosz katedralny i sędzia delegowany przemyski, powyżej wymieniony, do przedsięwzięcia obecnego aktu odebrania przysięgi z polecenia Jaśnie Oświeconego i Najprzewielebniejszego Biakupa przemyskiego osobno zob-

wiązany i przeznaczony, odebrał od niej przysięgę na następującą rotę: »Ja, Wiktorya, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, jako wypiętnowanie, czyli wypalenie ręki na deszczulce JWW. JM. Księdzu Biskupowi przemyskiemu odesłanej, jest rzetelnie i prawdziwie uczynione przez zmarłą świętej pamięci Annę Potocką, Wojewodzinę kijowską, na jawie i obecnie odemnie widzianą, i jako słowa w Rekognicyi, czyli wyznaniu mojem ręką własną, moją pisanem i podpisanem, do mnie mówione, właściwe i istotne są też Wojewodziny kijowskiej zmarłej i na jawie mówione, a nie przez sen imaginowane. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego«.

Zaprzysiężenie poprzedził delegat biskupi zbawieniami i stosownymi do aktu obecnego i sprawy uwagami, upomnieniami i przestrogi, poczem młoda nowicyuszka położyła dwa palce na obraz ukrzyżowanego Pana, znajdujący się w rękach księdza Wiszniewskiego i powtarzała słowa przysięgi.

Gdy zaś Bogu poświęcona Blejkowska ostatnich słów poprzednio podanej rotę domawiała i już chciała powstać z klęczek, w róg izby z twarzą rozjaśnioną, oczy zwróciwszy, poczęła głośno wołać: »Oto przybywa pani moja (to jest dusza ś. p. Anny Potockiej, Wojewodziny kijowskiej) stosownie do obietnicy, danej mi wczoraj, że zjawi się podczas obecnego aktu«. I dalej do niej mówiąc i żądając jakowegoś znaku dla poświadczenia tegoż aktu (obecni jednak aktowi — niżej podpisani — nie słyszeli słów pomienionej duszy) powiedziała, że dusza chce dać znak w obecności Czcigodnego kustosza katedralnego i wydelegowanego sędziego przemyskiego.

Bogu poświęcona Wiktorya prosiła jednak, aby na jej osobie znak był dany. Zniesie to cierpliwie. I natychmiast do owego kąta, w którym jakoby żyjąca dusza ukazała się, na klęczkach sunąc, wyciągnęła lewą rękę obnażoną

z szaty zakonnej, czyli rękawa, a potem — na rozkaz przeoryszy — bardzo zmieszana, Przewielebnemu kanonikowi Małyszczce i mnie, niżej podpisanemu pisarzowi, pokazała rękę z wyraźnym znamieniem.

Wszyscy spostrześliśmy i rozpoznaliśmy znak, świeżo wypalony, w koło niego zaś białe obrzmienie ciała, jakie zwyczajnie powstaje skutkiem oparzenia.

Celem dokładniejszego zbadania tego cudownego zdarzenia, polecił przewielebny kustosz Wiktorji Blejkowskiej szczegółowe opisanie widzenia duszy Pani Wojewodziny. Opis ten brzmi dosłownie: »Będąc przyciśniona mocą posłuszeństwa do napisania tej następującej prawdy, która się stała po pierwszym danym znaku na deszczulce, to jest, gdy po kilkorakiem naprzykrzeniu się mnie nieznośnem, i widywaniu się na jawie z duszą ś. p. JW. Imć Pani Wojewodziny kijowskiej, wiedząc o umartwieniu mojem, którem stąd odnosiła, Dobrodzika Panna Ksieni, Matka moja, która mnie przyjęła do Zakonu świętego, za radą duchowną zabroniła mi mocą posłuszeństwa świętego mówienia z nią, a to dla zachowania milczenia. I to się stało dnia 23 lutego i od tego czasu nie dawała się widzieć, aż do dnia 3 marca w roku terażniejszym. Tegoż dnia o godzinie dziewiątej z wieczora, gdym na chór dla mówienia pacierza poszła i tam przez niejaki czas na modlitwie zostawała, natenczas dała się słyszeć, chodząc po chórze, okrutnie jęcząc i wzdychając.

»Ja się bojąc przestąpić posłuszeństwa, które mi przełożona nakazała, w wielkiej bojaźni z chóru poszłam. A gdy z rozkazu JW. JM. Księdza Biskupa komisya nastąpiła, to jest dnia 11 marca kazano mi na rekolekcyje zasiąść, poprzedzając akt komisyi, i gdym przez trzy dni rekolekcyj gotowała się do uczynienia zadosyć obligacyi mojej, Dobrodzika Panna Ksieni z macierzyńskiego afektu nawiedzała mnie i z natchnienia Ducha świętego dała mi pozwolenie na widzenie się i mówienie — jeżeli mi Bóg

pozwoli — z tej Pani duszą. Było to dnia 13 marca. W wigilię zaś następującej komisji, to jest dnia 14 marca, gdym po odczytaniu Jutrznii na chór poszła na Nawiedzenie Najświętszego Sakramentu i inne nabożeństwa, po których skończeniu zaczęłam pięć pacierzy mówić krzyżem leżąc, natenczas przyszedłszy pomienionej Pani dusza i światło, które na ławie przy mnie stało wzięwszy, na ganek za drzwi zaniosła i sama się wróciwszy, stękając i chodząc po chórze, dała się słyszeć.

»Ja po skończonej modlitwie, podniosłszy się z ziemi i uczyniwszy znak Krzyża świętego, poczęłam mówić: Jezus, Marya, ktoś mi światło wziął.

»Ona na te słowa: Ja — głosem zwyczajnym.

»To ja słysząc, mówić poczęłam: Wszelki duch chwali Pana...

»A ona odezwała się: I ja Go chwale; nie lękaj się!

»Ja porwawszy się na głos jej i przystąpiwszy ku niej blisko, rzewliwie prosić ją poczęła, mówiąc temi słowy: Ach, Pani moja, widzisz moje utrapienie, w którym zostaję. Proszę cię o pomoc jaką, gdyż jutrzejszego dnia ma nastąpić komisya, na której przysięgą każą mi potwierdzić twoją sprawę, a ja się okrutnie lękam przysięgi. Ale cię proszę o poradę i przyczynę do Boga, ażeby mnie umocnił w tem.

»Ona na to: A widzisz, jak teraz uciekasz się do mnie, aleś ty sobie bardzo tęskniła, gdym u ciebie bywała, i przedemną uciekała, gdym cię o pomoc prosić miała i starałaś się o to, aby ci Przełożona z posłuszeństwa zakazała ze mną się widzieć i mówić. Otóż ja cię teraz, gdy mi Bóg pozwolił, martwię, jak ty mnie martwiłaś.

»Ja na to z wielkim płaczem prosić poczęłam: Ach, Pani moja, zmiłuj się nademną. Wszak to Bogu samemu wiadomo, dlaczego to uczyniła, a teraz proszę cię w imię Jezusa o odpuszczenie, com przeciwko tobie wykroczyła.

Zmiluj się nade mną, naucz mnie, co mam z tem czynić, jak mi każą przysięgać.

»Ona: Nie bój się; jak przyjdzie czas na potwierdzenie tej prawdy, przyjdę ja do ciebie i dam ci, com dawno obiecała, tylko mile przyjmij.

»I gdy już po skończonym Juramencie klęcząc, obróciłam się, stojącą przy mnie zobaczyłam, a ona do mnie mówić poczęła: A widzisz, żem jest z tobą.

»Ja rozumiejąc, że to wszyscy przytomni słyszą i widzą, mówić poczęłam: Otóż Pani moja (to jest dusza JW. Anny Wojewodziny kijowskiej) jest. Ach, Pani moja, dajże sama świadectwo i potwierdź to, jeżeli ta rzecz zmyślona.

»A ona: Potwierdzę na tym, który małą tej prawdzie daje wiarę.

»Ja natenczas prosić poczęłam: Pani moja, proszę cię, nie dawajże na nikim żadnego znaku, ale tylko na mnie; jakieś mi obiecała, tak cię proszę, abyś nie dawała tego nikomu.

»A ona na to: To, com ci obiecała, dam, a na JM. księdzu kustoszowi tylko rękę położę.

»To ja słysząc prosić poczęłam: Pani moja, niechże to ja na sobie odniosę, co mu masz dać. Ja to dla miłości Boskiej i ratunku dusz w czyśćcu mile będę ponosiła.

»Ona na to: Gdzież chcesz, abym ci dała znak?

»Jam jej rękę pokazała. A gdym ognisty krzyżyk u niej w rękę zobaczyła, czempredzej rękaw u habitu odpinać poczęłam i tak rękę podałam jej. Ona ten krzyżyk, który miała, do ręki mi przyłożyła i nazad go odjęła, tylko znak zostawiwszy, który to znak drugi raz przysięgą potwierdzić gotowam, jako mi go sama (to jest pomieniona dusza) przy obecności JM. Księzy Komisarzów i wszystkich przy tym akcie będących dała. Na co ja się sama swoją ręką podpisuję. W. B. Z. S. O. B.«

A chociaż o napiętnowaniu ręki wyżej wspomnianej

Wiktoryi Blejkowskiej patrzący wątpić nie mogli, dla większej wiarogodności, a także dla usunięcia wszelkiego podejrzenia Jaśnie Wielmożny Kustosz Katedralny wobec wizerunku ukrzyżowanego Pana odebrał od niej przysięgę na tę rotę: »Ja, Wiktorya, przysięgam Panu Bogu Wszchemogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, jako po wykonanej przezemnie pierwszej według roty przysiędze, gdym już od klęczenia powstać miała, dusza ś. p. Anny Potockiej, Wojewodziny kijowskiej, w osobie swojej, jakąm za życia znała, w białej szacie, według obietnicy, na dniu wczorajszym uczynionej mi, jawnie i istotnie pokazała mi się i znak na ręce mojej lewej krucyfiksem ognistym, w ręku mianym, uczyniła. Co jako rzetelnie i istotnie jest, jak pragnę zbawienia duszy mojej, wyznaję i tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego«.

Akt niniejszy dla większej wiarygodności własnoręcznie podpisał i pieczęcią swoją zaopatrzył *Joannes Wisniewski Custos Cathedr.*

Działo się to w roku, dniu, miesiącu i miejscu wyżej podanem, w obecności JWP. Tomasza Aleksandra Małyuszko, kanonika katedralnego, Wojciecha Długosza, seniora kolegiального i mnie, Jana Płaxinkiewicza.

Po upływie kilku miesięcy, w dniu 7 czerwca zjawiła się znowu u boku modlącej się w chórze Blejkowskiej dusza Anny Potockiej. Podziękowawszy Wiktoryi za wszystkie modlitwy, na jej intencję zanoszone, przemówiła w następujące słowa: »Bóg zapłać za wszystko! Ja już nie potrzebuję żadnego ratunku; jestem szczęśliwa i raduje się z Bogiem«.

Tekst, zapisany w *Dziejopisie Monasteru Krystynopolskiego*, kończy się uwagą: *Concordat cum originali in omni quod mihi datum conscriptum, manu propria Religiosae Victoriae Bleykowska testor. Adalbertus Długoss Not. Cons. Prems.*

Powstrzymuję się od wszelkich uwag krytycznych, domysłów i wniosków; pierwszych nie czynię — drugich

nie wyciągam; starałem się jeno zupełnie bezstronnie przedstawić sam fakt, bądź co bądź, wysoce charakterystyczny i ciekawy, który w swoim czasie poruszył do głębi umysły, a więc już choćby z tej racji zasługiwał na bliższe poznanie.

Zresztą legenda o deszczulce z wypalonym na niej znamieniem ręki zmarłej, odwiedzającej pozostałych na tym świecie znajomych czy krewnych, błąka się w dziejach niejednej rodziny polskiej i — jak z pewnych danych sądzićby można — pochodzi z jednego i tego samego źródła, świadcząc zarazem o wielkim rozgłosie sprawy rzeckomych odwiedzin wojewodziny kijowskiej w celi skromnej nowicyuszki pańien Benedyktynek przemyskich.

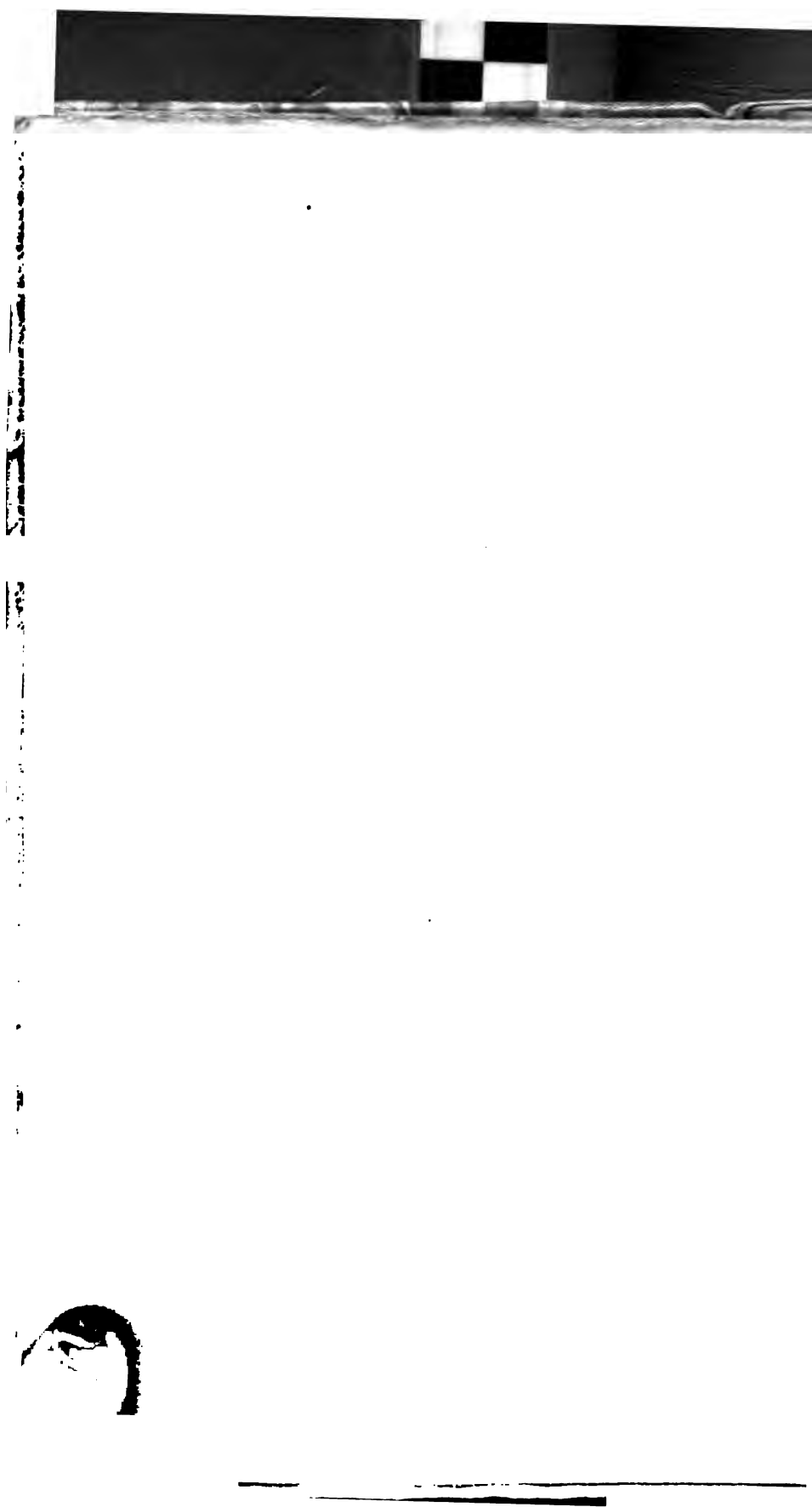
Jakie były dalsze losy Wiktoryi Blejkowskiej — milczą o tem kroniki. Nawet rok i miejsce jej zgonu nie jest nam zupełnie znane; zresztą jest to drobiazg, nie wpływający w żadnym razie na znaczenie opisanego zdarzenia. Ciekawszym jest fakt, zanotowany w *Doiejopisie Monasteru Krystynopolskiego*, że wojewoda Franciszek Salezy Potocki wyasygnował bezzwłocznie kwotę 30.000 złot. polsk. na wykończenie kościoła Benedyktynek w Przemyśle, a nadto wysłał tam swego nadwornego malarza, Stanisława Strońskiego, polecając mu ozdobienie wzmiankowanej świątyni freskami. Widocznie pragnął on, by żądanie nieboszczki, towarzyszącej jego życia, spełnione było co rychlej.

Na takim pośpiechu zyskały tylko Benedyktynki przemyskie, wojewoda kijowski bowiem przeżył małżonkę swoją o kilka zaledwie miesięcy, a niewiadomo czy młodsze pokolenie byłoby zbyt skore do dawania posłuchu poleceniom z za grobu.

Siedmudziesięciodwuletni starzec upadał z dniem każdym więcej na siłach, a skandaliczny proces o gwałtowną śmierć Gertrudy Komorowskiej, pierwszej żony Szczęsnego, dobił go do reszty.

Znowu zaroił się Krystynopol niezliczonymi tłumami szlachty i duchowieństwa. U trumny sędziwego wojewody stawili się senatorowie rozpadającej się w gruzy Rzeczypospolitej, znalazło się siedmiu ksiąząt Kościoła. Znowu żałobne dzwony ślały w dal wieść żalospną, a pienia duchowieństwa obijały się o stropy świątyń obu obrządków. Legł w grobie twardy, nieubłagany starzec, który złamał może życie swego jedynaka i pchnął je na tory nieodpowiednie dla latorośli rodziny Potockich, a u trumny jego nie widziano tego jedynaka, choć zawiadomiony był o katastrofie aż nadto wcześniej przez nadwornego marszałka, Dominika Kamienieckiego, który zaraz po śmierci wojewody pospieszył do jego syna, bawiącego podówczas zagranicą.

Czwartego grudnia 1772 r. zjawił się w Krystynopolu Pijar, ks. Wolf, niegdyś nauczyciel Szczęsnego Potockiego, i zawiadomił interesowanych, że pupil jego przybędzie w najbliższym czasie z Wiednia do rodzinnego zamku. I w istocie w dniu 17 tegoż miesiąca powitały salwy armatnie i dzwony kościelne wjeżdżającego w mury Krystynopola nowego olbrzymich włości dziedzica.





TAJNE ROSSYJSKIE RELACYE
O FORMUJĄCYCH SIĘ LEGIONACH I KOŚCIUSZCE



Ostatnie dziesięciolecie XVIII wieku napelniało umysły dyplomatów europejskich bezustannym niepokojem. Ciągłe podziemne wrzenie kazało się mieć państwom i monarchom na baczności; lada gorętsza odezwa, donośniejsze echo z pola bitwy elektryzowało młodzież, wywołując coraz to nowe odruchy zbrojne i... ofiary. Obok Francyi, Polska pod tym względem prym wiodła: po upadku Kościuszkowskiego powstania nikt gorętszy nieco nie myślał szabli wieszać na kołku, bezustannie snuto — w tajemnicy wprawdzie — myśl zbrojnego odwetu, a oczy wszystkich zwracały się na Zachód, ku Francyi, gdzie nowy bożek wojny i zniszczenia napawał otuchą i nadzieją pomyślniejszego jutra.

Złudne marzenia, ślepa wiara w dobre chęci i zamiary Napoleona rozpoczęły wszechwładne panowanie; zapalna młodzież gotowa była każdego trzeźwiejszego zdrajcą ogłosić; nasłuchiowano bacznie wieści o nowych laurach niezwalczonej zda się armii francuskiej, a głucha pogłoska o tworzeniu pod włoskim niebem polskich legionów, co, jak wichura, przelecieć miały po nad Europą, by podnieść wysoko zdruzgotane drzewce sztandarów narodowych i błysnąć wrogom w oczy białym orłem i pogonią, padając na grunt odpowiednio przygotowany — wywoływała entuzjizm powszechny.

Kto mógł i jak mógł, przekradał się, mimo czujnej, śledzącej bacznie każde poruszenie opiekuńczej władzy,

przez kordony i spieszył poza Alpy; u boku walecznych generalów: Kosińskiego i Dąbrowskiego rosło z każdym dniem grono zapalonych, gotowych na wszystko junaków; każda z prowincyj dawnej Polski miała tu swoich reprezentantów.

Nie mam bynajmniej zamiaru kreślić dziejów pamiętnej owej, takim bolesnym skutkiem uwiecznionej kampanii. Znana ona skądinąd dobrze, uwieczniona w pieśni, żyje w sercach polskich wszędzie, gdzie jeno rozbrzmiewa mowa polska; przysporzyła społeczeństwu naszemu jedno rozczarowanie więcej — nie ostatnie niestety — pożytku realnego nie przyniosła żadnego. Ramy mego szkicu znacznie skromniejsze: pragnę zużytkować wiązanek oryginalnych dokumentów, których zaprzepaszczać nie wolno choćby dlatego, że do tak ciekawej odnoszą się epoki.

Pochodzą one z prywatnego archiwum. Jak się tam dostały, Bóg wiedzieć raczy. Może nabyto je u jakiego żydka z całym kramem sprzedawanych rokrocznie starych papierów urzędowych, by w ten sposób zrobić miejsce na skład nowych foliałów; może jaki usłużny pisarzyna kancelaryjny wyniósł je ukradkiem i odstąpił amatorowi-kollekcyoniście; wszak jedno i drugie nie należy u nas do zbyt rzadkich wyjątków. Tak, czy owak, urzędowa korespondencya »jak najsekretniejsza«, dostała się do rąk prywatnych, dzięki czemu możemy ją dzisiaj ogłosić jako bardzo ciekawy i charakterystyczny przyczynek do rozbiorowych naszych dziejów.

W roku 1798 spoczywała godność wojennego general-gubernatora podolskiego w niezawodnych rękach hrabiego Jana Gudowicza. Jak na owe czasy, musiał on w Rosyi należeć do ludzi wykształconych ponad przeciętną miarę, współcześni mu bowiem opowiadają, iż studia odbywał na sławnych Uniwersytetach zagranicznych w Królewcu, Halli i Lipsku; znał dobrze języki: niemiecki, włoski, francuski, łaciński i polski. — Zawód wojskowy rozpoczyna

w 1769 r. w Turcyi, gdzie odznacza się chlubnie na wielu polach bitew i jako zdobywca twierdz pierwszorzędnych. W nagrodę za te czyny, dostaje nominacyę na generał-gubernatora kaukazkiego; tutaj ruchliwa jego i przedsiębiorcza działalność przysparza nowe państwu korzyści.

Po krótkim pobycie na generał-gubernatorstwie kijowskiem, otrzymuje w tej samej randze w zarząd Podole i staje na Podniestrzu w pełni lat męskich i chwały, gotów do dalszej działalności, nieprzebierającej w środkach, druzgocącej bez litości pokonanego przeciwnika.

Z kolei czekają go nowe ważne misye i odznaczenia; w nim upatrzone naczelnego wodza armii przeznaczony nad Ren, a potem obejmuje kierownictwo wojsk w Gruzji i Dagestanie. Za walne zwycięstwo nad Jusuf-paszą przy Arpaczaju w roku 1807 wyniesiony do godności generał-porucznika (feld-marszałka), zostaje w dwa lata później wojennym generał-gubernatorem moskiewskim; umiera w roku 1820, pochowany w Ławrze kijowskiej. Źródła rosyjskie charakteryzują go jako człowieka ponurego, milczącego i bardzo hardego w postępowaniu, szczególnie z Polakami; w długiej swej karierze — jak często w Rosyi, zmiennej — bywał na wozie i pod wozem, na wybitnych stanowiskach i w nielasce¹⁾; syn odziedziczył po nim 14.000 dusz i olbrzymie kapitały.

Obok tytułów i orderów otrzymał hr. Gudowicz miasteczko Czezelnik z przyległościami (nad Sawrańką dopływem Bohu), niegdyś własność książąt Lubomirskich, 18.000 dziesięcin dworskiej ziemi. Nagroda królewska, ale też i zasługi musiały być niepoślednie. Nieustraszony na polach bitew generał, okazał się również nieugiętym działaczem w roli wszechwładnego pana powierzonej sobie prowincyi. Rządy jego podolskie przypadły w epokę nieró-

¹⁾ Wiele szczegółów w „Zapiskach grafa Komarowskiego”, *Russkij Archiv*, 1867.

wnej walki prawosławnej Cerkwi z prześladowanym na każdym kroku Kościołem unickim, że zaś hr. Gudowicz nie zwykł się był cofać w połowie drogi, domyśl więc łatwy, jak sobie poczynął z biednymi obrońcami wiary ojców i dziadów. Zresztą nagrody i odznaczenia, spływające na jego głowę, mówią w danym wypadku bardzo wiele.

Tak przedstawia się możliwie wierna sylwetka autora tajnych relacyj o legionach Dąbrowskiego i o każdym poruszeniu Kościuszki, po powtórnym tegoż powrocie na ląd europejski. Adresował je hr. Gudowicz do Aleksego Eustachiewicza (*Aleksieja Ewstafiewicza*) Józefowicza, wicegubernatora podolskiego.

W przeciwieństwie do hr. Gudowicza, musiał być Józefowicz osobistością, niewyróżniającą się niczem, kiedy współczesne źródła rosyjskie, aczkolwiek przypadła mu w czasach bardzo ciekawych i burzliwych służba na wydatnem stanowisku, milczą o nim zupełnie. Był on radcą mińskiej Izby skarbowej, z kolei prezesem kamienieckiego Sądu głównego, wreszcie wicegubernatorem podolskim¹⁾.

Ale wróćmy do tajnych relacyj: pisane dosyć bezładnie, prawdopodobnie przez gubernialnych kancelaryjnych urzędników, którym hr. Gudowicz zawartość ich dyktował, charakterem pisma różnym, na papierze grubym, żółtawym lub szarym, z wodnymi znakami firm; »Forsten et Comp.«, »C. et I. Honig« albo wreszcie »I. Larking 1797«. Dwie relacje dotyczą legionów, inne dwie Tadeusza Kościuszki. Na każdej figuruje własnoręczny podpis hr. Gudowicza i wielce znaczące słówko: „*sekretno*“ lub nawet „*sekretniejsze*“²⁾.

Rzecz zresztą zupełnie zrozumiała, że emigracja młodzieży kresowej pod sztandary Dąbrowskiego, w wysokim

¹⁾ Wyciągi z archiwów generalgubernatorskich za panowania cesarza Pawła (rękopis).

²⁾ Oryginały złożyłem w Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich.

stopniu interesowała i niepokoiła podolskiego wojennego general-gubernatora; że zaś rząd rosyjski posiadał po całej Europie rozsianych zaufanych agentów politycznych, a więc i hr. Gudowicz mógł mieć i miał też w istocie dokładny spis »turystów« lub »potrzebujących poratowania zdrowia chorych«, dążących do Włoch albo do Paryża. Otrzymywane z zagranicy wiadomości przesyła w ściśle poufnych tajnych relacjach Józefowiczowi, z dołączeniem odpowiednich rozkazów i poleceń. Pierwsza z nich napisaną została w dniu 16 lipca 1798 r., a jako *wypiska із секретных ісвістий*, skreślona widocznie naprędce, pozostaje w wielkiej rozterce z jakimkolwiek, choćby najprymitywniejszem pojęciem o stylu, nawet tylko urzędowym. Podajemy ją poniżej w możliwie wiernym przekładzie:

Odpis z tajnych relacyj.

Korpus Dąbrowskiego we Włoszech składa się z 5000 Polaków, z których 3500 przebywa w samym Rzymie. Szefami brygady są tamże Łażniński¹⁾ i Wyszkowski; obaj przeszli w swoim czasie ze służby w polskim wojsku do naszej armii; pierwszy z nich posiada w tym kraju wuja. Nadto są tam Kosiński, Jabłonowski (znajdował się w Wiedniu przy generale Bernadotte) i Strzałkowski, posiadający w pobliżu Kamieńca rodzzonego brata. Generałowie: Kniaziewicz, Wielhorski, Tremo, syn kuchmistrza nieboszczyka króla polskiego; Rymkiewicz²⁾, niegdyś kapitan w strzeleckich batalionach; Aksamitowski jest pułkownikiem artylerii, dawniej był kapitanem, po rozpuszczeniu kadrów woj-

¹⁾ Franciszek Ksawery Łażniński nigdy nie był szefem. Bliższe szczegóły o nim u Dr. Antoniego J. w *Gawędach z przeszłości*, w szkicu p. t. »Złota Teklunia«.

²⁾ W relacji błędnie: Wielhorski, Rynkiewicz.

ska polskiego przebywał stale za granicą, tutaj w pobliżu Kamieńca mieszka jego ojciec¹⁾.

Oprócz wspomnianych przebywają u boku Dąbrowskiego: Lang a i Wy g a n o w s k i, kapitan byłego konnego strzeleckiego pułku, posiada brata w okolicy Dąbrowicy; Falkowski²⁾ z byłej polskiej artylerji, w Kamieńcu żyje w ubóstwie jego matka; Mikorski z kordonu pruskiego, poseł na sejm grodzieński z 1793 r. Syn generała Trzecieckiego, Augustyn, znajduje się również w ich gronie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż ci Cisalpińcy pisują do tubylców z wezwaniem, by im dostarczano pieniędzy. Odezwy tego rodzaju przesyłają oni za pośrednictwem osób prywatnych wracających z zagranicy. Brzmienie owych niecnych listów jest następujące: »My przebywamy tutaj celem odzyskania naszej Ojczyzny i prędko też przybędziemy, by uwolnić was z pod tyrańskiej przemocy. Nie prosimy was o nic, lecz powinnością waszą jest pamiętać o tem, coście winni wiernym synom Ojczyzny«.

Do teje armji wyjechali w ostatnich dniach z naszego kordonu: podkomorzyc Drzewiecki, posiadający w powiatach dubieńskim i krzemienieckim majątek i rodzinę, a uczynił to z namowy pułkownika Żółkiewskiego³⁾; Litwiński, syn szambelana, zamieszkałego w łuckim powiecie. Pani Cz o s n o w s k a, rozwódka, pod po-

¹⁾ Aksamitowski Wincenty. Wiele o nim ciekawych szczegółów u Dr. Antoniego J. (*»Przed wiekiem«*).

²⁾ Falkowski wraz z Aksamitowskim i Łażnińskim, dosłużyli się na polach bitew szlifów generalskich.

³⁾ Szef Drzewiecki, autor cennych pamiętników, należał do bardzo poważanych i kochanych osobistości w t. zw. południowo-zachodnim kraju; ze zdaniem jego rachowano się zawsze. W latach trzydziestych ubiegłego stulecia był kuratorem szkół gubernji podolskiej. Liceum wołyńskie w Krzemieńcu znalazło w nim, po śmierci Tadeusza Czackiego, gorliwego obrońcę i opiekuna.

zorem leczenia się udała się do Włoch, posiada majątek w Kijowskiem województwie. Uczynił coś podobnego również i strażnik Czosnowski z krzemienieckiego powiatu, zamieszany już zresztą dawniej w polskiej rewolucyi. Pułkownik Żółkiewski z okolic Berdyczowa także tam pospieszył. On to właśnie, bawiąc we Lwowie, ofiarował wielu młodym ludziom zasiłki pieniężne, byle jeno zaciągnęli się pod sztandary Dąbrowskiego. Struski z Bernadottem wyjechał do Francyi; inny tego samego nazwiska znajduje się pod strażą we Lwowie.

Z »szastających się« po Lwowie mieszkańców naszego kordonu notuję: Szydłowskiego, syna kasztelana żarnowskiego; wojewodzica Stempkowskiego, oraz Martiniszową, żonę przemysłowca chersońskiego, żyjącą we Lwowie dlatego, iż nie jest zadowoloną z Rosyi.

Z pośród bawiących chwilowo we Lwowie dla różnych interesów mieszkańców naszego państwa, notuję jeszcze Bobrownickiego z kowelskiego powiatu, ze wsi Uchowiec. Jemu to udało się przejeżdżać granicę naszą niejednokrotnie bez paszportu, skąd do nas przybywa znowu w przybranej bezprawnie roli obywatela galicyjskiego, za paszportem wydanym przez tamtejsze władze. Nieznana bliżej z nazwiska osoba doniosła mu już z Rosyi, że władze nasze mają go w podejrzeniu i że zostanie aresztowany, skoro tylko noga jego stanie w granicach naszego imperyum.

Wielu zresztą mieszkańców tutejszych — jak mnie zapewnniają — przejeżdża bez paszportów granicę, zaczynając od Milatyna (?), Beresteczka i Leszniowa (dzisiejszy powiat brodzki) w pobliżu Mytnicy (na Wołyniu), gdzie niejaki żyd Mejer oddaje im ważne usługi, a i kozacy — jak słyszę — przepuszczają zazwyczaj na tym pasie zagraniczne towary.

Hrabia J. Gudowicz.

W dwa tygodnie później (d. 31 lipca 1798 r.) otrzymuje wicegubernator podolski od swojego zwierzchnika nowy okólnik ze znaczącym dopiskiem »tajny«. Jan hrabia Gudowicz donosi w nim, iż w uzupełnieniu relacji swojej z dnia 16 lipca, o Polakach przebywających w legionie włoskim Dąbrowskiego, załącza mu teraz szczegółowy spis oficerów wspomnianego korpusu. Równocześnie poleca też Józefowiczowi śledzić jak najostrożniej za tem, czy który z legionistów nie zjawi się przypadkiem w granicach powierzonej jego pieczy gubernii, albo też czy miejscowi mieszkańcy nie pozostają z owymi »Cisalpińcami« w listownych lub jakich innych niedozwolonych stosunkach. Pragnąc czemuś podobnemu z góry zapobiedz, przypomina podolski generał-gubernator ponownie dawniej wydane polecenie, by każdego takiego podejrzanego osobnika natychmiast aresztować i wraz ze znalezionymi przy nim papierami bezzwłocznie odstawiać do Kamieńca. Podpisano: *graf Iwan Gudowicz*.

Nad dołączonym do okólnika »Spisem polskich oficerów w armii Rzeczypospolitej Cisalpińskiej« pastwił się skryba kancelaryjny niemiłosiernie, nazwiska poprzekreślał często do niepoznania, dopiero szczegółowe porównanie z pamiętnikami generała Dąbrowskiego¹⁾ umożliwiło ustalenie właściwego ich brzmienia, a godzi się przecie, by imiona owej garstki walecznych marzycieli i straceńców przeszły do potomności. W nawiasach podajemy poprawne brzmienie nazwisk »Cisalpińców« według zapisków Dąbrowskiego. Stan legionów, przez niego ogłoszony, jest z daty o trzy lata późniejszej, rzecz więc naturalna, że między obu relacjami ważne i liczne zachodzą różnice.

Generalicya: komendant korpusu Dąbrowski; ge-

¹⁾ »Generała Henryka Dąbrowskiego pamiętnik wojskowy legionów polskich we Włoszech, poparty notami wyjaśniającemi«. Poznań 1864, przekład z francuskiego rękopisu L. Miłkowskiego.

nerał-majorowie Wielhorski (Wielhorski) i Rynkiewicz (Rymkiewicz).

General-adjutanci: Briunet; Zawadzki — major; Szmułański — adjutant.

W Legionie mundur generalicyi podobny do dawniejszego w polskiej armii.

Artylerya: Aksamitowski — pułkownik; Jakubowski — major; Redel, Falkowski, Stuart — kapitani; Trzaskowski, Giugemus (Gegenmus), Eppen — porucznicy; Orzelski, Kobylański, Piechowski — podporucznicy.

Legion: Strzałkowski — szef legionu; Zawadzki — pułkownik.

Pierwszy pułk piechoty (mundur dawnej kawal. nar.): Białowiejski — szef; Sałojewski — premier major; Drzewiecki — major; Konopka, Wasilewski, Biernacki, Szott, Rupelowski, Zabłocki, Tomaszewski, Pokrzywnicki, Turkowski — kapitani; Wilczyński, Stochowski, Winner (Wienert), Wasilkowski, Fabrzykowski (Jałbrzykowski), Welawski, Młynarski, Sadowski, Dobrowski — porucznicy. Krasieński, Świsłocki, Razowski, Dziubiński, Bielawski, Baal (Bal), Sokoliński — podporucznicy. Flechtbal (Flugbeil) — kwatermistrz; Bagutti — lekarz.

Pułk drugi (mundur dawniejszego litewskiego strzeleckiego pułku): Forestier — szef; Chłopicki — premier major; Ulanowski — major; Downarowicz, Rozakpwich (Kozakiewicz?), Borowski, Kosztutski (Kosztutski), Bolesta, Billing, Kowalkiewicz — kapitani. Kamiński, Kosztutski (Koszubski), Linkiewicz, Bartynowski, Sobański, Chobrzyński, Leszczyński, Podrewski (Podlecki) — porucznicy. Sadowski, Kołodyński, Soloński, Łukiewicz, Mirosławski, Blewski, Marowski, Dąbrowski — podporucznicy. Ballesta (chyba Bolesta) — kwatermistrz; Rossy — lekarz.

Pułk trzeci (mundur byłego pułku Działyńskich): Grabowski — szef; Wierziński — premier major; Pangowski (Pałowski?) i Goomann — majorowie, Kariski, Gosz-

czycki, Szlejder (Sznajder), Łempnicki, Dembowski, Tremo, Żółtowski, Zejdel — kapitani. Grabski, Egeledorf (Egersdorff), Zablocki, Paszkiewicz, Gulawski (Hulawski), Dziurbach (Dziurbas), Szymański — porucznicy-adjutanci. Wąsowicz, Wojciechowski, Zdora, Madaliński, Kowecki (Kawecki?), Mielnisz (Mielnik), Zaleski, Jazowski — podporucznicy; Staniszewski — kwatermistrz; Walentini, lekarz.

Pułk czwarty (mundur dawniejszego pułku Potockiego, starosty szczyrzeckiego): Dembowski — szef; Nadolski — premier major; Kamiński — major. Królikiewicz, Bogusławski, Chojnacki, Staszewski (Straszewski), Weszel, Narbutt — kapitani. Gawłański (Gawłasiński), Lichnicki, Wokuliński, Jabłoński, Kamiński, Rossońjanno, Kozłowski — porucznicy. Szymański, Niedzielnicki, Zablocki, Szatyński, Bogdański, Rylło, Orłowski, Grabowski, Kowalski, Szmodski — podporucznicy.

Pułk piąty: Lipczyński — szef; Mościcki — premier major; Fiszer, Grabiński, Szmulański — majorowie; Winiarski, Zemirski (Żymirski), Mondrzyński (Mądrzycki), Downarowicz, Klicki, Deszort, Laskler — kapitani. Piotrowski, Niesiecki, Łączyński, Szukiewicz, Rafałowicz, Tamszewski (Tomaszewski), Czarnecki, Gasłowski (Gosławski) — porucznicy. Kowalski, Wilczyński, Romański, Rusiecki, Borysz (Borys), Rudkowski — podporucznicy.

Pułk szósty (tak w V, jak i tutaj, mundur byłego pułku Wodzickiego): Niemojewski — generał major, szef; Zagórski — premier major; Fiszer i Konopka — majorowie; Skwarczowski, Grochowski, Sylwestrowicz, Kąsinowski, Jachowski (Lachowski), Germann (Hermann?), Remiszewski — kapitani. Szubert, Grabiński, Rzecznik, Godzki (Grodzki), Markiewicz, Jazwicki (Jarwicki), Pajer (Bayer) — porucznicy. Iwanowski, Zieliński, Kozłowski i Zaleski — podporucznicy.

W ten sposób przedstawiał się sztab oficerski legionów (przyпускаjemy, że nie zupełny) w roku 1798. W trzy lata później (11 marca 1801 r.) «Stan oficerów pierw-

szej Legii polskiej, zostających na żołdzie Rzeczypospolitej francuskiej, uległ znacznym zmianom; notować ich tu nie mamy zamiaru, dodamy tylko, że liczba oficerów dobiegała teraz cyfry 400 głów, a cała legia (siedm batalionów piechoty, jeden artyleryi) 10.694¹⁾

W pamiętnikach Dąbrowskiego znajdziemy dokładny opis owych walk, prowadzonych ze zmiennem szczęściem, w których niejeden z wymienionych w tajnej relacji hr. Gudowicza, zdobył rzetelny laur zasługi. Dwaj Kamieńczanie: Aksamitowski i Falkowski — jak już wzmiankowaliśmy — dosługują się generalskich szlifów: przezacny Drzewiecki również awansuje szybko. Wojna i to w dodatku taka, prowadzona na śmierć lub życie, pociąga za sobą liczne ofiary. I tutaj ich bynajmniej nie brakło. Z wybitniejszych naszych znajomych padli na polu walki lub z ran zmarli: generał brygady Rymkiewicz, szef batalionu Tremo, dowódca brygady Forestier, że już nie wyliczamy całej długiej listy oficerów niższych stopni. Wysniony przez wojaków Napoleon, wysłał z kolei polskich wiarusów przemocą, mimo ich chęci i woli, na Santo Domingo. Martyrologię tę opisał barwnie przedwcześnie zmarły Stanisław. Schnür-Peplowski. Nie wszyscy z garstki rzuconej na odległą dziką wyspę, wrócili po długiej tułaczce na ukochanej Ojczyzny łono, o której marzyli przy ogniskach obozowych, snując barwne plany i horoskopy na przyszłość.

Pozostałe dwie, ściśle poufne relacje podolskiego dygnitarza, dotyczą Tadeusza Kościuszki, którego powrotny powrót na ląd europejski, w chwili tak brzemiennej w wypadki dziejowe pierwszorzędnej doniosłości, przejął agentów rossyjskich nieklamanem przerażeniem, wprawiając w ruch całą sforę kuryerów, pędzących co koń wyskoczy w kierunku rozmaitych stolic starego świata.

¹⁾ *Pamiętnik Dąbrowskiego* (j. w.), dodatki.

Dla dyplomatów przybył nowy orzech do rozgryzienia niełatwy, nowa zagadka bynajmniej przez nich nieupragniona i nieoczekiwana; społeczeństwo polskie zelektryzował i podniecił raz jeszcze prąd ożywczy, wywołując cały stek złudnych nadziei i rojeń.

Wiadomo ogólnie, że Kościuszko po pamiętnej rozmowie z cesarzem Pawłem, uwolniony z więzienia, wyrusza w towarzystwie nieedstępnego przyjaciela, Juliana Ursyna Niemcewicza, do Ameryki. Stara Europa żegnała bohater-skiego naczelnika owacyjnie, nowy kontynent walczył w powitanium Kościuszki o palmę pierwszeństwa z owem zamorskim pożegnaniem. Przypuszczać można, że dyplomaci rosyjscy odetchnęli swobodniej, widząc bohatera z pod Raclawic tak daleko odrzuconego od kraju, w którym tyle wyjątkową cieszył się wziętością i popularnością, a równocześnie ani na myśl im chyba nie przyszło, że człowiek ranny, schorowany, nie mogący kroku niemal zrobić bez pomocy wiernego służącego Stanisława, otrzymawszy z Europy w kilka miesięcy później wiadomość o utworzeniu legionu polskiego, rzuci spokojny kąć, przyjaciół i najbliższe otoczenie w Ameryce, by z paszportem na imię Tomasz Kanberga w kieszeni, wsiąść bez wahania na pierwszy odpływający okręt i w dniu 28 czerwca 1798 r. wylądować już w Bayonnie, a 14 lipca stanąć w murach Paryża ¹⁾.

Do zasuniętego w kąć Kamieńca nadeszła wieść o powrocie Kościuszki 28 lipca, jak o tem przekonać się można z «jakknajsekretniejszej» relacji hr. Gudowicza. Nie ulega wątpliwości, iż podolski dygnitarz datował swoje pismo według starego kalendarza, a co za tem idzie, że książę Repnin pchnął z Berlina sztafetę alarmującą, zanim jeszcze Kościuszko dojechał do stolicy Francji; inaczej pośpiechu takiego wytłumaczyć nie potrafimy.

¹⁾ »*Kościuszko*«, biografia z dokumentów wysnuta przez K. Kraków 1894, str. 502—503.

Relacya hr. Gudowicza jest bardzo ciekawą i charakterystyczną. Podajemy ją w możliwie wiernym przekładzie:

Jaśnie Wielmożny Panie Aleksy Eustachiewiczul

Otrzymałem w tej chwili z Berlina sekretne pismo J. O. Pana generała feldmarszałka i różnych orderów kawalera, księcia Mikołaja Wasylewicza Repnina, z wiadomościem, że Kościuszko, znany naczelnik ostatniego w Polsce powstania, rzuciwszy swój spokojny żywot w Ameryce, pojawił się w Paryżu. Głoszą o tem dzisiaj nie tylko same dzienniki, ale i poważne komunikaty ministeryalne, a już ten choćby jeden jego krok każe przypuszczać, że Kościuszko zapomniał o danem niedawno przyrzeczeniu, że przeciw Rossyi działać nie będzie, jak również o wspaniałomyślnem postąpieniu z nim naszego Najmilszego Monarchy.

Jeśli by kiedykolwiek pokusił się on o wywołanie kargodnego jakiegoś zamieszania w granicach rosyjskiego państwa, ściągnąć musi — jak i pierwszym razem — smutne następstwa na swoją głowę i tych wszystkich, którzyby się skompromitowali i poparcia swego buntownikowi użyczyli. Zapobiegając atoli naprzód jakimkolwiek lekkomyślnym pokuszeniom ze strony obywateli naszego kraju, polecam Panu zdwoić obecnie, za pośrednictwem miejskiej i wiejskiej policji, nadzór nad wszystkim i śledzić specjalnie w tym kierunku.

Wprawdzie byłoby do życzenia, by wiadomość o przyjeździe Kościuszki do Paryża utrzymać w ścisłej tajemnicy, lecz nie można przypuszczać, że wieść ta jakkolwiek drogą nie przedostanie się do gubernii, choćby z hamburskich dzienników, gdzie została ogłoszoną. Na nic się w danym wypadku nie zda nawet najsurowszy zakaz przepuszczenia owych pism przez granicę naszego kraju, dla tego też zechciej Pan bezzwłocznie wydać jak najsekretniejszy okólnik do komisarzy miejskich i wiejskich, nie należących

do rzędu »byłych Polaków«, lecz do kategorii dobrze myślących urzędników rosyjskiego pochodzenia. — Gdziekolwiek jeszcze ziemskimi komisarzami są osoby z wyboru szlachty, tam należy rozkazać zasiadającym w ich zebraniach najlojalniejszym urzędnikom, żeby tak w miastach jak i powiatach bacznie śledzili każdy krok miejscowych obywateli, a szczególnie i przedewszystkiem przyjezdnych.

Gdyby ktokolwiek rozgłaszał jakieś wieści o Kościuszcze i o jego krokach zmierzających do sojuszu z Francuzami, posiadał u siebie jakiegokolwiek, przekradanym sposobem z Francji sprowadzone zabronione papiery lub rozrzucone między młodzież podżegające odezwy, tam należy natychmiast przedsięwziąć dochodzenia, skąd i jaką drogą je otrzymano. Jeżeliby w ciągu śledztwa okazało się, że rozrzucono je w celach karygodnych, wtedy tak posiadaczy tych papierów, jak i ich dostawców, wraz z wszelkim znalezionym przy nich materiałem, należy wziąć pod straż i dostawić Panu. Pan ze swej strony zechcesz wierne kopie owych karygodnych pism mnie przesłać, a oryginały Panu generalnemu prokuratorowi i kawalerowi orderów.

Gdyby się znów okazało, że ktoś otrzymał tego rodzaju zakazane utwory i pisma przypadkowo, bez złej ukrytej myśli — w takim razie po przeprowadzeniu ścisłej rewizji i zabranii niedozwolonych papierów, należy zostawić go na wolności śledząc jeno, czy w przyszłości nie da się pochwycić jakiejś nici, któraby doprowadziła do odkrycia ważniejszych anti-państwowych zamiarów. Krótko mówiąc, śledzić należy każdy krok miejscowych obywateli i donosić o wszelkich podejrzanych ruchach tychże tak Panu, jak i mnie, wprowadzając równocześnie jak najostrzejsze środki zapobiegawcze przeciw wszelkim karygodnym zachciankom; tę ostatnią czynność powierzam szczególnie pańskiej pieczy.

Wiadomo już Panu z przesłanego przezemnie w dniu 16 b. m. pisma, o przekradaniu się przez granicę podejrze-

nych indywiduów, przewożących zakazane pisma i odezwy; należy więc i pod tym względem wprowadzić jak najdalej idące zastrzenia, a jeśli ktokolwiek z zagranicy zjawi się w powiecie, bezzwłocznie winno się stwierdzić, czy posiada on paszport lub dostateczną legitymację i czy znajduje się na tych dokumentach potwierdzenie urzędnika przebytej komory. W wypadkach przejazdu granicy bez paszportu, z pominięciem wyznaczonych przez rząd komor i ukrywania czegoś podejrzanego, należy tego rodzaju przybyszów brać natychmiast pod straż, znalezione przy nich papiery opieczętować i wraz z aresztowanymi odstawić je do Pana. Pan ze swej strony zechcesz, po przeprowadzeniu dochodzeń i przeglądnięciu papierów, zawiadomić mnie o wszystkim szczegółowo.

Podpisano: *Jan hrabia Gudowicz.*

Tymczasem Tadeusz Kościuszko, witany i przyjmowany serdecznie w Paryżu, znosi się bezustannie z francuskimi mężami stanu, wysłuchuje ze wzruszeniem dokładnej relacji adjutanta Tremo o wkroczeniu Polaków do Rzymu, wreszcie w dniu 4 sierpnia 1798 roku pisze do cesarza Pawła list, odsyłając mu ofiarowane sobie niegdyś po uwolnieniu z więzienia 12.000 rubli. Pismo to narobiło w europejskich kołach dyplomatycznych wiele wrzawy, wywołując i w opisach ówczesnych wypadków sądy wielce różnorodne. Idzie w danym wypadku przedewszystkiem o rzekome złamanie złożonej carowi Pawłowi przysięgi. Znakomity autor monografii o Kościuszcze¹⁾ pisze w tej sprawie: »Z argumentów Kościuszki jeden — przymus, jakiemu ulegał i przewrotność ministrów rosyjskich — nie wystarcza na jego usprawiedliwienie, nikt bowiem od początku świata nie przyjmował uciążliwych dla siebie warunków bez jakiegos przymusu, bez smutnej konieczności. Był jeńcem wojennym, otrzymał wolność pod pewnymi

¹⁾ Jak wyżej. Str. 506.

warunkami, te warunki obowiązywały go osobiście. Przekraczały wprawdzie zakres prawa wojny, gdyż rozciągały się na całe życie, ale ze strony formalnej jurysprudencja rosyjska mogła jeszcze wygrać sprawę, ponieważ Polska nie istniała w rządzie organizmów międzynarodowych, wojen już nigdy toczyć nie miała prawa, a więc innego kresu jeńcowi polskiemu wyznaczyć było niepodobna. Ale Kościuszko powołał się na drugi argument: na ofiarę, jaką zrobił ze swych osobistych przekonań dla współziomków i dla narodu swojego, gdyż dla wyzwolenia siebie samego z pewnością nie przyjąłby narzuconego sobie poddaństwa. Obecnie, kiedy współziomkowie i naród wzywają go do innych usług, niesie im znowu osobę swoją i wszystkie swe siły w ofierze. Z tego stanowiska nawet obietnica nie walczenia nigdy z Rosją i z jej aliantami, zaprzeczana z jednej strony, utrzymywana z drugiej, traci swą moc.

Zresztą, zanim zdrajca Kościuszko — jak go nazywał w przystępie gniewu cesarz Paweł — swój list napisał, już Panin przestał go traktować jako wiernego poddanego Rosji i czynił u rządu francuskiego starania celem zapobieżenia, a gdyby było podobna, to i »zniweczenia nawet zbrodniczych zamiarów tego głównego sprawcy i podżegacza rewolucji w Polsce«¹⁾.

Rzecz naturalna, że po napisaniu i ogłoszeniu wiadomego listu do cara Pawła, stosunki jeszcze bardziej się zaogniły, wywołując »ukaz«, nakazujący jak najpilniejsze śledzenie ruchów Kościuszki oraz jego adherentów w kraju. »Ogłoszenie od Zarządzającego Gubernią Litewską Generał-Feltnarszałka Xięcia Repnina Wszystkim Litewskim Mieszkańcom« — wydrukował w polskim i rosyjskim języku autor monografii o Kościuszcze. Uzupełnieniem jego jest poniekąd »jak najsekretniejszy« okólnik Jana hr. Gu-

¹⁾ Ibid. Str. 507.

dowicza do podolskiego wicegubernatora Józefowicza, z daty 11 listopada 1798 r:

Jaśnie Wielmożny Panie Aleksy Eustachiewiczul

Bawiący w Berlinie nasz Pan Minister, tajny radca i kawaler orderów hrabia Panin, doniół mi pod dniem 9 (20) października o otrzymanej przez siebie relacyi, że Kościuszko wyjechał z Paryża pod nazwiskiem *Defrenua*, jak niektórzy przypuszczają, do Hamburga z zamiarem przedostania się w granice dawnej Polski, zdaniem innych do Włoch, gdzie połączyć się zamierza z wiadomym Dąbrowskim. Z tej racyi wydałem już okólnik do naczelników komór, jak również nadgranicznej i kozackiej straży, z zaleceniem, by jak najusilniej pilnowali, żeby on przypadkiem pod wskazanem nazwiskiem nie przekradł się w granice cesarstwa rosyjskiego.

Panu natomiast pospieszam polecić, byś Pan ze swej strony rozesłał pisma do najlojalniejszych urzędników miejskiej i wiejskiej policyi, z najostrzejszym rozkazem najbaczniejszego śledzenia, czy nie dojdzie do ich wiadomości cośkolwiek o Kościuszcze lub jego stronnikach, zamieszkałych w powierzanej pańskiej pieczy gubernii, albo też czy nie pokusi się ktokolwiek rozsiewać w imieniu Kościuszki lub jego zwolenników jakichś anti-państwowych tendencyj.

Gdyby coś podobnego w istocie się przytrafiło, należy bezzwłocznie winnego wziąć pod straż i wraz z wszelkimi podejrzanymi papierami do mnie odstawić, zapobiegając równocześnie, by sam karygodny zamiar w najmniejszym choćby stopniu nie pociągnął za sobą złych następstw w zarządzanej przez Pana gubernii.

Hrabia J. Gudowics.

Na tem kończy się nasz rękopiśmienny materyał.

Każdy krok Kościuszki — jak wspominaliśmy wyżej — śledzono nadzwyczaj pilnie. To też tajny agent pruski donosi

posłowi rosyjskiemu, że na kilka dni przed 23 października Kościuszko wyjeżdżał do Niemiec pod nazwiskiem Dufresnoy, a wiadomość ta odbiła się zaraz donośnem echem w poufnych pismach Panina i Gudowicza, a zapewne i Józefowicza do owych »najlojalniejszych urzędników«. «Miał zrazu jechać do Hamburga — słowa agenta pruskiego — lecz teraz udał się na Moguncyę i Frankfurt, gdzie będzie czekał nowych instrukcyj, do których zastosuje dalsze swoje wycieczki i kierunek całego, tajnie mu danego zlecenia. Opatrzony jest w weksle na 800.000 franków, wypłacalne okazicielowi w Amsterdamie i Hamburgu; ale pierwsze z nich zostały zaprotestowane i zwrócone nazad; jest nadzieja, że to samo spotka i drugie¹⁾. Pod dniem 9 listopada Haugwitz zawiadamiał znowu, iż »przed odejściem poczty z Paryża d. 26 października, awanturnik ten już był tam powrócił. Coraz bardziej prawdopodobnem się staje, że miał zamiar udać się do Włoch, ale na ten raz nie był dalej Brukselli, prędki zaś jego powrót przypisują głównie zaprotestowaniu weksłów, które miały go wspierać w dalszych przedsięwzięciach²⁾. Korzon twierdzi stanowczo, że w tych wszystkich doniesieniach tajnych agentów pruskich i rosyjskich jest wiele bałamuctwa i płonnych postrachów, gdyż na podstawie urzędowego dziennika korespondencyi legionu Dąbrowskiego stwierdzić można, że właśnie wtedy, gdy Kościuszkę tajni agenci wysyłali w swoich relacyach do Hamburga, Moguncyi, Frankfurtu, Brukseli i t. p. — bawił on nie gdzie indziej, jęho w murach Paryża.

Legioniści z korpusu Dąbrowskiego i Kniaziewiczza ginęli w obronie sztandarów francuskich na wielu polach bitew; krew polska lała się obficie, a powstające co chwila luki wypełniały przybyłe z kraju świeże żywioty. Pierwszy

¹⁾ Ibid. Str. 510—511

²⁾ Ibid. Str. 511.

naczelnik narodu spieszył zawsze z chętną pomocą rodakom, ale sam mógł dobyć szabli tylko pod własną narodową polską chorągwią i w marszu ku granicom Polski¹⁾. Chwila ta nie nadchodziła; nie ziszczaly się słowa marzurka Wybickiego, a i postępowanie Napoleona zbytniego zaufania wzbudzać nie było w stanie. Podpisany w dniu 26 stycznia 1801 roku traktat pokoju lunewilskiego stał się wyrokiem śmierci dla legionów. Dzielnych legionistów wsadzono — jak już wiemy — przemocą pod groźbą dział francuskich na okręty i wysłano z Władysławem Jabłonowskim, Wincentym Aksamitowskim i Fortunatem Bernardem na czele, przeciwko murzyńskiej rzeczypospolitej na Santo Domingo. Z 5647 przymusowych wygnańców wróciło do Europy niespełna 400 ludzi. Mimo taki dowód niewdzięczności, Napoleon do samej śmierci liczył w Polsce oddanych mu ślepo wielbicieli na tysiące.

Tadeusz Kościuszko nie należał do ich grona.

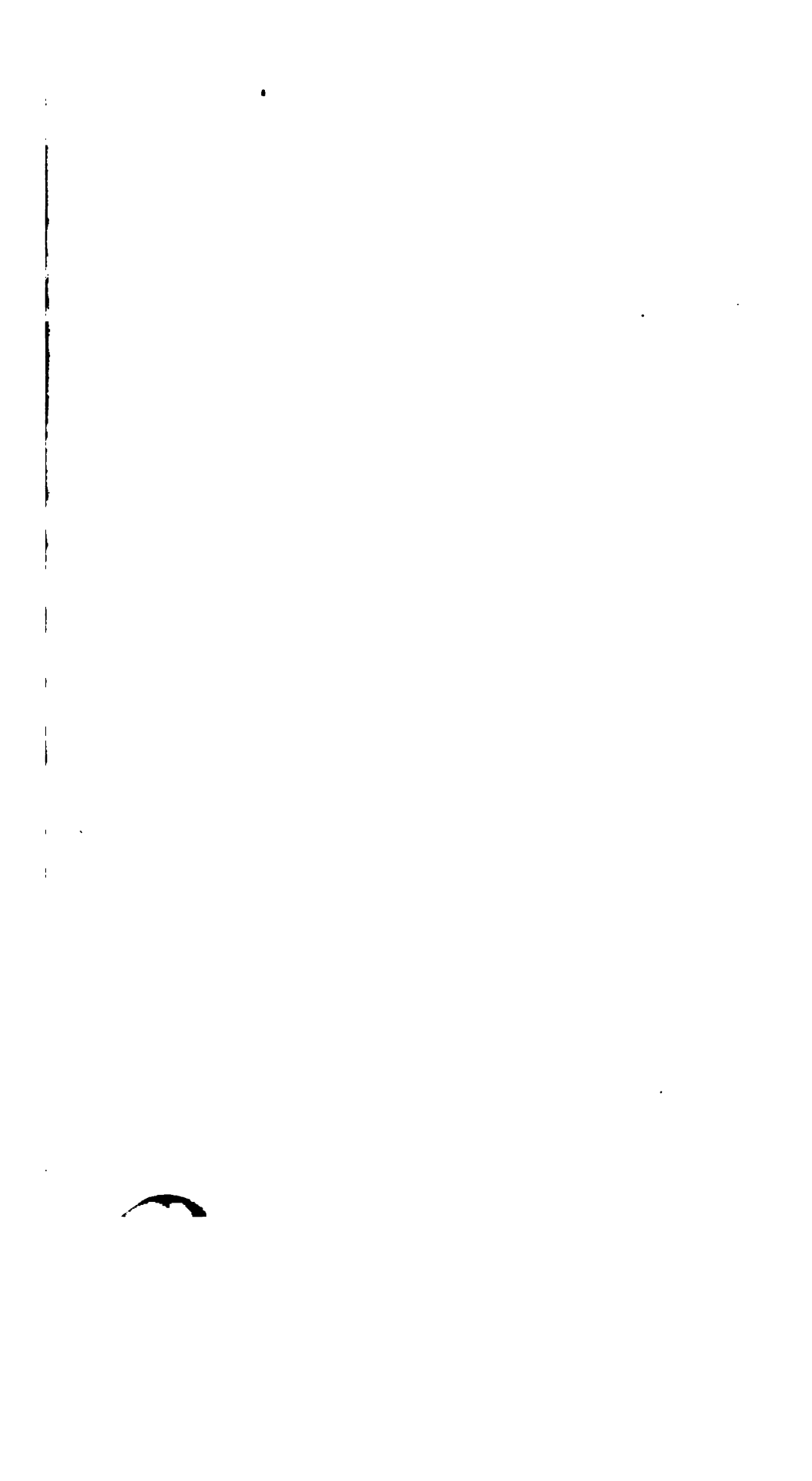
¹⁾ Ibid. Str. 514.



Z ŻYCIA DWORU WIEJSKIEGO

W PIERWSZEJ POŁOWIE UBIĘGŁEGO STULECIA

(FRAGMENT ANEGDOTYCZNY)



Dziwna jakaś rzewność opanowuje, skoro powiedzie nam się odsłonić bodaj rąbek tajemnicy, osłaniającej życie dawnych dworów polskich.

Dzisiaj uległy stosunki gruntownej zmianie: zdobycze techniki zbliżyły zapadłe nawet kąty do głównych centrów wielkoświatowego ruchu; zdemokratyzowały naukę, literaturę, sztukę i... życie całe z jego smutkami i radościami. Dwory wiejskie z ich przepięknymi tradycjami, charakterystycznymi zwyczajami i obyczajami, z wolna poddawać się również musiały pochodowi »postępu«. Inaczej wyglądały one przed wiekiem, żyły życiem odrębnym, a choć w znacznej części całą misję drukowanego słowa spełniały tu przysłowiowe popularne kalendarze berdyczowskie i książka do nabożeństwa, czytana formalnie przez kilka szczerze wierzących w moc odmawianej modlitwy pokoleń, trafiały się częstokroć dwory wiejskie, które tworzyły — zwłaszcza na Kresach — prawdziwe oazy polskiej myśli i polskiej kultury.

To też przygodny wędrowiec, zmuszony zakolatać do bram takiego dworu, ze zdziwieniem znachodził tam, obok staropolskiej gościnności, niezwykle wysoki poziom kulturalny i moralny, na co składały się całe pokolenia, żyjące tu i umierające po Bożemu.

Zagładnijmy do pamiętników współczesnych — że wspomnę tylko nieocenionego Detiuka (Andrzejowskiego),

Ochockiego, Olizara, Karwickiego (Wołyniaka) — a znajdziemy w nich niewyczerpaną skarbnicę, nieprzebrany materiał, z którego dowolnie korzystać może badacz przeszłości naszej. Wprawdzie trafiały się i w wiejskiem zaciśku gorszące skandale, z takim amatorstwem wylawiane choćby przez Bobrowskiego, lecz skrajny nawet pesymista nie uogólni ich na całe ziemiaństwo polskie; za jedną lub drugą lekkomyślną jednostkę nie ciśnie kamieniem potępienia na stan cały.

A właśnie do jednej z takich oaz myśli polskiej i kultury polskiej na Kresach, zamierzamy wtargnąć niedyskretnie, by z dostępnych nam okruchów wskrzesić i życie wśród jej ścian płynące i ludzi, zasiadających u gościnnego stołu światłych gospodarzy.

Zachętą do tego kroku stała się rzecz na pozór błaha: urywek pamiętnika, skreślony ręką kobiecą na kilku kartach grubego, poźółkłego od starości papieru. Tytuł fragmentu: »Wspomnienie domu rodziców moich i Wigilii Świąt Bożego Narodzenia między rokiem 1812 a 1818«. Nazwiska, znalezione w nim, jak również sam podpis autorki wspomnień, skłoniły do cofnięcia się myślą wstecz, dzięki czemu powstał niniejszy szkic obyczajowy.

Kobieta polska na Kresach przechodziła z biegiem wieków przez bardzo ciekawą ewolucję, by dojść do typu, którego doskonałą wyobrazicielką jest Emilia z Borejków Hołowińska.

Minęła bezpowrotnie epoka odważnych, zdecydowanych na wszystko niewiast kresowych, co u boku rycerskich małżonków ucierały się w stepie z pohańcami, po wyruszeniu »pana męża« na wojenkę chwytaly w dłoń cugle całego gospodarstwa na magnackiej choćby fortunie, a jeśli nadto długo przewlekały się lata spokojne, by wyladować zbyt animuszu i temperamentu, urządzaly, na czele służby dworskiej, zbrojne najazdy na włóci mniej sympatycznego sąsiada.

Zaginął typ walczącej z partją królewską na sejmikach, wiecznie rozpolitykowanej starościny liwskiej, ze Stadnickich Grabianczyny lub »Pani Kossakowskiej«, nie uznającej ani zaborczych monarchów, ani reprezentantów zaborczej władzy.

Miejsce ich zajęła w kresowym dworze kobieta światła, wzorowa matka i żona, gościnna a zapobiegliwa gospodyni... Z uśmiechem na ustach słucha ona opowiadań o ekscentrycznych towarzyszkach księcia Józefa pod Blachą lub o nadto blizkich stosunkach kuzynek swoich ze stolicy z ambasadorami obcych mocarstw, interesuje ją to i bawi, częściej może nawet oburza, ale za życiem stołecznem nie tęskni, nad Wisłę wybierać się nie myśli.

Wystarczają jej bezbrzeżne stępy i rozrywki wiejskiego życia.

* * *

I autorka naszego fragmentu była osobą wykształconą niezaprzeczenie ponad przeciętną w owe czasy miarę; włada piórem biegle, opowiada zajmująco, styl posiada jasny i poprawny, a gawęda jej rzuca wcale obfity snop promieni na życie zamożnego dworu wiejskiego w zaraniu ubiegłego stulecia, zasługuje więc, choćby z tego względu, na poznanie.

Fragment swego pamiętnika skreśliła pani Emilia 15 grudnia 1838 roku w Stebłowie, gdzie mieszkała poślubiona już Hołowińskiemu. Widocznie zbliżający się wieczór wigilijny poruszył w jej sercu wspomnienia z przed laty dwudziestu kilku, kiedy to jeszcze w domu rodziców spędzała święta Bożego Narodzenia. Co serce odczuło, rzuciła na papier, nie przypuszczając, że po upływie trzech ćwierci wieku niemal ktoś z jej bezpretensjonalnych notatek korzystać zapragnie. A właśnie jednak dlatego, iż fragment omawiany nie przygotowywany był do druku, posiada dla nas tem większą wartość.

Dla bliższego wyjaśnienia, kto zacy była nasza pamiętnikarka i kto ją rodzi — trochę szczegółów genealogicznych. Kwestyę sporną, dotyczącą miana znaku herbowego Borejków, pozostawiamy heraldykom; niech rozstrzygają czy pieczętowali się oni Boreyką, Jastrzębcem, czy wreszcie Kościeszą. W szkicu anegdotycznym rzecz to mniejszej wagi.

W światku szlacheckim odgrywali Borejkwie — rozrodzeni na Litwie, w województwach Wołyńskiem i Kijowskiem — w ciągu ostatnich stuleci wcale wybitną rolę: dowodem piastowane przez nich godności ziemiańskie, dowodem ich nazwiska, figurujące na dokumentach i aktach publicznych. Dalszym domysłem: znaczna doza poważania wśród swoich i popularność w kresowych prowincjach. Zdaniem Niesieckiego: »niektórzy twierdzą, że pamiętny Chodkiewiczów dom od Borejków swoje początki zabrał«¹⁾. Dopiero jednak za króla Jana III częściej występują Borejkwie, a zwłaszcza podpisani na akcie elekcyjnym w Wileńskiem: Jerzy Władysław, podczaszy wileński i Kazimierz Stefan.

Ten ostatni jest niezawodnie identyczny ze wspomnianym gdzieindziej pod r. 1680 Stefanem Borejką²⁾, podsędkiem wileńskim, domniemanym przodkiem Emilii Borejkwówny. Poślubiwszy Halszkę Rużyńską, miał z nią trzech synów: starostę pobersztyńskiego Jana, stolnika bractawskiego Michała i podczaszego wileńskiego Jerzego Władysława. W trzecim pokoleniu figuruje kasztelan zawichostski Piotr, »podobno wnuk Stefana«. Odtąd, genealogia już ustalona, doprowadza nas do Emilii Borejkwówny. A więc: Pius, podkomorzy latyczowski, poseł na Sejm 1791 roku, kawaler orderu św. Stanisława; Jan Nepomucen Piotr

¹⁾ Wydanie Bobrowicza, II, 241—42.

²⁾ K. Łódzia Czarniecki: »*Herbarsz polski podług Niesieckiego treściwie ułożony...* (powiększony)«. Gniezno 1875—1881. I. 292—293.

d'Alkantar, major wojsk polskich w 1794 r., odznaczony za potyczkę pod Boryszkowcami krzyżem *Virtuti militari*, podkomorzy mohylowski, właściciel licznych włości na Podolu i Wołyniu. Ożeniony był z Anną Hołowińską, z licznego potomstwa jego obchodzi nas bliżej Emilia.

Równocześnie z nim występuje na Kresach człowiek wybitny, odgrywający niepoślednią rolę w dziejach Liceum wołyńskiego i Komisji edukacyjnej — Wacław Borejko. Figuruje on na licznych świadectwach szkolnych, aktach i odezwach — obok Tadeusza Czackiego, Filipa Nereusza *grafa* Olizara, Michała Sobańskiego i Aleksandra hr. Chodkiewicza — z tytułem: »dozorca honorowy szkół w powiecie rowieńskim, bywszy marszałek tego powiatu, członek Komisji Edukacyjnej gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, kawaler«. Bliższe szczegóły o ciekawej tej postaci powtórzyć nam wypadnie w dalszym ciągu niniejszego szkicu.

Walecznego majora wojsk polskich najdosadniej sportretuje jego córka. Stałem miejscem pobytu państwa Piotrów było miasteczko Pików w powiecie winnickim, starożytna osada z XVI stulecia; niegdyś majątność rozgłośnego wojownika Filona Kmity Czarnobyłskiego, z kolei: Ostrogskich, Zaslawskich, Lubomirskich, Sanguszków, Potockich, Borejków, wreszcie — zwyczajna na Kresach kolej losu — Safonowych ¹⁾.

* * *

»Nie pomnę, w którym roku Wigilia Świąt Bożego Narodzenia nastęrczyła mi następne opowiadanie; wszystkie bowiem Wigilie, jak i znakomite święta, były sobie podobne u moich rodziców i to — zdaje mi się — wspólne im było z innymi mieszkańcami na wsi, a szczególnie w naszym kraju.

¹⁾ »*Słownik Geograf.* VIII. 125.

»Sąsiedzi będąc długo ciż sami, zatrudnienia i rozrywki też same, niewyjeżdżanie do miast, których mało i te dość odległe, a konieczność dla wielu zostania w domu, raz, aby poddani bez krzywdy i uciemżenia byli rządzeni; powtóre, aby dać — jaki kto może — majątek dzieciom swoim, tak w naszym położeniu potrzebny. Matka moja tą myślą była zajęta ciągle, a chociaż ojciec mój podzielał jej sposób myślenia, poznał, że zajęcie się gospodarstwem, domem i dziećmi jest jedynym celem mojej matki, od bardzo więc młodych jej lat, zlał na nią ważne i trudne obowiązki, które jej najmniej nie ciążyły, a którym szczególnie umiała wydołać.

»Sam będąc nadzwyczajnie żywym, kilkanaście lat młodości strawił był w wojsku, najpierw w austryackim, później w kawaleryi narodowej polskiej, aż pokąd ta rozwiązana nie została. To powinnyby dawać wniosek, że gusta wojskowe, a przynajmniej konie, myśliwstwo powinny być jego zabawką. Przeciwnie: lubił on owocowe ogrody i te były wyłącznie jego zatrudnieniem, chociaż i kwiaty i delikatniejsze rośliny miały dla niego powaby. Lubił wszystkie zwierzęta, a szczególnie ptaki. Czytywał niewiele, ale bardzo dobrych autorów, najbardziej dawnych polskich, gotyckimi literami drukowanych. Pism peryodycznych dużo trzymał zawsze, nietylko polskich, lecz francuskich i niemieckich. Niektóre z nich — a to jeszcze, gdy był młodym — czytywał pilnie; później w jego domu mieszkające osoby prozione bywały od niego, aby mu opowiadały, jeśli co godnego było w nich uwagi.

»Ośmioro nas rodzeństwa było u rodziców i dla wszystkich był dobrym, a dla niektórych z nas słabym ojcem. Częste u nas bywały spacery po kilka powozów, napakowanych nami, gośćmi, domownikami; bywały one we wszystkich porach roku, a nawet we wszystkie dni pogodne i niepogodne, tak dalece, że ja niebardzo żywa, wypraszałam się nieraz, aby pozostać w domu i przez ten czas czemś

spokojniejszym i dla mnie przyjemniejszym zająć się. Ale te dni wyjątkowe bywały rzadkie, albowiem matka moja, dużem gospodarstwem zajęta, ciągle pisała tak, że dla niej dziesięć godzin na dzień pisać było rzeczą powszechną — ja więc czułam całą wdzięczność dla niej i wyręczałam ją w przyjmowaniu licznych gości, którzy bez przerwy dom rodziców moich odwiedzali, a ten czy nie był już jednym z ostatnich domów, o których ja więcej słyszałam, niżli ich widywałam, gdzie sąsiad w dawnym kontuszu i elegant w wytwornem, nowomodnem ubraniu, sąsiadka z licznymi, drobnymi dziećmi, w bliskości trzymająca dzierzawę i wykwintna, świeżo z Włoch lub Paryża przybyła hrabina nieraz zjeżdżali się, jedni po wysłuchaniu nabożeństwa w kościele parafialnym, przyjechawszy na obiad i po wieczerzy dopiero odjeżdżając, drudzy — przybywszy o czwartej lub piątej po południu — zostawali do późna słuchać muzyki, którą ja i jedna już nieżyjąca siostra moja, znałyśmy, a którą nieraz grzeczni i pięknie wychowani sąsiedzi lubili słuchać i z nami ją dla drugich dawać słyszeć.

Matka moja, która krótko bawiła z gośćmi, bo wracała do pisania (nb. rachunków gospodarskich), później znowu przychodziła na godzinę najwięcej, bo nowe zatrudnienia wzywały ją napowrót; takiego wytrwania w pracy nie widziałam i nie wiem, czy widzieć będę. Ojciec mój dla nikogo w świecie nie byłby został dłużej nad pół godziny na jednym miejscu; lubił się przechadzać po wielkiej sali sam najczęściej lub z kim jeszcze, gdy sobie wybrał do towarzystwa, lecz to nigdy go długo nie bawiło. Czasem jednak ze mną wyłącznie rozmawiał (to pamiętam od najmłodszego mego wieku) o swoich latach dziecinnych, o matce, którą w szóstym roku życia swego utracił i pamiętał ją spoczywającą na katafalku, w ubraniu zakonem, bo musiała należeć do jakiegoś bractwa, którego to było obowiązkiem; wspominał także o ojcu swoim, a to

dla mnie z tem większem uszczęśliwieniem, bo już miałam lat dwanaście, gdy ten umarł.

»Przysłuchiwałam się pilnie, jak ten szanowny obywatel, wzgardziwszy względami dworu i trzymając się strony Czartoryskich — jakby to dziś powiedzieć, opozycyjnej, opinią narodową wspartej — gdy inni urzędy koronne, starostwa niezasłużenie brali, lub je za pochlebstwa dostawali, a on dziewiętnaście razy będąc posłem na sejmy, skromnym urzędem podkomorzego latyczowskiego, później — przed samym już podziałem kraju — podkomorzego podolskiego był zadowolony.

»Powiadał mi niekiedy o swoim dziadku, Piotrze Bo-rejce, regimentarzu partyi ukraińskiej, sławnym zadaną klęską pod Solodkowcami wojskom rossyjskim, pod dowództwem księcia d'Anhalt zostającym, którego pamięć tradycyjna dotąd w pieśniach ludu na Podolu utrzymuje się i pewniej imię jego poda do potomności, niż względy tego samego Augusta III, który go, po uspokojeniu zaburzeń, kasztelanem zawichostskim mianował. W tej potyczce pomimo odniesione zwycięstwo, dziad mego ojca tak ciężko był raniony, że go na płaszczach o mil sześć od pobojo-wiska przyniesiono do Latyczowa i odtąd zupełnie krajowi służyć wojskowo nie mógł.

»Często mój drogi ojciec wspominał mi o naukach, które był zaczął u eks-Jezuitów w Warszawie, następnie u kadetów tamże; o czasach, w których książę Adam Czartoryski, generał Ziem podolskich bierał go do Puław; jak z nim odwiedzał Wołyn i Podole; później mawiał o woj-skowych czasach, tak w Austrii, gdzie odbywał kampanie przeciw Turkom, pod dowództwem Laudona i księcia de Koburg i podczas jednej z takich rozmów darował mi kulę, którą był raniony przy zdobyciu Gradyski. Nareszcie opowiadał z czuciem nadzwyczajnem o ostatnich bitwach pod Zieleńcami, Dubienką, Markuszowem i t. d. i w jednej to z nich książę Józef Poniatowski dał mu garść krzyżów

wojskowych na placu bitwy, a gdzie (choć mi tego nie dodawał) sama domyślać się mogłam, że rozdający najpierwej na ten znak zasłużyć musiał.

»Nie pamiętam, aby oprócz mnie ojciec mój z kim innym podobne rozmowy miewał; wszystkie inne prędko sam kończył, a nie było tego człeka na świecie, któregoby opowiadanie, przeciągnięte nad kwadrans, nie znudziło go najzupełniej. Szczególną więc sprzeczność tej radości uważałam, jaką mu wszelkie bez wyjątku odwiedziny sprawiały i nigdy na tłok gości, ani mój ojciec, ani matka nie żalili się, a mówiąc o sprzecznościach, ileżby każdy z nas mógł ich znaleźć?

»Skreśliwszy, jak mogłam, rys niektórych zwyczajów w domu rodziców moich, dodam, że Wigilia Świąt Bożego Narodzenia była obchodzona tym sposobem: wszyscy w ten dzień jechaliśmy do kościoła, o tysiąc kroków odległego; wszystkich nas było dużo, bo przed powiększeniem naszej rodziny przez małżeństwa, bywały zawsze guwernantki, nauczyciele muzyki, tańców; nauczyciele brata, to starszego to młodszego, a na koniec goście tacy, którzy w roku w pewne dni przyjeżdżali na tydzień lub więcej. Po wysłuchaniu Mszy św., wracaliśmy wprost na śniadanie, gdzie jedzenia mnóstwo, a to bywało o dwunastej lub pierwszej. Następowala wieczerza z tradycyjnem sianem pod obrusem i kolędami. Wszystkim domownikom i gościom przystojnym składaliśmy życzenia, od nich wzajemnie je odbierając. Nastrój panował zawsze bardzo poważny i serdeczny. O północy ruszaliśmy znowu w kilkanaście sań na pasterkę...¹⁾

»...a w drugim dniu świąt zwykle bardzo wiele innych (gości), pomiędzy którymi nieraz bywali uczoney Jan Potocki, znakomity geniuszem i na ten czas pobożnością ksiądz

¹⁾ W tem miejscu braknie niestety dłuższego, zdaje się, ustępu we wspomnieniach Borejkwówny.

Zacharyasz Werner, poeta Tomaszewski, pominąwszy innych, mniej uczonych, lecz miłych i najśladzszych w towarzystwie.

»Oprócz tych jednak przyjeżdżało piętnaście lub więcej sąsiadów różnej płci i wieku, najczęściej najmniejszej z powyższymi osobami nie mających styczności i tych zabawiać również było moim obowiązkiem, tem trudniejszym do wykonania, że u moich rodziców nie można było wyłącznie rozmawiać z tymi, którzy odznaczeni się rozumem lub jakąkolwiek wyższością, przyznając się więc, że to dla mnie było najuciemięźliwszem.

»Ale czyż tej tylko małej ofiary warcicie byli, najlepsi rodzice! oddani pracy dla dzieci, i którzy dobre wychowanie i dalszy sposób utrzymania się z ujęciem własnych przyjemności tymże dzieciom dawaliście!!

»Widzicie może serce moje w tej chwili. Czemuż i dziś dla was nic uczynić nie mogę, bo i czemuż się wam wyplacę za wasze dobrodziejstwa...

* * *

Takim serdecznym zwrotem kończy Borejkówna swój krótki i niekompletny, niestety, fragment wspomnień. Już jednak i w dostępnym nam urywku odmalowała autorka bezpretensjonalnie, bez pozy i koturnów, a tak wdzięcznie życie domowe polskiego dworu u wschodniej ściany byłej Rzeczypospolitej.

Spo w tym jej szkicu dorywczym rysów charakterystycznych i bardzo typowych. Bezprzykładna gościnność, pewnego rodzaju demokratyzm pojęć, mimo gorliwego strzeżenia herbowego klejnotu; rządność, zapobiegliwość i oddanie się na usługi rodziny, skromnej i cichej kapłanki domowego ogniska, która na chwilę odrywa się od rachunków i zajęć gospodarskich, by równie serdecznie ucisnąć dłoń potentata powiatowego, jak borykającego się z przeci-

wnościami losu dzierżawcy z sąsiedztwa; szanowanie zwyczajów i tradycji, prawdziwa, głęboka wiara i t. d. i t. d. Czyż to wszystko nie starczy do zrównoważenia dziesięciu lub dwudziestu stołecznych papug, u których zachodnia kultura szła w parze z zachodniem zepsuciem?

Wspomniani we fragmencie stali goście Borejków, pozwalają nam ponadto stwierdzić, że dwór w Pikowie należał do takich, w których Potocki, Werner i Tomaszewski znajdowali odpowiedni dla siebie grunt, że tutaj ich rozumiano i ceniono. Trzy tylko nazwiska, mówią jednak znawcy danej epoki bardzo wiele: wszyscy trzej luminarze zajmują w dziejach kultury polskiej miejsca poczesne; obok specjalnych, poświęconych im monografij, znajdujemy o nich zaszczytne wzmianki w wielu ówczesnych pamiętnikach, a i dzisiaj jeszcze nazwisk ich pomijać obojętnie nie mamy prawa.

Jan Potocki, w prostej linii dziad współczesnych nam już Alfreda i Adama hrabiów Potockich, był gościem, przed którym otwierały się szeroko podwoje wszystkich domów polskich. Posel na pamiętny sejm konstytucyjny; rosyjski tajny radca i »zwierzchnik oddziału uczonych«, wysłanego przez Aleksandra I do Azji dla nawiązania nowych stosunków handlowych z Chinami; osobisty przyjaciel dworu pruskiego; jeden z najznakomitszych polskich podróżników, uczonego i dziennikarza, autor kilkudziesięciu prac przeważnie początki słowiańszczyzny wyświetlających; hojny przyjaciel Krzemieńca — aczkolwiek władał »podobno« bieglej językiem francuskim, jak ojczystym, był szczerze oddanym sprawie narodowej Polakiem i skoro zaszła tylko tego potrzeba, przerywał rozpoczętą podróż, rzucał w kąć pióro, by stanąć w szeregach walczącej armii, obciążając dobra swoje stale wypłacanym rokrocznie zapisem w kwocie 16.800 złp. na powiększenie liczby saperów polskich.

Opowiadać miał o czem: tematu do długich gawęd nigdy mu nie zbrakło; po odpowiedniem przygotowaniu

naukowem, zwiedza kolejno: Szwajcaryę, Włochy, Malte, Sycylię, Tunis, morze Czarne, Carogród, Aleksandryę, Kair, Piramidy, Wenecyę, Paryż, Holandycę, Anglię, Hiszpanię, Marokko, całe Niemcy, Wiedeń, Saksonię, Meklemburg, Hamburg, Lubekę, Rosyję i t. d. a wszędzie pędziła go jedna myśl przewodnia, krystalizująca się w ogłoszonych drukiem i pozostałych w rękopisach dziełach, których długi bardzo szereg notuje polska bibliografia.

Kilka lat ostatnich życia spędza na Kresach, zaglądając chętnie i często do Pikowa, gdzie każdy przyjazd Potockiego zapowiadał światłym gospodarstwu wiele nowych wrażeń, zapisywał się głęboko w pamięci ich dzieci. W grudniu 1815 r. przebiegła Podole i Wołyń smutna wieść: znakomity uczonej i podróżnik odebrał sobie życie. Wypadki krajowe sprowadziły nań melancholie, która wetknęła mu w końcu broń do ręki.

Długo wspomniano w dworach podolskich potomka senatorskiego rodu, co przewędrowawszy wszcz i wzdłuż olbrzymi szmat świata, legł w ziemi kresowej, tylokrotnie przesiakającej potem i krwią jego dzielnych przodków.

Czasy gruntownej uległy zmianie: dawnych szlaków tatarskich strzegła armia cara Aleksandra I, z którego imieniem łączyło społeczeństwo polskie tyle nieziszczonych złudzeń i nadziei; potomek bohaterów kresowych wyładowywał swój temperament w nieustannych podróżach...¹⁾

Inny zupełnie typ przedstawiał drugi ze stałych gości Borejów, ks. Fryderyk Zacharyasz Werner.

Główny poeta niemiecki, protestant, hołdujący wszelkim życia rozkoszom, przechodzi po spędzeniu 44 lat burzliwych na katolicyzm, przywdziewa sukienkę zakonną i gromi w wypełnionych po brzegi świątyniach wszystkie te przywary i wady, którym sam dawniej bałwochwalczo służył.

¹⁾ S. K. Kossakowski »*Monografie histor. genealog. niektórych roduw polak.*« z przypisami Jul. Błaszczńskiego. Warszawa 1860 T. II. 188.

Borejkówna poznała sprowadzonego przez ks. Stanisława Chołoniewskiego na Kresy Redemptorzystę-dramaturga, już w tej drugiej epoce jego żywota, zachwyca się też niezwykłą pobożnością kanonika katedry kamienieckiej. Nie wszyscy atoli współcześni równie dodatnio oceniali charakter Wenera. Spotkał się on z zarzutem »nieporządku wyobraźni«, a testament jego ma świadczyć »o całym dziwactwie pokornej niby a dumnej i rozdartej duszy«¹⁾.

Wspomnienie lat paru, spędzonych na Podolu i serdecznych stosunków z rodzinami polskimi, zwłaszcza Chołoniewskich i Grocholskich, przechował Werner aż do zgonu²⁾.

Dyzma Bończa Tomaszewski począł bywać w Piko-
wie już jako sześćdziesięcioletni starzec. Młodość miał
wcale ciekawą: skończywszy szkoły jezuickie w Sando-
mierzu, dostaje się, dzięki wpływowemu stanowisku wuja,
do kancelaryi królewskiej, skąd wysłany w delikatnej, po-
ufnej misji na sejmik wojewódzki sandomierski, zamiast
tam popierać propozycje monarsze, wstępuje w szeregi
konfederatów barskich i ranny wpada pod Lanckoroną
w ręce Rosyan.

Z trudem wydobyty z przykrych opresyj przez króla,
mimo, że jego zaufanie z tak lekkim sercem zawiódł, se-
kretarzuje w ambasadzie polskiej w Petersburgu. Po śmierci
ojca wraca do kraju, sprzedaje swoją schedę i wyrusza
w podróż po Europie; z kolei resztę fortunki powierza
Szczęsnemu Potockiemu i osiada w roli rezydenta-przyja-
ciela w Tulczynie.

Zetknięcie się to z królikiem kresowym wywiera sta-
nowczy wpływ na przekonania polityczne pana Dyzmy.
Człowiek rozumny, dowcipny i po swojemu do kraju przy-

¹⁾ Encykl. Orgelbr. T. XXVI.

²⁾ Dr. Albert Zipper »Zach. Werner u. d. Familien Grochol-
ski und Chołoniewski« Lwów 1896; wiele ciekawych szczegółów podają
dr. Antoni J., ks. Jan Badeni i inni.

wiązany, wychował się i wzrósł w bezwzględnem zamiłowaniu przywilejów złotej wolności szlacheckiej, dzielił ze starowiercami swojego czasu wszystkie ich przesady¹⁾, walczył piórem w obronie zagrożonych rzekomo podstaw narodu i państwa, wierzył z przekonania, że zbawienie kraju spoczywa tylko na tego rodzaju sposobie myślenia. Była to opinia błędna, szkodliwa — nie przeczymy; ale szczerza i bezinteresowna.

Już jako ślepy wykonawca poleceń błędzącego politycznie Szczęsnego, bawi Tomaszewski w r. 1792 w Jaszach, potem sekretarzuje Targowicy. Przeznaczony na ministra rezydenta do Amsterdamu, skoro sejm grodzieński uznał poselstwo to za zbyteczne, osiada pan Dyzma w Wiedniu, by na przemianę tutaj i we Lwowie spędzić niemal lat dziesięć swego życia.

Po długich staraniach ściąga go osamotniony i zgryziony Szczęsny Potocki z powrotem na Ukrainę, gdzie wieś Popówka czekała na dawnego swego dzierżawcę. Tutaj Tomaszewski trochę »niby« gospodaruje, więcej zabawia się piórem, ogłaszając co lat parę w Wilnie, Warszawie, Lipsku, Berdyczowie czy Połocku coraz-to nowy zbiór utworów.

Chwile wolne poświęca odwiedzinom współziemian, zaglądając częściej do Borejków, gdzie zawsze spotykał i szczerą gościnność, i rozumnych towarzyszków, z którymi można było swobodnie pogwarzyć o literaturze i polityce, tak często sprowadzającej na manowce. Umarł w Popówce 1825 r., jako honorowy członek Uniwersytetu wileńskiego. Zaszczyt ten spotkał go za poemat »Jagiellonida, czyli połączenie Litwy z Polską«, bardzo surowo potępiony przez Mickiewicza. »I niemalą jej przysługę wyświadczył — pi-

¹⁾ »Pamiętniki« Chrzęszczewskiego; F. M. Sobieszczański: »Encykl. Orgelbr.« T. XXV. 350—351.

sze trafnie dr. Antoni J. — ¹⁾ Taki to już los geniusza; do czego się dotknie, ślad swojej wielkości na dotkniętym przedmiocie zostawi... Każdy dziś w dziełach Adama czytający jego nad Jagiellonidą uwagi, samą Jagiellonidę przeczytać musi koniecznie...«

Do grobu zeszedł 77-letnim starcem, do ostatniej chwili marząc o napisaniu »Usprawiedliwienia«, to jest pobudek, które skłoniły go do protestu przeciw konstytucji majowej.

Winę ojca zmazał syn Józef, porucznik wielkiej armii, potem poseł na sejm warszawski 1831 r. i tułacz. Emigrantowi skonfiskował rząd majątek wcale znaczny, a on, nad Sekwaną znosił z żoną i dwojgiem dzieciaków nędzę swoją z dziwną pogodą, bez słowa skargi lub żalu.

* * *

Uroczystości weselne odbywały się zwyczajnie w wiejskich dworach polskich jesienią po ukończeniu zbiorów. Od tej zasady nie odstępili i Borejkowie, wydając pannę Emilię za dalekiego kuzyna po matce, dziejom literatury polskiej bynajmniej nie obcego, pana Hermana Hołowińskiego.

Było to w r. 1818. Szlachta zjechała się tłumnie w Pikowie; proboszcz, przyjaciel domu, pobłogosławił młodej parze na życie całe; lud z rozrzewnieniem żegnał swoją panienkę; przy kolacyi weselnej toastowano na potęgę; potem tańczono do rana, ściskano się; na odjeźdźnym nie pominięto tradycyjnego »strzemiennego«... jak zwykle na wsi polskiej.

Dzisiaj, gdy już zamilkło dawno choćby tysiączne echo owych wiwatów weselnych, a z gości ślubnych ani jeden nie pozostał chyba wśród tułających się po świecie, znowu dokument współczesny, bezpośredni świadek dzie-

¹⁾ »Opowiadania historyczne« Serya III. Warszawa 1882, str. 162, Szkic pod tyt. »Dyzma Bończa Tomaszewski«.

jów serca Emilii Borejówny, dostarcza nam sporo charakterystycznych rysów do życia ziemian polskich, a zestawiony z dzisiejszemi intercyzami ślubnemi, wyjaśnia, w jaki sposób w zaraniu ubiegłego stulecia wyposażano panny w domach, których zamożność wysokiej nawet sięgała stopy.

Skoro ludzie zamilkną, przemawiają dobitnie i jasno zbutwiałe dokumenty; nasz, prócz wspomnianej wyżej ciekawej strony, posiada nadto inną, niemniej charakterystyczną i pouczającą, że podkreślimy choćby tylko ceny składowych części wyprawy.

Tytuł dokumentu, wiernie przepisany: »Regestr wyprawy JWW. Jana Boreyka i Anny z Hołowińskich Boreyków małżonków W. Emilii Boreykownie Córce swoiey JW. Germana Hołowińskiego zaszlubionej Żonie dany, z wyszczególnieniem Szacunku Oney Roku 1818. Dnia 5 Sempembra w Pikowie«. Autentyczność stwierdzają pieczęcie herbowe i podpisy rodziców, narzeczonych, wreszcie dwóch »uproszonych przyjaciół i świadków«, imię panów Jakuba Kochanowskiego i Jana Chrząszczewskiego.

Na czele »regestru« figuruje najcenniejsza część wyprawy: kolczyki brylantowe wartości 3.000 złotych. »Fermuarek« szmaragdowy z brylancikami kosztował 600 złp. Zwierciadło w srebro oprawne i także drobiazgi do gotowania, jak np. pudełka srebrne cztery, para lichtarzy, szczypce, wszystko razem 333 lutów wagi — 1.826 złp. Za dwie tyfytkowe chustki zapłacono 2.000 złp.; za szubę, podbitą czarnymi lisami, 1.200 złp.; za podwójny dywan angielski 660 złp. i 20 groszy. Kołdry pikowe płacono po 100 złp.; płaszcz czarny, atlasowy na wacie, z pelerynką aksamitną, kosztował 376 złp.; ośmnaście par długich rękawiczek i krótkich — 86 złp.; czternaście par pończoch jedwabnych białych i czarnych — 140 złp.; bawełnianych pończoch par dwanaście — 83 złp. groszy 10; tuzin par trzewików 86 złp. 20 groszy. Gotówką wręczono pannie

młodej 2.000 złp., a »Summa Całego Szacunku wyprawy« wyniosła 20.075 złotych polskich.

Młode małżeństwo przeniosło się do Steblowa. Dzisiaj zaniedbana wieś, po obu brzegach rzeki Rosi, w powiecie kaniowskim, rozrzucona, licząca bez mała 3.000 obywateli, w znacznej części mojżeszowego wyznania — posiadał niegdyś Steblów przeszłość ciekawą i urozmaiconą. Osadzony na ukrainnych Kresach, na samym szlaku, kędy w ziemi Rzeczypospolitej wpadały tatarskie zagony, narażony był — zwłaszcza w epoce kozackiej zawieruchy — na rozmaite niespodzianki, a mieszkańcy jego czynny nawet w walkach przyjmują udział. Za Chmielnickiego zostaje Steblów miastem sotniczem, należącym do pułku korsuńskiego¹⁾; w roku 1659 nadany tytułem nagrody Fedorowi Kiprianowiczowi Wyhowskiemu²⁾, z kolei przechodzi drogą donacyi na hetmana Pawła Teterę, który bezzwłocznie na wyspie Rosi buduje zameczek, co w czasie wojny z Czarnieckim rozprawy i późniejszych najazdów tureckich, oddać miał kozakom niemałe usługi.

Nie mając bynajmniej zamiaru pisać, co prawda bardzo zajmującej, historii Steblowa, powstrzymujemy się od wnikania w szczegóły. Dodamy jedynie, że owa donacya Wyhowskiego, uczyniona niezupełnie zgodnie z obowiązującymi prawami, stała się następnie powodem licznych procesów i zatargów między sukcesorami Wyhowskiego i Tetery: rodzinami Wyhowskich, Bejzymów i Ostrowskich, a z kolei między nabywcami ich domniemanych pretensyj: Jabłonowskimi i Radziwiłłami.

Ostatecznie utrzymał się przy Steblowie Józef Aleksander Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, sławny z pychy, dziwactw i uczoneści, jeden z tych magnatów, co to w chwilach samotnych rozmyślał marzyli o piaszczu

¹⁾ Edw. Rulikowski. »Słownik Geograf.« XI. 309.

²⁾ Volum, Leg. VI. 303.

królewskim i koronie Piastów i Jagiellonów. Dla wywalczonego z trudem miasteczka był on jednak prawdziwym dobroczyńcą, pod jego też czujnym okiem rozrastało się ono i bogaciło.

Józef Aleksander, »książę imperium rzymskiego«, rozstał się z tym światem w Dreźnie 1778 roku, przeżywszy syna jedynaka, Augusta Dobrogosta, który pod mianem »Czumaka« lub »Księcia kozaka« przeszedł do podań ludu ukraińskiego, jako jedna z najekscentryczniejszych postaci ośmnastego stulecia.

Po licznych awanturach w rodzinie Woronieckich, dostaje się w 1812 r. Steblów drogą kupna w posiadanie Onufrego Hołowińskiego, a z kolei przechodzi prawem dziedzictwa na jego syna, Hermana, ożenionego z Emilią Borejkową.

Dom nad brzegiem Rosi, przerobiony z dawnego arsenału awanturniczego »Księcia kozaka«, otwarł szeroko gościnne podwoje na przyjęcie nowej pani. Wnosiła ona do tego zakątka, owianego legendami i podaniami z burzliwych lat dawnych, liczne przymioty towarzyskie i obywatelskie.

Oko rozmiłowanej w pięknie gospodyni czuwać miało nad ogrodem chińskim, rozciągającym się przed gankiem i nad sadem owocowym, rozrzuconym malowniczo po skałach nadrzecznych, a w razie zmartwień lub nieuniknionych trosk życiowych, szukać ona mogła pociechy i ukojenia we wzniesionej tuż obok dworu kaplicy, w której krewniak męża, rozgłośnej sławy i wielkiej nauki metropolita ks. Hołowiński, niejednokrotnie na jej intencję Mszę świętą odprawiał.

I powstało na Kresach nowe środowisko kultury i myśli polskiej, nowa oaza życia umysłowego, ku której zwracały się oczy całego ówczesnego ukraińskiego społeczeństwa. Nic też naturalniejszego, że droga steblowska nie porośla trawą i burzanem w opuszczeniu i zapomnieniu; przeci-

wnie, toczyły się po niej bezustannie poszóstne i poczwórne karety, obok skromnych bryczek i wózków, bo światli i gościnni gospodarstwo przyjmowali wszystkich równie serdecznie i szczerze, umieli zastosować się do wyobrażeń i zapatrywać wielkich i maluczkich, luminarzy nauki i prostaczków.

A tych, co stali w owe czasy u czoła narodu, bynajmniej w Steblowie nie brakowało: obok gospodarza przyjmowali udział w dyskusjach bez końca: Wacław Borejko, Michał Grabowski, Konstanty Świdziński, Gustaw Olizar; w późniejszych latach metropolita Hołowiński i Konstanty Podwysocki, a nadto przyjaciele-domownicy, stale pod gościnnym dachem Hołowińskich przebywający, autorowie ciekawych bardzo pamiętników: Micowski, Wróblewski i Chrzęszczewski.

Już choćby sam suchy registr nazwisk wystarczy do uzmysłowienia sobie, jakie sprawy omawiano w Steblowie, jaki duch panował w tych murach dawnego arsenału awanturniczego księcia. Hołowiński z amatorstwem gromadził bibliotekę i archiwum, każda więc nowa książka, każdy zdobyty dokument, nastęrczały tysiące sposobności do nawiązania dyskusyi, tak bardzo dla otoczenia ciekawej i pouczającej.

Trzy ćwierci wieku, kawał to czasu ogromny: zatarły się szczegóły rysów gości steblowskich, zamarły echa ich słów, mimo te jednak braki, wychylają się ku nam z współczesnych zapisków i pamiętników sylwetki ciekawego bardzo grona ludzi, staramy się przeniknąć oddzielając nas od nich zasłonę...

O czym też oni w Steblowie mówić mogli, jakie były ich zapatrywania na bieg spraw publicznych, jak oceniali własne społeczeństwo, co sami zdziałali, myśleli? i tysiące innych pytań wymyka się z pod pióra. Pozornie nie znajdujemy rozwiązania zagadki, złożonej z tysiąca ogniów, ale pozornie tylko. Pamiętniki, których ogromną wartość oce-

nił u nas pierwszy nikt inny, tylko właśnie Michał Grabowski, pozwalają niedyskretnemu oku wnikać w mury stebłowskiego dworu, a fantazya, która tak często działa cuda, i tym razem zawieść nas nie powinna.

Wspominaliśmy już poprzednio, że w Steblowie przemieszkiwało stale trzech domowników: Chrząszczewski, Micowski i Wróblewski, którzy pozostawili cenne bardzo pamiątki. Spisali je — jak wiemy — pod wpływem Grabowskiego i Hołowińskiego, domysł więc łatwy, że we wspólnych gawędach zawarte w nich własnie kwestye niejednokrotnie musiano poruszać i omawiać.

Obok tych trzech zacnych domowników, również za namową Grabowskiego, skreślił niezwykle ciekawe wspomnienia sędziwy p. Wacław Borejko, materiału więc do dociekań i przesłanek bynajmniej nie braknie.

I jeszcze jedna uwaga nie bez znaczenia: po zamknięciu Liceum krzemienieckiego, którego niespożyte zasługi oceniano już niejednokrotnie, wywołał Henryk Rzewuski nieogłędny i wysoce stronnicy sąd, ogłoszony w popularnych ponad rzeczywistość swoją wartość »Mięszaninach« Jarosza Bejły, całą powódź broszur polemicznych za i przeciw szkole Czackiego. Kto jeno mógł, chwytal za pióro, by ostatecznie zgnębić przeciwnika, że zaś wśród polemistów, w obozie krytyków Liceum, znalazł się — z wyjątkiem Gustawa hr. Olizara, autora broszury »Pomięszanie Jarosza Bejły« — cały sztab stebłowski, przybywa więc nam tem samem nowy materiał, nowa kanwa, na której dowolnie snuć możemy barwną nić fantazyi.

O Henryku Rzewuskim trafnie powiedziano, iż był on równie zapalonym Targowiczanielem w pracach swoich literackich, jak dziad jego w polityce. Duch przekory i wygórowana ambicya równie silnie występowały u towarzysza jego harców literackich w »Tygodniku petersburskim«, pana Michała Grabowskiego; trzecim zaś w tryumwiracie, pragnącym za wszelką cenę narzucić swoje hasła litera-

ckie społeczeństwu polskiemu¹⁾, był metropolita Hołowiński — pod suggestyą przemożną tych trzech bądź co bądź współczesnych potęg znajdował się cały Steblów.

Nie pewnik to, ale domysł, nie daleko odbiegający od rzeczywistej prawdy.

We fragmencie anegdotycznym niepodobna omawiać obszerniej tej charakterystycznej bardzo, bezkrwawej wprawdzie, mimo to niezwykle zawziętej i nieprzebierającej w środkach walki²⁾; stwierdzamy jedynie fakt, że stali goście steblowscy wystąpili na całej linii przeciw Krzemieńcowi, a pobudki i w znacznej części wytłumaczenie takiego właśnie ich stanowiska, znajdujemy znowu przede wszystkim w pamiętnikach Borejki i Micowskiego, ogłoszonych drukiem staraniem... Michała Grabowskiego.

Po pobieżnym chociażby przerzuceniu tych zapomnianych dzisiaj niesłusznie kart³⁾, wydaje nam się, jak gdybyśmy słyszeli Grabowskiego, piorunującego na błędne, zbyt »swobodne« wychowanie krzemienieckie; na bilardy, baliki i kasyna; na brak surowej dyscypliny szkolnej. Wacław Borejko przytakiwał mu, podkreślając zalety szkoły międzyrzeckiej, której był opiekunem i »honorowym dozorcą«.

Słowa czcigodnego weterana w służbie obywatelskiej dały assumpt obecnemu dyspucie, uczniowi szkół pijarskich, Micowskiemu, do wytoczenia strasznych zarzutów przeciw Krzemieńcowi. Zapal uniósł go zbyt daleko:

Opisawszy zasługi pedagogicznie i obywatelskie OO. Pijarów, moralność i religijność wśród kształcącej się w ich szkołach i konwiktach młodzieży, ciągnął pan Micowski dalej: »A najprzód rygor i karność, tak potrzebna w mło-

¹⁾ Dr. Antoni J.: *»Józef Ignacy Krassowski i ksiądz Stanisław Chołoniewski«*. Lwów r. 1878.

²⁾ Więcej szczegółów w pracy mojej p. t. *»Ateny Wołyńskie«*. Lwów, nakład Gubrynowicza i Schmidta.

³⁾ *»Pamiętniki domowe«*, zebrane i wydane przez Michała Grabowskiego. Warszawa, rok 1845.

dym wieku, ściśle była przestrzegana, a chociaż nie używano częstej i licznej chłosty, jaką się odznaczali Patre Societatis Jezu (nb. dawny wychowaniec pijarski nie omiął żadnej sposobności, żeby nie przypiąć latki szkół jezuickim), lecz mieli inne jakieś sposoby, zależące raz o powagi przelożonych, powtóre od dawnego wkorzenia.

»Czwartego lipca, w święto Józafata Kalasantego Patriarchy Pijarów, odbywał się examen generalny publiczny«, w obecności tłumnie przybyłych na tę uroczystość szkolną rodziców i opiekunów młodzieży. »Ale że i publikum nie było w owe czasy dość w prawie sądenia, najczęściej więc honor słuchania uczniów dostawał się tu ot obecnemu panu Borejкови z Samostrzał, jako obywatelow mającemu sprawiedliwą opinię naukowości«.

Z czasem i szkoły pijarskie zaczęły podupadać. »Wia domo bowiem, jak Krzemieniec, główna szkoła i gwiazda tych prowincyj, był rozpustno-liberalny; gdzie uczniowie nieograniczoną mieli wolność i żadnych nad sobą ostróżliwych; gdzie cukiernie, bilardy, były miejscem uczenia się lekcyj, gdzie wieczory tańczące, wizyty obojczy oddawane ciągle mieszkającym rodzicom, odrywały od nauk uwagę ich synów, którzy potem w klasie nie tego słuchali, czego uczył profesor, lecz myśleli o tem, co mówiła panna Amelia — gdzie zamiast lekcyj, repetowan tańce na przyszły wieczór itp. Taki przykład wyższej sfery bardzo się prędko i do innych szkół rozciągnął. Ie uczniowie swoje niedbalstwo i nieposłuszeństwo, zasłania tarczą krzemieniecką; że tam od uczniów tego nie wymagano, że pokuty, a co mówić o karach, zniesiono; że punkt honoru to wszystko ma zastąpić...

— Spisz to, Micunio! — wołał Grabowski i nuż na mawiać, przekonywać o ważności pamiętników: »Troskliwie prawie namiętne, wyszukiwanie wszystkich śladów prywatnego bytu i obyczajów narodu jest jednym z najcharakterystyczniejszych znamion obecnej chwili. Nie u na

jednych to się dzieje: jest to prawie zamilowanie powszechne; skutek wielu i odległych przyczyn i żeby najbliższej tylko dotknąć, wynikłość ogólnego pojęcia literatury i nawzajem, dla nowych jej potrzeb sprawa nieodzowna¹⁾.

Rozmyślnie zatrzymaliśmy się dłużej nad aferą krzemieniecką, z różnych bowiem przesłanek wnioskując, wracała ona najczęściej na porządek dzienny stebłowskich dyskusyj. Poznając dzisiaj wierne odbicie owych duspud bez końca, w domu państwa Hołowińskich prowadzonych, w pamiętnikach Micowskiego i w komentarzach Grabowskiego, nie możemy się dość nadziwić, że tak wyjątkowo światło grono mogło posunąć się w krytyce »zachodnich nowości« Czackiego do punktu, graniczącego niemal ze śmiesznością...

Innym razem poruszono na werandzie stebłowskiego dworu sprawę obyczajów i zwyczajów w Polsce; wychowania młodzieży z doby przedrozbiorowej; wady z czasów Stanisława Augusta a nawet epoki Saskiej, tak obszernie i barwnie opisane następnie w pamiętnikach Wacława Borejki. Że zaś w rodzinie Borejków z pokolenia w pokolenie przechodziło niezwykle zamilowanie do kwiatów, a ogród pana Wacława w Samostrzałach, urządzonego przez sprowadzonego z Anglii Miklera, cieszył się nawet poza granicami Wołynia dobrze zasłużoną sławą²⁾, nic więc dziwnego, że i to było tematem niejednej rozmowy w Stebłowie. Wywoływała ją najczęściej pani Emilia, która skaliste wybrzeża Rosi z roku na rok w coraz czarowniejsze przystrajała szaty.

Skoro gawęda z zasadniczej sprawy wychowania publicznego przenosiła się na poszczególne, wybitniejsze osobistości na Kresach lub na wypadki dziejowe, Chrząszczewski, doskonały narrator, wspominał czasy spędzone na

¹⁾ Grabowski, j. w. przedmowa.

²⁾ T. J. Stecki: »Wołyn«. Lwów 1864 I. str. 192.

dworze Szczęsnego Potockiego; malował w wyrazistych, śmiałych konturach sylwetki rozmaitych działaczy z Targowicy; do lez rozrzewniał historią śmierci ślicznej Gertrudy Komorowskiej. Wszystko to potem spisał w świetnym pamiętniku, ogłoszonym zaledwie w skromnej części drukiem ¹⁾.

Zresztą żaden fakt ważniejszego znaczenia nie przeminął w Steblowie bez echa. Tutaj panowały myśl polska i kultura polska wszechwładnie, w najrozmaitszych swoich przejawach, a choć Grabowski posiadał umysł i sąd nadto może na owe »romantyczne« czasy trzeźwy, krytyczny i niejednokrotnie wywoływał przykry rozdzźwięk między głoszonymi hasłami a opinią reszty polskiego społeczeństwa, mimo to stanowił bezsprzecznie i w Steblowie oś, wokół której wszystko się obracało.

W latach późniejszych przybywa do naszej gromadki popularny metropolita Hołowiński, świetny kaznodzieja, wcale poczytny autor; zjawia się wśród niej Konstancy Świdziński, którego z gospodarzem łączyła przedewszystkiem żyłka zbieracza ksiązek i starożytności, uwieńczona tak pięknym i pożytecznym dla ogółu rezultatem; wreszcie przyszedł mąż wychowawcy Hołowińskich, Konstancy Podwysocki, który miał dalej powiększać zbiory biblioteczne i archiwalne pana Hermana.

Zreasumujmy raz jeszcze wszystko: pamiętniki współczesne odpowiedzą nam na wiele postawionych wyżej pytań, każdy bowiem, co jeno pisał o społeczeństwie ukraińskim z pierwszej połowy XIX stulecia, nie mógł zbyć milczeniem tyle światłego i poważnego — mimo liczne choćby swoje wady — grona. Resztę dopowiadają ciekawym literaturą i bibliografią polską, na których kartach przypadło gościom steblowskim miejsce bynajmniej nie ostatnie. A je-

¹⁾ Oryginał w zbiorach kurnickich; dosłowna kopia, sporządzona przez Podwysockiego, w posiadaniu piszącego.

śli kto przystąpi kiedy do skreślenia całokształtu dziejów kultury polskiej na Kresach, wówczas ocenić będzie musiał odpowiednio i społeczną, obywatelską działalność takich ludzi, jak obaj Hołowińscy, Borejko, Grabowski, Olizar, Świdziński, Konstanty Podwysocki i stali ich towarzysze.

* * *

Rok 1825 zapisał się w kronikach Steblowa złotymi głoskami, raz jeszcze przypominając społeczeństwu polskiemu zapadłą miścinę nad brzegami Rosi. W podróży z Petersburga do Odessy zawitał w dniu 9 lutego, w mury dawnego arsenału »księcia kozaka« Adam Mickiewicz. Tego, co miał wrychle myśli polskiej hetmanić, czuć i cierpieć za miliony, a ducha polskiego stać się najdoskonalszem odzwierciedleniem, nie witano biciem w dzwony i strzałami armatnimi, które tutaj dawniej brzmiały niejednokrotnie, ale na widok wstępującego w progi polskiego na Kresach dworu, młodzieńca z aureolą geniusza u skroni, zabiły żywiej serca polskie, wyciągnęły się ku niemu dłonie w gorącym uścisku.

Jak doszło do tych odwiedzin, nadto pobieżnie wspomnianych przez Piotra Chmielowskiego ¹⁾, najdokładniej objaśnia nas »Bolesław z nad Dniepru«, serdecznymi węzłami związany z rodziną Hołowińskich ²⁾, ten, któremu zawdzięczamy przedewszystkiem ogłoszenie w r. 1860 w »Gazecie Codziennej« nieznanego ogółowi wiersza Adama, wpisanego przez wieszczka w imionniku pani Emilii.

Skreśliwszy w krótkim zarysie dzieje Steblowa, opowiada w dalszym ciągu informator z nad Dniepru: »Obok ogrodu ś. p. Herman Hołowiński wymurował dom choć niewielki, lecz za przybyciem gości roztwierał się, obszeriał. Panowała w nim staropolska gościnność, serdeczność,

¹⁾ »Adam Mickiewicz«. Zarys biograficzno-literacki. Tom pierwszy. Warszawa-Kraków. 1886. Str. 324.

²⁾ »Tygodnik Ilustrowany«. Warszawa 1868. Nr. 9 i 1878. Nr. 118.

solidarność między bogatymi i biednymi, uczonymi i prostaczkami. Tam każdy przyjeżdżał jakby do rodzinnego domu. Na przywitanie każdego wychodził gospodarz z wyciągniętymi ramionami, chwytając w swe serdeczne objęcia przybywającego, a żona z uśmiechem ujmującym na progu witała gości. Stąd nic dziwnego, że wielu tam znajdowało przytułek najprzyjaźniejszy, chroniąc się przed burzliwą niedolą tego świata.

»Gościnność ta, uprzejmość i słodycz rozślawionego domu Hołowińskich, ściągnęła do Steblowa i wielkiego poetę, Adama Mickiewicza.

»Stało się, że Herman Hołowiński, będąc w Petersburgu, poznał się z Adamem i zaprosił go do siebie. Wieszczy nasz przyrzekł i — dotrzymał słowa — zawitał do Steblowa 9 lutego 1825 roku. Bawił tu dwa tygodnie. Z pewnością zwiedził i sąsiedni Korsuń, pełen historycznych pamiątek i czarującej piękności. Pokazują pokój w domu murowanym od ogrodu, w którym Adam przemieszkiwał. Tu było krzesło i stół, przy którym pisywał, i łóżko żelazne, na którym sypiał; teraz (1878 r.) ono znajduje się w Rychtach pod Kamieńcem, w majątku Podwysockich. Pani Podwysocka na mą prośbę udzieliła mi następującej wiadomości: Napis na łóżku żelaznym, na którym sypiał Adam, nieco zatarty, jest taki: »Na tem łóżku spoczywał Adam Mickiewicz, przybyły do Steblowa 9 lutego 1825 roku«. U tej poczciwej rodziny znajdują się i listy, które Adam z drogi, po wyjeździe z Steblowa, pisywał do pani Hermanowej«. Album »w stanie dość nadpsutym« przechowuje siostra pani Emilii, Szymanowska.

Tyle »Bolesław z nad Dniepru«. Jaki los spotkał owe drogie sercom polskim pamiątki po Mickiewiczu, powiedzieć nie umiemy ¹⁾.

¹⁾ List Mickiewicza do Hołowińskiego z daty 23 czerwca 1826 r. dostał się do zbiorów hr. Działyńskiego w Kurniku i ogłoszony został drukiem (»Koresp. Ad. Mickiewicza« t. I. Paryż 1870 str. 329).

Wróćmy jednak do gościny Adama w Steblowie. Że go tam przyjęto z wyszukaną wprost serdecznością — nikt nie wątpi. Że poeta opuszczał zakątek nad Rosią oczarowany a myślą później częstokroć doń powracał — i na to posiadamy dowody w listach i utworach Mickiewicza.

»Sztambuchy«, dzisiaj z rzadka jeno napotykanne na biurkach pań naszych, panowały wówczas wszechwładnie. Powszechnej modzie czy potrzebie podnieconego wypadkami ostatnich kilku dziesięcioleci serca, hołdowała i pani Emilia. W ciągu rozmowy z poetą-gościeniem znalazła się na stole i niepokazna książeczka, a gość ten, powolny wezwaniu uroczej gospodyni, wpisał na podsuniętej ćwiartce pamietne słowa:

»Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza,
Życie jest wąską ścieżką, łączącą dwa morza.
Wszyscy z przeszłości mglistej w przyszłość lecim mroczną;
Jedni najprościej dążą i najrychlej spoczną;
Drugich na stronę wiodą ludzace widoki:
Plony, ogrojecie wdzięków i sławy opoki.
Szczęśliwi, jeżeli goniąc mary wyobraźni,
Przed końcem drogi znajdziem świątynię przyjaźni!«

Pan Herman pokazywał gościowi swoje zbiory; pani Emilia nie omieszkała zapewne przy pierwszej nadarzającej się sposobności oprowadzić rozmiłowanego w polskiej florze poetę po ogrodzie, który jej staraniom i zabiegom zawdzięczał swój rozkwit. Ozdobne kwietniki, rzadkie rośliny spoczywały co prawda pod białym całunem śniegu, lecz lipy, sadzone jeszcze przez Jabłonowskich, były w niebo imponującymi konarami i musiały nawet zimą, pozbawione liścia, zachwycić przychodnia ze stron dalszych.

Na Mickiewiczu wywarły olbrzymie wrażenie: wszak właśnie owym lipom zawdzięczają Hołowińscy, iż nazwisko ich po wiek wieków upamiętnione zostało w czwartej księdze »Pana Tadeusza«. Wyraz podziwu dla cudu przyrody zbiegł się w pamięci wieszczka z poczuciem wdzięczności

za kilka chwil rozkosznych wśród szarej życia wędrówki;
z pod pióra wymknęły mu się przepiękne, choć złowróźbne
zarazem słowa:

•Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Bosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?
Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera
Kupiecka, lub rządowa moskiewska siekiera!•

Wieszczę słowa Adama spełniły się nietylko na samych lipach stebłowskich.

Siedziba państwa Hermanów przechodzi z kolei na ich krewniaka, Zenona Hołowińskiego, który zmienia ją na wcale bogatą osadę fabryczną. Od pana Zenona nabył Steblów kupiec Kotlarew, nie pięknych historycznych i obywatelskich tradycyji przerwała się — jak dotąd — na długo, a siekiera zagrała po konarach drzew, co Mickiewicza pamięć przykuły do siebie...

Biedne lipy stebłowskie... nietylko lipy...

* * *

Zbiory, gromadzone z takim zapalem przez Hołowińskiego, przynosi p. Konstanty Podwysocki około 1845 r. do Rycht pod Kamieńcem, by je tutaj zwiększać stale coraz-to nowymi nabytkami.

Nowy kolekcjonista, autor licznych prac, ogłoszonych drukiem w współczesnych wydawnictwach peryodycznych i książkach zbiorowych, honorowy kurator gimnazjum kamienieckiego, szanowany i kochany przez wszystkich bliższych i dalszych sąsiadów, nie zdołał pod koniec żywota uniknąć majątkowej ruiny. Nie nam wnikać w jej powody, dla całokształtu jedynie niniejszego fragmentu anegdotycznego notujemy, że po zgonie Konstantego Podwysockiego

w grudniu 1868 r., bardzo bogata kolekcya rycin polskich i źródeł rękopiśmiennych nabyta została przez Jana hr. Działyńskiego w Kurniku. O istotnej jej wartości artystycznej i naukowej wiele powiedzieć może ogłoszona przed laty drukiem broszura Władysława Górskiego, podająca zwięzły regestr rękopisów¹⁾.

Zbiór autografów polskich, zawierający ważne i ciekawe zabytki, liczący ponad 500 numerów, nabył wspomniany przed chwilą Władysław Górski, by zwiększony dziesięciokrotnie i ułożony systematycznie, przekazać z kolei Bibliotece Jagiellońskiej. Dar przezacnego ziemianina podolskiego, znajduje się już w murach Krakowa.

Biblioteka stebłowsko-rychtecka (3—4.000 cennych druków: komplet kronikarzy polskich i łacińskich, dzieła heraldyczne, prawne, rzadkie zielniki; przepyszne okazy biblij, literatura Sejmu czteroletniego i t. d.) jako całość, przestała właściwie istnieć: rozbita na atomy, wsiąknęła w wiele księgozbiorów prywatnych; w pewnej części uległa bezpowrotnie zniszczeniu. Szkoda jej istotnie niepowetowana.

* * *

Na zakończenie niniejszego szkicu powtarzamy za »Bolesławem z nad Dniepru« z imionnika pani Emilii z Borejów Hołowińskiej kilka drobiazgów, skreślonych ręką stałych stebłowskich bywalców.

W dniu 4 stycznia 1839 r. pisał ks. Ignacy Hołowiński.

•Samotny pielgrzym w nieczulym świecie
Tylko szczęśliwy w tej chwili,
Gdy szczęśliwości szlachetnej kwiecie
Drogę ciernistą umili.

¹⁾ »O zbiorach naukowych, pozostałych po śp. Konstantym Podwojskim« — skreślił Władysław Górski. Kraków 1872.

W źródle cię warty, kwiatka kochany,
 Umoczę, by cię skryształić,
 W Doga życie wódz tylko bez zmiany,
 Które; czas nie imie obaćć.

W dwa dni później musiał uleżć namowom pani Emilii i Michał Grabowski:

•Śród tych wszystkich wierszy, coż ja pocznę z moją biedną prozą i krytyką? Czuję, że musiałby się tu wydać srodze niestosownym plód mego zwyczajnego rzemiosła. Wielbilbym Mickiewicza, ale to zbyt powszednie; znalazłbym co do zarzucenia innym, ale nie mam na to serca, bo jeśli nie poszczęściła komu poetycka praca, przynajmniej pewny jestem, że natchniona była szczerem uczuciem dla tej, której złożona była w holdzie. Wiedząc jednak, że wszystko tu zostanie przyjęte mile, ośmielam się domieścić i moje prozaiczne, ale najszczerze wyrazy szacunku i przyjaźni!«

Doskonały krytyk i znawca literatury wywinął się zrzęcznie: przynajmniej tym razem nie naraził sobie żadnego z autorów, a trafiało mu się to w życiu niezbyt często.

W roku następnym, 22 stycznia wpisał się w imioniku pani Hermanowej dobrze społeczeństwu polskiemu zaśluzony, twórca publicznej ksiąźnicy, Konstanty Świdziński.

Słowa jego proste, niewyszukane, najlepiej charakteryzują wybitnego tego męża:

•Wynagrodził gospodarz ewangeliczny spóźnionego robotnika zarówno z tymi, co od świtu w winnicy pracowali. Widział pono, że gorliwością usiłował zastąpić opóźnienie.

•W tym zbiorze dawnych przyjaciół podobny jestem do tego robotnika; bo późno przybyły odbieram całodzienną zapłatę. Obym podolał usprawiedliwić tę stronność i nie zasłużył na sprawiedliwe szemranie tych, co mnie wyprzedzili.«

* * *

Drogą stebłowską nie suną poszóstne i poczwórne klasy dygnitarzy gubernialnych i powiatowych, których miejsce zajął urzędniczy nałóg z pod Uralu nasłany, nie wspólnego nie mający z miejscowym polskim ziemiaństwem. Z podjazdu stebłowskiego dworu, przerobionego z arsenału »księcia-kozaka«, zniknęła na zawsze popularna postać serdecznego gospodarza. Padła pod siekierą kupca lipa »tak rozrośniona, że pod jej cieniami sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami«. Przebrzmiało echo owych dysput bez końca i długich rozmów wieczornych; legli na sen nieprzespany, w mogiłach rozsianych po wszystkich Polski zakątkach, stali goście stebłowscy; zniknęła niemal bez śladu piękna i rzewna tradycja życia dawnych dworów polskich na Kresach...

Zmieniły się czasy, ale też i ludzie gruntownej ulegli zmianie; smutek opanowuje na myśl, że to wszystko już nie wróci nigdy, bo olbrzymiej fali dziejowej nikt nie zdoła powstrzymać w biegu w niezbadaną, zagadkową przyszłość...



OBRONCY ZAMOŚCIA

(URYWEK Z DZIEJÓW KAMPANII 1831 R.)

PODŁUG PAMIĘTNIKÓW I NOTAT NAOCZNYCH ŚWIADKÓW



I.

•Już podolskich dumek echem
Nie brzmi Zamość wszecz i wzdłuż,
I podolska twarz uśmiechem
Nie jaśnieje więcej już...•

pisal przed laty poeta-żołnierz, sam Zamościanin, dzisiaj zaś, kiedy wszyscy z tej garstki legli w mogiłach, po całej rozsianych Polsce, gdy miejsce tych starców, pamiętających lepsze czasy, zajęły pokolenia młodsze i najmłodsze, godzi się poświęcić choćby zwięzłą wzmiankę, wojownikom, co po smutnym epilogu powstania listopadowego, najdłużej wytrwali z bronią w ręku, składając ją dopiero w chwili, kiedy wysłani delegaci wracają z hობową wieścią, że wodzowie z armią przekroczyli granice Prus i Austrii.

Wszystkie wypadki owej epoki, tak bogatej w tęczowe złudzenia i rozczarowania, dobrze są znane ogółowi; cały szereg pamiętników, kreślonych ręką ludzi, przyjmujących większy lub mniejszy udział w długim łańcuchu utarczek i bitew; prace poważnych autorów, na nich i innych ważniejszych źródłach oparte, swój cel, bodaj w pewnej części, już spełniły, podały potomności imiona i zasługi tylu bohaterów, opromieniając głowę niejednego nimbem poświęcenia nad zwykłą miarę.

I zamknięci w murach Zamościa bojownicy winni mieć w dziejach owych czasów chmurnych a górnych, niejedną własną kartę. a jednak los obszedł się z nimi prawdziwie po macoszemu: obrona tej twierdzy, nawet w tak obszernej pracy, jak kilkutomowe dzieło Barzykowskiego¹⁾, pominięta została prawie milczeniem. Ludzie, przyjmujący w niej udział, nie uprzystępnili swoich wspomnień szerszym kołom; wprawdzie Ostaszewski i Sabiński — o ile wiemy — zostawili pamiętniki, lecz te z prasą drukarską jeszcze się nie spotkały i kiedy to nastąpi, przewidzieć trudno.

Posiadając listy Lucyana Michalskiego, notatkę Adama Rudnickiego, a nadto skromny urywek pamiętników Spirydona Ostaszewskiego, mogliśmy zestawić bodaj spis — bardzo wprawdzie niepełny — walczących w Zamościu, w przeważnej liczbie Podolaków, Wołyniaków i Ukraińców. I to była zdobycz już ponętna. Dopiero atoli pamiętnik Michalskiego²⁾, bardzo szczegółowy, malujący prawie dzień po dniu przejścia zamkniętej w murach twierdzy Zamościa garstki walecznych jej obrońców, pozwolił nam odtworzyć bodaj w przybliżeniu dzieje owych zapasów z tyle przeważającym liczebnie nieprzyjacielem.

U głównego ołtarza w Warszawie różnie się działo; wódzowie i dyktatorowie zmieniali się co chwila, jeden ustępował miejsca drugiemu; niespokojny Krukowiecki ściąga na siebie skargi, żale i uwłaczające czci żołnierza-Polaka podejrzenia; klótnie, walka stronnictw i klubów dopełniają miary złego; wszystko chyli się ku upadkowi.

Rząd narodowy, posłowie sejmowi i falanga oficerów, co nigdy prochu nie powąchali, przekładając patryotyczne dyskusye w kawiarniach i konwentykłach nad spełnienie

¹⁾ Barzykowski: *Historja powstania listopadowego*. Tomów pięć. Poznań 1884.

²⁾ *Pamiętnik Lucyana Michalskiego*. Arkuszy bitygo pisma 21.

patryotycznego obowiązku na polu walki, otoczeni wojskiem, zmuszeni opuścić stolicę, przenoszą się na Pragę, potem do Modlina, Zakroczymia, aż 26 września przyszła kolej na ziemię pruską. Rybiński, o którym mówiono, że wybór nieodpowiedniego naczelnego wodza jest już połową przegranej, próbuje układów, a gdy te nie doprowadzają do żadnego rezultatu, dnia 5 października, pod Brodnicą, w ręce pruskich generałów Zöpelina i Schmidta, wraz z całą swoją drużyną broń składa. Generał Romarino już od 17 września odpoczywa w granicach prowincyj habsburskich, a znalazł się tam przy końcu tego miesiąca i Różycki.

W Warszawie nieproszeni goście rozgospodarowywali się na dobre i wszystko wskazywało, że bynajmniej opuszczać jej nie mają zamiaru.

Jeden Zamość trzymał się jeszcze, otoczony przeważającą znacznie armią nieprzyjacielską; bronił się wytrwale, lecz z każdym dniem i tu oblicza, dotychczas wesołe, posępniały; wypatrywano oczy, czy przypadkiem który z wodzów na pomoc nie przybywa; dla armii Romariny, obiecującego stawić się pod murami, gotują odpowiednie przyjęcie, szyją na gwałt mundury, buty... I te nadzieje zawiodły; z nagromadzonych materiałów korzystał już nowy gospodarz, któremu ostatnią tę placówkę oddano po długich naradach.

Zanim przedstawimy przebieg życia obleżonych, obowiązkiem naszym powiedzieć choć słów kilka o źródle, z którego korzystamy, jak również o jego autorze. Lucyan Michalski pozostawił pamiętnik, niepełny wprawdzie, śmierć mu dokończyć wspomnień z urozmaiconego wojenka, więzieniem i wygnaniem żywota nie pozwoliła, lecz już i część napisana obejmuje właśnie epokę, obchodzącą nas najsilniej, bo okres od r. 1829 do 1833.

Autora omawianych wspomnień zaliczyć nam wypadnie do demokratów starej daty: przykłada on rękę do

każdego narodowego sprzysiężenia, a choć do ostatniego ruchu z przekonania należeć nie chciał, mimo swoje jasno określone stanowisko, i tym razem pociągany był do odpowiedzialności, i tym razem wędrował z innymi na Wschód daleki.

Już takie było jego przeznaczenie: komisye śledcze nie chciały, czy nie mogły uwierzyć, że »wieczny spiskowiec« wytrzeźwiał, że potępiał ruch, nie w porę poczęty, a zresztą w każdym razie »bezpieczniej« było pozbyć się Michalskiego na czas jakiś z granic buntem zarażonej prowincyi.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Wróciwszy na Podole po kapitulacyi Zamościa, padł pan Lucyan w podejrzenie u władz zbyt rychło, bo w sprawie Zaliwskiego. Szymon Konarski, piekący dwie pieczenie przy jednym ogniu, spiskował bowiem i starał się o rękę panny Michalskiej równocześnie, znalazł w nim również gorliwego swych planów poplecznika.

Następtwem tego było wysłanie Michalskiego na lat dwadzieścia za Ural, a podlegał podobnemu wyrokowi — między innymi — i sędziwy ojciec pamiętnikarza, który nawet kości swoje wśród śniegów, zdala od kraju, złożył; podlegał mu i Zamościanin, Kasper Maszkowski, wydawca *Posła prawdy*, przez długi czas jedna z najpopularniejszych postaci w Kijowie.

Innych wyliczać na tem miejscu nie będziemy; dość przejrzeć listę konfiskat z tego roku, lub rzucić okiem na confirmacyę wyroku sądu wojennego kijowskiego¹⁾, by przekonać się, ilu w oczach władzy skompromitowanych zostało. Młodych i starych wyrwano z ognisk domowych, z grona rodziny. Podolanki i Ukrainki płakały po kątach

¹⁾ Pribawlenie k Nr. 22 *Podolekich Gubernatich Wiedomości*. Kart cztery. Druk współczesny, dziś już do białych kruków zaliczony być może.

rzewnie, a jako pamiątka nieudanej afery Konarskiego przechowały się do naszych dni przyciski z szarego marmuru z krzyżem i datą na wierzchu.

Po dziewięciu latach tulaczki — korzystając z manifestu cara Mikołaja — zamieszkał Michalski w Wołogdzie. Przebył tam drugie tyle, doczekawszy się wstąpienia na tron Aleksandra II.

W 1863 r. skazany znowu na wygnanie do gub. kazańskiej. Fatalna pomyłka wpłynęła na zaostrzenie wyroku, już samo przez się przykrego, tem boleśniejszego, że był najzupełniej nieusprawiedliwiony, niezasłużony.

Z przekonania i z głębokiej wiary w bezpłodność ostatniego ruchu, nie mięszał się — jak już wzmiankowaliśmy wyżej ogólnikowo — do niczego, a mimo to przeczytano mu wyrok i »przez pomyłkę« popędzono etapami z partią na Sybir; dopiero liczne prośby i telegramy przyczyniły się do powrotu biednego wygnańca z Permy do Kazania, gdzie ówczesny władca gubernii starał się postępowaniem swoim zapracować u mimowolnych turystów na niezacierające się wspomnienie.

Z kolei przerzucono eks-Zamościanina do zapadłego kąta, nędznej mieściny, Carewokszajska, skąd generał-gubernator Bezak pozwala mu, dla uregulowania rodzinnych interesów, na kilka miesięcy przyjechać do kraju. Miało to miejsce w 1871 r.

Dondukow - Korsakow, następca osławionego Bezaka, ze względu na wiek zmitręzonego nad miarę starca, do powrotu na wygnanie już go nie zmusza. Wieczny marzyciel spiskowiec, żołnierz-pamiętnikarz, osiadł w Mohylowie podolskim, namówiony przez bliższych znajomych, zaczął spisywać życia swego koleje, prześnioną młodość, przecierpiany wiek męski... Że zaś zabrał się do pracy tej zbyt późno, więc i czasu zbrakło na doprowadzenie jej do dni ostatnich. Kochany i szanowany przez wszystkich, którzy częściej z nim obcowali, przez ubogich i włościan,

którym »demokrata starej daty« służył chętnie i radą i groszem, umarł nagle w połowie lutego 1885 r.¹⁾

Pamiętnik, choć co do stylu dosyć pozostawia do życzenia, pod względem treści jest bogaty i wielce zajmujący. Że zaś — o ile wiemy — żaden z Zamościanów wspomnień, tej epoki dotyczących, drukiem nie ogłosił, że pamiętnika Spiridyona Ostaszewskiego posiadamy tylko urywek, a o bogatych wspomnieniach Sabińskiego zaledwie wiemy, że one gdzieś istnieją, wobec tego wszystkiego rękopis p. Lucyana stanowi jedyne źródło, z którego dowolnie — z pewnemi jednak zastrzeżeniami — korzystać możemy.

Żeby rzecz o autorze zupełnie wyczerpać, dodamy na zakończenie, że rodzinę Michalskich często wspominac wypadnie w biografjach ludzi tak w literaturze, jak w historii naszej zasłużonych. Obok Szymona Konarskiego, który gorącym afektem zapalał do panny Eweliny, stryjecznej siostry Lucyana, Maurycy Gosławski oddał swe serce Melanii Michalskiej i tyle piosnek, pełnych rzewności i tęsknoty dla niej wyśpiewał, a wuj Juliusza Słowackiego, Januszewski, również drogę życia u boku Michalskiej, dozgonnej swej towarzyszki, przebywał.

II.

W kreślonych ręką Budzyńskiego bardzo interesujących wspomnieniach²⁾ znajdujemy dosyć wyczerpujący opis przygotowań na Wołyniu, przebieg zbrojeń się i narad

¹⁾ Wspomnienie pośmiertne ogłosił petersburski *Kraj*. Wszystkie szczegóły tej krótkiej biografii podług listów tak samego Lucyana Michalskiego, jak i jego siostry, pisanych do dra. Antoniego J.

²⁾ *Wspomnienia z mojego życia*. Poznań, 1880. Tom I, str. 21—54.

tej gubernii przed wkroczeniem generała Dwernickiego do Galicji.

Na Podolu również ruszać się zaczęto. I tu wiadomość, z nad Wisły przywieziona, zelektryzowała młodych i starych. Wieść o rewolucji warszawskiej zastała tak autora pamiętników, jak i licznych jego sąsiadów, przy mazurze, tańczonym z młodzieńczym zapalem i szlachecką werwą na weselu jednej z panienek.

Numer *Kuryera Warszawskiego* wrywano sobie z rąk do rąk; śpiewano piosnkę dorywczo ułożoną przez Rajnolda Suchodolskiego i spełniono najstarszem winem, wydobytem przez rozrzuconego gospodarza, liczne toasty na pomyślność odradzającej się Ojczyzny i z takim powodzeniem rozpoczętej sprawy...

»Wszchemocny Boże ojców naszych! — powtarzano na Wołyniu słowa przysięgi¹⁾. — Gdy Wołą Twoją powstała moja Ojczyzna, gdy garstka walecznych synów Twoich rozprasza zastępy tyrana, oto ja... przysięgam, iż na każde zawołanie naczelnika mego, Karola Różyckiego, stanę gotowy spełnić jego rozkazy. Tak mi dopomóż Boże i niewinna męka Chrystusa Pana, Amen«.

Na Podolu zjeżdżano się i debatowano, jakby rzecz całą najlepiej poprowadzić. Rezultatem narad: wysłanie do Warszawy delegata i powstrzymanie się od wszelkich zbrojnych działań do chwili jego powrotu. Imć Pan Mikołaj Denysko, oczekiwany z niecierpliwością, wraca wprowadzić z nad Wisły, lecz czy rada, przez niego przywieziona, zbyt zapalnej młodzieży kresowej przypadła do gustu — wątpimy bardzo.

»Niech prowincye odpadłe od Polski siedzą spokojnie i cicho, gdyż ani jednej skalki nie dam dla nich«, miał

¹⁾ Dosłowny tekst przysięgi u Michała Budzyńskiego: *Wspomnienia* j. w. T. I, str. 23.

odpowiedzieć krótko i węzłowato dyktator Chłopicki ¹⁾. Siedziano więc »spokojnie i cicho«, nie chcąc zaczynać od nieposłuszeństwa naczelnej władzy.

Na zaimprovizowanych *ad hoc* imieninach zjechała się pod strzechą państwa Michalskich cała bliższa i dal-sza okolica. Podejrzanych oficerów, których odwiedzin nie można było uniknąć, poumieszczano w sąsiedztwie popija-łów, znanych z »mocnej« głowy. I tym razem nie zawie-dli oni pokładanego w nich zaufania: cel został dopięty w zupełności, plan powiódł się znakomicie ku powsze-chnemu zadowoleniu w wypłatanego bliźnim figla. Szlachta, poodsyławszy nieprzytomnych »panów wojskowych« do ich kwater, sama przystąpiła ze spokojem i rozważą do wy-boru »junty«, kierującej przygotowaniem do zbrojnego ru-chu w podolskiej gubernii.

Przewodnictwo powierzono Jakóbowi Malinowskiemu; w ręce Karola Darowskiego złożono z całym zaufaniem kasę narodową, raczej jej zawiązek; trzema innymi człon-kami »junty« zostali wreszcie: hr. Primus, Wincenty Stę-powski i ojciec Lucyana, Fryderyk Michalski. Do groma-dzenia potrzebnych funduszów, których głównym zasil-kiem miał być podatek narodowy w wysokości 25 kop. z duszy, wyznaczono: Joachima Leśniewicza, Jacka Go-łyńskiego i Juliana Sabińskiego. — Wszystkich trzech spo-tykamy później w liczbie obrońców Zamościa, w lat zaś kilka potem, znowu w trójkę odbywali przydługą na Wschód wędrówkę, będącą następstwem udziału w sprzy-siężeniu Konarskiego.

Obowiązkiem »junty« było też, obok licznych zajęć, powstrzymywanie w gorącej wodzie kąpanej młodzieży od zbyt pośpiesznie przedsięwziętego kroku, któryby mógł za sobą szkodliwe tak dla niej samej, jak dla całej sprawy,

¹⁾ Równobrzmiące niemal słowa znajdujemy w tomiku *Poetry* Gosławskiego. Lipsk, 1864. Dodatek str. 307.

pociągnąć następstwa. Nie było to tak łatwe, jakby się dzisiaj wydawać mogło: młódź niecierpliwa, radaby każdej chwili siodłać konie, nabijać broń, sarkać na starszych, co zamiast wołać: naprzód! naprzód!.. powtarzali wiecznie stare — czekajcie! Wielkiej też trzeba było wśród swoich zażywać powagi, by podolać temu, bodaj najtrudniejszemu zadaniu.

Przystąpienie do związku patriotycznego gubernatora kamienieckiego, Mikołaja Grocholskiego, niemalę oddawało sprzyśniętym usługi. Już to samo, że byli zawsze naprzód zawiadamiani o grożących im rewizjach i aresztowaniach, pozwalało działać z większą swobodą i spokojem.

Pan gubernator, któremu surowe śledztwo nic dowieść nie zdołało, lat kilka przesiedział w fortecy benderskiej, a po opuszczeniu tejże, pozostawał do końca życia pod policyjnym dozorem.

Według sporządzonych spisów, samo Podole dostarczyć było w stanie 20.000 uzbrojonych¹⁾; zarządca klucza międzybożskiego, p. Ambroży Syroczyński, jak również p. Józef Wojtkiewicz, gospodarujący w Zinkowie, odebrali od księcia Adama Czartoryskiego i ks. Wirtemberskiej energiczne polecenie, by wraz ze wszystkimi, zdolnymi do broni, stanęli pod rozkazami kierowników ruchu, a i znany rozbójnik i awanturnik, Karmeniuk (Karmeluk), zamknięty podówczas w więzieniu lityńskim, podejmował się pod przysięgą dostarczenia kilkunastu tysięcy, gotowych na wszelkie niebezpieczeństwa mołojców, niemających nic do stracenia, a do zyskania bardzo wiele²⁾.

¹⁾ Michalski: *Pamiętnik* (rękopis).

²⁾ Szczegół ten, dosyć fantastyczny, powtarzamy na odpowiedzialność Michalskiego. Świadczy on w każdym razie o nastroju, jaki panował w danej chwili na Podolu. O Karmeluku obszerniej u dra. Antoniego J. *Gawędy z przeszłości*, opowiadanie p. t. „Opryszek“.

Wszystki rękowali najświetniejszą nadzieję, porwała ich siła o błogosławionem jutrze. Właśnie w tej chwili obiegła z ust do ust, rozprowadzona tak barbita przez wszystkich wiadomość, że Dwernicki z armią podąża na Kresy. Młodzi, zaczynająca już szukać ziemi — odetchnęła swobodniej, wjeżdżając konie i ostrząc broń. Napięcie patriotyczne przeżywało z daniem kądym: starszyzna kresowa coraz częściej odbywała narady.

Wydzany do korpusu nadciągającego generała Karol hr. Marchocki, dostawczy się nieopatrznie w ręce Rosyan, oparł się gdzieś aż w Permie. Chruszcikowski¹⁾ przedstawia się w roli naczelnika ruchu w gubernii podolskiej i rozpoczyna swoją pierwszą działalność od tego, że dowiedziawszy się o powrocie Rotha z za Dunaju, odwołuje rozkaz powstania. Następstwem tego nieopatrzego kroku było tak silne oburzenie, iż nie zawahano się nawet ciśnięć nowemu naczelnikowi w twarz posądzeniem o zdradę, sprzyjaniem armii nieprzyjacielskiej i kto wie, jakiby koniec przybrała ta smutna afera, gdyby w jego obronie nie wystąpili starsi i rozważniejsi.

W tym samym czasie²⁾, zjawia się wśród Podolaków znany poeta-żołnierz Maurycy Gosławski, spieszący z ważnymi papierami od generała Lewensterna do armii feldmarzalka Dybicza Zabalkańskiego. Zobaczywszy jednak,

¹⁾ Chruszcikowski, przez innych zwany Chrościkowskim, wydał apel do powstania na 27 (15) kwietnia (dzień wkroczenia Dwernickiego do Galicji); 26 (14) kwietnia powstanie odwołał, czego następstwem wiele nieporozumień i upadek sprawy w samym związku. (*Poezje M. Gosławskiego*. Dodatek str. 308).

²⁾ Według dra. Antoniego J. (opowiadanie p. t.: »Maurycy Gosławski«) przybył poeta na Podole pod koniec 1829 roku. — W roku 1830, jak twierdzi Wójcicki (*Kawa literacka*, str. 90), — miał on być w Warszawie; w maju 1831 roku (znowu u dra. Antoniego J. J. w.), znaleziono nad Zbruczem płaszcz i czapkę a znajomi myśleli, że utonął, wkrótce jednak uspokoił strwożonych odezwą z Zamościa.

co się tu dzieje, papiery niszczy, a sam — zmieniając mundur — staje w liczbie walczących z tymi, którym służył do niedawna. Do armii rosyjskiej zapędziła go miłość¹⁾; będąc kompletnie ubogim, pragnął oficerskimi szlifami twardą wolę rodziców panny młodej przełamać; teraz nowe otwierają się przed śpiewakiem podolskim światy. Nie bacząc na odpowiedzialność, jaka go czekała w razie pochwycenia dezertera przez Rossyjan, zaciąga się bez wahania w szeregi powstańców.

Horyzont zwolna zaciemniać się zaczął. Już samo odwołanie powstania stanowiło połowę przegranej, dopełniła zaś miarę nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa wiadomość, o wkroczeniu Dwernickiego w granice austriackiego zaboru. Teraz, kto mógł, przekradał się przez Zbrucz i drogą na Galicyę spieszył do Królestwa, dokąd i Karol Różycki, po katastrofie Kołyski pod Majdankiem plan swój zmieniając, oddział z Wołynia prowadził²⁾. W uwiecznionym w pieśni narodowej bohaterze z pod Stoczka, kielkujący ruch zbrojny na Kresach całą pokładał nadzieję. Skoro usunął się ten, którego powstanie podolskie słuchać i wspierać miało, i ono zamarło w zawiązku, a Podolacy wyladowali swoją energię.. w Zamościu.

III.

Nie wszyscy jednak przebiegli Ruś Czerwoną, nie zatrzymując się tutaj czas dłuższy, bo oto właśnie w jednym z nadgranicznych wschodnich powiatów w Galicyi,

¹⁾ List pani A. P. (17 VI. 1859), wydrukowany w przedmowie do poezyj Maurycego Gosławskiego. Lipsk 1864, str. VII. — Dr. Antoni J. *Opowiadania histor.*, serya IV, Tom II, str. 428 i 433. (Warszawa 1884 r.).

²⁾ M. Budzyński: *Wspomnienia*. Tom I, str. 35.

zjawia się wysłany przez naczelnego wodza Aleksander Wereszczyński, by pod okiem władz austriackich, nie zwracających — jak dotąd — zbytnej uwagi na niezwykle ruch, panujący od niedawna po wioskach i miasteczkach, formować oddziały, których celem posiłkowanie powstania w podolskiej i kijowskiej gubernii. I oto około niego gromadzą się ochotnicy, z tamtych stron spieszący nad Wisłę; z gotowością poddają się jego rozkazom i zwierzchnictwu, by już ze swoim nowym wodzem, po wielu przejściach, wkroczyć w mury Zamościa.

Lecz nie zaraz to jeszcze nastąpiło.

Zanim w towarzystwie powstańców podolskich udamy się w dalszą drogę, godzi się bliżej poznać człowieka, wzbudzającego tyle zaufania we wszystkich tych, z którymi mu w życiu zetknąć się wypadło. Mamy tu — domysł łatwy — na myśli Aleksandra Wereszczyńskiego. Najdokładniejszą jego biografię podaje Lucyan Michalski, z pamiętnika też na tem miejscu ją powtarzamy.

»Wereszczyński Aleksander, ukończywszy chlubnie Liceum krzemienieckie, zaszczycony względami i protekcją księcia Henryka Lubomirskiego, został jego komisarzem w Odessie¹⁾. Po kilku latach praktyki finansowej, prowadzonej na dość znaczną skalę, poznawszy się dobrze z miejscowymi i zagranicznymi bankierami, doszedł do wielkiej fortuny. Po otrzymaniu wiadomości o rewolucyi w Warszawie, jako dobry i szczerze kochający swój kraj Polak, związa bank, kończy rachunki ze wszystkimi bankierami i zabrawszy — chociaż nie wszystkie jeszcze — pieniądze mu należne, z całą zebraną gotówką przekrada się do Warszawy²⁾.

¹⁾ Podług innej notatki, był A. W., przed wstąpieniem do służby u ks. H. L., właścicielem handlu win w Kamieńcu Podolskim, wyszedł atoli na tem przedsiębiorstwie bardzo niefortunnie.

²⁾ O pobycie Wereszczyńskiego w Warszawie pisze Barszkowski: *Hist. powst. listop.* — Poznań 1883. Tom II, 152.

»Przybył przed samą bitwą grochowską. Melduje się nowemu już wtedy naczelnikowi, generalowi księciu Radziwiłłowi; uwiadamia, że, mając pieniądze, chciałby je użyć na potrzeby kraju i wysztyftować jakiś oddział wojska dla pobicia Moskali. Radziwiłł przyjmuje go najserdeczniej i robi go swoim adjutantem. W batalii grochowskiej był przy boku księcia, który go wysłał z rozkazami do generała Żymirskiego, gdzie został raniony w nogę ułamkiem granatu; przywozi wiadomość, że generał ten ubity, a wtedy generał Chłopicki powiada: »szkoda, że nie pół godziny przedtem«. I pomimo cierpień nie opatrzył rany, a do końca bitwy dotrwał, nie odstępując od boku naczelnego wodza, który — nie wiedząc o niczem — posyłał go ciągle z rozkazami do różnych oddziałów wojskowych. Aż dopiero sam książę, spostrzegłszy krew na jego nodze i widząc go zbladłego z bólu, odprawił do ambulansu. Po opatrzeniu rany przez dra. Karola Kaczkowskiego, kolegę swego szkolnego, wraca znowu na plac boju, ale już go wtedy naczelnik plażerowanego nie posyłał, ale zostawił przy swoim boku do końca batalii.

»Po krótkim leczeniu się, zorganizowawszy dwa kompletne szwadrony, zdał je pod dowództwo majora Oborskiego. Nosiły one nazwę legii litewsko ruskiej jazdy wołyńskiej nr. 1. Sam zaś odebrawszy rozkaz naczelnego wodza, wtedy już generała Skrzyneckiego, udaje się do Galicyi nad granicę Podola, do Czabarówki, dla formowania nowego oddziału, ku wzmocnieniu powstania kijowskiej i podolskiej gubernii«.

Nietylko jedni powstańcy z Podola rozłożyli się obozem w Czabarówce; spotykamy tu i ochotników z byłego korpusu Dwernickiego, który przed swem rozbrojeniem, nowoformującemu się oddziałowi ofiarował paręset dobrze

¹⁾ Obszerny ustęp o Wereszcz. w tomiku poezyj Maur. Gołławskiego (Lipsk 1864) — str. 307—311.

wymęczonych koni. Zjazdy, objazdy okolicznych wiosek i narady były na porządku dziennym; gotowano na gwałt umundurowanie, by jako regularne wojsko przekroczyć Zbrucz i pozyskać w ten sposób u tamtejszej zniechęconej ludności większe zaufanie.

Odmiernem atoli korytem popłynęły wypadki najbliższych tygodni; powstanie na Podolu uważać już wypadło za nieistniejące, a Wereszczyński, zmuszony w ten sposób do zaniechania pierwotnego ryzykownego planu, postanawia — ze zwiększonym przez rozbitków Kołyski oddziałem przemknąć się wśród naciskających z dniem każdym mocniej Austryaków, na teren krwawej walki do Królestwa, gdzie nowe zastępy armii były bardzo pożądane, a stanowcza wygrana mogła rozstrzygnąć o przyszłych losach całej Ojczyzny.

Punktem wytycznym było miasteczko Józefów, w którego murach bawił właśnie podówczas korpus generała Chrzanowskiego. Z innej strony podążał tam równocześnie Karol Różycki z Wołyniakami.

Po kilku tygodniach odpoczynku, obydwaj powyżej wymienieni dowódcy, wyruszyli na linię bojową, zostawiając, na prośby komendanta Zamościa — jeden z oddziałów legii podolsko-litewsko-ruskiej, pod zwierzchnictwem znajomego nam już majora Wereszczyńskiego w murach fortecy¹⁾. Ta właśnie drobna część wielkiej armii szczególnie nas obchodzi: nie dotykając też historii walczących na całej linii pułków, którym nie jedną kartę poświęcono w dziejach ubiegłego stulecia — przystępujemy do opisu losów, przez jakie przechodził Zamość z zamkniętymi w swych murach obrońcami.

¹⁾ Budzyński: *Wspomnienia* I. 52; Ostaszewski: *Urywek pamiętnika* (rękopis); Gosławski: *Poesye* j. w. 310 (dodatek).

IV.

Wesoło i gwarno płynęło życie w Zamościu, a choć wkrótce armia nieprzyjacielska twierdzę otoczyła, śpiewano i »pukano« z zapalem. Niejeden raz, świeżo upieczony oficer, chcąc swemu następcy noc czuwania bardziej »zajmującą« uczynić, przed samą zmianą warty wypuszczał w stronę rosyjskiego obozu strzał armatni, następstwem zaś tego były całonocne wędrówki kozaków pod murami fortecy. Wprawdzie ostro zakazywano podobnych wybryków, lecz kto tam doszedł prawdy, kto mógł stanowczo zaręczyć, która ze stron walczących zaczepiona została. Wyprawy po »furaż« stanowiły również pewną różnorodność w jednostajnem zresztą codziennem życiu, lecz przerwać się one musiały z chwilą przybycia nieprzyjaciół pod Zamość. Teraz już ochotnicy, spieszący z wiadomościami do Warszawy, przekradać się byli zmuszeni przez armię Rotha i Kajzarowa, a te tak ważne usługi, spełniali z całym poświęceniem, narażeni na groźące co krok nieledwie niebezpieczeństwo, oficer 2 pułku ułanów — Ludwik Kuczyński i podoficer 2 pułku strzelców pieszych, Brzeziński.

Obecni w legii poeci-żołnierze, korzystali z każdej nadarzającej się sposobności, by ją uwiecznić wierszykiem składnym, choć improwizowanym, dorywczo spisany na bębnie, siodle, lub nawet na grzbiecie kolegi. I powstała w ten sposób specjalna literatura obozowa, która ciska na ów moment dziejowy światło bądź co bądź wysoce charakterystyczne.

Maurycy Gosławski, którego imię nieostatnie zajmuje miejsce w rodzimej literaturze, niejeden raz wypuszczał z rąk szablę, by ująć za pióro i strof kilka lub kilkanaście przenieść na papier. Przerzucając tomik jego szczerych, prostych, z serca do serc płynących poezyj, znaj-

dziemy kilkanaście utworów, datowanych w Zamościu, a smutne one i wesole, odpowiadały zupełnie chwilowym błyskom złej i dobrej doli obłączonych. »Warszawa mało je знаła, bo składał je w obozie, zwłaszcza służąc jako porucznik przy legii litewsko-ruskiej, w dywizyonie ułanów podolskich, pod komendą Aleksandra Wereszczyńskiego...» czytamy w jednym z listów¹⁾ i rzeczywiście tak było: pierwaj umieli je na pamięć koledzy, zanim poszły pod prasę.

Nie był tu jednak pan Maurycy jedynym śpiewakiem: w ślady jego wstępował inny poeta-żołnierz, nie pominięty również w literaturze, znany tłumacz Moliera i autor *Fraszek* — Franciszek Kowalski. Pełniąc jednego dnia służbę na pikiecie, ujrzał zdaleka hożą dziewczę, wracającą z miasta do wioski, że zaś jej zachowanie się wyglądało w oczach młodego oficera mocno podejrzanę, wydał więc polecenie przytrzymania domniemanego szpiega w spódnicy. Sprowadzona do głównej kwatery dziewczyna, okazała się niewinną. Awantura cała zakończyła się tym razem dla niej tylko dobrą dozą strachu, choć może biedaczka oczekiwała nieprawdopodobnych tortur i męczarni..

Pan Franciszek, korzystając z tego wypadku, napisał wierszyk, śpiewany później na nutę skoczuego mazurka we wszystkich Polskich zakątkach.

»Tam na bloniu błyszczą kwiecie,
A tu ułan na widecie,
Tuż dziewczyna, jak malina,
Niesie koszyk róż.

— Stąd Moskale o pół mili,
Może ciebie namówili?
— Ja nieboga nigdy wroga
Nie widziała, nie• i t. d. i t. d.

¹⁾ List pani A. P. z dnia 17 czerwca 1859 roku (j. w.).

Opis całej przygody przedstawiony nader dokładnie, a że doczekał się niebywalej popularności, godziło się tak chwilę jego narodzin, jak również imię autora zanotować na tem miejscu. Wszak przed pół wiekiem wyrażano się zwyczajnie o Franciszku Kowalskim nie inaczej, jak »autor piosnki: »Stoi ulan na widecie« — a już to samo przemawiałoby za wielkiem rozpowszechnieniem utworu.

Nie mógł jednak stan podobny trwać wiecznie. I na Zamościu odbić się musiały niefortunne losy kampanii, prowadzonej na głównej arenie bojowej. Zresztą w potyczkach, staczanych często na różnych odleglejszych posterunkach, ludzie padać musieli, nowe zaś elementy nie wypełniały coraz większych wylomów, a i spodziewana nie zjawiała się pomoc, choć jeden dzień po drugim mijały bezpowrotnie, czyniąc ją tem niezbędniejszą.

Ucichły też w twierdzy śpiewy wesole i głośnie gawędy, spełniano polecenia przełożonych z równym może zapalem i pospiechem, lecz każdy czuć to musiał, że koniec niezbyt odległy. Oto już od połowy sierpnia generałowie oblężniczej armii nasyłają parlamentarzy; zaczęło się od ks. Trubeckiego, majora achtyrskich huzarów, w ślad za nim — co pewien czas — zjawiają się inni wysłańcy, a choć generał Krysiński dawał wszystkim odpowiedź jednobrzmiącą, której treść odskakiwała od myśli wydania twierdzy, ale i ta ostateczność z czasem będzie musiała nastąpić, a biały orzeł z pogonią znikną z murów ostatniej placówki niepodległości.

Pod koniec sierpnia zetknęli się Podolacy pod Majdankiem ¹⁾ zwycięsko z Rossyanami; zapal w twierdzy nie do opisania, powracających witano okrzykami, całe woj-

¹⁾ Majdanek, wioska pod Zamościem. Podolacy walczyli więc pod dwoma Majdankami, raz (pod dowództwem Kołyski) na Podolu, drugi raz pod Zamościem.

ako prezentowało przed nimi broń, generał dekorował krzyżami zasługi¹⁾, Gosławski śpiewał:

Powiadali: bagnietami
Cały ten Majdanek lśniał —
Tego nie wiem, lecz za nami,
Wiem, że został — pomost z ciał.

Daj mi dzisiaj dnie Majdanka,
Dam pół życia, tylko daj!
Jak mi miła Podolanka,
Jak mi miły Bóg i kraj...

Lecz była to już ostatnia wygrana, w dodatku tak bez znaczenia, że poprawić toczącej się w przepaść sprawy nie było w jej mocy.

Po 10 września generał Roth zakomunikował obleżonym wiadomość o zajęciu Warszawy. Rozpacz ogarnęła wszystkich, nadzieja pomocy znikła ostatecznie. Romarino, zmierzający do fortecy, nagle plan swój pierwotny zmienia i na czele pięknego, podległego rozkazom jego korpusu, mija słupy graniczne z orłami austriackimi i wkracza do Galicji.

Rozwiewało się ostatnie złudzenie: z poza mgieł jeziennych wyzierała straszna rzeczywistość.

I spracowane armaty zamilkły: nowo-obrany wódz naczelny nakazywał dwunastodniowe zawieszenie broni...

V.

Jak już wspomnieliśmy wyżej, stali na czele armii, oblegającej Zamość, generałowie Roth²⁾ i Kajzarow. Pierw-

¹⁾ Dekorowani zostali Podolacy: Adam Rudnicki i Jacek Gołyński, nadto Królewiak Jędrzej Kuliński. Więcej nazwisk nie znajdujemy w notatkach Zamościanów.

²⁾ Więcej szczegółów o Roth'cie w pamiętnikach Michała Czajkowskiego.

szy z nich, emigrant, znany z rozbojów dokonywanych na dworach właścicieli ziemskich, zakończył karierę swoją bardzo smutno, tu jednak stał jeszcze u szczytu potęgi, wpływów i znaczenia, a — wyższy rangą od Kajzarowa — kierował tak oblężeniem, jak i prowadzeniem układów z zamkniętą w murach twierdzy garstką obrońców ¹⁾.

Dziwnie odbijali od siebie ci dwaj koledzy; obaj o nazwiskach przemawiających za pochodzeniem nierosyjskiem, różnili się między sobą znacznie. Kajzarow przedstawia się we wspomnieniach ludzi mu współczesnych, w nader dodatnich barwach, jako jaskrawy kontrast generała Rotha. Był to człowiek pełen szlachetnych instynktów, zdolny i u słabszych ocenić poświęcenie i zapał dla sprawy, którą oni uważali za świętą. Lucyan Michalski maluje nam tego wyjątkowego w owe czasy męża w tak nieprawdopodobny sposób, że zarzucilibyśmy szanownemu autorowi pamiętników sporą dozę przesady, gdyby słów jego nie potwierdzały wspomnienia, również tych przejść naocznego świadka, Spiridyona Ostaszewskiego; gdyby tego samego nie notował — współczesny wypadkom — Michał Budzyński.

Zestawiając opisy tych trzech pamiętnikarzy, dojdziemy do jednego i tego samego przekonania. Jeden szczególnie tylko podaje nam Michalski, o którym nigdzie zresztą nie znajdujemy wzmianki. Oto generał Kajzarow, znając i oceniając widocznie aż nadto dobrze swego zacnego kolegę, przestrzega oblężonych, by bronili się jeszcze czas pewien wytrwale, by nie wchodzili w żadne stosunki z Rothem, gdyż ten ma być za kilka dni odwołany z pod Zamościa, wtedy zaś z Kajzarowem nastąpi porozumienie na

¹⁾ Według pamiętnika S. Ostaszewskiego, garnizon w Zamościu liczył tylko 3 000 ludzi. Jeden żołnierz polski wypadł zatem na ośmiu wypoczętych i dobrze odżywionych żołnierzach rosyjskiej armii oblężniczej.

dogodniejszych warunkach. Po każdorazowej wizycie parlamentarza generała Rotha, zjawiał się u drugiej bramy wysłannik Kajzarowa, prostujący niejednokrotnie przesadne lub kłamliwe wiadomości swęgo poprzednika. Że dziwnie i nieprawdopodobnie wyglądało postępowanie pana generała — dowodzić zdaje się nie mamy potrzeby: fakty świadczą same za siebie. Strąciwszy więc nawet pewien procent na karb fantazyi autorskiej, przyznać wypada, iż mamy przed sobą w każdym razie rzadki wypadek sympaty i uznania strony zwyciężającej względem zwyciężonych; tem rzadszy w kampanii, której dotykamy; w kampanii, bogatej w drastyczne przykłady odmiennej nieco natury.

»Kiedy już wojsko nasze zewsząd przeszło za granicę Królestwa, czytamy w pamiętniku Michalskiego, — kiedy się już i Częstochowa i Modlin poddały, co dzień mieliśmy po kilku parlamentarzy, jednych od drogi lwowskiej od głównej kwatery korpusu Rotha, żeby się forteca poddawała na łaskę i niełaskę, a od drogi lubelskiej zaraz parlamentarza od generała Kajzarowa, żeby się forteca nie poddawała, że Roth, chociaż już wszystko przygotowuje do szturm, jako to: faszyny, drabiny i t. d., ale to robi tylko dla postrachu. Dla przedłużenia czasu niech załoga żąda wysłania do Warszawy, Modlina, Litwy, do granicy austryackiej i pruskiej, zaufanych, którzyby nacznie przekonali się, że już niema żadnego żołnierza i żadnego rządu polskiego...¹⁾.

¹⁾ Spir. Ostaszewski (fragment pamiętnika — rękopis) notuje: »Nie wiedzieli tam, co się z wojskiem stało, bo Zamość miał przeciętą komunikację. Kajzarow zawiadamia o tem generała Krysińskiego, dowodzącego w Zamościu; generał zbiera wszystkich oficerów, nikt wiary dać nie chce. Kajzarow proponuje wysłanie oficerów polskich dla przekonania się o smutnej rzeczywistości. Zbrani w twierdzy wybierają majorów Burakowskiego i Wereszczyńskiego i porucznika Małachowskiego(?); z dodaną przez Kajzarowa

Komendant Zamościa, Krysiński, miał zwyczaj wszelkie pisma, otrzymywane z obozu nieprzyjacielskiego, rozpieczętowywać tylko w obecności oficerów wszystkich stopni. I ten więc projekt poddał pod decyzję zebranych. Narady trwały kilka dni, omawiano plany rozmaite, rozbierano pomysł wysadzenia prochów i przerżnięcia się do Galicji¹⁾, w końcu jednak przyjęto propozycję Kajzarowa, wybrano znanego nam już dobrze dowódcę legii Aleksandra Wereszczyńskiego, majora od piechoty Burakowskiego i kapitana od saperów Franciszka Malczewskiego, poruczając tym trzem przekonanie się o smutnej prawdzie wiadomości nadsyłanych z oblężniczego obozu.

W przeciągu dni dziesięciu delegaci spełnili powierzoną im misję: wracali do twierdzy z tem smutnem przeświadczeniem, że dalsza obrona nie przyniesie korzyści sprawie, którą na razie za upadłą uważać należało.

Cudu z nieba nikt się nie spodziewał, a na pomoc ludzką w danej chwili rachować było niepodobna.

Adjutant Kajzarowa kazał powiedzieć naszemu generałowi Krysińskiemu, by się forteca nie poddawała do odejścia generała Rotha; ten zaś musi ustąpić za trzy dni, tymczasem niech garnizon naradza się i pisze sobie warunki kapitulacyi, na które zgodzi się generał Kajzarow²⁾.

Znowu więc debatowano szeroko i długo; znowu wystąpił na porządek obrad projekt wysadzenia w powietrze ważniejszych punktów fortecy, zwalczany przez tych wszystkich, którzy z góry oceniali bezużyteczność tego rodzaju kroku. Postąpiono też bez zarzutu, wybierając ugodę pokojową; honor był już uratowany, teraz myśleć

eskortą i paszportem, ci dojeżdżają do Warszawy, Kalisza i aż do samej granicy pruskiej; wracają przez Kielce, Sandomierz i przekonywują się o smutnej prawdzie, zdają sprawę z tego, co widzieli...»

¹⁾ Michalski j. w.; Ostaszewski j. w.

²⁾ Pamiętnik Lucyana Michalskiego (rękop.).

wypadało o ratowaniu ludzi, którzy zahartowani wśród niepowodzeń i bolesnych doświadczeń, wyszkoleni w subordynacyi — mogli jeszcze niejedną przysługę oddać skolataney Ojczyźnie.

Nie obeszło się atoli i tutaj bez stronnictwa skrajniejszego, radykalniejszego, odrzucającego ze wstrętem wszelką myśl układów. Porucznik Białkowski i lekarz wojskowy Krauze mieli szczery zamiar wywołania nowej rewolucyi¹⁾, aby w ten sposób zmusić przełożonych do uczynienia kroku, który uniemożliwiłby wszelkie porozumienie się z Rossyanami.

I Maurycego Gosławskiego do grupy owych nieprzejednanych wypadnie nam zaliczyć. Podobne twierdzenie usprawiedliwia aż nadto dobitnie sam pieśniarz podolski w swoim wierszu p. t. »Zwątpienie« (inaczej zwanym »Zamościanką«), napisanym w Zamościu d. 15 października²⁾, a więc na tydzień przed poddaniem twierdzy:

»Ludu wzniosły! byłbyś zdolny
Chwil nikczemnej skargi dożyć?
Miałbyś tym, co dziś cię cisną,
Shanbiony podać dłoń bratnią?
Raczej zagubę ostatnią,
Niż tę zgodę nienawistną...«

Świadectwem jest tu i list poety, adresowany do komendanta Krysińskiego, któremu poświęcał wyżej wspomniany utwór:

»Generale! com czuł, słysząc o zbliżającej się wyrocznej godzinie dla naszej Ojczyzny, ośmielam poświęcić Ci, Generale! w tej pewności, że obywatelskie serce Twoje, jak i nasze wszystkie, ugniecione boleścią, podziela z nami każde uczucie i w sobie samem znajdzie źródło pociechy,

¹⁾ Tamże.

²⁾ Poezye j. w. str. 247.

której tak nam potrzeba! i której od Ciebie tylko oczekuje garstka mężnych, co przenoszą zagrzebanie się pod gruzami tej, niestety, tak już małej Ojczyzny, Zamościa tylko, nad hańbiące łaski naszych tyranów. Od Ciebie, Generale! zależy podniesienie upadającego ducha w twierdzy. Rzeknij jedno słowo: »Zginiemy z orężem w rękę!« — a rozjaśni się nasze twarze i serca. Powtórzmy za Tobą: »Zginiemy!« — i przyszłość okiem pogardy pewno na groby nasze spojierać nie będzie¹⁾.

Stało się nie według woli Gosławskiego; piękny list jego nie odniósł zamierzonego celu; na tej ostatniej naradzie wojennej siedmiu oficerów tylko, sami Podolacy²⁾ przemawiało przeciw kapitulacji, a choć większość Zamościanów zgodziła się na poddanie twierdzy, mimo to nikt na nich nie ma prawa cisnąć kamieniem potępienia. Uważali widocznie podobne postąpienie w danych warunkach za jedynie możebne; na razie broń złożyli, dalszem zaś życiem swoim dowiedli, że prywatą żadnej w tem ich postanowieniu nie odgrywała roli.

Wszak już w kilka lat później wielu z nich bez szemrania powędrowało na wygnanie, a sam dowódca legii podolskiej przepadł gdzieś bez wieści na Kaukazie, dokąd został wysłany w roli emisariusza.

Człowiek ten zaginął »gdzieś bez wieści«, a zaszczytne wspomnienie o jego wielkich zasługach, o ofiarności niezwyklej dla sprawy narodowej, przechowa się choćby w nominacji, wydanej przez Skrzyneckiego (w d. 26 lipca 1831 r.). »Piękny użytek — są jej słowa — jaki pan Kapitan zrobileś z zapasów broni i koni przez siebie w Galicyi skupionych, formując tak spieszny własnym nakładem dywizyon podolski Legii, przy innych jego zasługach dla Ojczyzny położonych, powodowały mnie, iż stosownie

¹⁾ Praytoczony tamże, str. 249.

²⁾ List pani A. P., tamże str. 8 (przedmowa).

do przedstawień Generała Chrzanowskiego z dnia 5 bm. za nr. 586, oraz Generała Szeptyckiego, utwierdziłem poruczone panu Kapitanowi dowództwo tegoż dywizyonu, a następnie poleciłem Komisji rządowej wojny posunąć pana Kapitana na stopień Majora¹⁾.

Wereszczyński nie należał do wyjątków. Braku ofiarności na cele dobra publicznego i zapału dla sprawy narodowej, nie zarzucano nam nigdy.

VI.

Dzień 22 października²⁾ żałobnemi wyrył się głoskami w pamięci obrońców Zamościa. Po długich naradach, Wereszczczyński poprzedzony białą chorągiewką, udał się do rosyjskiego obozu; po jego powrocie stamtąd, wydano rozkaz opuszczenia wszystkich posterunków.

W ten sposób ostatnia placówka narodowa, w dwadzieścia dni po wyemigrowaniu tak armii, jak i Rządu narodowego za granicę, uznała się za zwyciężoną. Że zaś niejednen i stary wojak lży rękawem ocierał, nic dziwnego; wszak był to pogrzeb jego marzeń, planów i nadziei, było to grzebanie »skurczonej« Ojczyzny.

Generał Krysiński, wezwawszy wszystkich, z którymi przebył niejedną dobę wesela i smutku, a teraz roztawał się, nie wiedząc, kiedy i gdzie ich znowu zobaczy, przemówił do zebranych krótko, serdecznie; dziękując za waleczność, poświęcenie i wytrwałość, dawał »nieograniczone urlopy« i wyrażał nadzieję, że jego chwilowi podkomendni na każde wezwanie Ojczyzny znowu pospieszą

¹⁾ Tamże, str. 310.

²⁾ Datę powtarzamy za Michalskim. W objaśnieniach do poezji Gosławskiego (Lipsk, 1864 r., str. 310) dzień kapitulacji inny, bo 23 października.

i ani krwi, ani mienia na obronę zagrożonej sprawy żalować nie będą. Czyż już choćby te »nieograniczone urlopy« nie są wskazówką najdosadniejszą, jakim duchem przejętą się czuła ta garstka rozbitków?

»Potem rozeszliśmy się płacząc, łez i łkania nie mogąc powstrzymać. Niektórzy chcieli się zabijać, ale jakoś nie było krwi rozlewu«¹⁾.

General Kajzarow dotrzymał słowa: przyjął wszystkie warunki, podane przez zwyciężonych, lecz natychmiastowe puszczenie Zamościanów do miejsc stałego ich pobytu, zależało nie od jego jedynie decyzji i woli.

Już kiedy wspominamy o tych warunkach, godzi się poznać choćby główniejsze z nich. Było wszystkich dwanaście; Michalski zanotował tylko pięć wprawdzie, lecz i te zawierają już w sobie, zda się, wszystko, czego można było wymagać na razie²⁾.

I tak:

1) »Za jakieby to nie było przestępstwo rewolucyjno-polityczne, przed lub w czasie wojny, bez żadnego wyjątku wszyscy powinni być wolni i nie ulegać żadnym komisjom lub sądom i powrócić swobodnie do swoich zagród — z zastrzeżeniem zachowania wszelkich przywilejów, jakie posiadali do chwili wybuchu rewolucyi.

2) »Załoga wychodzi z bronią w rękę, przy wszelkich honorach wojskowych. Oficerom wszelkich stopni nie odbiera się broni, tak siecznej, jak i palnej. Podoficerowie i żołnierze zatrzymują tylko osobistą własność, a konie, broń, słowem wszystko, co tylko jest rządowe, oddają temu, kogo wskaże władza rosyjska w fortocy.

3) »Rangi i krzyże zasługi, otrzymane w wojnie

¹⁾ Lucyan Michalski: *Pamiętnik* (rękopis).

²⁾ W streszczeniu podane również w objaśnieniach do poezyj Gosławskiego (j. w. 310) i w pamiętniku Ostaszewskiego (fragment rękopisu).

przez polskich oficerów, rząd rosyjski zatwierdza i uważa za prawne. Każdy, objawiający ochotę wstąpienia do rosyjskiego wojska, zatrzymuje rangę, jaką miał w chwili poddania się twierdzy.

4) »Zaloga, wystąpiwszy z fortecy, powinna mieć dane sobie kwatery po wsiach i żywność, do czasu doręczenia świadectw na wyjazd do swoich domów.

5) »Remanent z żywności, jaka się znajduje w magazynach, kasa, broń wszelka, prochy i t. d., zgola wszystko, co tylko jest rządowe i co do niego należy, powinno być oddane Rossyi. Rząd rosyjski nie ma jednak prawa wglądać w żadne rachunki przychodu ani rozchodu, lecz przyjmując to, co mu zostanie wydane«.

A dodać jeszcze musimy, że forteca była we wszystko uposażona bogato i gdyby tylko inaczej ułożyły się sprawy w głównem ognisku w Warszawie, gdzie — jak wiadomo — w ostatnich przedzgonnych chwilach powstania niewesołe zapanowały stosunki; gdyby na głównej linii bojowej rozstrzygnęły się losy inaczej, a marsze dowódców korpusów nie kończyły się wędrówką do Prus lub Galicyi — mógłby Zamość wytrwać jeszcze długo i nie małe oddać usługi szczęśliwie rozpoczętemu ruchowi.

Stało się inaczej: sztandar polski przestał powiewać i na tych murach... »ostatnich«; odwach i koszary zajęła armia obleźnicza; Zamościanów rozmieszczono po wsiach okolicznych, gdzie mieli wyczekiwać podpisania paszportów.

Wiadomość o wywiezieniu Krysińskiego i Malczewskiego pod silną eskortą do Warszawy, przejęła wszystkich oburzeniem; nie doliczymy się złorzeczeń, miotanych na Kujzarowa za złamanie raz danego słowa. Czy on był istotnie winnym? niedaleka wykazała przyszłość.

Pewnego wieczora, gdy wszyscy — przyjętym zwyczajem — zebrani byli u przeznacznego Wereszczyńskiego na wspólnej herbacie, podczas której wspomniano po sto razy przeszłość i snuto przypuszczenia na temat najbliż-

szego jutra, osłoniętego drażniącą mgłą zagadki i tajemniczości, wpada na podwórze sotnia kozaków. Adjutant Gołubkow prosi naczelnika legii do osobnego pokoju i zawiadamia go poufnie o odebranych przez Kajzarowa »sekretnym« rozkazie feldmarszałka Paszkiewicza, którego treścią — aresztowanie wszystkich silniej skompromitowanych. General rossyjski atoli, nie chcąc złamać raz danego »kawalerskiego« słowa, przysłała kozaków, by ci odstawili najwinniejszych do granicy austriackiej.

Każda chwila była droga, namysł musiał być krótki: czterdziestu Zamościan, w ich liczbie i sam Wereszczyński ¹⁾, który może najwięcej grzechów miał na sumieniu, siadło na konie i pożegnawszy się serdecznie z towarzyszami, opuściło wieś. Najbliższy świt witał rozbitków zdala od murów twierdzy Zamościa; na czele pozostałej garstki widzimy już tylko trzech oficerów: komendanta 2-go szwadronu, Teodora Korzeniowskiego, Lucyana Michalskiego i poetę Franciszka Kowalskiego.

Nie wiemy, o ile prawdziwą jest wiadomość, błakająca się w wspomnieniach ludzi współczesnych ²⁾, jakoby Gosławski, prowadzony w głąb Rosyi, uwolniony został z pomocą nieustraszonych niewiast kresowych i z wdzięczności za ten ich krok bohaterski, napisał znany powszechnie wiersz p. t.: »Podolanki«. Czyżby jednak autor pamiętników, wyliczając pozostałych w kraju oficerów, pominął podolskiego pieśniarza? Czyżby zapisując z taką skrupulatnością narodziny każdego wierszyka, nie zanotował podobnie znaczącego faktu? Nie, nie mógł tego uczynić; pan Maurycy należał w owem gronie do nadto wybitnych jednostek, a w dodatku, starając się o krewne

¹⁾ W objaśnieniach do poezji Gosławskiego (j. w. 310) znajdujemy twierdzenie, iż Wereszczyński wezwany został przez Kajzarowa do Warszawy.

²⁾ List pani A. P. (jak wyżej).

Michalskiego, tyle był mu blizkim, że i tu, jak w wielu innych wypadkach, wzmianka o wpadnięciu poety w ręce nieprzyjaciół, mających z nim do załatwienia ważny obrachunek za zniszczenie papierów i bezprawne zrzucenie oficerskiego munduru, znalazłaby się z pewnością w pamiętniku Zamościanina.

Z tego założenia wychodząc, przypuszczamy, nie bez pewnej racji, że Gosławski dostać się musiał do Galicji wraz z Wereszczyńskim; co zaś spowodowało napisanie wspomnianego wyżej wiersza, wyjaśnimy we właściwym czasie, pragnąc rzecz całą w chronologicznym przedstawić porządku.

Przeznaczaniem pozostałej pod Zamościem gromadki rozbitków legii podolskiej było znosić jeszcze wielkie przykrości, zanim po wędrówce, pod silnym konwojem odbytej, dostali się do Kamieńca, gdzie dopiero sąd wojenny, nie dopytując się zbyt natarczywie o dowody szlacheckie, wszystkich prawie uwolnił. »General Kajzarow, twierdzi Michalski, aż do Petersburga jeździł w tej sprawie i postawił w końcu na swoim«¹⁾.

»Po kapitulacyi — zapisuje znowu Spirydyon Ostaszewski²⁾ — wojsko polskie oddało fortecę, samo zaś w porządku i subordynacyi rozłożyło się po wsiach okolicznych. Rossyanie dostarczali prowiantu i furażu. Polacy oczekiwali kilka tygodni paszportów, a w rzeczy samej Kajzarow oczekiwał ratyfikacyi podpisu swego przez cesarza.

»Cesarz rozkazał zabrać do więzienia wszystkich Litwinów, Podolaków, Wołyniaków i Ukraińców, a resztę wypuścić wolno. Kajzarow bardzo to uczuł, wypełnić polecenie musiał, ale pojechał zaraz do Petersburga i wyrobił uwolnienie dla szlachty. Ci zaś, którzy nie byli wyle-

¹⁾ Pamiętnik j. w. (rękopis).

²⁾ Fragment pamiętnika (rękopis).

gitymowani, poszli albo w »soldaty«, albo do ciężkich robót.

»Komisya legitymacyjna kamieniecka, o kogo tylko była zapytywana, każdego podała za szlachcica. Mnóstwo w ten sposób włościan zaliczono do stanu uprzywilejowanego, dziedzice zaraz uznali ich wolnymi, to też nikt prawie z Podola nie był karany. Na Litwie nie wiem, jak się komisye legitymacyjne wywiązały. Z Wołynia bardzo wielu pokutowało, nawet tacy, którzy posiadali własne majątki«.

O szlachetnych instynktach Kajzarowa zachował nam wzmiankę i Michał Budzyński w swoich wspomnieniach, kreślonych tak barwnie, choć przebieg sprawy opisany u niego z pewnemi zmianami¹⁾:

»Jednego dnia, zwołana legia do Zamościa, ujrzała się otoczoną; nałożono kajdany i poprowadzono wszystkich do Żytomierza, a stamtąd do Kamieńca Podolskiego. Generał Kajzarow podał tłumaczenie swoje i przedstawił, że słowo generała rosyjskiego powinno być święte. Błaga więc cesarza o zachowanie go względem legii podolsko-ukraińskiej; w razie przeciwnym błaga o uwolnienie od służby. Cesarz obrał drogę pośrednią: kazał wszystkich z gubernij wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, a będących w owej legii, sądzić sądem wojennym, podług całej surowości, a po zdanym raporcie wszystkich ulaskawić. A tak, liczni obywatele, gotujący się podług wyroków do katorżnych robót, wrócili do zagród domowych, dzięki cywilnej odwadze Kajzarowa«.

Trzy powtórzone przez nas urywki wspomnień, charakteryzują chyba dostatecznie piękny typ rosyjskiego generała.

Rozbrojona i przeredzona legia posuwa się zwolna po jesiennych roztopach na Kresy. Przeważała w jej gro-

¹⁾ Wspomnienia z mojego życia (j. w.) I, 87.

nie młodzież, ta zaś przy lada pogodniejszej myśli, gotowa zapomnieć na moment o tem, co ją przygniata i boli i nie pomnąc lez niedawnych, śpiewem nawet nie wzgardzi. Tak się rzecz miała i z Zamościanami. Oto właśnie w tej przymusowej wędrowce po błotnistych drogach, wypadło im dzień 29 listopada przepędzić w Włodzimierzu. Tutaj też postanowili oni święcić rocznicę powstania, co tyle złudnych wywołało nadziei i przesadnych marzeń; tutaj przy lampce maliniaku improwizował Kowalski:

»Bracia siądźmy wraz, ilu jest tu nas
Zbierzmy przyjacielskie koło
I zanućmy pieśń wesolo,
Jeszcze mamy czas.

Czego płaczesz, hej, bracie śmieję się, śmieję,
Choć jesteśmy wszyscy w kozie,
Tu nam dobrze, jak w obozie,
Maliniaka lej!...«

a wszyscy śpiewali chórem; nawet major Plaksenko i porucznik Wiszniakow, którym polecono grać rolę aniołów stróżów znajomej nam gromadki, płuc nie żalując, wtórowali z zapalem, na jaki ich stać było, swoim przygodnym pupilom.

W Żytomierzu oczekiwała znowu wędrowców bogato zastawiona uczta; była to wigilia Narodzenia Pańskiego, a panie chciały, choćby w ten sposób uczcić zasługi nieustraszonych wojowników. Zawiadomiony o przyjęciu Gosławski, bawiący podówczas za granicami kraju, napisał śliczny wiersz p. t. »Podolanki w więzieniu ułanów podolskich w Żytomierzu«, wiersz, którego pierwsza zwrotka głosiła:

»A czy znasz ty moc uroku,
Co pustynie życia złoci?
Ten urok, jest to lza w oku,
Łza w pięknem oku dobroci.«

Jedna z dalszych znowu:

»A jakież to bóstwa tkliwe
W anielskiej postaci
Schodzą w więzienia zelżywe,
Wspierać wolnych braci?

A z ich zstąpieniem w około
Płynie słodki źródło pociechy —
Czysty, jak ich serca czyste,
Jak ich anielskie uśmiechy,
Jak ich lica promieniste. —

Bóstwo to — nieb rodzinnych chwilowe wygnanki!
Padnij na twarz i bij czołem
Korniej, niżli przed aniołem,
To są Podolanki!»

Nie spodziewał się może biedny marzyciel-poeta, iż już tak niewiele czasu przeznaczyły mu losy na wędrówkę po »pustyni życia«, szarej, nieozłoconej żadnym promieniem, że nie danem mu już było oglądać tych Podolanek, na których cześć wyśpiewał niejedną rzewną piosnkę.

VII.

Jakie były dalsze losy tych wszystkich — szczęśliwym trafem od sybirskiej poniewierki uwolnionych bojowników... odpowiedź niełatwa. Czterech zabawiało się piórem, wzmianki też o nich przechowały się w pismach krajowych; inni utonęli wśród swoich lub obcych w zapomnienia fali.

Mamy wprawdzie listę uczestników legii podolskiej, przejrzaną przez trzech Zamościan: Ostaszewskiego, Rudnickiego i Michalskiego, lecz zgłoszono się do nich zbyt późno, więc i pamięć starców zawodziła niejednokrotnie i nawet sam spis — jak już wspominaliśmy na początku—

nie może być zupełnym, cóż dopiero mówić o życiorysach: »...pamięć czterdziestu kilku lat nie mogła zatrzymać wszystkich kolegów...« pisze w jednym z listów Spiridon Ostaszewski, a nie stanowi on pod tym względem wyjątku: inni jego koledzy na to samo uskarżać się mieli wszelkie prawo. »Trudność sprawia oddzielenie nazwisk kolegów szkolnych od »listopadowych«, »konarszczyków« i »styczniowych« — mówił inny Zamościanin — wszak nie jeden z nas nie poprzestał na 31 roku, brał udział i w innych sprzysiężeniach«.

Sądzymy atoli, że i spis niezupełny posiada swoją wartość, zasługuje na ogłoszenie. Niech choćby ta część imion zapisana zostanie na wieczną rzeczy pamiątkę, na kartach dziejów polskich XIX stulecia; resztę zaliczyć musimy do olbrzymiej falangi »zapomnianych« pracowników dla dobra kraju.

.....

»Zwiedłym liściem jesień miecie,
Moi drodzy! przyjdzie czas,
Że tak po szerokim świecie
Los rozprószy wkrótce nas...«

śpiewał Maurycy Gosławski w chwili, kiedy generał Kajzarow otrzymał przykre dla siebie polecenie aresztowania tych, którym tak niedawno wolność i swobodę przyrzekał. A choć łzawa zwrotka...

Z wyciągnioną wy tam dłonią
Wyglądacie nas u wrót,
A nas w więzach stąd pogonia
Gdzieś pod jarzmo, gdzieś pod knut...«

nie ziściła się na razie, bo cesarz Mikołaj, jak wiadomo, niemal wszystkich legionistów ulaskawił, lecz w późniejszych życia kolejach różnie się kleciło; niejednego z Zamościan czekała przydługa na daleki Wschód wędrówka, czekało równie dotkliwe więzienie.

Wszak sam pieśniarz podolski, zamknięty w Stanisławowie pod klucz, pisał w samotnej celi: »Jest dwa światy, świat za kratą, świat przed kratą, każdy odzian inną szatą...« i umarł też w tym świecie za kratą w 1834 r., pochowany na cmentarzu miejscowym, nie zaś na Podolu, które tak ukochał, za którym tęsknił tak mocno.

W listach ludzi współczesnych tym wypadkom¹⁾, znajdujemy arcy-ciekawe szczegóły o chwilowym pobycie Gosławskiego w Galicyi i o jego tragicznym zgonie. Przedostawszy się wraz z Wereszczyńskim w granice habsburskiej monarchii, wyrusza stąd do Paryża, by już w roku 1833 wrócić nad Zbrucz i snuć nowe plany walki z Rosją. Partyzantka — jak przewidywano z góry — nie powiodła się: »przedsięwzięcie to spowodowało liczne aresztowania w Galicyi, które wielu przyplaciło życiem, niektórzy zdrowiem; między pierwszymi padł ofiarą Gosławski, zmarły w więzieniu w Stanisławowie na gorączkę nerwową, dnia 17 listopada 1834 r.« Nabawił się jej, pielęgnując chorego na nią towarzysza niedoli. »Mimo troskliwości, z jaką starano się ująć stróża więziennego, by choćemu nieść ulgę i pomoc, w parę dni dopiero dowiedziano się o jego zgonie, bo i z tem krył się starosta Milbacher, nie zezwalając proszącym go usilnie obywatelom, wyprawienia zmarłemu należytego pogrzebu«. Dokazano jednak cudu: ujęty brzęczącemi przekonywaniami cerber więzienny, ułatwił wszystko; poetę przebrano w jego własny mundur ułański, a gdy o świecie usiłowano go pochować, jak zwykłego kryminalistę, sądząc, iż o tak wczesnej godzinie ulice miasteczka świecić będą pustkami, wielki zawód spotkał miejscowe władze. Ziemiaństwo, zawiadomione przez Andrzeja Przybysławskiego i Teofila Wiśniowskiego, zjechało 19 listopada rano tłumnie do Stanisławowa. Skoro

¹⁾ Poezycy Maurycego Gosławskiego, wydanie lipskie (j. w.) przedmowa.

na prostym wozie trumnę, słomą okrytą, przywieszono do cerkwi na przedmieściu Opryszowiec, uproszono ka parocha Pokładowskiego, »ażeby nie zaczynał nabożeństwa, póki nie zawiadomią go, że przyjaciele i koledzy zmarłego, za którego duszę chcą zanieść modły ostatnie, już się poschodzili. Paroch nietylko nabożeństwa nie przyspieszał, lecz jarzącem światłem suto katafalk przyozdobił, wikarych swoich przywołał, a chór znaczną liczbą dyaków i poddyaków obsadziwszy, tak różne wyprawiał mołyby, parastasy i t. d., że aż do południa, a może i później nabożeństwo przeciągnął.

Po ukończonych ceremoniach w cerkwi, wyniesiono trumnę na skromny karawan, zaprzężony »tymi samymi chłopskimi końmi, co zmarłego wiozły z kryminału do cerkwi; sprawiło to tem większe na publiczności wrażenie, że za ubogim karawanem szły piechotą w znacznej liczbie naprzód panie w aksamitach, sobolach i innych kosztownościach, a za niemi tłumy męczyzn.

Na cmentarzu, odebrawszy łopaty z rąk kryminalistów, ziemianie sami kopali grób kolejno; każdy pragnął bodaj w drobnej części przyczynić się do przygotowania dla poety-tulacza miejsca na sen nieprzespany. Ktoś z obecnych przemówił słów kilka gorących; jeden z księży zwołał głośno: »Proszę o trzy »Zdrowaś Marya« za duszę á p. Maurycego!« ugięły się kornie wszystkie kolana i smutna uroczystość dobiegła końca.

W Zamościu służył Gosławski w randze podporucznika. Liceum krzemienieckie, w którego murach kształcił serce i umysł, zapisało go w rzędzie tych uczniów, co przynoszą zakładowi zaszczyt i chlubę.

Dowódcą legii podolsko-ukraińskiej był, jak już wspominaliśmy, Aleksander Wereszczyński. Adjutantami wodza byli: Paweł Korzeniowski, Podolak, porucznik armii Napoleońskiej; Ksawery Bojałski, podporucznik (zmarły w kraju

1842 r., dotknięty obląkaniem); Konstanty Skowroński ¹⁾ i Wołyniak, podchorąży Mikulicz (zmarły 1846 r.).

Szwadronem pierwszym dowodził kapitan Michał Gołębiowski, żołnierz napoleoński, kawaler krzyża polskiego (*virtut. milit.*) i legii honorowej. Jako dowódcy czterech plutonów służyli pod nim: Maurycy Gosławski, podporucznik Jan Zaleski, podporucznik Franciszek Kowalski, Wołyniak, popularny poeta, emigrant, po powrocie do kraju archiwista w Tulczynie, zmarł w Kijowie w 1861 r. i podporucznik Henryk Lipkowski, ziemianin podolski (umarł 1871 r.).

Na czele drugiego szwadronu widzimy w Zamościu kapitana ²⁾ Teodora Korzeniowskiego, również wojskowego z armii Napoleona (um. 1857 r.). Jest to ojciec znanego poety, Apollona. Dowódcami plutonów byli tu podporucznicy: Spirydion Ostaszewski, Bernard Chomentowski, Zadernowski i Żmudzin Konstanty Wojtkusiński.

O panu Bernardzie opowiada kolega jego Ostaszewski: »Chomentowski tak wychowany, że bez piernata i zamkniętych okienic spać nie mógł, w 1831 r. uciekł od rodziców, przybył do korpusu Dwernickiego pod moją komendę, gdzie odznaczył się osobistą odwagą i wytrwalością na niewygody zimowe. Mieszka w płoskirowskim powiecie (podolskiej gubernii), już niedołączony starzec (notatka z 1875 r.). Po rejteradzie Dwernickiego, wrócił do Królestwa i służył w kawaleryi, która była w Zamościu«.

Podporucznikami, pełniącymi rozmaite obowiązki, niemającymi jednak własnych plutonów, widzimy w fortecy: Wołyniaków, Stanisława Małachowskiego i Ignacego Wysockiego, z kolei emigranta i pułkownika wojsk włoskich, brata generała Józefa; Lucyana Michalskiego, Połonow-

¹⁾ Ze szkoły podchorążych, według Michalskiego: kadet, później właściciel dóbr na Podolu, gdzie też umarł 1875 r.

²⁾ Zdaniem Michalskiego — porucznik.

skiego, co do którego nawet ścisłości brzmienia nazwiska stwierdzić niepodobna; wreszcie Zarembe, poległego w jednej z utarczek pod murami Zamościa.

W randze kadetów-podoficerów służyli: Królewiaci, Karol Popiel, wachmistrz pierwszego plutonu i Jędrzej Kuliński, odznaczony za Majdanek krzyżem wojskowym; Podolacy: Julian Jagiellowicz, Józef Dunin (umarł w kraju około 1862 r.), Kajetan Młodzianowski, Kajetan Dłuski (umarł 1886 r. we własnym majątku na Podolu, ojciec doktora Kazimierza i muzyka Erazma) i Kajetan Janiszewski; Wołyniak Rupniewski.

W końcu kadetami i żołnierzami (ochotnikami) byli: Wołyniaci, Antoni i Władysław Jagiellowicze (ostatni po powrocie do kraju, dorobił się na roli znacznej fortuny); Podolak, Adam Rudnicki, kawaler krzyża polskiego za waleczność, odznaczył się szczególnie w starciu z Rosyanami pod Majdankiem. Po powrocie do kraju osiadł w Kamieńcu Podolskim, adwokatował, dorobił się niewielkiej fortuny; nabył część wsi Siekierzyńce pod Zbrzyziem (pow. kamieniecki), gdzie żywota dokonał w 1883 r.; Jacek Golyński, ziemianin z okolic Kamieńca, kawaler krzyża polskiego za Majdanek, 1838 r. wysłany na Syberję, umarł na wygnaniu w Tobolsku około 1842 r.; Julian Sabiński (ochotnik), Podolak, wrócił 1831 r. do kraju, w 1838 r. — za sprawę Konarskiego — wysłany na Syberję, po dwudziestu latach pobytu tamże, ulaskawiony, osiada w Krzeczanówce na Podolu (pow. mohylowski), z kolei przenosi się na stały pobyt do Kamieńca. Wywieziony na wiosnę 1861 r. do Czernihowa, umiera na powtórne wygnaniu w siedm lat później. Kasper Maszkowski, urodzony 1805 r. na Wołyniu, wrócił z Zamościa do wioski rodzinnej, Bohdanówki. Za sprawę Konarskiego aresztowany i skazany na śmierć, maszeruje — po ulaskawieniu — na Syberję, skąd po dwudziestu latach tułaczki wraca i osiada w Kijowie. Umarł w 1884 r. Jak wyżej wspominaliśmy, reda-

gował wspólnie z Beauprém *Posła prawdy*. Podolacy Tytus i Marcin Leśniewiczze, ziemianie z pod Kamieńca; pierwszy z nich wrócił do kraju; drugi wysłany 1848 r. do Niżno-Nowogrodzkiej gubernii — przebył tam dwa lata; umarł nagle 1856 r. Dalej Podolacy Józef Stroynowski i Hieronim Chodykiewicz (może Hodykiewicz?); Józef i Erazm Poznańscy z Wołynia; Francuz Corradin; Przędziecki i Szyszło z Litwy; Stanisław Porczyński, Zamoy-ski, Studzicki (umarł w Paniowcach nad Smotryczem 1875 r.); Hieronim Raczyński, Moniuszko; Antoni Aleksander Białynia Chołodecki, urzędnik z kancelaryi kamienieckiego marszałka szlachty, po poddaniu się twierdzy Zamościa, przebywał chwilowo w Galicyi, gdzie znalazł punkt oparcia u zamieszkałych z tej strony Zbrucza Chołodeckich, właścicieli Cecawy i Kudynowiec. Niebawem wyemigrował do Francyi i zamieszkał w St. Etienne (dep. Loire), gdzie zakończył żywot bezdzietnie¹⁾. Neczyporko, mielnik z Boremla na Wołyniu i Antoni Kamiński, ziemianin podolski (um. r. 1889).

Poza legią podolsko-ukraińsko-wołyńską, służyli w Zamościu Podolacy: Karol Gólek, oficer artyleryi, po pogromie wrócił do kraju; Rakowski z artyleryi wałowej, emigrował; Puczyński z piechoty fortecznej, umarł 1852 r.

Więcej nazwisk nie posiadamy.

Już po ukończeniu w *Kresach kijowskich* druku niniejszej pracy, zamieścił tamże (nr. 19 r. 1907) p. Maryan Dubiecki następującą uzupełniającą notatkę:

Pragnąc ocalić od zatracenia bodaj jedno z nazwisk wieśniaków wołyńskich, walczących wówczas w obronie Zamościa, dodaję tu nazwisko Jana Powstańskiego, włościanina ze wsi Bohdanówki, powiatu starokonstantynowskiego, na Wołyniu i uzupełniam to wspomnienie paru szczegółami.

¹⁾ Z papierów familijnych rodziny Chołodeckich.

W r. 1831 Jan, później zwany »Powstańskim«, pod imieniem Janka, był chłopakiem, kilkunastoletnim wyrostkiem, we dworze Kaspra Maszkowskiego, w Bohdanówce. Widząc, że pan jego czyni przygotowania do wzięcia udziału w walce ówczesnej, prosił Maszkowskiego, by wziął go z sobą na wojnę. Maszkowski uległ prośbom chłopca, wziął go do powstania.

W dniu wyjazdu, ku wieczorowi, gdy wioskę rodzinną mieli opuszczać, zeszła się gromadka, z poważniejszych gospodarzy złożona, w celu pożegnania młodego pana i Janka.

Wieśniacy błogosławili odjeżdżających. Maszkowski, wraz ze swym Jankiem, zaciągnął się do legii litewko-ruskiej, gdzie widzimy ich obu w dywizyonie jazdy podolskiej, w plutonie dowodzonym przez Spiridyona Ostaszewskiego. Bronią obaj Zamościa, biorą udział w wycieczkach załogi z twierdzy, w potyczkach krwawych poza murami fortecy, i, wreszcie, — w bitwie pod Swinkami, gdzie Maszkowski otrzymuje siedemnaście ran i omal nie ginie, Janek ocala mu życie. (Stwierdza to certyfikat urzędowy, wydany Maszkowskiemu przez jego zwierzchność wojskową w Zamościu dnia 22 października 1831 r., nr. 293, podpisany przez dowódcę dywizyonu A. Wereszczyńskiego, dowódcę szwadronu Teodora Szeniewskiego i dowódcę plutonu Spiridyona Ostaszewskiego). Po kapitulacji Zamościa wracają obaj do Bohdanówki, a Janek przybiera nazwę »Powstański«. Przypominało to nazwisko piękny epizod jego życia. Pozostał Powstański i nadal na służbie u Maszkowskiego, lecz w r. 1837 los ich rozdziela: Maszkowskiego uwięziono i na Sybir wysłano. Po dwudziestu latach Sybiru Maszkowski wraca z wygnania, osiada w Kijowie, Powstański doń spieszy, by pozostać przy nim aż do śmierci. Wierny towarzysz broni, Jan Powstański, przeżył swego pana, który umarł w Kijowie w r. 1884. Ani pan ani sługa, nigdy nie opowiadali o swych walkach pod

młrami Zamościa. Po r. 1863, władze gminy w Bohdakówce, do której był zapisany Powstański, oświadczyły mu, iż nie wydadzą pozwolenia na dalsze mieszkanie w Kijowie, aż nie zmieni swego nazwiska, przypominającego »bunt« (miatież) na inne, bardziej lojalne. Napęliła ta groźba troską starego sługę. Przyszedł po radę do pana, a zarazem dawnego towarzysza broni... — »Co? masz wyrzec się nazwiska swego, okupionego krwią własną?... Nigdy, przynigdy — zawołał Maszkowski tubalnym głosem... — Tak pięknego nazwiska, tak drogo nabytego, nie daje się na zatracenie!...« Okrzyk Maszkowskiego podniósł chwiejącego się ducha starego sługi. Powstański oparł się zmianie nazwiska i zaniósł je czyste, niczem nieskalane do mogiły, w epoce gdy inni, liczni, na wyższych szczeblach społecznych stojący, wielu rzeczy wyrzekali się i z przeszłością i wiarą ojców zrywali.

VIII.

Na zakończenie naszego szkicu poświęcimy dłuższe nieco wspomnienie jednemu z obrońców twierdzy, który aczkolwiek chętnie imał się pióra, wzmianki jednak nie doczekał się w literaturze. Mówimy o Wołyniaku, Spirydynie Ostaszewskim. Czy pisał on już w Zamościu? Prawie na pewno twierdzić możemy, że nie; w przeciwnym bowiem razie Lucyan Michalski, notujący pedantycznie każdą piosenkę, każdy wierszyk, improwizowany przez którego z kolegów, nie pominąłby i tego milczeniem.

Zwyczajnym trybem postępując, zaczynamy od *curriculum vitae*, a posiłkujemy się tu własnoręczną notatką żołnierza-bajkopisa ruskiego.

»Żądasz pan mego życiorysu? — pisze p. Spirydyon w lutym 1874 roku do dra. Antoniego J. — Wziąłem po ojcu majątek w hajsyńskim powiecie, z którego wybrany

byłem podsędkiem, a na drugie trzylecie sędzią; po skōńczeniu urzędowania nadszedł rok 1831. Służyłem w korpusie Dwernickiego porucznikiem, po jego rejteradzie wróciłem do Królestwa, gdzie byłem w załodze zamojskiej. Pięć razy ranny, szósta kontuzya ogłuszyła mnie na prawe ucho.

»Wróciwszy do domu, oddałem się literaturze. Z dzieł moich drukowanych jest: *Piu kopy kasok* (Wilno 1850 r.), *Piu sotni kasok, Ojciec córkom* (Tomów dwa, Kijów 1851, 1852 r.), *Miłośnik koni* (Tomów dwa, Kijów 1852). Mnóstwo mam rękopisów niedrukowanych — treści historycznej — niedrukowanych dlatego, że nie mam stosunków z księgarzami, którzyby rękopisy moje nabywali; może je dopiero moi wnucy drukować będą.

»Przeniosłem się na Wołyń do Awratyna, skąd wysłany na Sybir (za udział w 1863 roku) — przesiedziałem w Tobolsku lat sześć i za sprawą tobolskiego gubernatora Zenowicza, który mnie bardzo pokochał, wróciłem do domu«.

Życiorys, choć krótki i zwięzły, wystarcza nam jednak zupełnie. Z naszej strony dodamy tylko, że w Zamościu sprawował pan Spirydyon urząd »ubiorniczego dywizyonu«, że wróciwszy z wygnania, niedługo wśród swoich przebywał, umarł bowiem w drugiej połowie kwietnia 1875 roku, doczekawszy się pięknego wieku, bo 80 roku życia.

Bajki Ostaszewskiego odznaczają się zdrowym, swoim humorem, stylem lapidarnym, niewyszukanym, czytają się z przyjemnością i kto wie, czy właśnie ten dobry humor, ta zdolność gawędziarska, nie przyczyniły się do pozyskania sympatii pana gubernatora, który wygnańca »bardzo pokochał«, ułatwiając mu powrót do kraju. Inne prace nie wychylają się poza przeciętność, nic też dziwnego, że wnukowie autora, uważając spuściznę jego lite-

racką jedynie jako sympatyczną pamiątkę po dziadku, do ogłoszenia ich drukiem nie przystąpili.

Więcej interesu budziłyby może wspomnienia Ostaszewskiego; życie jego przypadło na epokę tyle ciekawą, mógł widzieć i słyszeć wiele, opowiadać potrafił, a słuchaczy chętnych nie braknie nigdy.

Wracając jeszcze do tak zw. »kazek« Ostaszewskiego, dodamy, że i one szerszym kołom czytelników mało bardzo są znane. Przyczynia się do tego, obok spóźnionego wieku wydawnictw, — wyszły w połowie ubiegłego stulecia — i język, w jakim są napisane. Nie zaszkodzi też, gdy, choćby dla przykładu tylko, jedną z bajek, załączonych przez autora do wyżej wspomnianego listu, przepiszemy na tem miejscu.

Tytuł jej: »Wouk i baran«. Treść?... proszę posłuchać:

»Baran pas sia na poli, aż tut wouk nadbih
 A ty sto twoju Ma! Jak że to ty mih
 Korystaty sobi tut z mojoho pola?
 Zlaknenyj baran kaže: Gospodara wola
 Dała nam seje pole — szcze moi didy,
 Jak bacz, tu na tym poli pasły sia wsi,
 Pan wouk tut ne buwan. — A sto twoju Ma,
 De ja stanu, tam wsiudy wże moja zemla,
 Ja dużczy; moje prawo — nechaj baran znaje,
 Kto prawo perestupyt, słuszne propadaje...
 Taj bidnoho barana uchopyu zubamy.
 Gospodar z hory hlanuu taj pozowyu psamy,
 Szczc dobre woukowy naszarpały bik.
 Pokinuu barana pan wouk, taj utik«.

Cenzor kijowski, czytając z doświadczenia między wierszami, z nieufnością spoglądał na wilka, wołającego: »gdzie ja stanę, tam moja ziemia, jam silniejszy«, doszukiwał się tu — może i słusznie — pewnych aluzyj do Polski i Rosyi, i bajki drukować nie pozwolił. Dopiero załączone wyjaśnienie autora usunęło zakaz. Brzmiało ono dosyć oryginalnie: »W sej bajci muzyk baczyt sebe w baranu;

didycza w wouku. Gospodar — to nowi prawa dla muzykiw a mirowi (sędziowie pokoju) — to psy«.

Innych »kazek« powtarzać nie będziemy. Zamościanin, osiadłszy na wiejskim zagonie, wśród rodziny i przyjaciół, sypał je tuzinami; tłumaczył wiersze polskich autorów na język ruski; ubierając w rymowaną formę podań ludowe, nie dał im zaginać, zachowując je dla pokoleń późniejszych, jako bardzo ciekawy materiał etnograficzny. Służył poczciwej sławie i szablą i piórem, więc — choć do orłów zaliczyć go nie mamy prawa — wdzięczne mu się należy wspomnienie, bo zapracował na nie rzetelnie.

.....
Placówka, w której padł ostatni strzał w kampanii 1831 roku — Zamość, marzy o dawniejszych, świetnych czasach, jej zaś obrońcy, po trudach pracowitego życia, usnęli snem wiecznym z nadzieją, że ich wnukom, lub prawnukom, jaśniejsza zaświta doba.

Z ROSSYJSKICH MATERIAŁÓW



LOSY KRESOWEJ CERKIEWKI

(PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW UNII ¹⁾)

Na Podolu, w olhopolskim powiecie, gdzieś nieopodal linii drogi żelaznej, leży wieś Hołubecze. Dzisiaj zbliżona do świata, codziennie słyszy pogwizd lokomotywy, przebiegającej przestrzeń między Odessą a Kijowem; dawniej pędziła żywot spokojny i chyba tylko jakaś nieupragniona zbrojna ruchawka wytrąciła ją na czas pewien ze zwykłej sennej, apatycznej egzystencji.

Dawni posiadacze nie mieszkali w skromnej, zacisznej osadzie. Ród książąt Światopelków Czetwertyńskich miał swoje siedziby gdzieindziej, a i pan starosta warecki, Pułaski, zaglądał tu jeno z przelaju, w wyjątkowych jakichś wypadkach. Nadzwyczajny taki ewenement nie trafiał się wiosce zapadłej zbyt często.

Hołubecze musiało być osadą niewielką, do połowy prawie ośmnastego stulecia własnego przybytku chwały Bożej nie posiadało; dopiero w roku 1743 — czyniąc zadość

¹⁾ Drobnostka powyższa napisana na podstawie zbioru dokumentów, znajdujących się w archiwum cerkwi w Hołubeczu, a ogłoszonych w Kamieńcu Podolskim (Selo Gołubecze — 1889) przez p. Mikołaja Jaworowskiego.

prośbom wiernych parafian — zezwala »Athanazy na Szeptycach Szeptycki z Bożey y świętey stolicy apostołakiey łaski arcypiskup metropolita kiiowski y całej Rusi, biskup lwowski, halicki y kamieniecki, opat kiewopeczarski y unio-wski« — na wybudowanie tamże nowej cerkwi, w roku zaś następnym Stefan Felicyan na nowej Czwertni, Komargrodzie i Kurczycach(?) Światopelk ks. Czwertyński, dańczowski, utajkowski itd. starosta, »zdrowy będąc na ciele y umyśle«, mając nadto niezaprzeczałne prawo dobrami swemi dziedzicznymi »iako chcieć rządzić, szafować y ku najlepszemu pożytkowi swemu obracać«, z własnej woli, »ni od kogo nie będąc namówiony« — obdarza nowo powstający przybytek modlitwy odpowiednią fundacją, w skład której wchodziły — zwyczajem ówczesnym — dnie robocze, kawałek gruntu pod ogród i probostwo, skromny szmat pola, sianożęcie itd. Dokument erekcyjny podpisano w Komargrodzie »dwudziestego szastego« lutego 1744 roku, a jako »przyiaciele do podpisu tey erekcyi uproszeni« figurują na nim Michał Rogala Tchurzewski, Antoni Lurzyński i Jan Bidowski.

Do budowy świątyni pod wezwaniem św. Mikołaja przystąpić musiano niezwłocznie; wzniesiono ją z drzewa ¹⁾, więc i materiał znalazł się na miejscu i robota sama nie przeciągała się zbyt długo, minęło jeszcze atoli lat kilka, zanim parafianie doczekali się w niej odprawienia pierwszej Mszy świętej. Porozumiewanie się z wyższą — choćby nawet miejscową — władzą duchowną nie było tak łatwym, jak w czasach obecnych, więc i o poświęcenie wykończonego budynku niejednokrotnie kołatać wypadało.

W końcu jednak Hołubeczanie dopięli swego; oto Flo-

¹⁾ Drewnianą pozostała cerkiewka do obecnej doby, parafian wraz z dwoma przysiółkami liczy 1041 mężczyzn i 993 kobiet; katolików mieszka tamże 49 osób płci obojej. Tak przynajmniej notuje urzędowa statystyka. (*Trudy podolsk. eparch. istoriko-statist. komiteta. T. VI. str. 398. Kamieniec 1898*).

ryan Hrebnicki, arcybiskup połocki, witebski, mścisławski, orszański i mohylowski biskup, tronu papieskiego »assistent«, arcybiskupstwa kijowskiego metropolity całej Rusi, tudzież archimandryi kijowsko-pieczarskiej administrator — donosi dziekanowi jampolskiemu, ks. Aleksemu Bałaszewskiemu, iż »exponowano« mu, że cerkiew »jako należy oporzadzona dotychczas niebenedykowaną zostaje, która, by benedykowana być mogła, upraszali, do której prośby — iako słuszney — łaskawie skłoniwszy się, aby wolno było przewielebności twojej wyż rzezoną cerkiew pod tytułem św. Mikołaja zostającą, z zwykłemi ceremoniami, w rituale graeco-ruskim opisanemi, solennie y publicznie pobenedykować y w niej wszelkie nabożeństwo odprawiać y ss. Sacramenta administrować, potrzebną licencyą daimy y pozwalamy«.

Nie omylimy się bardzo twierdząc, że cała gromada — wystąpiwszy w strojach odświętnych — z radością uczestniczyła w uroczystym obrzędzie; że sąsiedzi bliżsi — herbowi i nieherbowi — »prażnik« tego rodzaju obecnością swoją zaszczycić musieli, że do asysty kilku przybyło parochów i że wreszcie po modlitwie z kolei sowity nastąpił poczęstunek. Tak dzieje się obecnie, a i przed stu czterdziestu laty nie bywało inaczej; wszak współczesne pamiętniki niejedną o podobnych uroczystościach przechowały relację.

Kto na razie pełnił obowiązki proboszcza, milczą kroniki. Dopiero pod rokiem 1762 znajdujemy w archiwum cerkiewnem pierwszą o tem wzmiankę. Dnia 20 maja poleca biskup sufragan Felicyan Filip Wołodkowicz na wakujące beneficyum hołubeczańskie »uczciwego« Jakóba Wilczyńskiego, w dwa lata zaś później (18. V. 1764) podpisuje temuż Józef na Pułaziu, Kostrach i Grabowie Pułaski — prezentę, »rekwirując po nim, aby tak za dusze J. Wielmożnych śp. Pułaskich y J. Wielmożnych śp. Zie-

lińskich, iako *etiam praesenti* y nas *saeculi viventes* przy oltarzu Boskim^o modły zanosił.

Nastaly dla Polski czasy bardzo niespokojne; pan starosta warecki pospieszył z trzema synami do obozu konfederatów, umarł gdzieś hen w niewoli tureckiej; następcy jego i dobrego imienia spadkobiercy, Franciszek i Kazimierz Pułascy, pięknie zapisali się w dziejach; trzeci z braci — Antoni, pokpił sprawę; u Targowicy i wszechwładnej imperatorowej mile widziany, sprzeniewierzył się głoszonemu do niedawna przez siebie hasłom, odbiegł sztandaru przez ojca i braci z takim bronionego poświęceniem.

Jemu to właśnie i Hołubecze — obok innych włości — przypadło w spadku po rodzicu, a w tem Hołubeczu przetrwał wszelkie niepokoje »uczciwy« Jakób Wilczyński, stwierdzając swem postępowaniem, że na przydomek — przez biskupa sobie nadany — najzupełniej zasłużył. Bo oto nowy posiadacz, »wywdzięczając troskliwość względem ocalenia wsi Hołubeczego y utrzymania oney w najlepszym porządku w czasie konfederacyi Barskiej, które to Hołubecze zostawało bez żadnego rządu y zaszcetnika, a szczególnie staraniem tegoż imci X. Wilczyńskiego w dawney sytuacyi y całości one zastał(em), oraz gdy widzi, iż imć. X. Wilczyński, paroch Hołubecki dopełnia swoje obowiązki z naywiększą gorliwością ku chwale Bożey« — dodaje w nagrodę nowy zapis, powiększający dawniejszą przez poprzednich właścicieli wioski uczynioną fundacyę. Data dokumentu 4. maja 1777 roku.

Ksiądz Wilczyński korzysta z owego daru niespokojnego i burzliwego pana Antoniego niejeden rok jeszcze, dopiero bowiem 27. lutego 1789. r. przedstawionym został do objęcia »owdowiałey« cerkwi ksiądz Bessarion Jaworowski, którego metropolita Teodozy Rostocki jak najpoehlebniej polecił. Zgoda ze strony Pułaskiego nastąpiła bez żadnych trudności, nowy paroch tego samego roku jeszcze — wprowadzony przez Grzegorza Lubińskiego, dziekana jam-

polskiego — objął pieczę nad osieroconą gromadką wier-nych. Tutaj spędził długi lat szereg, broniąc majątku cerkiewnego wobec zaborczych zapędów nowego posiadacza wioski; zwijał się ruchliwie, oblatował w aktach ziemskich swoje skargi i rezolucyje na nie, słowem — nie zaniedbał niczego, by jeno własność powierzonej sobie świątyni, nie-naruszoną w całości swojemu przekazać następcy.

Znajdujemy w archiwum cerkiewnem kilka aktów, z których wypisać by się dało bliższe szczegóły, dotyczące nowego hołubeckiego parocha. Osobistość to jednak nadto skromna, by nią się obszerniej zajmować, zaznaczamy więc tylko, że w lipcu 1789 r. poślubia ks. Bessarion córkę śp. ks. Jakóba Wilczyńskiego. W intercyzie ślubnej czytamy, »że wyprawą, iaka może być, ma się kątentować, rezyden-cyi żadnemu sukcesorowi spłacać nie będzie: do tego wo-lów cztery, iakie są, w posagu będzie miał«. Ze swojej strony obowiązuje się ks. Jaworowski zostawić wdowę Wil-czyńską, z pozostałemi sierotami i skromną »chudobką, iaką będzie miała«, w zajmowanej przez nią na plebanii izdebce.

Życie płynęło na probostwie pracowicie i po Bożemu; ksiądz Bessarion chrzcił, dawał śluby i grzebał, i tak spo-kojnieby przekolatał niejedyn może lat dziesiątek, gdyby niestety nie zmiany, jakie tak prędko nastąpić miały na wschodnich kresach Polski.

Karta geograficzna Europy środkowej ulega wiel-kiemu przekształceniu; dla unii nadszedł pod świeżym rossyjskim zaborem czas ciężkich udręczeń i doświadczeń; wobec stanowczego brzmienia petersburskiego »ukazu« po-częto biednych unitów nahajkami nawracać na łono pra-wosławnej Cerkwi. O ukrytem na Kresach, zdala od wiel-kiego świata, Hołubczu również nie zapomniała nowa władza; biedny więc proboszcz Bessarion Jaworowski nie jeden raz gorzko zapłakać musiał i w końcu uległ nawet przemocy...

Świadectwo, wydane 1795 r., głosi o dobrowolnem przejściu ks. Jaworowskiego na prawosławie; między wierzami jednak tego ostatniego dokumentu hołubeczańskiej unickiej cerkiewki wyraźnie czytać można, że i tym razem były w użyciu zwyczajnie przyjęte w podobnych wypadkach sposoby przekonywania o wyższości wiary prawosławnej za pośrednictwem nahajek; podanie o tem przechowało się zresztą do obecnej doby.

Tyłu współtowarzyszy znękanego ks. Bessariona nie posiadało dostatecznego hartu, aby wyrósć na męczenników, więc i na niego kamieniem potępienia rzucać się nie godzi. — Wobec mąk fizycznych, obawy utraty kawałka chleba dla całej rodziny i tyłu innych szatańsko pomysłanych udręczeń, upadło wielu, a w ich rzędzie i proboszcz hołubeczańskiej unickiej cerkiewki.

Dzisiaj jaskrawo malowane, charakterystyczne kopuły wpadają zdala w oko przechodnia; nieszczęśliwy paroch poniósł do grobu wszystkie swoje męki i cierpienia; wnuki i prawnuki nawracanych w czambuł na rozkaz imperatrowej unitów, nałamali się do nowego obrządku, do nowej cerkwi i jeno spłowiałe karty zapomnianego archiwum świadczą, że niegdyś inaczej chwalono tutaj Boga.

Los to niejednego tylko Hołubecza.

PRZYCZYNEK DO SPRAWY KONARSKIEGO

Każdy z zarządów gubernialnych rossyjskich ma od lat wielu własny swój organ, odgrywający rolę pośrednika między władzami, a miejscową społecznością. Treści domyślić się łatwo: jest ona wspólną wszystkim wydawnictwom tego rodzaju, bez względu pod czyj panowaniem one wychodzą; że zaś ojcowie nasi, przeczytawszy potrzebne im ogłoszenia o targach, jarmarkach, licytacyi lub wreszcie poszukiwaniu spadkobierców, numer zwyczajnie niszczyli, więc też i *Gubernjalne Wiadomości* — z przed pół wieku — wkrótce do białych kruków zaliczyć wypadnie a przecie i w tem wydawnictwie trafiały się nieraz rzeczy i szersze warstwy zainteresować będące w stanie. Oto np. mamy przed sobą *Dodatek do Nr. 22 Podolskich Gubernialnych Wiadomości*¹⁾, nędznej bibuły kart cztery, bez miejsca i roku wydania, lecz już sama treść bliżej nam czas druku określa; jest to mianowicie — *confirmacja sądu wojennego kijowskiego w sprawie Konarskiego*, dotycząca przestępców politycznych z gubernij kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej pochodzących. Przedmiot sam nadto dobrze znany, by wstępu jeszcze wymagał, więc też wprost przystępujemy do powtórzenia wy-

¹⁾ Pribawlenie k. Nr. 22 »Podolskich Gubernskich Wiadomości«.

roku w polskim przekładzie, sądząc, że zaciekawić i przydać się na co może:

»Po upadku polskiego powstania w 1830 roku, burzyciele, wydaliwszy się za granicę, nie zaniechali wysyłania do naszych pogranicznych gubernij emisaryuszy, z występnym celem zakłócenia ich spokoju. Jeden z takich, niegdyś oficer bylej armii polskiej *Szymon Konarski*, uszedł zagranicę z oddziałem Chłapowskiego, długo wałęsał się po wszystkich stronach Europy, nie mogąc, z powodu awanturniczego ducha, nigdzie znaleźć zajęcia, znajdował się w liczbie powstańców, uskuteczniających napad na Sabaudyę, następnie związał się z podobnym sobie przestępcą — *Adolfem Zaleskim*, z którym udał się do Krakowa, gdzie, po naradzie z innymi kolegami, postanowił przedostać się do Rosyi, dla krzewienia w niej rewolucyjnej propagandy.

Z podobnym zamiarem przedostał się Konarski w końcu 1835 roku na Wołyń i zakrzętał około tworzenia tajnych stowarzyszeń. Skłaniając łatwowiernych niebysławami obietnicami, strasząc bojaźliwych śmiercią, zmuszał do rozpowszechniania ustaw ułożonych przez demagogów; rozsiewał występne plany wśród młodzieży Uniwersytetu św. Włodzimierza (w Kijowie) i wileńskiej medykochirurgicznej Akademii, ściągając pieniężne składki, które zużytkowywał na własną korzyść; zdążył nawet pozyskać, dla swych karygodnych celów, kilka kobiet, dla których ułożył statut, w duchu nienawiści ku rządowi i przyjętym w kraju porządkom.

W maju 1838 roku został *Konarski*, ze swoim wspólnikiem *Rodsiewiczem*, schwytany w okolicy Wilna; w ślad za tem nastąpiły aresztowania innych współuczestników. Przeprowadzone śledztwo, oparte na niedających się zakwestyonować dowodach i na przyznaniu się do winy osób, przyjmujących w tej sprawie współudział, obnażyło w całej pełni jej nikczemny cel i występne sposoby, używane przez Konarskiego i jego współników. W następstwie tego,

po orzeczeniu sądu wojennego, utworzonego w Wilnie, Konarski, jako główny winowajca i organizator sprzysiężenia, na mocy postanowień w kraju obowiązujących, został na śmierć skazany i wskutek confirmacji wileńskiego wojennego, mińskiego, grodzieńskiego i białostockiego general gubernatora rozstrzelany; współnicy jego z wileńskiej, grodzieńskiej i mińskiej gubernii, przez tenże sąd sądzeni i — po confirmacji wyroków — ukarani zostali stosownie do doniosłości występku każdego z nich.

Wyroki kijowskiego sądu wojennego, któremu podlegali uczestnicy w sprzysiężeniu z gubernij podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej pochodzący, zatwierdzone i doprowadzone do skutku przez kijowskiego wojennego, podolskiego i wołyńskiego general gubernatora, z zachowaniem następującego stopniowania:

Kasper Maszkowski,

Antoni Beaupré¹⁾

Fryderyk Michalski,

Piotr Borowski

Są to najgłówniejsi przestępcy w odkrytem sprzysiężeniu.

Z nich *Maszkowski*, jeszcze przed przybyciem Konarskiego, w początku 1835 roku, założył tajne stowarzyszenie, noszące nazwę: *Wiary, Nadziei i Miłości*, ułożył dlań statut i nietylko nie czuł wdzięczności dla monarchy za przebaczenie zdrady w 1831 roku i wybitnego uczestnictwa w powstaniu, ale, związawszy się z Konarskim, pociągnął wielu swoim przykładem i utworzył, na podstawie statutu, stowarzyszenie w wołyńskiej gubernii.

Michalski przyjął pierwszy do swego domu emisaryusza Konarskiego, dostarczał temuż wszelkich sposobów służących ku rozpowszechnieniu jego zamysłów, zwołując obywateli w celu zaznajomienia się z nim, był głównym sekretarzem stowarzyszenia w gubernii podolskiej, zbierał i naznaczał zjazdy sprzysiężonych, przechowując Konarskiego cały czas u siebie.

¹⁾ W oryginale rosyjskim jest podane błędnie imię Józef.

Doktor Antoni Beaupré był głównym sekretarzem stowarzyszenia w Wołyńskiej gubernii, pomagał usilnie tak samemu emisaryuszowi, jak i *Maszkowskiemu* w rozszerzaniu tajnego Związku, zbierał dla emisaryusza i doręczał mu pieniądze, układał statystyczne dane o kraju, do prowadzenia partyzanckiej wojny pomagać mające, rozsyłał cyrkularze, buntownicze wezwania i druki, jakby od głównego stowarzyszenia, starając się wszelkimi sposobami podtrzymać mniemanie lekkomyślnych współników o pomyslnym rozwoju sprzysiężenia.

Piotr Borowski, zasiał pierwsze ziarna spisku wśród studentów Uniwersytetu św. Włodzimierza, wciągnął do sprzysiężenia niedoświadczoną młodzież, rozpowszechniał wśród tejże buntownicze druki i wpływał na poruczonych jego opiece uczniów.

Przestępcy ci — na podstawie 19 paragrafu artykułów wojennych — skazani przez sąd wojenny na karę śmierci, ćwiartowanie i konfiskatę majątku, na zasadzie 225 paragrafu kodeksu karnego. Na mocy jednak szczególnej łaski najjaśniejszego pana, karę śmierci zamieniono im na 20 lat ciężkich robót w Syberyi i konfiskatę majątku.
Karol Olisar — Leopold Jarzyna — Waleryan Kossakowski — Adolf Roszkowski — Samuel Orda.

Przyjęli urząd sekretarzy, czyli powiatowych naczelników tajnego stowarzyszenia, współdziałali z emisaryuszem Konarskim i Maszkowskim w rozpowszechnianiu ich projektów, gromadząc u siebie sprzysiężonych (*słoumyslenników*), wyznaczając pieniężne składki, przyjmując innych do Towarzystwa. Z wyżej pomienionych *Orda* okazał się mniej od innych winnym. Wszyscy skazani wyrokiem sądu na śmierć; po konfirmacyi kijowskiego wojennego, podolskiego i wołyńskiego general gubernatora *Olisar, Jarzyna, Kossakowski* i *Roszkowski*, pozbawieni wszelkich praw stanu i zesłani na 20-letnie ciężkie roboty w Syberyi w połączeniu z konfiskatą majątków, a *Orda*, zaliczony jako szere-

gowiec, do oddzielnego kaukazkiego korpusu, bez wysługi, z pozbawieniem praw stanu i konfiskatą majątku.

Tomasz Mrosowski — Filip Olizar — Walery Rządcowski — Wacław Orzesko — Jerzy Olessa — Maurycy Kisiel — Fortunat Grabowski — Wolfgang Szczepkowski — Leopold Niemierowski — Jacek Gołyński — Lucyan Michalski — Julian Sabinowski — Piotr Cyryna — Joachim Lesniewicz.

Wszyscy 14 byli ulaskawieni przez najjaśniejszego pana za udział w powstaniu 1831 roku, jednak nie bacząc na to, przystąpili wszyscy do sprzysiężenia. *Mrosowski* nadto rozpowszechniał wśród studentów Uniwersytetu św. Włodzimierza, zakupione w Odessie, podburzające dzieła i poezye, zawiązał przytem, jeszcze w marcu 1835 roku, wraz z byłym studentem *Gordonem*, tajne stowarzyszenie akademickie. Na zasadzie confirmacyi generał-gubernatora, wszyscy pozbawieni praw stanu, ulegli konfiskacie majątków i zesłaniu do ciężkich robót w Syberyi; 12 pierwszych na przeciąg lat 20, dwaj ostatni, mniej od poprzednich winni, na lat 15.

Kanonik Julian Zieliński — ks. Narcyz Jarzyna — ks. Karol Haas — ks. Tyburcy Pawłowski — klerycy: Jan Mrosowski i Hieronim Sakowicz, wykroczyli przeciwko swemu duchownemu powołaniu, wchodząc w skład sprzysiężenia, znając zamiary emisaryusza, a oprócz tego wykroczyli również jako wiernopoddani.

Zieliński przyjmował po kilkakroć emisaryusza, ułatwił temuż zbliżenie się z Rodziewiczem i z innymi sprzysiężonymi, starał się rozpowszechniać ich działalność.

Jarzyna, przyjąwszy od Konarskiego statuty stowarzyszenia, uczestniczył w licznych zebraniach spiskowców, wprowadził do towarzystwa Haasa, Sakowicza i Mrosowskiego i ukrywał buntownika Juskiewicza.

Haas, z namowy Maszkowskiego i Jarzyny, pracował nad rozwojem Demokratycznego Towarzystwa, odbierał

i czytał podburzające książki i korespondował z Jarzyną w sprawach Stowarzyszenia dotyczących.

Za te występki trzej pierwsi z nich — na mocy konfirmacyi generał-gubernatora — pozbawieni praw stanu i święceń duchownych i wysłani na 20-letnie ciężkie roboty w Syberyi, połączone z konfiskatą majątku.

Pawłowski, pozbawiony praw stanu i święceń i zesłany na osiedlenie do Syberyi, z konfiskatą dóbr.

Klerycy łuckiego seminaryum *Sakowicz* i *Mrosowski*, pozbawieni praw stanu, ulegli konfiskacie majątku i zaliczeni zostali do kaukaskiego korpusu bez wysługi.

Kierunek, jaki sprzysiężenie rozwinęło wśród duchowieństwa, zasadzał się na osłabieniu w parafianach wiary ojców (*sic!*), dążył do utworzenia z nich jednej olbrzymiej masy niewierzących, bez różnicy wyznań, dla jakiego to celu rozpowszechniali wśród innych księży bezbożne utwory, starali się tychże przekształcić na niewierzących obludników, a ich dzieci duchowne przerobić na zgraję agentów i w ten sposób wciągnąć ich do sprzysiężenia.

Teofil Czapski — *Justynjan Ruciński* — *Ludwik Janiszowski* — *Henryk Kordaszewski* — *Maryan Podhorodeński* — *Wojciech Umiński* — *Michał Andrzejkowicz* — *Dominik Marten* — *Jan Załenski* — hr. *Karol Marchocki*,

Z liczby tych dziesięciu sprzysiężonych, na mocy konfirmacyi generał-gubernatora, *Czapski* i *Ruciński*, jako wybitni członkowie, przyjmujący innych do Towarzystwa i *Janiszowski*, ujawniający szczególne zajęcie się sprawami Stowarzyszenia, zasiadający w roli deputata w dwóch buntowniczych zjazdach — w Kijowie i w Berdyczowie — pozbawieni praw stanu i zesłani na lat 20 do ciężkich robót w Syberyi, wraz z konfiskatą majątku.

Kordaszewski, niszczący papiery sprzysiężenia, dla zakrycia tegoż przed władzą; *Podhorodeński*, udzielający wielokroć razy przytulku emisaryuszowi Konarskiemu i przyjmujący czynny współdział w Stowarzyszeniu; *Umiński*,

wożący emisariusza i kopiujący statuty Towarzystwa, pozbawieni praw stanu, podlegają konfiskacie dóbr i wysłaniu do ciężkich robót w Syberyi na przeciąg lat 15.

Andrzejkowicz, który zobowiązywał się do rozpowszechniania zasad tajnego Stowarzyszenia i *Marten*, skazani w »sol-daty« bez wysługi, pierwszy do kaukazkiego, drugi do syberyjskiego oddzielnego korpusu.

Zalenski, zbierający składki na cele sprzysiężenia i naczynony *in spe* na urząd sekretarza, wysłany do oddzielnego kaukazkiego korpusu, z prawem do wyższych stopni, a hr. *Marchockiemu*, znajdującemu Konarskiego, jako emisariusza, od którego przyjmował zlecenia, lekceważącemu sobie karę, jakiej uległ w 1831 r. za zamiar ucieczki za granicę, skonfiskowano majątek, w dodatku zesłano go do Tobolska.

Stanisław Winnicki — *Antoni Janiszewski* — *Arystarch Sosnowski* — *Ksawery Pietrasskiewicz* — *Jan Źródłowski* — *Edward Milewski* — *Aleksander Czerny* — *Władysław Jurkowski* — *Seweryn Szymański* — *Jan Lubowicki* — *Julian Osiecimski*.

Wszyscy 11, w czasie bytności w Uniwersytecie św. Włodzimierza, należeli do sprzysiężenia, w którym *Winnicki*, *Janiszewski*, *Sosnowski* i *Pietrasskiewicz* odgrywali najwybitniejszą rolę, wywierali wpływ na wielu kolegów, nosząc nazwę: soltysów albo dowódców; *Źródłowski* był również soltysiem i czynnie zajmował się rozpowszechnianiem sprzysiężenia; *Milewski* wstąpił do uniwersyteckiego stowarzyszenia po otrzymaniu dymisy w służbie rządowej, uchybił więc w ten sposób wiernopoddanej przysiędze; *Czerny* jako wybitny członek Towarzystwa, zajmujący się czytaniem podburzających dzieł; *Jurkowski* i *Szymański* jako soltysi stowarzyszenia mniej działający; *Lubowicki* i *Osiecimski* członkowie Towarzystwa, ukrywający buntownika Gordona i urządzający tegoż ucieczkę... na mocy konfirmacji generał-gubernatora, wszyscy pozbawieni praw

stanu i wpisani w poczet szeregowców oddzielnego kaukaskiego korpusu, sześciu pierwszych bez wysługi, pozostali zaś z prawem do wyższych stopni, za nienaganną służbę. *Baron Henryk Taube — Aleksander Popiel — Grzegorz Rosiewicz — Dyonizy Ogrodzński — Wilhelm Michalski — Adam Obniski — Władysław Borkowski — Aleksander Opolski — Józef Starorypiński — Jan Będziński — Józef Lisiecki — Teofil Januszewski — Łukasz Dembicki — Adryan Bienkiewicz — Izidor Godlewski — Eustachy Ruczyński — Kajetan Modzelewski — Piotr Pruszyński — Stanisław Grabianka — Feliks Bienkiewicz — Władysław Szunmiński — Edward Piniński — Ignacy Sarnecki — Jan Krechowiecki.*

Wszyscy ci albo przyjmowali tak w tajnym Stowarzyszeniu, jak również w pracach sprzysiężonych współudział, albo wiedzieli o nich, więc też na zasadzie 224 § kodeksu karnego, winni byli podlegać wyrokowi, jako główni przestępcy, ale korzystając z monarszego miłosierdzia, nie tylko uwolnieni zostali od kary śmierci, na którą to sąd ich skazał, lecz pozostawiono im nadto wszystkie prawa stanu.

Z nich: *Taube, Popiel, Rosiewicz, Ogrodzński* naznaczeni szeregowcami, z prawem do rang, w orenburskim, *Michalski* zaś w kaukaskim oddzielnym korpusie; *Obniski, Borkowski* i *Opolski*, przeznaczeni w stopniu podoficerów, również do orenburskiego korpusu; *Starorypiński, Będziński, Lisiecki, Januszewski, Dembicki*, zesłani do wielkorosyjskich gubernij; *Adryan Bienkiewicz* odstawiony, po odsiedzeniu kary w twierdzy, na miejsce stałego pobytu; pozostali wreszcie przydzieleni do służby rządowej w wielkorosyjskich gubernjalnych miastach.

Zygmunt Pruszyński — baron Karol Taube — Wincenty Ilnicki — Józef Uldyński — Justynjan Pożaryski — Adam Dzierżek — Władysław Paszkowski — Teofil Jackowski.

Wszyscy wyżej wymienieni, mniej lub więcej świadomi byli o istnieniu Stowarzyszenia i o przebywaniu

w kraju emisaryusza Konarskiego; nie zawiadamiając o tem władzy, podlegali na mocy 224 §. kodeksu karnego, najostrzejszym wyrokom, korzystając jednak z nieograniczonego miłosierdzia monarchy, wszyscy ulaskawieni zostali.

Z nich: *Prussynski* naznaczony podoficerem na Kaukazie; *Taube* i *Uldynski*, po odsiedzeniu kary w twierdzy, odstawieni zostaną do poprzedniego miejsca pobytu; *Pożaryski* zesłany na mieszkanie do Kurska; reszta przeznaczona na służbę rządową w wielkorosyjskich gubernjalnych miastach.

Andrzej Ciechanowski — Floryan Zieliński.

Chociaż żadnemu z nich nie odowodniono współnictwa w sprzysiężeniu, obydwaj jednak odznaczyli się wybitną działalnością w sprawie ukrywania buntownika Gordona i ułatwienia mu ucieczki, za co też zamiast kary śmierci, na którą przez sąd wojenny skazani zostali, zapisani, na mocy confirmacyi generał-gubernatora, w poczet szeregowców oddzielnego kaukazkiego korpusu; *Ciechanowski*, po pozbawieniu szlachectwa i konfiskacie majątku, z prawem do wyższej rangi, a włościanin uniwersyteckiego majątku — *Zieliński*, ukrywający Gordona, na podstawie 30 paragrafu kodeksu karnego, skazany na 500 pałek i służbę bez wysługi.

Aleksander Rakowski — Julian Maciejewski — Hugo Korsak — Władysław Strzelnicki — Stanisław Niemira — Franciszek Zawadzki — Jan Kowalewski — Hipolit Socharszewski — Symon Litwinowicz — Teofil Wysiekierski — Edward Boczkowski — Edward Porczyński — Oktawian Augustynowicz — Rudolf Wiskowski — Jan Sobolewski.

Wszyscy byli współuczestnikami w tajnym uniwersyteckiem stowarzyszeniu, lecz, korzystając z monarszego miłosierdzia, uwolnieni od winy i przydzieleni do służby wojskowej. *Rakowski*, jako szeregowiec, a wszyscy inni na prawach ochotników (*wolno opredielajusaczychsia*) oddzielnego kaukazkiego korpusu.

Stanisław Stanisławski (należący do tajnego stowarzyszenia w Wileńskiej Medykochirurgicznej Akademii) — *Achilles Rossolowski* — *Antoni i Robert Stanisławscy* — *Henryk Wołodkiewicz* — *Józef Warawski* — *Dymitr Jacewski* — *Stanisław Strojnowski* — *Edward Cilli* — *Józef Brzazowski*.

Z powyższego spisu studentów, *Rossolowski, Stanisławscy i Wołodkiewicz* po szczerem przyznaniu się do winy, ostatni nadto z powodu młodego wieku, pozostali zresztą z przyczyny nieznacznego udziału w sprzysiężeniu, ulaskawieni przez najjaśniejszego pana, z prawem ukończenia nauk w kazańskim Uniwersytecie.

Z 10 kobiet, należących, prócz wszystkich wyżej wymienionych, do tajnego Stowarzyszenia, niektóre wysłano z kraju, inne osadzono czasowo w klasztorach, dwóch wreszcie, z powodu młodego wieku i niedoświadczenia, nie pociągano do odpowiedzialności.

Podolski wicegubernator *Basyli Necsaj*.

Takie jest dosłowne brzmienie confirmacji wyroku. Czy nazwiska, podane w *Dodatku do Podolskich Gubernjalnych Wiadomości*, nie uległy przekręceniu, zaręczyć trudno, choć co prawda, niektóre z nich za czemś podobnem przemawiają. Wiemy, aż nadto dobrze, że prowincjonalne drukarnie grzeszą nierzadko mocno zaniedbaną korektą, a i kamieniecka »Typografia« do wyjątków zaliczoną być nie ma prawa, ani pretensyi.

Jednobrzmiące confirmacje pomieściły w swych szpaltach również i organa urzędowe innych gubernij, zestawienie więc tylko do dodatniego rezultatu doprowadzić może.

Z DZIENNIKA PODRÓŻY DUŃSKIEGO POSŁA JUSTA von JUEL

(w roku 1711)¹⁾.

Russkij Archiw umieścił w kilku zeszytach 1892 r. wyjątki z dziennika duńskiego posła, odbywającego — przed dwustu niespełna laty — peregrynacye po obszarach, wchodzących w skład dzisiejszych południowo-zachodnich gubernij. — Tuszając, że opis miejscowości, niegdyś do Polski należących, zaciekawicę zdoła, powtarzamy odpowiednie ustępy pamiętnika, w polskim — o ile możności dosłownym — przekładzie — korygując równocześnie poprzekręcane przez pana Justa Juel nazwy miast, które wydawca rossyjski ani słówkiem koniecznego wyjaśnienia opatrzyć nie raczył.

¹⁾ Pamiętniki *Justa von Juel*, duńskiego posła przy rossyjskim dworze (1709—1711), tłumaczone z duńskiego oryginału przez *J. N. Szczerbaczowa* (*Russk. Arch.* 1892. Z. 3—10). — Znajdują się one w rękopisie w kopenhagaskim państwowym archiwum, stanowią spory foliant, arkuszowego formatu. Tytuł ich: *Just Jueles Ambassade i Rusland 1709 1711*. — Dotąd ogłoszone drukiem nie były. Ułożone w formie dziennika dla króla duńskiego Fryderyka IV. — O autorze wiemy tylko tyle, iż został później wiceadmirałem, że nadto *curriculum vitae* jego wydano 1756 r. w Lipsku.

Omawiany dyaryusz duńskiego turysty z wielu względów do nader ciekawych zaliczonym być musi. Dwa z nich zaznaczymy na tem miejscu; pierwszy, to okoliczność, że wędrowka pana Justa przypadła rychło po usunięciu się Turków z Podola, że więc maluje nam stan prowincyi świeżo na nieprzyjacielu odzyskanej, choć — niestety — nie dotarłszy do Kamieńca, nie opisał owej pierwszej na Kresach fortocy. Drugim względem, równie ważnym, to przedstawienie w jaskrawych barwach, w jaki sposób Rosyanie — korzystając z laskawych względów Sasa — poczynali sobie w kraju, który nadto był słabym, by energicznie i skutecznie zaprotestować przeciw wszelkim gwałtom, codziennie niemal spełnianym; w jaki sposób zachowywała się przyszła żona Piotra — Katarzyna Aleksiejewna, która, dziwnem zrzędzeniem losu, ze stanu poddańczego dostała się na tron wszechwładców rossyjskich. — W Toruniu oczekiwała ona przybycia przyszłego małżonka, tu też pokazała biednym obywatelom starożytnego grodu, jak wygląda dzikie rozpasanie połączone z brakiem pewnej — wymaganej w świecie — oglądy towarzyskiej i dumą rozpanoszonego dorobkiewicza, któremu udało się niespodziewanie — bez żadnych z jego strony zasług — wybić się znacznie w górę ponad otaczające go tłumy i zyskać z tą chwilą całe roje fałszywych pochlebców.

Co przyszła władczyni Rossyi robiła w Toruniu, jak nieszczęśliwych mieszczan dręczyła — w opisie tego wszystkiego wyręczy nas bardzo dobrze sam autor dziennika, nieszczędzący ni farb, ni trudu, by jeno — charakterystyczny wielce obraz — w najodpowiedniejszym przedstawić oświetleniu. Przygnębiające, historyczne tło epoki, nieszczęsna w następstwa i skutki walka stronnictw Leszczyńskiego z Saskim, buszowanie po kraju szwedzkich i rossyjskich armij, rabunki, gwałty, olbrzymie kontrybucye — wszystko to dobrze skądinąd znane. Interesujące szczegóły znajdują się w dzienniku pana Justa, do ogłoszenia którego

przystępujemy. Poseł duński przebył Dniepr pod Kijowem ostatnich dni czerwca 1711. Toruń pożegnał 9 października tegoż roku, okres więc czasu, między temi dwiema krańcowemi datami, zajęła mu wędrówka, której dyaryusz ciekawy poznamy poniżej.

Zaczynamy od 21. czerwca 1711 r.:

— Żołnierze moi, wspólnie z burmistrzem miasta Borzny ¹⁾ — wysłani zostali w okolice tegoż, by wynaleźć potrzebne dla mnie do dalszej podróży konie. W pewnej wiosce, będącej własnością kozaka-obywatela Koczubeja, polecił paroch uderzyć w dzwony i wezwał włościan na pomoc; chociaż żołnierze zmuszeni zostali ustąpić przed przeważającemi znacznie siłami, parocha jednak zatrzymawszy, przyprowadzili do mnie, bym go mógł oddać w ręce władzy. Nakoniec popołudniu, po wielu hałasach i kłótniach, dostawiono mi koni, natychmiast też w dalszą puściłem się drogę. Przed samym odjazdem zjawilo się u mnie całe duchowieństwo m. Borzny, wstawiając się za uwięzionym parochem, którego postanowiłem prowadzić do Kijowa, by go tam oddać — w celu ukarania za podniesienie buntu — miejscowemu gubernatorowi. Pragnąc wykupić swego towarzysza, prostacy-popi przynieśli, każdy po kilkanaście kopiejek, zawiniętych w papierki. Zabawiwszy się ich głupotą, wysłuchałem prośby i wypuściłem więźnia. Po drodze zbierali moi ludzie dzikie szparagi, niczem nie różniące się od ogrodowych.

22. czerwca. Nieżyn ²⁾, duże, handlowe miasto, ufortyfikowane doskonałym wałem. Na przedmieściu stoją dwie wspaniałe, wielkie ośmiokątne cerkwie, prześlicznej architektury, również otoczone wałem. W Nieżynie przebywa rosyjski komendant z rosyjskim garnizonem, złożonym

¹⁾ Miasto powiatowe *Borsny* leży nad rzeką tejże nazwy w czernihowskiej gubernii.

²⁾ *Nieżyn, Niżyn*, miasto powiatowe w gubernii czernihowskiej, nad r. Oстера.

z 600 ludzi, nadto kwateruje w mieście pułk cały. Do obecnej wojny tureckiej ześrodkowywał się cały handel tutejszy w rękach Greków; skoro jednak — po wypowiedzeniu wojny — car zaproponował im, wybór między powrotem do swoich a pozostaniem na miejscu, znaczna ich większość — w epoce mego przejazdu — wywędrowała już do ojczyzny.

Przejeżdżać przez Dniepr do Kijowa może każdy, z powrotem atoli przepuszczonym zostaje tylko ten, który zaopatrzył się w paszport miejscowego gubernatora, Dymitra Michajłowicza Golicyna. Środki te przedsięwzięto, by przeszkodzić ucieczce żołnierzy carskiej armii do Rosyi. Z tego względu — z polecenia Golicyna — ustanowiono u przeprawy straż, pod zwierzchnictwem oficera. Wysłałem naprzód przystawę z tłumaczem, by ci uprzedzili gubernatora o moim przyjeździe i prosili go o wyznaczenie mi odpowiedniego pomieszczenia. Oddano na moje rozkazy dom na Podolu¹⁾.

27. *czerwca*. Rano posłałem sekretarza misyi, Piotra Falka, w towarzystwie tłumacza, z uwiadomieniem gubernatora o moim przybyciu. W odpowiedzi przysłał gubernator pewnego porucznika, by ten wytłumaczył go przedemną, że sam osobiście, z powodu choroby, nie może dostąpić zaszczytu złożenia mi wizyty i zarazem zaprosił mnie na jutrzejszy obiad. Przyjąłem zaproszenie, przyzwyczajony już w Rosyi do podobnych drażliwości. Golicyn był kniazem, od czasu zaś kiedy ruscy kniaziowie nabili sobie głowy przekonaniem, że są książętami, że mają prawo do tytułu *Durchleutigled* i *Altesse*, lękają się, że oddając pierwsi wizytę zagranicznemu posłowi — do czego w rzeczywistości są obowiązani — uczynią swej godności ujmę. Gdybym się tego domagał, ryzykowałbym niedostanie koni, do dalszej podróży potrzebnych, kowalom wzbronionemby

¹⁾ Wzmiankowana część Kijowa nazywa się *Podół*.

zostało urządzenie mych ekwipaży, z wielkim trudem połączeniemby było wyszukanie pomieszkania i t. d.

28. *czerwca*. Obiadowałem u gubernatora. Mieszka on w znanej części twierdzy kijowskiej, nazywającej się Peczarą (dzisiaj Peczersk). Są to silne fortyfikacye, nad którymi jeszcze bezustannie pracują.

30 *czerwca*. Napisałem listy do Danii i do armii rosyjskiej na Wołoszczyźnie, wręczając oba gubernatorowi, by — w braku poczty — wysłał je przez umyślnych posłańców. Listy do Danii poszły na Moskwę.

1 *lipca*. Większa część mych ekwipaży połamała się a uprząż porwała. Naprawa tychże wstrzymywała mnie w Kijowie a postępowała ona bardzo wolno, znaczniejsza część bowiem rzemieślników pomarła w zeszłym roku z dżumy. Gubernator okazał się o tyle uprzedzającym, że polecił rzemieślnikom porzucić wszelkie inne zajęcia i dla mnie jednego pracować.

2 *lipca*. Otrzymałem od gubernatora pozwolenie zwiedzenia twierdzy i mogiły świętych. Przedewszystkiem pojechałem do metropolity, poczciwego i szanownego staruszka, mówiącego dobrze po łacinie. Ten polecił pokazać mi katedrę. Następnie udałem się do komendanta twierdzy *Petschur* (Peczersk?), starego uczciwego Niemca, któremu gubernator rozkazał pokazać mi pieczary z ciałami świętych, jak również i samą fortecę. Wchodzisz do pieczary z niewielkiej cerkiewki, zasuniętej w wąską dolinę między dwiema wysokimi górami. Cerkiew ta utrzymywaną jest kosztem pewnego kozackiego pułkownika. Jako przewodników wyznaczono mi dwóch mnichów, znających język łaciński. Wszedłszy do pieczary zaczęli śpiewać. Podziemny korytarz, o szerokości półtora, wysokości zaś trzy *aleny*¹⁾, zgrubsza przekopany wewnątrz pagórka i nie wyłożony kamieniem. W różnych miejscach, w zagłębieniach

1) Łokci duńskich.

ścian, pokazano mi 50 niepsujących się ciał świętych z wypisanymi ich imionami. Ku uczczeniu tychże urządzono w pieczarach trzy kaplice. Ciała rzeczywiście zachowały się w całości. Oglądałem ich zczerniałe, wyschłe ręce i nogi. Życiorysy świętych wydrukowano w słowiańskiej księdze *in folio*, jeden egzemplarz której nabyłem w Kijowie i do dziś dnia przechowuję u siebie. Pokazywali mi również korzeń drzewny, co przebiwszy ziemię dostał się do pieczary. Czerńce zapewniają, że on ochrania od złej choroby; w tym celu chory powinien ugryźć go kawałek. Pocięty też jest już w wielu miejscach. Groby świętych w znacznej części obciążone pozłocaną skórą, zdobną nowszymi holenderskimi rysunkami. Obecnie nie grzebią w pieczarach nikogo. Trzy lata wstecz umarł w Kijowie pewien zakonnik, o którym lud prosty sądził, że odznaczał się szczególną świętością życia. Był to Prusak, bankrut Mikel, pełniący czas jakiś urząd kapelmistrza w Królewcu, (Königsberg), zmuszony jednak — wskutek rozmaitych szacherek — ztamtąd uciekać. Przybywszy do Kijowa z Holandyi, przyjął prawosławie i udawał, że pędzi ascetyczny żywot, a naród nabral przekonania, że on w istocie jest wybrańcem Bożym i po jego zgonie zwłoki — w jednym rzędzie z ciałami świętych — w pieczarach złożył. Zaczęły się jednak zaraz rozkładać, wypadło je więc corychlej zabrać i na cmentarzu pogrzebać. Koło pieczar, opodal cerkwi, urządzona niewielka łaźnia, gdzie zamykają waryatów; podobno, przesiedziawszy tam bez pokarmu dwa dni, powracają do zdrowia. Na pytanie, czy kuracya tego rodzaju zawsze pomyślnym kończy się skutkiem — odpowiedziano mi: komu Bóg zechce przyjsć z pomocą, temu pomoże.

Fortyfikacye, otaczające monastyr, założone w odległej starożytności dla obrony tegoż, są tak silne, że cała armia nie zdołała by ich zdobyć. Ostatniej wiosny Tatarzy podchodzili na odległość mili pod Kijów, przekonawszy się

atoli, że Rossyianie śledzą za nimi i zamierzają nawet ruszyć w pole, zawrócili nazad.

14. lipca. Książ Golicyn i komendant twierdzy przyjeżdżali do mnie z pożegnaniem.

15. lipca. Opoдал starej Mielnicy spostrzegłem w polu kilkaset nor, wrytych w ziemi, które w ubiegłym roku służyły za mieszkanie uciekającym przed dżumą. Po południu przybyłem do Wasylkowa¹⁾, obronnego nie tyle sztuką, ile z natury — górami. Dwa miesiące temu Tatarzy spalili znaczną część jego domów, do ucieczki zmuszając lub uprowadzając w jasyr większość mieszkańców.

17. lipca. Przybyłem do Białej Cerkwi²⁾ i rozbiłem namioty w polu. Komendant miejscowy, kozak, brygadyer Jerzy Iwanowicz Angelkow, przysłał mi zwyczajem przyjętym podarunki. Wcześniej jeszcze słyszałem, że ostatniej wiosny odparła Biała Cerkiew atak 65.000 krymskich Tatarów i kozaków, z zadowoleniem też oglądałem tę twierdzę. Z tej racji udałem się konno do komendanta. Miasto Tatarzy spalili; otoczone niewysokim częstokołem, przez który się im przebić udało. Przed twierdzą znajduje się niewielki, okrążony suchym rowem, szaniec. Prowadzi on do właściwej fortecy. Ostatnia formuje koło, kroków 150 w średnicy, otoczona bardzo wysokim murem, w pewnych miejscach jeszcze nieukończonym, posiada nadto pięć bastyonów. Tatarów naliczono 40.000, wszyscy konni, przyprowadził ich syn hana krymskiego, han budziackiej ordy. Towarzyszyło im 20.000 ludzi pieszych, zaporozkich kozaków, pod dowództwem kozackiego hetmana Orlika, którego król szwedzki mianował w miejsce Mazepy, i 5.000 pięknego polskiego wojska, pod rozkazami jednego ze stronników Stanisława, kijowskiego wojewody, Potockiego³⁾. Przy

¹⁾ Wasylków, miasto powiat. gub. kijowsk.

²⁾ Biała Cerkiew, nad rzeką Rosią, pow. wasylkow. gubernia kijowska.

³⁾ Godność wojewody kijowskiego piastował w danej epoce

Polakach było instruktorami 40 szwedzkich oficerów. Cała ta orda atakowała Białą Cerkiew od strony Polski. Z twierdzy odstrzelivano się z 36 hakownic, mimo to piechota nieprzyjacielska podsunęła się pod sam wał i sypać zaczęła szaniec. Nocą wysłał komendant przeciwko pracującym dwa oddziały, po 200 głów każdy, z ogólną rezerwą 100 ludzi. Korzystając z ciemności, oddziały te powinny były okolić szaniec i zaatakować nieprzyjaciela. Uzbrojone one zostały ręcznymi granatami; napadłszy na przeciwnika w chwili, kiedy ten był zajęty robotą, z początku dały w jego stronę salwę, z kolei zaczęły nań ciskać granatami. Wśród nieprzyjaciół powstało odrazu wielkie zamieszanie, nastąpił bój ręczny. Według słów komendanta, zabito w szanecu 1000 ludzi. Kiedy tatarska konnica przybyła swoim z pomocą, zaczęto do niej strzelać z fortecznych armat. Następnie wszystkie trzy, wysłane z grodu oddziały zjednoczyły się, napastując i zmuszając w końcu wroga do powszechnej ucieczki. Angelkow opowiadał mi, że wojsko nieprzyjacielskie zostawiło na placu 4000 ludzi zabitych, 8 sztandarów, ogromną ilość strzał, luków i broni palnej, a nadto 14 czworobocznych tatarskich znaków z czarnej materyi (kamki). Trofea te posłano do Kijowa.

Z powyższego przykładu przekonać się łatwo, co to za naród ci Tatarzy: liczne ich tysiące rozpedzone zostały przez 500 ludzi, co nie wyda się nadzwyczajnem, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Tatarzy w znacznej części uzbrojeni tylko w kopie i szable; u niektórych, prawda, znajdziesz luk i strzały, lecz natomiast dobrą broń palną posiadają jedynie nieliczne wyjątki. Pod Białą Cerkwią prze-

(1702—1744) Józef Potocki, h. Pilawa, żonaty po raz pierwszy z Leszczyńską, wojewodzianką podlaską, córkę zaś wydał za Adama Śmigielskiego. Gorliwy stronnik króla Stanisława, z którym po niefortunnej puławskiej bitwie usuwa się za granicę. Pogodziwszy się później z Sasem, piastuje najwyższe w kraju godności.

plywa rzeczka Boh ¹⁾, po obu brzegach której znajduje się znaczna ilość skał. Koło Białej Cerkwi kopie lud pewnego rodzaju żółtą roślinę, okrywającą wszystkie pola; u jej korzonka widzisz kilkanaście maleńkich, wielkości zwyczajnego śrutu, obciążonych skórą, pęcherzyków, zawierających w sobie barwiący pierwiastek, którego ludność miejscowa używa do farbowania na kolor czerwony wełnianych materyj. Posmarowałem tym barwikiem kartki znajdującej się u mnie książki, i by ta prędzej wyschła, położyłem na ziemi w miejscu, gdzie słońce najlepiej ogrzewało. Lecz pewnego rodzaju owady, zwane kowalikami, powygryzały z kartek większe kawałki i zapewne zjadłyby całą książkę, gdybym nie pospieszył jej zabrać.

18. lipca. Komendant Białej Cerkwi obdarzył mnie 18 świeżymi końmi, wyznaczył asystę z 50 żołnierzy, pod dowództwem oficera, dodał nadto 5 kozaków, jako przewodników, gdyż z powodu Tatarów droga była nader niebezpieczną.

19. lipca. Ilość okropnych latających owadów, nazywanych tu szarańczą, poczęła się zmniejszać. 15 lipca w południe, kiedy przejechawszy Kijów, stanąłem dla wytchnienia, zjawiała się ich taka olbrzymia ilość na ziemi, że nikt — nie oglądający czegoś podobnego na własne oczy, nie da opisowi wiary. Ziemia była zasypaną nimi tak gęsto, że dłoń, gdzieby jej nie położyć, przykrywała odrazu 3—4 sztuk a czasem i całą połowę setki; w wielu miejscach szarańcza siedziała jedna na drugiej tak grubą warstwą, że je można było zgartywać łopatami. Na przestrzeni od Starej Mielnicy, oddalonej o mil 10 od Białej Cerkwi, i jeszcze półtóry mili poza ostatnią, szarańcza do szczętu zjadła zasiewy, ziarno, słomę i polne trawy, ani jednego żdźbła na polu nie zostawiając, konie więc moje

¹⁾ Autor Pamiętnika pomylił się, przepływa bowiem w tem miejscu rzeka Ros.

długi czas cierpiał okropny głód, żywiąc się jedynie, rosnącymi po polach gorzkimi chwastami, których szarańcza nie tknęła, a pamiętać należy, że własnych koni, nie licząc włościańskich, miałem 64 w orszaku. Szarańcza pożera również jedna drugą. Skoro której z nich zepsuje się skrzydło, że nie może latać, to pozostałe natychmiast objadają jej skrzydła i przegryzają część tylną, reszty ciała nie dotykając. Na pierwszy rzut oka wygląda ziemia, jakby zasypana pszenicą i żytem; są to zarodki szarańczy, pozostałe po niej w takiej ilości, że można je zgaratywać.

22. lipca. Rozłożyłem się nad brzegiem niewielkiego stawu, gdzie moi dragoni natychmiast zabrali się do roboty: wydobywszy siecie, poczęli wplaw łowić ryby. Pływali robiąc nogami i jedną ręką, drugą bowiem ciągnęli siecie. Znajomość u Rossyjan radzenia sobie w drodze w najróżnorodniejszych okolicznościach, wzbudza niemal podziw. W polskiej Ukrainie — między Kijowem a Niemirówem — przy każdej wsi bez wyjątku wznoszą się szańce. W drodze od Kijowa po Niemirów i dalej, przez Podole, rozbijając namioty, wzmacniałem za każdym razem obóz 30 wozami, na których miałem rozmaite zapasy żywności i napojów, w tym bowiem pustym kraju nic i za największe nie dostaniesz pieniędzy; żeby więc z ludźmi nie zginąć z głodu, musiałem mimowoli wozić ze sobą wszystko konieczne. Podobny *Wagenburg* urządziłem w celu obrony przed Tatarami, którzy każdej chwili mogli mnie napaść.

23. lipca. Niemirów ¹⁾, niewielkie, prawie zupełnie puste miasto. Mało kto mieszka w osadzie, między zewnętrznymi fortyfikacyami a samym grodem. Około murów miejskich pracują właśnie. W środku miasta wznosi się maleńki zameczek, nie większy od tych, jakie budują dzieci,

¹⁾ Miasto *Niemirów*, nad dopływem Bohu, Zamczykiem, pow. braclaws. gub. podolska.

kształcające się w inżynierii. 20 armat stanowi całą artylerię forteczną; garnizon zaledwie z dwóch pułków złożony, oba dragonie: smoleński i kargopolski. Komendantem Niemirowa — Jan Wasiliewicz Bolkin. Po moim przyjeździe zjawilo się na ulicy, pod oknami mojego mieszkania, dziesięć tańczących kobiet; stare baby przodowały pozostałym. Podobne uliczne tańce są tutaj w zwyczaju. Na przedzie postępowało dwóch muzykantów. Jeden z nich grał na bandurze (*Hackbret*), drugi na skrzypcach, instrumentach używanych w całej kozackiej krainie. Tutejsze kobiety piją o wiele więcej od mężczyzn, często też do późna przesiadują w ich towarzystwie po szynkowniach, które spotykasz w tych stronach w wielkiej ilości. Dziewczęta chodzą z odkrytymi głowami, włosy splatają w dwie, spadające na plecy kosy. Niemirow — smutne, puste miasto, z rozwalonymi w znacznej części domami. Jednakże i najuboższy jego domek czystszy niż najporządniejsze rosyjskie pałace (*Stuer*). W pobliżu przepływa niewielka rzeka Horodnica. Miasto stanowi własność wojewody kijowskiego, niezmiennego stronnika Stanisława a przeciwnika króla Augusta.

28. lipca. Droga do rosyjskiej armii w Jassach, u przeprawy przez Dniestr w Sorokach¹⁾, jest nader niebezpieczną. Silne partye zaporozkich kozaków zabierają do niewoli podróżujących i nie tak dawno odbili u Rosyan 700 podwód z chlebem i mąką. Żeby uniknąć spotkania z nimi wypadło mi zakreślić wielkie koło. Niemirowski komendant, któremu naprzód poleconem zostało udzielenie mi zbrojnej eskorty, dał 50 dragonów, pod dowództwem majora, i 4 kozaków-przewodników. W ich towarzystwie puściłem się z pomocą Bożą w dalszą drogę.

29. lipca. Zatrzymałem się w polu nad brzegiem Bohu.

¹⁾ Miasto powiatowe po prawej stronie Dniestru, w dzisiejszej Bessarabii.

Zanim przebyłem rzekę, poleciłem naprawić uszkodzony na niej most. Za mostem leży miasto Winnica¹⁾, obecnie bardzo zaniedbane. Wielka jej świątynia, pięknej architektury, stoi pusta, prawie zupełnie rozwalona. Pod samą Winnicą znajduje się starożytny klasztor, obwiedziony murem. Tutaj miało miejsce straszne zaćmienie, podczas którego skrył się cały księżyc.

31. lipca. Wysłałem z Baru dragona z listem do generała majora Jeschowa, stojącego w Sweenitz²⁾ (w Żwanicu, leżącym już na Wołoszczyźnie, za Kamieńcem Podolskim. Jeschow -- na czele 2.000 dragonów -- przygotował dla armii zapasy ziarna i chleba. Kanclerz hr. Golowkin radził mi złączyć się z owym generałem i z nim razem dalej dążyć ku wojskom rosyjskim. W liście wzmiankowanym uwiadomilem Jeschowa o swoim zbliżaniu się, prosząc go zarazem, by na mnie w Sweenitz (Żwanicu) dzień jeden poczekał. Bar³⁾ miasto wielkie, szeroko rozrzucone, lecz zniszczone i opustoszałe. Do tej chwili znajduje się w niem wiele murowanych świątyń i domów, które w znacznej części się rozsypują. Zamieszkały przeważnie przez Żydów. Niegdyś był Bar silną twierdzą; obecnie z jego murów ocalało jedno skrzydło. W mieście zachował się jednakże niewielki zameczek, z niskim, choć grubym, murem kamiennym. Garnizon jego stanowi 70 polskich dragonów. Mieszka tu komendant, pułkownik Snek, z urodzenia Niemiec. Okazał mi wielką uprzejmość.

¹⁾ Winnica, miasto powiat. podolsk. gubern.

²⁾ Autor ma tu na myśli m. Żwaniec, położone z lewej strony Dniestru, a więc i uważa jego, że znajduje się ono na Wołoszczyźnie, polegåła na błędnem zrozumieniu udzielonej mu informacji. Czy nawiaso generała również przekręcone nie zostało, nie umiemy powiedzieć.

³⁾ Bar nad Rowem, pow. mohylowski, obecnie miejscina licha. Wówczas Żydów głównie zamieszkała. Kiedyś ważna nader placówka obronna i stolica Barackiego starostwa.

2. *sierpnia*. Przybyłem do *Sienkowa* (Żinków). Miasto znaczne, obronne murami, wzniesionymi z kamienia, obecnie zniszczone. W jednym jego końcu znajduje się zamek trójkątny, otoczony murem z trzema wysokimi basztami. Broni w nim nie wiele, garnizon złożony z 30 polskich żołnierzy. *Sienkow*¹⁾ (Żinków) należy do polskiego koronnego wojewody (*Feldherren*) Sieniawskiego. Przejżdżający goniec oznajmił mi, że między carem a Turkami zaszła dłużej trwająca walka, po ukończeniu której zawarto pokój. Kiedy tenże goniec wracał, wysłałem za jego pośrednictwem list do wielkiego kanclerza Gołowkina z prośbą o dokładniejsze wiadomości.

3. *sierpnia*. Spotkałem drugiego gońca. Potwierdziwszy wieści o zawarciu pokoju, dodał, że nadaremnie liczę na spotkanie w *Swenits* (Żwańcu) z powracającym do Rosji carem, gdyż jego wysokość jedzie nie na *Swenits*, lecz na Mohylów, dokąd polecono stawić się i generał-majorowi Jeschowowi. Wtedy wysłałem jednego z mych ludzi do *Donowsa*, o 2½ mili odległego, by o wszystkim dowiedzieć się dokładnie u stojącego tamże rosyjskiego oddziału. *Donowsa*²⁾ (Dunajowce), miasto duże, murem otoczone, zaludnione żydostwem; znajduje się w niem maleńki zameczek. Wogóle w miastach tutejszych ludność żydowska góruje liczebnie nad polską. Z *Donowsa* posłaniec mój wrócił z dragonem, którego z Baru wysłałem do *Swenits* z listem do Jeschowa. Obaj w całości potwierdzili wieść o zawartym między carem a Turkami pokoju, z racji czego natychmiast ruszyłem z powrotem i tego samego wieczora jeszcze przybyłem do *Sienkowa*. Podobny, zbieg okoliczności nie dozwolił mi oglądać znakomitej twierdzy w Kamieńcu

¹⁾ *Żinków* leży w gub. podolsk. pow. latyczows. — *Sieniawski Adam* był hetmanem W. Kor. † 1726. Tłumacz rosyjski mylnie go wojewodą nazywa.

²⁾ *Donowsa*, przekręcona nazwa *Dunajowiec*.

Podolskim, a tak bardzo pragnąłem ją zobaczyć. Oddziało mnie od niej zaledwie 4^{1/2} mili.

4. sierpnia. Dosięgnąłem niewielkiego, opustoszałego miasteczka *Prosienkowa*¹⁾. Tamtejszy wojewoda wezwał mnie na obiad i ugościł wszystkim, co tylko można było tu dostać. Po obiedzie wyszła do nas jego żona, która wedle słów wojewody, nie liczyła jeszcze 12 lat życia. Ubrana w strój francuski, przysiadła po francusku, schylając się tak nisko, że — według polskiego obyczaju — dotknęła ręką ziemi. Sam wojewoda, kiedy pozdrawiał mnie i kłaniał się, dotykał ręką najpierw moich kolan, potem trzewików; w ten sposób kłaniają się w Polsce mężczyźni. Nocowałem w wielkim lesie. Kraj tutejszy przeważnie urodzajny, prócz tego przyroda uposażyła go hojnie lasem z lipy, buka, brzozy, olchy i leszczyny. W miejscowości, którą obecnie przebywałem, znajduje się wiele wysokich gór, utrudniających bardzo podróżowanie. Góry te atoli wszędzie pokryte trawą, warstwa też ziemi, dostatecznie na nich głęboka, nadaje się pod uprawę zboża. Zużywałem znaczny zasób sił, by powstrzymać dodanych mi dragnów od grabieży i rozbojów. Swawola ich dochodziła do tego stopnia, że często grozili opuszczeniem mej osoby, jeżeli im nie pozwolę robić, czego zapragną. Za moimi plecami grabili każdego spotkanego, sprzedawali Żydom moje konie, które potem, odebrawszy pieniądze, z powrotem im wykradali, starając się, żebym ja tylko tego nie spostrzegł. Zatrzymali raz Żyda, pędzącego woły, na których wypalone było carskie piętno, twierdząc, że one należą do cara, że Żyd je ukradł, z racyi czego żądali od niego po rublu

¹⁾ *Prosienkow* zwał się rzeczywiście *Prosiątków* albo z ruska *Porosiątków*. Wieś przechrzczona dziś *Aleksandrowem*, pow. uszycki, gub. podol. Od hr. Stadniekich nabył ją gen. Lüders i on też dawną nazwę zmienił. Wzmiankowanym ogólnikowo wojewodą był jeden z Zamoykich, właściciel Prosiątkowa. Żona jego rzeczywiście bardzo młodo weszła w związek małżeński (podobno w 15 wiośnie).

od sztuki, grożąc w razie niezapłacenia wymaganej kwoty, odebraniem mu tychże. Żyd jednak przedstawił świadków udowadniających, że woły nabył u rossyjskiego oficera, ja też zabroniłem czynić mu jakkolwiek krzywdę.

5. sierpnia. Wskutek bezustannej wędrówki, silnych upałów we dnie, dokuczliwego chłodu w nocy i często doświadczanego braku najpotrzebniejszych zapasów — tak ja sam, jak i wielu moich ludzi zaniemogło ciężko. Chorych w orszaku było 6 dragonów i tyluż moich własnych ludzi. Śmiertelnie chorego kamerdynera zmuszony byłem zostawić w Barze, u tamtejszego pułkownika. W Niemirowie jeden z moich ludzi umarł, drugiego zostawiłem tam chorym, z polecenia też mego odesłany został z powrotem do Kijowa.

7. sierpnia. W *Cargrodsie*¹⁾ (Szarogród) miałem nadzieję zjechać się z carem. Nie było go jeszcze tutaj, lecz gońcy, przybywający z *Cargrodu*, potwierdzali wieści, że on tu będzie. Dla większej pewności wysłałem do kanclerza Gollowkina drugi list, z prośbą, by zawiadomił mnie szczegółowo o warunkach nowozawartego pokoju i objaśnił, gdzie mianowicie mogę zjechać się z carem. Niegdyś *Cargród* otoczony był murami; znajduje się w nim wiele murowanych świątyń i klasztorów, teraz rozwalonych i opustoszałych. U każdego z trzech rogów miasta stoją kamienne piramidy, w nich zaś znajdują się u góry otwory na przestrzał. Słupy te mają po 6 *alenów* wysokości a u podstawy po dwa *aleny* kwadratowe powierzchni; dawnymi czasy znajdowały się na nich wyobrażenia Męki Pańskiej²⁾.

¹⁾ Mowa w tym wypadku z wszelką pewnością o *Szarogrodzie*. Leży on w pow. mohylows. gub. podolsk., przy ujściu rzeki Kielbańskiej do Moraszki.

²⁾ Słupy owe, będące dzisiaj jeszcze zagadką, do czego właściwie służyć mogły, przechowały się do obecnej doby. Jest ich trzy, ludzie starzy pamiętają jednak, że przed półwiekiem było tychże cztery, poseł więc duński jednego nie dopatrzył widocznie. Autor

8. sierpnia. Wieczorem posłaniec mój wrócił z Mohylowa i przywiózł list od wielkiego kanclerza, z wezwaniem, bym nie zwlekając ruszył tamże, car bowiem w Mohylowie się znajduje.

9. sierpnia. Zostawiwszy większą część ludzi i rzeczy, udałem się do Mohylowa, oddalonego o mil 6 od *Carogrodu*. Przybyłem na miejsce o godz. 6 popołudniu. Jest to zaniedbane, zapuszczone miasto, nad brzegiem Dniestru. Nie odkładając wsiadłem na prom, by dostać się do obozu, rozłożonego na brzegu przeciwnym, lecz silny prąd wody tak daleko poniósł mnie w dół rzeki, że do obozu przybyłem zbyt późno i z tej też racji właśnie nie mogłem jeszcze tego samego wieczoru prezentować się carowi.

10. sierpnia. Miałem szczęście obiadować z carem. Drobnostkowo opowiedział mi on o okolicznościach, które doprowadziły do zawarcia pokoju między nim a Turcyą.

.....

W tem miejscu opisuje posel duński szczegółowo całą swoją rozmowę, z wszechwładcą rossyjskim mianą. Ustęp ten jednak, jako nie odnoszący się do historii polskiej, pomijamy.

.....

Noc spędziłem w obozie, lecz z porady kanclerza rozbiłem moje namioty po tej stronie rzeki, pod Mohyłowem bowiem miała cała armia przekroczyć Dniestr, po moście pontonowym, który urządzano z niemalym pośpiechem, lękając się bardzo zmiany postanowień ze strony Turcyi. Wszystkie rossyjskie pulki gotowe były każdej chwili odeprzeć nieprzyjaciela, namiotów nikt nie rozbijał a nadto, by przeszkodzić napadowi ze strony Tatarów, daleko w polu rozstawiono pikiety i warty.

13. sierpnia. Pulki jeden za drugim przeszły Dniestr

dyaryusana pomylił się, gdyż wysokość stópów ma być znacznie większą.

i rozłożyły się na tym jego brzegu. Wygląd ludzi był rzęski, lecz głód ich mocno osłabił. Choroba przykuła mnie do łoża na cały miesiąc, z tej racji też podróżowałem dalej w rossyjskiej sypialnej «powózce». Osłabienie moje było następstwem konnej jazdy do obozu, którą wybrać musiałem, by móżdż zobaczyć się z carem. Mohylów ¹⁾ rozbudowany po tej stronie rzeki, założony został przez wołoskiego księcia Mohylę, od którego też otrzymał swoją nazwę.

14 sierpnia. Będąc ciągle jeszcze chorym, nie mogłem osobiście pożegnać cara, wysłałem więc doń sekretarza królewskiej misji — Piotra Falka, z poleceniem, by najpokorniej, w moim imieniu jego wysokość przeprosił. Polecilem również Falkowi zejść do wielkiego kanclerza Gollowkina i prosić go o wyznaczenie dostatecznej asysty ochronnej, któraby towarzyszyła mi w dalszej podróży po Polsce, dokąd musiałem w ślad za carem podążać. Kanclerz odpowiedział, że powinienem ruszyć przez Lwów do Jarosławia, gdzie też otrzymam dalsze wskazówki, dotyczące marszruty carskiej. Skoro jeno armia Dniestr przeszła, polecił car odprawić dziękczynne nabożeństwo i salwami uczcić cudowne swoje ocalenie, przez Boga zrządzone. Przed odjazdem wydał rozkaz, aby wojsko niezwłocznie udało się na Niemirów do Kijowa, gdzie podzieliwszy się na dwie połowy, jedna uda się do Smoleńska, druga na kozacką Ukrainę.

16 sierpnia. Stałem pod *Cargrodem* (Szarogrodem). Ponieważ wojna się skończyła, zbytecznym się okazało prowadzić ze sobą tak liczną świtę i tyle koni. Z Moskwy towarzyszyło mi ośm wozów, w Kijowie wypadło dokuścić cztery kryte pod suchary, uprzedzono mnie bowiem, że w armii za żadne pieniądze nie dostanę nawet kromki chleba. Owe cztery wozy po sam wierzch wypakowałem

¹⁾ Miasto powiatowe podolskiej gubernii.

wieharami. Wzrost i siła jego są niespodziewanym zjawiskiem. Skazała się w mojem pomieszczeniu tak mocno, że chciałem z trzy wozy wierzchowców rozbiarować podziwianym generałowi, jak również innym, zostającym na służbie. A ja tak okazałem się doświadczyć w drodze braku chleba, zapasów!! W tenże dzień umarł mój stróż i tłumacz Christian Eisenbraut. Ziemia pod Carrogodem posiada zupełnie biały kolor z powodu znajdującej się w niej soli. Przekonałem się o tem, gdy z mego polecenia kopali grób dla Eisenbrauta. Zgnębiły go nieprzerwane przejazdy, które i mój rozstrzeliły organizm.

17 sierpnia. Z Niemirowa eskortował mnie major karpackiego pułku, Grzegorz Rosnow, z konwojem 50 dragonów. Tego dnia pożegnał się on ze mną, zostawiając z rozporządzenia kanclerza 10 dragonów, mających mi towarzyszyć do Lwowa. Major Rosnow był z pochodzenia Rosyaninem. W Rosyi grzeczniejszego i miłszego odeń człowieka nie udało mi się spotkać.

20 sierpnia. Przybyłem do Jermolińska¹⁾ Jarmoliniec, należącego do starego pułkownika, Kurlandczyka Szeppinga, który wzięwszy mnie i moich ludzi za Rosyan — nie chciał nas wpuścić do swego obejścia. Mówił, że wielu Rosyan u niego gościło i że mu w końcu dokuczycie ich przyprawę. Wpuścił nas dopiero, kiedy mu udowodniłem, że jestem duńskim posłem. Obejście Szeppinga, ufortyfikowane było nakształt zamczku, dwiema basztami i wałem, a nadto otoczone częstokolem; opanować je można było jedynie z pomocą armat. W czasie Skanijskiej kampanii służył Szepping w wojsku duńskim. W odległości dwóch mil od Jermolińska kwaterował rosyjski pułkownik Waterang, Szwed z pochodzenia. Zawładniłem go listownie, iż dodani mi druzgoli chcą wznędzić krasę i rabować, grożąc nawet opu-

¹⁾ Mianowicie Jermolińce, znane z jarmarków, pow. płoskirowski, gubern. podolska

szczeniem mej osoby, jeżeli będę przeszkadzał ich zamiarom; prosiłem równocześnie, by był tak dobry zastąpić tychże dziesięciu dragonami swego pułku, którzyby mnie przeprowadzili do Lwowa. Prośbie mojej pułkownik zadowolony uczynił.

25 sierpnia. Dosięgnąłem miasta *Bawara*¹⁾ (Baworowa), gdzie jadłem obiad u polskiego pułkownika Baworowsky (Baworowskiego), właściciela tej miejscowości. Podobnie jak wszyscy Polacy, był Baworowski szczerym gadułą. Nie należał ani do stronnictwa króla Augusta, ani do stronnictwa Stanisława, uważając wybór tak jednego, jak i drugiego, za bezprawny.

W Tarnopolu stoi kompania pułku wojewody Sieniawskiego²⁾. Kapitan teźże opowiadał mi, że niedawno kilkadziesięciu żołnierzy litewskiej armii, rozłożywszy się w pobliżu tego miejsca, napadli pewnego rosyjskiego majora, wiozącego pod opieką 6 rosyjskich dragonów znaczną sumę carskich pieniędzy w dukatach i *Ringstalarach*, zabili tak jego samego, jak również wszystkich dragonów, z wyjątkiem jedynie służącego majora, któremu udało się, choć został ciężko ranionym, uniknąć śmierci. Usłyszawszy tego rodzaju opowiadanie, zwróciłem się pisemnie do regimentarza wojsk litewskich Baranowitza³⁾, z prośbą o wyznaczenie mi konwoju ochronnego. Nie zwlekając odpowiedział listem łacińskim, że żądany przezemnie konwój przysłany zostanie następnego ranka. Prócz pułków cudzoziemskiego autoramentu, pod naczelnem dowództwem Baranowitza, istnieje jeszcze znaczna ilość litewskich chorągwi.

¹⁾ *Baworów*, wieś, pow. tarnopolski, Galicya, o milę od Tarnopola oddalony.

²⁾ Adam Mikołaj Sieniawski, wojewoda belzki, był już w tym czasie (od r. 1710) kasztelanem krakowskim i hetmanem W. Kor.

³⁾ Chyba *Baranowicza*. Rodzina ta pieczętowała się Junoszą i Syrokmlą. Kazimierz był za Augusta III strażnikiem polnym litewskim. Zapewne o nim poseł duński wzmiankuje.

Zwyczajnie, tak polska jak i litewska chorągiew składa się ze stu ludzi; dowodzi nią oficer, nazywany rotmistrzem; osoby zaliczające się do składu chorągwi, są panami szlachcicami. Zowią ich towarzyszami. Każdy z towarzyszków posiada przy sobie konnych pachołków, w liczbie 10—20, a nawet do 30 ludzi. Wszyscy ci pachołkowie zaliczają się do komendy chorągwi i należą również do stanu uprzywilejowanego. W ten sposób tyle zbiera się w chorągwi towarzyszków, że wspólnie ze swoimi pachołkami reprezentują oddział ze stu głów złożony. Z początku za każdego konnego, którego towarzysz wyprowadzał ze sobą w pole, płaciła Rzeczpospolita 1000 *tymphof* (tynf = 18 groszom, czyli duńskim szylingom) rocznie, lecz obecnie za każdego konnego otrzymuje towarzysz tylko 500; w chorągwiach, stojących w pobliżu Tarnopola, nawet 300 tynfów; zapłata bardzo wielka. Co do uzbrojenia, różnią się towarzysze tem od swoich ludzi, że pistolety trzymają w olstrach na przodzie siodła, według zwyczaju i w Danii przyjętego, kiedy ostatni noszą je na prawem biodrze, w szczególnego rodzaju futerałach ukryte.

27 sierpnia. Baranowicz nadesłał mi konwój, z 6 towarzyszków i 14 pachołków złożony. Wszyscy na pięknych koniach i sami dorodni.

30 sierpnia. Dotarłem z moim obozem do Lwowa i rozłożyłem się u samych prawie bram grodu. Przedmieście¹⁾ posiada prześliczny wygląd; trzy lata wstecz spalili je Szwedzi, biorąc Lwów szturmem. Miasto opasane wysokim wałem, a wewnętrzna jego część wzmocniona niskim sta-

¹⁾ W kilku wypadkach, gdzie rossyjski wydawca użył wyrazu: *posad*, tłumaczyliśmy po polsku *przedmieście*. — Pan Adam Darowski, opracowujący głównie materiały rossyjskie, wprowadza i w polskim tekście słowo: *posad* («Szkice histor.» S. I. str. 11). O ile nam się zdaje, oznaczał on część osady, między zewnętrznym wałem a murami właściwego grodu znajdującą się, a więc: *podgrodzie* albo *przedmieście*.

rzym murem z basztami. Same miasto ładniejsze od wszystkich innych podobnej wielkości. Znajduje się tu wiele pięknych pałaców, domy wszystkie prawie o pięciu piętrach, z wielkimi kolumnami z ciosu, ozdobione prześlicznymi rzeźbami; okna opatrzone żelaznymi kratami. Wojna rozprędziła wybitniejszych obywateli, niektóre też domy leżą w gruzach. Szczególną wspaniałością odznacza się budynek jezuickiego kolegium, z jego świątynią. Mówią jakoby król szwedzki, któremu podczas wzięcia i grabieży Lwowa dostała się najpokaźniejsza część zdobyczy, miał się wyrazić, że w całym jego państwie niema tak wielkiej ilości złota i srebra, jaką znalazł w tem jednym mieście. Szwedzi obrabowali między innymi wszystkie świątynie i klasztory, przywłaszczając sobie złote i srebrne ich ozdoby. Przy zdobywaniu miasta popełniano wiele gwałtów, życie ludzi jednakże oszczędzano. Mężczyźni noszą we Lwowie strój polski, kobiety — francuski. Wogóle u kobiet miejscowych nie zauważyłem nic polskiego. We Lwowie znajduje się zamek; stoi on na wysokiej górze, przewyższającej najwyższe wieże kościelne, okolony murami i basztami, ostrzeliwać też może wszystkie ulice miejskie. Podczas mego pobytu w tym grodzie, carski generał Janus wydrukował w polskim języku i ogłosił narodowi, że pod grozą konfiskaty majątku, pozbawienia czci i pod karą śmierci, wzbrania się przyłączać obywatelom do szwedzkiego stronnictwa. W istocie, sam nawet król nie ma prawa, bez poprzedniego zezwolenia Rzeczypospolitej, podobnych ogłoszeń publikować. Wypadek ten, jak i wiele innych, wywołał u większości Polaków nadzwyczajną niechęć dla Rosyjan, czego następstwem, że nie ukrywają oni wcale swoich sympatyj ku Szwedom; choć ci im o wiele więcej zabrali niż Rosyianie, postępują jednak uprzejmie, podczas gdy tamci brutalnie sobie poczynają. Polacy w następujący sposób tłumaczą powody większej niechęci przeciw Rosyjanom, niż przeciw Szwedom: Szwedzi zjawili się w Polsce jako wro-

gowie, ściągnęli z niej olbrzymi haracz, lecz odebrawszy co należało, pozwolili jej władać własnością swoją spokojnie, w bezpieczeństwie i pod opieką praw. Rossyjanie przeciwnie, zjawili się w roli przyjaciół, zażądali mimoto również u Polaków daniny, a obecnie otrzymawszy ją, rozbijają, grabią, kradną, popełniają jawnie najmożliwsze gwałty, wszystko zabierają z zajmowanych przez siebie domów; bez najmniejszych wyrzutów sumienia, nawet w czasie postu, kiedy nie mogą jeść mięsa, zabijają bydło jedynie dlatego, by sprzedać skórę, resztę zaś rzucają psom na pożarcie; popełniają nadto moc innych bezpraw, wyliczenie których zajęłoby zbyt wiele miejsca. Polacy skarżyli się również na swego króla, który ich w podobnych wypadkach nie broni, pozwala carowi rozporządzać się w Polsce według swego widzimisie, pozwala więzić bez sądu i śledztwa ważniejszych obywateli, czego nigdy nie bywało od samego założenia Rzeczypospolitej. Komendantem Lwowa jest Cappinghausen, Szwed z pochodzenia, który przyjął katolicyzm.

6. września. Na nowo rozpocząłem podróż, pod opieką straży z 4 dragonów złożonej, którą wyznaczył mi lwowski administrator, nader uczciwy Polak, Oseliński (Ossoliński?). Zrobiwszy mil trzy, przyjechałem wieczorem do miasteczka Janowa¹⁾. W pobliżu tegoż znajduje się staw, spuszczały co trzy lata, przyczem za każdym razem łowią ryb na 20.000 zł. pols. z okładem. Car wyznaczył na miejsce spotkania ze mną Jarosław²⁾, lecz potem wyjechał stamtąd, jego zaś minister nie zostawił mi ani pisemnego ani ustnego zawiadomienia, w którą stronę on pospieszył. Żeby cara dopędzić, wypadało płynąć w dół rzeki Sanu. Urządzenie koniecznych ku temu celowi czółen i najęcie ludzi, połączone było z wielkimi kłopotami. Nakoniec udało mi

¹⁾ Janów, Galicya, pow. gródecki.

²⁾ Jarosław, miasto powiatowe na lewym brzegu Sanu.

się nabyć jedno czółno, choć niezupełnie jeszcze gotowe. Zanim je ukończono zwiedzałem Jarosław. Wskutek przyjazdu trybunału, który zebrał się tu czasowo z powodu dżumy, grasującej w Lublinie, miasto przepelnione ludźmi. W dodatku, w epoce pobytu mego w Jarosławiu, odbywał się tam coroczny jarmark, wlokący się ośm tygodni, to zaś jeszcze bardziej zwiększało napływ przyjezdnych. Trafiają się tu bogate sklepy i sprzedają wszystko, czego zapragniesz, ale ceny wysokie. Nabyłem statek za 1000 polsk. złotych.

14 września. W Sieniawie¹⁾ za konieczne uważałem zaopatrzyć się w piwo, tak dla mnie, jak i dla moich ludzi niezbędne; w ten dzień atoli wypadło u Żydów święto Trąbek, że zaś bez ich pośrednictwa nic w Polsce kupić nie można, zdobycie więc potrzebnego piwa połączone było z wielu kłopotami, na statek dostawiono je też dopiero wieczorem. Pewna Żydówka, odpowiadając moim ludziom, prosiła ich, by sobie nie wyobrażali, że Żydzi — na podobieństwo chrześcijan — zozydzą się robotą w sobotę lub święto, za nieznaczącym wynagrodzeniem, i na hańbę chrześcijan nagadała wiele rzeczy tego rodzaju.

16 września. Dojechałem miasta *Ulina*²⁾ z ostatnią na mojej drodze prawosławną cerkwią w Polsce.

19 września. Dopłynęliśmy do Warszawy; miasto wspina się o pięć i sześciopiętrowych kamienicach. Żydzi mogą przyjeżdżać tutaj jedynie w takim razie, jeżeli ich kto zaopatrzył świadectwem, że przysłani zostali w ważnej sprawie na tyle a tyle godzin. Jeżeli Żyd zabawi w Warszawie dłużej nad oznaczony w świadectwie termin, podpada karze grzywny.

24 września. Natychmiast po przybyciu do Torunia, polecilem uwiadomić o sobie przyszłą żonę cara, wybierającą

¹⁾ *Sieniawa*, nad Sanem, pow. jarosławski.

²⁾ Najpewniej mowa tu o miasteczku *Ulanowie*, zwanem niegdyś *Uliną*. Leży ono w pow. niskim, w widłach utworzonych przez ujście rzeki Tanwi do Sanu.

się właśnie na obiad do znakomitego wygnańca, księcia Ragoci, głowy tak nazwanych niezadowolonych na Węgrzech. Katarzyna Aleksiejewna¹⁾ poprosiła zaraz księcia Ragoci, by i mnie wezwał na obiad. Podczas obiadu opowiadał mi książę między innymi, że węgierski hrabia Karolyi, któremu on dał na przeciąg swej nieobecności, pełnomocnictwo naczelnej komendy nad wojskiem i zarządu sprawami Węgier, przekroczył je, zawierając bez jego zgody pokój z cesarzem, że on, Rakoczy²⁾, podobnego pokoju nigdy nie uzna, i że z tej racyi poddał się obecnie opiece cara. W Toruniu przebywa nadzwyczajny poseł holenderskich stanów przy jego wysokości królu polskim, Johann von Hartsholt, władca Kranenburga. Zawiadomiłem go o mojem przybyciu. W odpowiedzi przysłał do mnie z pozdrowieniem sekretarza holenderskiej misyi, *Monsieur Van der Bie*.

27 września. Przyszła małżonka cara, Katarzyna Aleksiejewna, zaprosiła mnie do siebie na obiad. Znajdowali się na nim również ks. Rakoczy i holenderski poseł von Kranenburg. Książę Rakoczy rozpoczął ze mną długą rozmowę, zupełnie mnie nie interesującą, rzecz obracała się bowiem od początku do końca około jego sojuszu z Francją, który mnie nie obchodził.

29 września. W nocy ks. Rakoczy tajemnie wyjechał do Gdańska, dokąd się udał w dół rzeką Wisłą. Jest to bardzo przystojny i interesujący mężczyzna. Prześlicznie włada

¹⁾ Katarzyna I, druga żona Piotra I, urodz. r. 1689 w mieście Jacobstadt, pochodzić miała z domu Skowrońskich. Przechodząc różne koleje, odgrywając dosyć podejrzaną rolę, zdolała tak dalece przypodobać się Piotrowi, że ten ją w końcu poślubił i jako małżonkę swą ogłosił. Po śmierci cara, będąc opiekunką małoletniego wnuka Piotra III, rządziła lat parę Rosyją, umarła 1727 r.

²⁾ Franciszek Rakoczy II, węgierski i siedmiogrodzki książę, przeciwnik Habsburgów, głowa stronnictwa anti-rządowego. Gdy sprawy na Węgrzech odmienny obrót wzięły, nie przyjmując amnestyi wybrał ks. Rakoczy dobrowolne wygnanie z kraju, umarł na Bessarabii w Radosto 1735 r. Król szwedzki ofiarował mu koronę polską.

językami: łacińskim, niemieckim, francuskim i polskim. Zostawiwszy w Toruniu przyszłą małżonkę Katarzynę, rozkwaterował car, dla jej bezpieczeństwa, i znaczniejszą część swej preobrażeńskie gwardyi. Podpułkownik tejże, generał-major ks. Dolgorukij, odebrał od mieszczan klucze od bram miejskich, choć znajdował się tu w roli obcego i gościa. Taki u Rosyan zwyczaj. Każdemu rossyjskiemu żołnierzowi obowiązane było miasto wypłacać tynfa dziennie. W rzeczywistości mieszczanie oplacali większą ilość ludzi, niż ta była w istocie; nadwyżka w ten sposób powstała tonęła w kieszeni oficerów, z których każdy zajął kwatere, używając jej bezpłatnie. W podobny sposób postępowała i sama przyszła carowa, dla której orszaku miasto było obowiązane dostarczać nadto wszelkich potrzebnych zapasów i napojów; jeżeli czegoś (choćby najdrobniejszego) brakło, tak burmistrz jak i członkowie zarządu, otrzymywali nagane, jakgdyby należeli do carskich poddanych, choć w samej rzeczy nie byli do niczego obowiązani, przeciwnie, mogli nawet nie wpuścić do siebie rossyjskich żołnierzy, tembardziej, że doskonale wysokie mury miejskie ocalały. Szwedzi zniszczyli tylko wały zewnętrzne. Niegdyś istniał w Toruniu na Wiśle prześliczny most, którego wzniesienie pochłonęło wiele pieniędzy i trudów, lecz kilka lat wstecz Rosyianie na złość Szwedom zniszczyli tenże. W podobny sposób przyszło prześlicznemu miastu opłacać nieprzyjaźń stron wojujących, według słów przysłowia: »*Delirant reges, plectuntur Archivi*« (Grzeszą królowie, cierpią ludy). — Zśród gwałtów, popełnianych przez Rosyan na toruńskich mieszczanach, wyliczę kilka: Jeżeli przyszła carowa zapragnęła gdziekolwiek wyjechać, obowiązane było miasto dostarczać jej nietylko koni zaprzęgowych i ekwipaży, ale również o ile można najwięcej wierzchowców dla jej świty, z preobrażeńskich żołnierzy złożonej, by w ten sposób podnieść, na cudzy rachunek, wspaniałość towarzyszącego Katarzynie Aleksiejewnie orszaku. Biedni mieszczanie pogo-

dziliby się w ostateczności i z tem, jak pogodziliby się z wielu innemi bezprawiami, gdyby ich tylko uprzedzano na czas pewien o zachciankach przyszłej carowej. Lecz zwyczajnie działa się przeciwnie, żołnierze, nic nikomu nie wspomniawszy, przed samym wyjazdem swej pani biegali od domu do domu zabierając potrzebne konie, jak gdyby one ich własność stanowiły. Wszystkich jednak przejawów rossyjskiej brutalności opowiedzieć nie zdołam. Po południu byłem w kościele na nabożeństwie wieczornem (*Aftensang*) i śpiewałem wspólnie z całym tłumem; w tem spostrzegłem, że drzwi świątyni otworzyły się i zjawila się w nich przyszła żona cara ze swoją świtą. Stojąc już na progu, namyślali się długo, czy wejść lub nie wejść do kościoła. W końcu ujrawszy mnie weszli i usadowili się w zajętej przezemnie ławce (w jednym ze zwyczajnych męskich przedziałów¹⁾, czem doprowadzili mnie do najwyższego stopnia zażenowania. W istocie miałem po dwie kobiety z każdej strony: z jednej carowa z żoną brygadiera Balskissa, z drugiej dwie inne panie. Kiedy w ślad za nimi wpakowało się jeszcze kilka innych kobiet, wyszedłem z przedziału, jakby pragnąc zrobić im miejsce, i zająłem inny. W pobliżu stała liczna kompania rossyjskich oficerów gwardyi; rozmawiali, krzyczeli i hałasowali, jak gdyby znajdowali się w restauracyi. Kiedy ksiądz wszedłszy na stopnie zaczął czytać ewangelię, kobiety, które zdołały już do tego czasu znudzić się, wyszły z ławki i obchodząc kościół, oglądały jego ozdoby, gawędząc głośno o najniemożliwszych rzeczach. Na stopnie, ponownie zajęły przedział, kiedy jednak nauka przeciągała się, carowa posłała do księdza z poleceniem, by prędzej kończył. Ksiądz atoli — choć tem wszystkiem niemal zbity z tropu — mówił dalej. Po ukończeniu nauki, carowa, która podobno zasłyszała od kogoś, że w tej świątyni po-

¹⁾ Jak ze wszystkiego widoczne, cała scena miała miejsce w kościele protestanckim.

grzebaną być ma N. P. Marya, posłała prosić burmistrza, by zwłoki Bożej Matki zostały wydobyte i jej wręczone, w celu przewiezienia ich do Rossyi. Burmistrz odpowiedział, że choć świątynia ta jest pod wezwaniem N. P. Maryi, żadnej św. Maryi w niej nie pogrzebano. Z przytoczonego przykładu przekonać się można, jak słabe pojęcie miała carowa o początkach swojej przewrotnej wiary; przecież według nauki samychże Rossyan, po śmierci Matki Boskiej ciało jej zostało zabrane do nieba, wobec czego Katarzyna Aleksiejewna nie mogła liczyć na odnalezienie tychże na ziemi.

5 *października*. Doczekałem się na miejscu wiadomości od wielkiego kanclerza, gdzie mam dopędzić cara, według słów bowiem Katarzyny lada chwila powinien był nadszednąć goniec od jego wysokości. Goniec ten rzeczywiście przybył, lecz mi żadnego listu nie przywiózł. Tutaj zresztą nikt nie wiedział, gdzie car obecnie przebywa i dokąd udać się zamierza; czy jest on w Dreźnie, czy bawi w Torgau z racyi małżeństwa carewicza z jedną z księżniczek *Wolffenbüttel*¹⁾; czy pojedzie leczyć się do Karlsbadu, czy też uda się do obozu pod Stralsund, czy wreszcie w najbliższych dniach wróci do Torunia. Z powodu tego rodzaju nieświadomości zdecydowałem się jechać do Gdańska, żeby tamże oczekiwać rozkazu od mego najmiłociwszego pana, w odpowiedzi na najpoddane zapytanie, wysłane z Torunia, czy dozwolonem mi będzie, ze względu na małą odległość, udać się do naszego obozu pod Stralsund, oblegany właśnie przez króla. Prosiłem o to w przewidywaniu, że car zapragnie gdziekolwiekbydź z nim się zjechać. Zamierzając następnego dnia opuścić Toruń, udałem się z pożegnaniem do carowej i poleciłem zawiadomić ją o mojem przybyciu. Zastałem tę panią w towarzystwie 12 albo 16 preobrażeńskich oficerów, siedzących w koło niej, pijących, krzyczą-

¹⁾ *Wolffenbüttel* nazywano niegdyś posiadłość starszej linii domu Brunświckiego, w niższym okręgu saskim położoną.

cych i grających. Carowa oznajmiła, że w żaden sposób nie pozwoli mi odjechać przed rocznicą zwycięstwa pod *Leśnym*¹⁾, odniesionego przez cara nad generałem Löwenhauptem, dodając, że w ten dzień na pamiątkę wygranej, wydaje uroczysty obiad. Zacząłem na wszystkie sposoby wymawiać się, lecz Katarzyna Aleksiejewna zużywszy bardzo wiele uprzejmych próśb i pochlebnych słówek, skłoniła mnie do odłożenia dnia wyjazdu. Upewniwszy się, że zostanę, jej wysokość dodała, że gdyby jej się nie udało namówić mnie, rozkazałaby oficerom, pełniącym służbę u wszystkich bram miejskich, nie wypuszczać mojej osoby z miasta.

W Toruniu mają Żydzi prawo przemieszkwać, ale pod warunkiem płacenia na rzecz miasta po talarze od osoby dziennie i to nie inaczej, jak za poprzedniemi zezwoleniem odnośnej władzy.

8 *października*. Dwaj preobrażeńscy oficerowie przynieśli mi zaproszenie na ucztę. Tak tutaj, jak w całym mieście odbywała się wesola pijatyka, rozlegała się strzelanina. Wieczorem spalono ognie sztuczne, w których między innymi odznaczał się monogram cara i przyszłej carowej, — litery: R. S., uwieńczone koroną; szmermelów i rakiet puszczono bez liku.

9 *października*. Pożegnawszy carowę, puściłem się w imię Boże w drogę do Gdańska, w dół rzeki Wisły...

Na tem p. Szczerbaczow skończył wydaną przez siebie część dyaryusza duńskiego, którego dalszy ciąg nie odnosząc się do prowincyj Polski, i nas by mniej interesował. Na zakończenie nic dodawać nie potrzebujemy; wartość dziennika Justa von Juel każdy trafnie oceni i bezsprzecznie przyzna mu zalety, które i nas do polskiego zachęciły przekładu.

) Właściwie *Leśna*, pow. sieński, w pobliżu Propojaska, własność Szemiotów. Walna wygrana Rossyan miała miejsce na polach tej osady w 1708 r.

PIERWSZE PODWALINY

„MACIERZY POLSKIEJ“ WE LWOWIE



W dniu 27 lipca st. st. 1902 r. umarł w Żwańcu, na Podolu, ks. kanonik Jan Sawicki, dziekan kamieniecki, senior duchowieństwa kresowego. Pięknego dożył wieku, zamykał oczy na sen wieczny w 82 roku życia, a w 56 kapłaństwa; w ukochanej parafii, której wszystkie poświęcił siły i myśli, spędził ówierć wieku z okładem, otoczony wyjątkową czcią i szacunkiem, spieszący zawsze i wszędzie z chętną pomocą materyalną i moralną.

Był to typowy ksiądz-szlachcic. Przed laty kilkunastu widziałem go po raz ostatni, a do obecnej doby stoi mi przed oczyma sympatyczna postać krzepkiego starca, przepędzającego na podwórzu kościelnem rączego konia na linewce. Spostrzegłszy gości, oddał bicz stajennemu, by z równym zapalem kreślić przybyszom z dalekich stron, których do prastarego przywiozłem Żwańca, dzieje miejscowego kościoła i dawnej kresowej placówki. Turyści opuszczali progi skromnego probostwa zachwyceni i nie mogli być inaczej: ks. Jan Sawicki niezwykle umiłowaniem przeszłości, szczerością i prawdziwie młodzieńczym temperamentem zniewalał i podbijał serca wszystkich.

Nekrolog jego nie byłby jednak zupełnym, gdybyśmy przepomnieli największą zasługę dziekana kamienieckiego, którą wznosił sobie w pamięci i sercach potomnych pomnik trwalszy od bronzu i granitu. Do chwili zgonu ks. Sawickiego świadomi właściwego stanu rzeczy, mimo wszelkie

błędne pogłoski, mieli zawiązane usta, milczeć musieli, gdy taką była stanowcza wola nieboszczyka. Ze śmiercią ks. Jana zmieniły się warunki: dzisiaj nie naruszając jego kapłańskiej skromności, mamy prawo i poniekąd obowiązek rzecz całą we właściwym przedstawić świetle.

Ale nie psujmy chronologicznego porządku.

Wschodnie Kresy, zapisane na każdej niemal karcie dziejów naszych trwałemi zgłoskami i w ubiegłym stuleciu przypominały się niejednokrotnie społeczeństwu polskiemu. Wszak pomijając już liczny szereg fundacyj, mających na celu otarcie łez, lub zapewnienie znośnej starości najbiedniejszym, wspomnieć się godzi o Kruzerze, poecie-marzycielu, który składa pierwszy fundusz na budowę nowego przybytku sztuki w Krakowie; o Probusie Barszczewskim, twórcy stypendyów dla młodzieży i nagród dla najzasłużeńszych pracowników pióra; o tych funduszach, które zbierane corocznie do kapelusza podczas kontraktów kijowskich, umożliwiały niestrudzonemu Pawińskiemu, wydawnictwo tak cennych dla historii materyałów; wreszcie o ks. Hulaniczym i ks. Sawickim, fundatorach «Macierzy polskiej» we Lwowie.

Głównym ofiarodawcą był ksiądz Kazimierz Hulaniczy, typ w codziennem życiu niezbyt sympatyczny, ale wielce oryginalny i ciekawy. Urodził się w r. 1805, o jego pochodzeniu żadnych nie zdołaliśmy zaczerpnąć wiadomości; w dwudziestym roku życia wstępuje do seminarjum kamienieckiego, gdzie otrzymuje święcenia kapłańskie w r. 1830. Musiał być w Akademii duchownej, posiadał bowiem naukowy stopień magistra teologii. W roku 1840 pełni już obowiązki proboszcza w Chocimiu, w Bessarabii, gdzie zostawał do roku 1860; w tym czasie przeniesiony na probostwo w Kumanowie na Podolu (powiat płoskirowski). W pięć lat później asesor konsystorza kamienieckiego, a po zniesieniu dyecezyi podolskiej, proboszcz kościoła potryniarskiego w Kamieńcu; w roku 1867 kanonik honorowy;

umarł 19 lipca 1874 roku, pogrzebany w katakumbach miejscowego cmentarza obok innych dygnitarzy kresowej katedry.

Współcześnie skreślona notatka przez człowieka, którego prawdomowności kwestyonować nie można, wystawia temu oryginałowi i dziwakowi świadectwo niezbyt pochlebne: Ksiądz Hulanicki, szorstki w obejściu, miał opinię uczonego; czytał dużo, ale nie umiał nigdy zapanować nad nagromadzonym pod czaszką materiałem; niby filozof, niby demokrat, wyglądał na wielkiego szlachty nieprzyjaciela i po trochu niedowiarka; lud przedewszystkiem u niego był na myśli, co mu nie przeszkadzało być nieużytym i służyć nawet ubogim jedynie za pieniądze. Przepuszczać można, że w Bessarabii nabył owych niesympatycznych nawyczek. A jednak ks. Hulanicki pozornie jeno wyglądał tak bardzo ujemnie, bo głównym, a ukrytym celem jego żywota stała się oddawna chęć zostawienia po sobie dobrej pamięci u ludzi. Powziąwszy z góry pewien plan, dąży do uskutecznienia tegoż konsekwentnie; potrzebował do urzeczywistnienia ukrytej myśli znaczniejszej kwoty, zarabia więc bez wahania na miano nieużytego skąpca, dusigrosza, nęka swoich dłużników okropnie, wylicza skrupulatnie narosłe procenta, a zebrany w ten sposób fundusik chowa pod piecem, dokładając bezustannie do złożonej tam dawniej sumki.

Przed zgonem wzywa ks. Hulanicki ze Żwańca ks. Jana Sawickiego i przemawia do zdziwionego niepomału przyjaciela w następujące słowa: «Zebrałem trochę grosza na rzecz publiczną, sam nim rozporządzić nie mogę, bo jeszcze teraz nie pora; tobie więc zapisuję całą pozostałość w gotówce i czynię cię szafarzem. Użyjesz jej, jak będzie potrzeba i na co będzie potrzeba: na broń — to na broń, na lemiesz — to na lemiesz, na książki — to na książki. Oto masz skrypt W... na 10.000 rubli, a nadto trochę gotówki».

Nastąpiła długa dyskusja; ks. Sawicki wzdragał się początkowo brać na siebie wielką bądźco bądź odpowiedzialność, w końcu jednak ustąpił naleganiom oryginała.

— A gdzie gotówka? spytał.

— A gdzie ma być gotówka u księdza, jeżeli nie pod piecem; odwał cegłę, tam ją znajdziesz.

Stało się, jak powiedział. Rodzina ks. Hulanickiego, przekonawszy się o prawomocności uczynionego ks. Sawickiemu zapisu, nie myślała go nękać pozwami i procesami a proboszcz żwaniński tym czasem ulokował gotówkę w papierach wartościowych, odsetki od W...ego zbierał pilnie, z kolei podniósł sumę należną, która z poprzednio zebranymi dobiegała wkońcu do poważnej wcale kwoty 27.500 rubli. Trzecią część jej dorobił już ks. Sawicki.

Należało wreszcie zastanowić się, na jaki cel użyteczności publicznej poświęcić zapis spoczywającego na cmentarzu kamienieckim dziwaka. W sąsiedztwie Żwańca mieszkał wypróbowany przyjaciel ks. Sawickiego, jeden z najuczynniejszych i najświetlejszych ziemian na Podniestrzu podolskiem, p. Bohdan Żebrowski, do niego więc udał się dziekan kamieniecki po radę. Rozpatrzywszy różne projekty, postanawiają obaj powierzyć zebrany fundusz Ignacemu Józefowi Kraszewskiemu, który właśnie ogłaszał w dziennikach przepiękną myśl utworzenia «Macierzy polskiej».

Całe społeczeństwo gotowało się podówczas do uczczenia półwiekowej działalności nestora pisarzy polskich; na uroczystości jubileuszowe pospieszył wraz z innymi do Krakowa i p. Bohdan Żebrowski. Jubilat, już dawniej o wszystkim listownie powiadomiony, wita podolskiego ziemianina sercem całym; nakreślony przez Kraszewskiego w ogólnych zarysach projekt fundacji, zostaje przez ofiarodawcę i pośrednika przyjęty: $\frac{2}{3}$ kapitału przeznaczono na wydawnictwa ludowe z kierunkiem katolickim; $\frac{1}{3}$ na utrzymanie, a raczej wychowanie dzieci emigrantów. Naturalnie

mowa tu o odsetkach, kapitał pozostawał nienaruszony, a Kraszewski dołączył doń kilka tysięcy przez siebie na ten cel zebranych.

Ks. Sawicki i p. Żebrowski nie mogli atoli całej sumy podnieść odrazu; czynność ta wymagała dłuższego czasu, a jubilat pragnął co rychlej oglądać w czyn wprowadzoną piękną i pożyteczną myśl, której był pierwszym inicjatorem. Piszę więc do p. Żebrowskiego z Salzburga w dniu 9 sierpnia 1880 roku.

Szanowny Panie!

W powrocie z Gasteinu, dokąd mnie doktor wyprawił, miałem przyjemność otrzymać tu list Jego, na który spieszę z odpowiedzią.

Po odebraniu 1500 rubli sr., zająłem się natychmiast opracowaniem Statutów dla Macierzy, do których napisania wezwałem, oprócz innych i profesora prawa w Uniwersytecie lwowskim dr. Rittnera. Statut ubezpieczający był Macierzy, według zasad Panu Dobrodziejowi wiadomych, jest przygotowany. Nie mogłem jednak dotąd przystąpić do ufundowania Macierzy, oczekując na zrealizowanie kapitału, od którego był jej zawisł. Nie zgłaszałem się zaś do Pana Dobrodzieja, nie chcąc być natrętnym, a będąc spokojnym, że w ciągu roku wszystko się spełni.

Pieniądze leżą w gotówce u mnie, a do nich z innych funduszków przyłączyłem 1500 rubli. Oprócz tego, ponieważ kapitał w stosunku do celów nie jest zbyt wielkim, zamierzam i odsetki do czasu wejścia w życie do kapitału wcielić, aby fundusz powiększyć.

Potrzeba tego tem bardziej, że wedle życzenia ofiarodawcy, które mi Pan Dobrodziej przesłałeś — połowa, t. j. 10.000 r. ma być przeznaczoną na pomoc naukową, dla dzieci wychodźców (i wdów). Mam jeszcze nadzieję, że i p. L. Grabowski z Królestwa doda do Macierzy 20.000 r.

a wówczas ona rozpocznie życie w bardzo dobrych warunkach. Byle się to spełniło.

Lecz czy Grabowski da czy nie, z kilkunastu tysiącami na wydawnictwa, a 10.000 na pomoc naukową, jak tylko pieniądze się zbiorą — natychmiast fundację tę prawnie zrobię. Pieniądzy — tak kapitał jak i odsetki — nie można inaczej przesłać, tylko na moje ręce do Dreżna. Gdy się zbiorą, natychmiast je zmienię na procentujące papiery albo akcje jakie lub Listy Towarzystwa kredytowego polskiego i złożę w Wydziale krajowym we Lwowie, pod którego opieką instytucya zostawać będzie. W każdym razie zaręczyć mogę za jej trwałość i nienaruszalność funduszu, który będzie żelaznym i tylko odsetki z niego obracać się mają na cel wyznaczony. Dnia 15 sierpnia zmuszony powracać zwolna i zatrzymać się w Wiedniu, będę dopiero w Dreźnie około 1 września (choć to jeszcze niepewna). Spodziewam się być dla odwiedzenia familii w Warszawie. Byłoby dogodnem naówczas pieniądze bez przesyłania odebrać, ale wątpię, aby się to złożyć mogło.

Odpowiedź łaskawa znajdzie mnie w Dreźnie. Mam słabą nadzieję może — ale i to wątpliwa — w tych dniach zwrócić drogę powrotną na Ischl. Jeżeli tam będę, w takim razie do widzenia. Z najgłębszym szacunkiem, sługa obowiązany

J. I. Kraszewski.

List jutro we wtorek jeszczeby mnie mógł może zastać w Salzburgu — Hotel de l'Europe, ale to niepewna. Jestem trochę niezdrów.

Niestety nadzieje żywione przez Kraszewskiego zawiodły: Ludwik Grabowski nie dał na »Macierz« ani grosza. Był on sędzią trybunału i właścicielem ziemskim, a o tragicznej jego śmierci nad Sekwaną doniosła *Biesiada literacka* w Nr. 8 z 1890 roku: »W Paryżu został napađnięty i uduszony, w celu rabunku, Ludwik Grabowski. Napađnięty na ulicy, został obrabowany z wartościowych

papierów i gotówki; papiery zawsze nosił przy sobie w wielkiej ilości. Jest podejrzenie, że rabusie upatrzyli swój łup w drodze do Paryża, a może nawet podążyli za nim z Warszawy. On to w czasie jubileuszu J. I. Kraszewskiego, zadeklarował złożyć do rozporządzenia jubilata kilkadziesiąt tysięcy rubli na cele oświaty ludowej ...ale grosza nie dał. Brat jego, także człowiek bogaty, odebrał sobie życie, więc i postępowanie Ludwika trzeba wziąć na karb zbroczenia umysłowego; tylko to szczególne, że zmarły około powiększenia fortuny, odziedziczonej po stryju, umiał chodzić doskonale».

Tak Kraszewski jak i Żebrowski, acz mieszkali zdala od siebie, nie spuszczała ani na chwilę z oka sprawy fundacyi. Pierwszy z nich omawiał z Wydziałem krajowym poszczególne paragrafy statutu, drugi wraz z przeznaczonym ks. Sawickim ściągali i kapitalizowali fundusze, dążąc do zebrania jaknajpokaźniejszej kwoty.

Trzy listy Kraszewskiego do Bohdana Żebrowskiego, które powtarzamy poniżej w dosłownem brzmieniu, malują najdosadniej wszelkie trudy i zabiegi inicjatora i fundatorów »Macierzy«.

Wildbad d. 23 lipca 1881.

Szanowny Paniel

Z niewymowną radością list Jego odebrałem. Bawię tu dla kuracyi do dnia 1—3 sierpnia, potem powracam do Drezna, natychmiast zajmę się stanowczem ufundowaniem Macierzy z powierzonego mi funduszu, do którego ja mam zbieranych jeszcze 4000 rubli około.

Ale niepodobna składać tych pieniędzy, dopóki nie będzie Wydział krajowy lwowski w zgodzie o warunki, a znowu Wydział będzie wymagał natychmiastowego złożenia funduszu.

Trzeba więc się nam umówić o termin stanowczy i zjechać chyba we Lwowie razem, jeżeli funduszu na moje ręce przesłać nie chcecie. Wchodzę w to, że wszyscyśmy

śmiertelni, że potrzeba być ostrożnym — ale możecie być spokojni że fundusz przeciw myśli fundatora nie będzie użyty.

Racz mnie zawiadomić, kiedybyś mógł go przywieźć albo przysłać do Lwowa, musiałbym pojechać umyślnie. Uczynię to chętnie.

Czekam na Jego odpowiedź. Z najgłębszym szacunkiem, sługa wierny
J. I. Kraszewski.

Żebrowski i ks. Sawicki widocznie zdołali zgromadzić już u siebie cały fundusz i postanowili go przesłać za pośrednictwem wspólnego sąsiada, p. Wacława Giżyckiego do Lwowa, w dniu bowiem 2 stycznia 1882 r. pisze nestor pisarzy polskich:

Spieszę Panu Dobrodziejowi podziękować za dobrą wiadomość. Dziś odebrawszy list, a nie będąc bardzo zdrow, nie mogę stanąć w czas do Lwowa, ale proszę, aby składając pieniądze W. Giżycki wyraźnie zastrzegł, iż akt i warunki fundacyi ja sam przywiozę i oznaczę. Przybędę zapewne w tym celu w końcu stycznia i przywiozę z sobą leżące u mnie 4000 rubli.

Zasylam Panu najlepsze, najgorętsze życzenia szczęśliwego Roku. Masz Pan zasługę wielką za dokonane dzieło, a z duszy bym rad, gdyby mi wolno było to publicznie wyznać.

Serdeczne pozdrowienie i wyrazy szacunku, z jakim zostaje Jego na zawsze wdzięcznym sługą

J. I. Kraszewski.

Ostatni list w tej sprawie, datowany w Dreźnie 30 stycznia 1882 r. opiewa dosłownie:

Szanowny Panie! Nie wiem co się z listami mojemu dzieje i czy je Pan odbierasz, dlatego ten już wyprawiam za rewersem dla pewności. P. Giżycki złożył tę sumę, o czem ja Panu listownie doniosłem, sam zaś miałem na-

tychmiast jechać do Lwowa dla urzędowego określenia warunków fundacyi. Miałem być we Lwowie d. 3 lutego, tymczasem zasłabłem mocno na bronchitis i zagrożony zostałem zapaleniem płuc, które w 70 roku życia jest prawie zawsze śmiertelnem. Doktor mi nie pozwolił jechać. Urządziłem się więc listownie komunikując z marszałkiem Zyblikiewiczem i przesyłając mu dodatkowo 4000 r. sr., aby statut wedle myśli przezemnie podanych spisano.

Wedle życzenia Waszego tylko $\frac{1}{3}$ część dochodu oznaczyłem dla dzieci emigrantów na pomoc do wychowania. Poręką, że pisma wydawane będą w duchu katolickim, jest ksiądz w komitecie zasiadający (ks. Jan Siemieński). Zresztą fundusz zabezpieczony jako żelazny i nieknięty, ale na inny żaden cel dochodów już odrywać nie można, bo i tak one będą szczupłe. Bardzo mi przykro, że ja teraz z Panem się zjechać nie mogę; jeżeli byś życzył fundować te sześć Mszy za duszę fundatora, a mógł być we Lwowie, sekretarz przyszłej Macierzy, p. Wł. Belza (ul. Łyczakowska 19 a) będzie mu pomocą.

Wydział krajowy będzie czuwał nad Instytucją i możecie być spokojni o jej trwałość i dobre zużytkowanie. Najpoważniejsi ludzie zasiadać będą w Komitecie.

Zdaje się, że inne jeszcze dary pomnożą fundusz główny, który wam zawdzięczamy. Niech Wam Bóg za to błogosławi. Z prawdziwym szacunkiem, Wasz wdzięczny sługa

J. I. Kraszewski.

Że Kraszewski przykro musiał być dotknięty niemożliwością osobistego zainaugurowania pięknej instytucji na miejscu we Lwowie, świadczą słowa innego czcigodnego starca, Bohdana Zaleskiego, pisze on bowiem — w odpowiedzi na list autora «Starej Baśni» — w dniu 23 lutego 1882 r. z zacisznego zakątka w Villepreux między innemi: «Walna, zagajona przez Ciebie sprawa «Macierzy polskiej», wielce nas zajmuje, to ubolewaliśmy tu bardzo, że choroba

nie pozwoliła ci jechać do Lwowa na inaugurację tak pilnego i pożytecznego dla kraju dzieła. Ufamy jednak, że Bóg Ci poszczęści w pięknych patryotycznych pracach Twoich i zamyśleniach. Modłę się codzień na tę intencję»¹⁾).

Sprawdziły się słowa jubilata w całej rozciągłości: «Macierz polska» spełnia swe zaszczytne zadanie od szeregu lat ku ogólnemu zadowoleniu, cyfry rzuconych między lud dziełek rosną z rokiem każdym, zapotrzebowanie poważnej i zacnej strawy duchowej zwiększa się ogromnie. Wydział krajowy czuwa nad piękną Instytucją, najpoważniejsi obywatele kraju zasiadają w «Komitecie» nadzorczym, a i Bóg błogosławił księdzu Sawickiemu pozwoliwszy mu dożyć sędziwej starości w ogólnem poszanowaniu i czci nieklamanej. Zamykając powieki mógł dziekan kamieniecki przekonać się, że godnie wypełnił powierzoną sobie przez ks. Hulanickiego misję.

Dalsze dzieje «Macierzy polskiej» wykraczają po za ramy niniejszego szkicu. My pragnęliśmy jeno przypomnieć ogółowi, że u kolebki pożytecznej instytucji stali, obok inicjatora, Józefa Ignacego Kraszewskiego, w pierwszym rządzie ks. Jan Sawicki i Bohdan Żebrowski, wykonawcy ostatniej woli ks. Kazimierza Hulanickiego.

¹⁾ Listy Bohdana Zaleskiego. «Przewodnik naukowy i literacki», Lwów 1908. Str. 1007.

SPIS RZECZY.

Seweryn Malinowski (kartka z dziejów sceny polskiej na kresach wschodnich)	Str. 1
Bohater Mickiewiczowskiej tragedyi (sylwetka generała-poety)	53
Tomasz Zan na roli	93
Poufne zwierzenia Sadyka-Paszy (wiązanka listów i notat) .	107
Poeta o sobie	149
Z pod filareckiego sztandaru	161
Mieszczanin sandecki z XVII stulecia	169
Z życia Ormian kamienieckich w XVII i XVIII wieku . . .	181
Pośmiertne peregrynacye pani wojewodziny kijowskiej . . .	207
Tajne rossyjskie relacye o formujących się legionach i Kościuszce	227
Z życia dworu wiejskiego w pierwszej połowie ubiegłego stulecia	249
Obrońcy Zamościa (urywek z dziejów kampanii 1831 r.) podług pamiętników i notat naocznych świadków	283
Z rossyjskich materyałów	327
Losy kresowej cerkiewki. (Przyczynek do dziejów Unii)	329
Przyczynek do sprawy Konarskiego	335
Z dziennika podróży duńskiego posła Justa von Juel (w roku 1711)	345
Pierwsze podwaliny »Macierzy Polskiej« we Lwowie	373







•









Stanford University Libraries



3 6105 004 071 572

DATE DUE

DATE DUE			

**STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004**

